

ZAMBOCH

PERCEPCJA

tłumaczył
Andrzej Kossakowski

ilustracje
Dominik Broniek

fabryka słów

Lublin 2013



Falowała na parkiecie z przymkniętymi oczami, w sposób uświadamiający każdemu znajdującemu się w pobliżu mężczyźnie, że to właśnie lubi. Nie miała takich piersi, jakie lansuje obecnie silikonowa moda, raczej mniejsze niż większe, ale jędrne i zachęcające do dotknięcia, a do tego nogi dłuższe, niż wydawało się to możliwe. W pępku połyskiwał jakiś kamyczek, na policzkach róż. Starzy, dobrzy Guns N'Roses mocniej szarpnęli struny, a ona przegięła się, jakby chciała TEGO właśnie teraz. Wychyliłem resztkę wódki, szurnałem szklaneczką po blacie baru i ruszyłem ku niej. Miejsca było dość. Mężczyźni gapili się, a kobiety usuwały z widoku, żeby ich nie porównywać.

Stanałem przed nią i czekałem. Czekanie mi nie przeszkadzało, jej widok był przeznaczony dla bogów. Ponieważ jednak, na nieszczęście dla nich, bogów nie ma, był to widok dla mnie.

– Spadaj, pacanie.

Dziewczyna tak mnie zafascynowała, że zupełnie nie zauważyłem, kiedy ten facet podszedł. Barczysty, mojego wzrostu, w ciuchach, których na pewno nie nabył w byle butiku. Przystojny, pewny siebie typek. Nie wierzyłem, by to ubranko kupił za swoje, wydawał się zbyt młody. Żeby taką pewność siebie wypracować osobiście, potrzebowałby minimum dwudziestu lat więcej. A żeby odważyć się ją zaczepić – całego życia.

– Masz bogatego tatusia, co nie? – oeniłem go.

Położył mi rękę na ramieniu i skrzywił się. Przypomniałem sobie, że podobny pysk znam z telewizji, tylko wyraźnie starszy. A więc nie synek biznesmena, ale polityka.

– Skopię ci dupę – oświadczył, rzucając okiem gdzieś za mnie.

Ona już nie tańczyła, przyglądała się. Zaczynał się show. Położyłem dłoń na ręce, którą trzymał na moim ramieniu, namacałem końce palców i mocno nacisnąłem paznokcie. Spróbował się wyrwać, lecz trzymałem mocno. Zamachnął się wolną ręką, nacisnąłem jeszcze mocniej i ból go sparaliżował. Od jednego ze stolików ruszyło ku mnie kilku, wszyscy co najmniej o dziesięć lat starsi od większości obecnych w klubie. Ponadto w

ubraniach, które nigdy nie były modne, nawet w czasach, kiedy John Lennon po raz pierwszy spróbował LSD. Goryle.

Cofnąłem się o krok, a ponieważ go nie puściłem, stracił równowagę. Zachwiał się. Trafiłem go kolanem w pysk, podskoczyłem, wykonałem półobrót i wierzchem stopy kopnąłem pierwszego goryla w szyję. Nie uderzyłem w krtań, ale i tak, skowycząc, zwałił się na podłogę. Drugi zdążył już sięgnąć pod marynarkę. Rzuciłem się na niego, zanim spróbował wyciągnąć rękę, przycisnąłem mu ją do ciała i głową rozbiłem nos. Padł strzał, kula przebiła marynarkę, a on zaryczał boleśnie. Strzelił sobie w nogę, idiota.

Trzeci kopnął mnie w żebra i to było wszystko, czego zdołał dokonać, bo zanim opuścił nogę, złapałem go za stopę i zakręciłem. Bardzo szybko. Zanim upadł z wywichniętym kolanem, byłem już na nogach. Jestem szybki, nawet jak na przedstawiciela swego gatunku. Bardzo szybki – to jedna z moich cech.

Patrzyła na mnie, nie tańczyła, tylko lekko podskakiwała, wargi jej błyszczały, a nozdrza drgały delikatnie, jakby podobało jej się to, co zobaczyła. Musiała lubić silnych samców. A takie kobiety z kolei lubię ja. Dwadzieścia pięć? Dwadzieścia siedem? Trzydzieści? Wszystko jedno, miałem pewność, że ta noc będzie udana.

– Napijemy się? – zaproponowałem. – Jestem Mathias.

– Kristie. Chętnie, ale co z tamtymi? – Wskazała zbierających się mężczyzn.

Jej uwaga miała sens. Mogli wywołać burdę i popsuć mi tak przyjemnie zapowiadający się wieczór.

Pochyliłem się ku pierwszemu z nich, wyszczerzyłem zęby, żeby zobaczyć, kim jestem, zademonstrowałem język w całej jego niehumanitarnej formie, popatrzyłem gościowi w oczy i wypowiedziałem kilka słów. Nie jestem zbyt dobry w hipnozie, ale chłopisko było wystraszone, przed chwilą wraz ze swoimi kompanami dostał dotkliwą nauczkę, a to miało swoje znaczenie. Zadziałało lepiej niż podwójna wódka, trzy tabletki valium oraz joint, wszystko razem wzięte. Pozostałych też potraktowałem w podobny sposób i szybko zobaczyłem, jak chwiejnym krokiem uciekają z klubu. Wszyscy.

Atmosfera rozluźniła się, właściciel ogłosił ogólny rabat i napięcie spłynęło wraz z kolejnymi drinkami za połowę ceny. Nastrój poprawił jeszcze didżej, starając się ze wszystkich sił.

– Jesteś czarownikiem? – zapytała Kristie, gdy dotarliśmy do baru.

Łatwo poszło, po odegranym przedstawieniu wszyscy schodzili mi z drogi i prawie mnie popychali do lady.

– Nie, użyłem tylko charyzmy własnego ego. – Skrzywiłem się.

– Co podać?

Barman sprawiał wrażenie nieco nerwowego.

– Bloody Mary – zadysponowała niespodziewanie.

Sądziłem, że zamówi jakiś modny koktajl, lecz życzenie to życzenie. Ja wróciłem do mojej ulubionej wódki pszenicznej.

Mieli taką tutaj. Oryginalną, nierozcieńczoną.

Podnosząc szklanę, otarła się o mnie bokiem. Poczekalem, aż odstawi szkło, uniosłem jej brodę i pocałowałem. Na miękkich wargach został smak pieprzu i palącego tabasco. Cały czas była opanowana, dopiero na samym końcu zaskoczyła mnie wybuchem namiętności. Sala i siedzący w niej ludzie rozmyli się, nagle nieważni, jakbym widział ich z daleka, więc stwierdziłem, że dalsza zabawa tutaj nie ma sensu, bo mógłbym wziąć ją na najbliższym stoliku.

Właściwie dlaczego by nie?

Myślałem o tym i wtedy ich usłyszałem.

Szybkie, ale ostrożne kroki pośród głośnej muzyki, gwaru licznych głosów, pobrzękiwania szklanek. Znam ten rytm kroków znakomicie wyćwiczonych jednostek glyhenów, ludzkich sług klanów. Nie znoszę ich, są jak karaluchy. Zbyt dobrzy na to, żeby ktoś mojego pokroju mógł ich ignorować, a zbyt nędzni, żeby być czymś więcej niż wrzodem na tyłku.

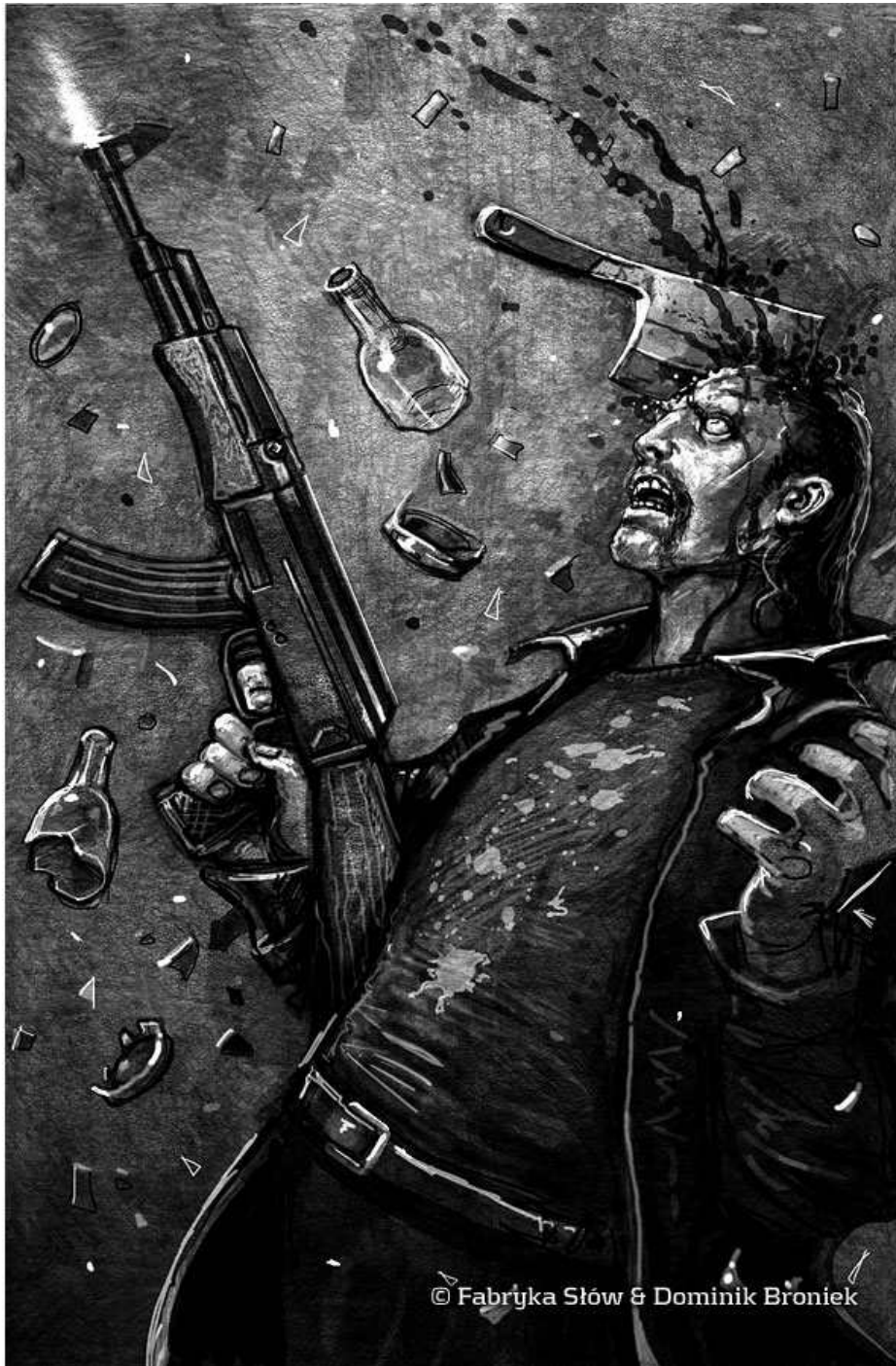
Cholera, jakim cudem się tak blisko dostali? Nie pozostało wiele czasu.

– Kłopoty – powiedziałem. – Znikamy stąd. Trzymaj się blisko mnie, a nic ci się nie stanie.

Nie wiedziałem, co o tym pomyślała, bo na skraju tanecznego parkietu pojawił się osobnik w dzinsach, wysoko sznurowanych butach i długim kabacie. Te kabaty służą głównie do tego, żeby chować pod nimi broń. Dużą i skuteczną broń, zdolną narobić sporo bałaganu. Dostrzegł mnie natychmiast. Glyheny przechodzą specjalne szkolenie, są w stanie wykryć takich jak ja nawet w gęstym tłumie.

– Na podłogę – rzuciłem do Kristie, sięgając przez bar po tasak do lodu.

Seria trafiła w półkę przede mną, tworząc nowy gatunek koktajlu z odłamków szkła i lejącego się alkoholu. Ale tasak już leciał, jego błyszczące ostrze wytworzyło kilka efektów stroboskopowych i utkwiło w człowieku z karabinem. Sądząc po odgłosie strzałów, automatem musiał być stary, dobry kałasznikow. Facet upadł na plecy, lecz jeszcze przez chwilę ścisnął spust, więc kilku ludzi, ugodzonych przypadkowymi strzałami, zaczęło jęczeć. Oczywiście ci, którzy jeszcze mogli jęczeć. Oświetlony parkiet zabarwił się na czerwono.



Glyheny nigdy nie atakują w pojedynkę, uświadomiłem sobie trochę za późno, kiedy rozległy się kolejne strzały. Nie miałem pojęcia, kto do kogo strzela, ale teraz wieczorek taneczny na pewno się skończył.

– Zwiejemy tamtędy. – Wskazałem Kristie schody na piętro, gdzie mieściło się biuro właściciela.

Stała nieruchomo, jakby nie słysząc ani mnie, ani grzechotu wystrzałów, i rozglądała się wokoło. Szok? Cholera!

– Kristie!

Złapałem ją za rękę i pociągnąłem ku schodom.

Miałem nadzieję, że nadchodząca noc wynagrodzi mi to wszystko, bo z jej powodu ryzykowałem kulę w żebra, co nigdy nie jest przyjemne.

Kolejnego glyhena, sporego faceta w dżinsowej kurtce, z dwoma pistoletami w dłoniach, spostrzegłem, będąc w połowie drogi ku schodom. Musiał się przeczołgać pomiędzy stołami. Trzeci pojawił się w otwartych drzwiach biura, do którego chcieliśmy uciekać.

Kurwa.

Czwarty zastępował barmana trafionego serią z kałasznikowa.

Kurwa i jeszcze raz kurwa. Jak mogłem tak się dać zaskoczyć?

Ściągnąłem Kristie na podłogę i jak kamień curlingowy posłałem ją w lukę pomiędzy stołami, jak najdalej od siebie. Miałem nadzieję, że nie wywichnąłem jej przy tym ramienia.

Zagrzmiał wystrzał znacznie głośniejszy niż poprzednie. Szklane płytki, jakimi wyłożona była ściana obok, rozleciały się, poleciały kawałki betonu. Odezwał się szcęk zamka broni. Nie był to więc automat, ale stara, pocziwa gwintówka załadowana wojskową amunicją. Zniósłbym trafienie z czegoś takiego, ale bardzo ciężko. Przetoczyłem się przez ramię, ten z pistoletami zasypał dosłownie serią wystrzałów miejsce, w którym kucąłem jeszcze przed chwilą. Glock, glock, glock – stukały kule. Już trzymałem w ręce nóż do rzucania, nosiłem go w bucie jako wyraz nostalgii za starymi czasami, ale teraz się przydał. Niestety, miałem tylko jeden. W kogo rzucić? Życie pełne jest dylematów.

Lufa karabinu skierowała się na mnie, cisnąłem nożem i poturlałem się co prędzej ku facetowi z pistoletami. Kolejny wystrzał musnął mi czuprynę i zmiotł jakiegoś durnia, który jako ostatni nie leżał jeszcze na podłodze. Dostrzegłem, że strzelec mocuje się z nożem tkwiącym w udzie. A więc przez chwilę nie będzie sprawny.

Chociaż glyheny wytrzymują więcej niż ludzie.

Trudno trafić do celu szarżującego z szybkością średniej klasy sprintera.

Trafił mnie z pistoletu, ale tylko raz. A ja już miałem go w zasięgu. Przetaczając się ostatni raz, podkurczyłem nogi, odbiłem się nisko przy podłodze i pozostałe trzy metry przefrunąłem jak rakietą o płaskim torze lotu. Zaskoczył go ten manewr, lecz nadal strzelał, kule muskały moje pięty. Uderzeniem na wysokości kostek zwałem go na podłogę, wbiłem mu łokieć w splot słoneczny, wykręciłem rękę i szczęśliwym trafem namacałem jego palec na spuście. Drgnął, na czole pojawiła mu się kształtna dziurka, a potylicą wraz z fragmentami mózgu rozprysła się na podłogę i częściowo na mnie.

Posadzka w pobliżu mojej głowy rozleciała się, rozumiałem, że to kolejny wystrzał z karabinu, nóż nie zatrzymał tego zasrańca na zbyt długo. Czwarty glyhen nie stał już za barem, lecz przed nim, w każdej ręce trzymając automat. Widziałem, jak poruszają się mięśnie przedramion, gdy naciskał spust. Przetoczyłem się na plecy, wciągając na siebie trupa w charakterze tarczy. Natychmiast zaczął drgać w takt trafiających go serii. Strzelec zbliżał się do mnie powoli. Wystrzał z karabinu przebił martwe ciało i trafił mnie w pierś. Poczułem ból, ale nie wiedziałem jeszcze dokładnie, co mi się stało – musiałem odczekać pewien czas.

Magazynek pierwszego automatu był pusty, w chwilę po nim również drugiego. Strzelec zatrzymał się kilka kroków przede mną, widziałem, jak patrząc na mnie, wkłada nowe magazynki. Nie miałem w zasięgu wzroku tego z karabinem, musiałem jednak zaryzykować. Wycelowałem z glocka, którego zabrałem martwemu koleśowi, i zacząłem strzelać. Wystarczyło trzymać mocno, żeby wszystkie czarnaście pocisków trafiło w pierś człowieka z automatami. To go uziemiło. Kolejny wystrzał z karabinu, łokieć trupa rozprysnął się, jednak moja ręka pozostała nietknięta. Zwyczajne szczęście. Miałem odrobinę więcej niż sekundę, zanim znów wystrzeli. Złapałem drugi pistolet, leżący na podłodze obok mnie, przez chwilę obaj mierzyliśmy do siebie.

Nacisnąłem spust, *Visio in Extremis* spowolniło świat. Ten rodzaj widzenia aktywuje się u istot mego gatunku w momencie, gdy podświadomość oceni, że z dużym prawdopodobieństwem w ciągu najbliższych dziesiątych i setnych sekundy umrzemy. To znaczy umrzemy, jeśli nie zdążymy temu zaradzić.

Strzeliłem ułamek sekundy wcześniej od napastnika, pierwsza kula opuściła lufę, druga wyleciała zaraz za nią. Trzecia już nie zdążyła, ale to nie miało teraz znaczenia, bo moje ramię stało się sztywne jak stalowe imadło. Pocisk karabinowy też zmierzał już ku mnie. Oczy bez mojego polecenia wyostrzyły widzenie, dostrzegłem, że kula porusza się szybciej niż moje pociski z pistoletu. Zdołałem też ocenić, gdzie trafi. Odrobinę ponad nasadą nosa. Kręgi szyjne zatrzeszczały, zabrzmiało to jak pęknięcie lodowca, ale to tylko słuch spowolnił odgłos reakcji kręgosłupa na ruch mięśni. Nadal naciskałem spust, podczas gdy moja głowa milimetr po milimetrze przesuwała się w lewo, a tymczasem pocisk pokonywał dystans w metrach tysiąckroć szybciej. Półpłaszcz. Jeśli trafi, rozprowadzi mózg po ścianie i nawet moja odporność na urazy nie pomoże.

Pociski dosięgły jego i mnie równocześnie. Dwa pierwsze trafiły go w pierś, trzeci w ramię, czwarty chybił. Mnie kula zdarła ze skroni pas skóry, ocierając się o kość. Z ucha zostały tylko strzępy, ale to był drobiazg.

Błyskawiczne widzenie, przez starszych i lepiej wykształconych z nas nazywane Visio in Extremis, skończyło się, wstałem z kolan i podszedłem do napastnika, wciąż trzymając go na muszce. Starał się zatkać rany rękami, ale do pełnego sukcesu brakowało mu jednej kończyny. To, że żył i pozostawał przytomny, oznaczało, że należy do ulepszonych rodzaju glyhenów.

– Dla kogo pracujesz? – zapytałem.

Mogłem zedrzeć z niego ubranie i spróbować odnaleźć tatuaże zdradzające przynależność klanową. Nie za bardzo miałem na to ochotę – o ile coś o sobie wiem na pewno, to tyle, że jestem heteroseksualny i goły chłop mnie nie kręci. A już szczególnie wtedy, kiedy jest od stóp po czubek głowy wymazany krwią.

Kilka głośników przeżyło strzelaninę, w odróżnieniu od didżeja. Na szczęście zastąpił go system komputerowy, jego przypadkowy wybór uraczył nas składanką piosenek Madonny. Lepsze to niż nic.

– Dla kogo pracujesz? – powtórzyłem pytanie.

– Dla Tizoca – przyznał się.

Albo nie musiał tego ukrywać, albo przypuszczał, że za chwilę go zabiję, i było mu wszystko jedno. Takiej nielojalności jednak nie oczekiwałbym od glyhena. Strzelał do mnie ze starego, przedrewolucyjnego mosina. Nazywając go przedrewolucyjnym, miałem na myśli rosyjską rewolucję z 1917 roku. Od tego czasu przybyło kilka kolejnych. Rewolucji, nie mosinów.

Tizoc, wróciłem myślami do usłyszanego nazwiska. Był jednym ze starych, nadętych ważniaków, a swego czasu narobił w Ameryce cholernie krwawych awantur. Tak krwawych, że można o nich przeczytać nawet we współczesnych podręcznikach historii.

– Dlaczego się mną interesuje?

Zazwyczaj pozostawałem poza sferą zainteresowań takich starych plugawców. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

– Mathiasie?

Kristie znalazła się obok mnie, poprawiając makijaż. Do warg przylepiło się kilka kropel krwi, których nie zauważyła, i roztarła je teraz konturówką. Poruszyło mnie to tak, że musiałem kilka razy przełknąć ślinę, żeby się opamiętać.

Glyhen na podłodze przede mną i Tizoc wraz z armią swoich zbirów stracili znaczenie.

– Chodźmy gdzie indziej – zaproponowałem. – Na przykład do mnie. Znajdzie się tam także coś do picia.

Przyjrzała mi się poważnie, jakby chciała przeniknąć moje myśli. Oczekiwałem, że znacznie wypytywać o mnóstwo rzeczy, choćby o to, czy będziemy czekać na policję, ale wzięła mnie tylko pod rękę.

– W szatni zostawiłam płaszczyk – przypomniała praktycznie.

Miała rację, na zewnątrz o tej porze robiło się chłodno. Ja jednak byłem porządnie rozgrzany. Walką i tym, co mnie oczekiwało.

– Jedną minutkę – poprosiłem. – Później jestem już cały twój.

Czasem bywam dowcipny. Nieco.

– Jak się nazywasz? – zapytałem glyhena.

Trochę go zdziwiło to pytanie, lecz starał się nie dać tego po sobie poznać. Mój gatunek na ogół nie pyta o nazwiska.

– Aleksiej Siergiejewicz – odpowiedział.

Krew wyciekła z niego znacznie słabiej i chociaż wyraźnie zbladł, wyglądało na to, że nie straci przytomności.

– A więc, Aleksieju Siergiejewiczu – powiedziałem – uprzątnij ten burdel. Powiedziałbym, że Tizoc nie będzie rad, gdy się nim zainteresuje policja kryminalna.

O ile oczywiście stary gnój nie miał jej szefa owiniętego wokół palca, ale w to powątpiewałem. To było moje miejsce, mój teren, moje terytorium łowieckie. A o tym Aleksiej oczywiście nie mógł wiedzieć.

Ludzie przychodzili już do siebie, słyszałem, jak próbują komunikować się przez telefony komórkowe. Ale w tym klubie urządzenia nie działały. Właściciel wyznawał zasadę, że jak się relaksować, to na całego.

– A tym karabinem już lepiej się nie baw. – Wskazałem mosina, leżącego blisko niego. – Jestem szybki.

Skinął głową w milczeniu.

Złapałem Kristie za łokieć i poprowadziłem ją do wyjścia, lawirując pomiędzy leżącymi ludźmi i kałużami krwi. Pachniała starym, dobrym Chanel 5 i krwią. Zdziwiająca kombinacja.

Wyprowadziłem auto z podziemnego garażu i wyjechaliśmy na ulicę. Nie mówiła nic, tylko siedziała obok mnie z rękami na kolanach. Tym sposobem podciągnęła suknię o centymetr czy dwa i musiałem przymuszać się do patrzenia na drogę, a nie całkiem gdzie indziej.

Przyszło mi do głowy, że będę musiał zachować szczególną ostrożność, żeby jej nie skrzywdzić podczas miłosnego baraszkowania albo zgoła nie pokaleczyć. Podniecała mnie do tego stopnia, że prawie traciłem samokontrolę.

Nie należę do tych nowoczesnych typów głoszących, że powinniśmy być dobrzy dla ludzi. To bez sensu. My jesteśmy drapieżnikami, a oni zdobyczą. Tak jest od samego początku, jak sięga pamięć mojego gatunku. Jednak z drugiej strony jestem trochę bardziej wybredny niż większość. Nie piję z mężczyzn, wydaje mi się to obrzydliwe. A z kobiet najchętniej piję podczas seksu. Ich krew smakuje wtedy doskonale.

– Zielone – zwróciła uwagę, przeciągając mi palcami po udzie.

Nie rzucić się na nią od razu było trudniej, niż przeżyć walkę w klubie. Zamiast tego nacisnąłem gaz do oporu. Elektronikę odłączyłem już dawno i teraz zaowocowało to dwoma pasami przypalanej gumy na asfalcie.

Kątem oka zauważyłem, że popatrzyła na mnie, ale nic nie powiedziała.

W tym roku zajmowałem luksusowe mieszkanie w mansardzie, z widokiem na rzekę. Podobały mi się stare rozchwiane schody i możliwość ucieczki przez dachy w razie potrzeby. Często zmieniam miejsce pobytu. Jeśli się tego nie robi regularnie, można się przyzwyczać i stracić czujność.

Weszliśmy do mieszkania, aparatura hi-fi zarejestrowała nasze pojawienie i puściła Johna Lee Hookera w kawałku „Hobo Blues”. Mam dziwny gust, wiem o tym, taki po prostu jestem.

Przyrządziłem jej drinka, a sobie nalałem wódki.

– Szczególna z ciebie dziewczyna, Kristie – powiedziałem, gdy trąciliśmy się szklaneczkami. – Każda inna wypytywałaby, kim jestem, co się stało w klubie, i byłaby przestraszona. A ty tylko milczysz.

Mówiłem tylko po to, żeby podtrzymać rozmowę.

Kąciki jej ust uniosły się. Choć pewnie nie zdawała sobie z tego sprawy, poruszała się w rytmie surowej muzyki liczącej pół wieku.

– A ty dużo mówisz.

Napiła się, podeszła bliżej. Poczulem jej zapach i odstawiłem szklaneczkę. Miała rację. Szkoda marnować czas na gadanie, nawet jeśli ma się kilkaset lat.

Bieliznę miała dokładnie taką, jak sobie wyobrażałem, a bez niej wyglądała o wiele lepiej, niż przypuszczałem. Była namiętna, szalenie zmysłowa, aż zadrgała we mnie ciemna, wampiryczna struna.

* * *

Leżałem na brzuchu z twarzą w poduszce. Sądząc po odgłosach dobiegających z zewnątrz, już dawno nie było rano, a sądząc po ciepłe przenikającym przez okna, raczej dochodziło południe. Leżałem, nie otwierając oczu. Czułem się jak kocur, którego ktoś porządnie sprzął, a później poczęstował potrójną porcją śmietany. Jak zwykle w takim stanie, naszły mnie wspomnienia. Nigdy nie wiedziałem i nawet się nie domyślałem, kim byli moi rodzice. Znalaziono mnie porzuconego w zaspie śnieżnej gdzieś na początku wojny trzydziestoletniej, kiedy ludzie zachowywali się jeszcze jako tako. Wychowano mnie jak zwyczajne dziecko i dość długo trwało, zanim zrozumiałem, kim właściwie jestem. Pierwszą dziewczynę, jaką miałem, skaleczyłem podczas seksu. Nie wiedziałem, że jestem o tyle silniejszy niż ludzie. Ukrywaliśmy się wtedy w leśnej chatce przed hordami wojsk plądrujących kraj. Wystraszony tym, co zrobiłem, opiekowałem się nią przez całe dwa miesiące, karmiłem ją zwierzyną, którą łowiłem gołymi rękami. Później, kiedy już żadnych zwierząt nie było – żołnierzami. Porcjowałem ich tak, żeby nie można było poznać, jakie mięso jemy. Kiedy zagoiły się jej zranienia, uciekła. Nie dziwiłem się jej. Wiedziała, że nie jestem człowiekiem, a uważała mnie za twór z piekła rodem.

Wyciągnąłem z tego wnioski i od tej pory nie skaleczyłem już żadnej kobiety. Mam na myśli seks w łóżku połączony z piciem krwi. Opowiadania o ludziach, z których wampir wysssał całą posokę, nie są kłamstwami, jednak zabijanie nie jest konieczne. Zabija tylko ten, komu sprawia to przyjemność. A mnie sprawia przyjemność coś innego. Choć teraz nie byłem już tego taki pewny.

Z dalekiej przeszłości wróciłem do niedawnych wydarzeń. Wspomnienia minionej nocy migwały w mojej głowie jak stroboskopowe błyski, bolało mnie od tego całe ciało i kości. I nie tylko od tego, prawdę mówiąc, czułem się gorzej, niż powinienem w wyniku obrażeń, jakich doznałem w nocnym klubie. Co ona mi zrobiła? Grała na mnie jak na jakimś instrumencie, niszczyła wszystkie moje mechanizmy obronne, aż przestałem nad sobą panować. I ona, cholera, tak samo. Ludzie powinni mieć jakieś ograniczenia! Sięgnąłem ku szyi. Żaden ślad już tam oczywiście nie pozostał. Kiedy ją ugryzłem, odpłaciła mi tym samym, co jeszcze bardziej mnie rozpałiło. Wyciągnąłem rękę, żeby dotknąć jej ciała. Chłodnego, nieużytecznego ciała. Inaczej to nie mogło wyglądać. Jestem wampirem, a ona człowiekiem. Opanowało mnie takie samo pełne strachu uczucie jak wtedy, gdy miałem piętnaście lat. Jęknąłem. Wyciągnięcie ręki było... bolesne, pełne wysiłku i wymagało maksymalnego napięcia woli.

Nic. Może spadła z łóżka? Musiałem ją ugryźć rzetelnie, bez dwóch zdań. Otworzyłem oczy i usiadłem. Pościel była zwałkowana, moje ciuchy porzrucane wokoło,

waza i serweta ze stolika na podłodze – stół też służył nam przez chwilę. Ale jej nigdzie nie widziałem. Z łazienki nie dobiegały żadne odgłosy. Mieszkanie wydawało się puste. Nie mogłem sobie pozwolić na uznanie, że wszystko jest w porządku. Czując smak strachu w ustach, wstałem i przeszedłem przez wszystkie pomieszczenia. Może mam trochę zbyt miękkie serce, jak na drapieżnika, ale zabijanie kobiet, z którymi spałem, nie sprawia mi przyjemności. Coś takiego jest złe.

Nigdzie jej nie było, zniknęły też ubrania. Tylko w łazience znalazłem nabazgrany szminką napis:

„Byłeś miły. Kristie”.

Cholera. Miły. A ja się bałem, że ją zabiłem.

Przejście przez całe mieszkanie wyczerpało mnie, musiałem usiąść i odpocząć. Skończyło się dobrze, nie jestem sadystą, nekrofilem, jak niektórzy moi pobratymcy. Kiedy próbowała przebudzić we mnie bestię, nie odniosła sukcesu. Po prostu bestii tam nie było. Poczułem ulgę. Oddychałem o wiele lżej.

Potrzebowałem wziąć prysznic, zjeść coś i napić się – krwi. Ponieważ użyłem Kristie dość oszczędnie, nie wystarczyło mi. Zanim wykonałem dwa pierwsze punkty mojego planu, był już wieczór. Tak wyczerpany nie byłem od czasu, kiedy uciekałem przed Czapajewem i jego czerwoną gwardią. Do jedzenia przyrządziłem sobie surowe mięso wołowe pokrojone na cienkie plasterki i przyprawione chrzanem, pieprzem i musztardą. Mogę zjeść także gotowane, ale wydaje mi się to pozbawieniem mięsa wartości. W lodówce znalazłem pół kilo surowego łososa i też go zjadłem. Na polowanie na razie nie mogłem liczyć, ale pragnienie miałem coraz większe. Odniesione rany oraz szalona noc zabrały mi więcej sił, niż się spodziewałem.

Wahałem się przez chwilę, a później wyjąłem z zamrażarki torebkę z pół litra krwi schowaną na wypadek sytuacji kryzysowej i niechętnie wypilem zawartość. Czasem zastanawiam się, jak funkcjonuje mój organizm. Mięsa mogę zjeść dużo, więcej nawet niż drapieżnik moich rozmiarów, na przykład jaguar albo puma. Nie mam złudzeń co do potrzebnej mi ilości krwi, którą wypijam miesięcznie. Nie mogę się bez niej obejść. Do pierwszego łyku raczej się przymusiłem. Zimna, zmagazynowana posoka wprawdzie pomaga, ale smakuje nieszczególnie i muszę się zmuszać do picia. Czegoś istotnego jej brakuje.

Może uciechy z samego picia?

Na polowanie przyjdzie czas dopiero jutro. Rzuciłem się na skotłowane łóżko i zasnąłem dość niespokojnym snem pełnym rojeń o krwi i kobietach. A raczej konkretnej kobiecie.

* * *

Po czterech dniach zmusiłem się do wyjścia na ulicę. Ubrałem się bardziej na sportowo niż zazwyczaj i nałożyłem mocne buty do kostek, z miękką podeszwą wzmocnioną kompozytowym żebrowaniem. W górach długo by nie wytrzymały, ale na gładkiej powierzchni zapewniały lepszą przyczepność niż guma. Po chwili wahania odsunąłem imitację ściany, kryjącą wbudowaną szafę, i z podręcznego arsenału wyjąłem mały browning 6.35 z sześcioma nabojami w magazynku. Przez ramię przewiesiłem pasek nośny tubusu służącego do przenoszenia rysunków. Nie było w nim grafik, tylko miecz wyprodukowany przez firmę Japan Steel Works Ltd. Dokładnie według mojego zamówienia. Może popadam w paranoję, ale zainteresowanie ze strony Tizoca trochę mnie zdenerwowało. Moi pobratymcy bardziej boją się klingi, na ludzi natomiast silnie działa groźba broni palnej. Unikam zabijania, jeśli to możliwe, w dzisiejszych uporządkowanych czasach, wobec silnej policji jest to zbyt niebezpieczne. Wziąłem jeszcze nóż, a resztę mojego wyposażenia stanowił komplet łowiecki.

Poszedłem do restauracji „Konina”, najadłem się podwójnym tatarem i grzankami bez czosnku. Bo mi po prostu nie służy. Tyle co do legendy. Potem udałem się do śródmieścia, do strefy ruchu pieszego, gdzie o tej porze powinny być tłumy, sama esencja wielkiego miasta. Uświadomiłem sobie, że na klasycznym polowaniu nie byłem już od bardzo dawna. Wystarczającą ilość krwi zapewniały mi przyjaciółki. Niektóre dobrowolnie i po kilka razy. Nie rozumiałem, z jakiego powodu, lecz zawsze zwracałem uwagę, żeby ich uzależnienie zbyt nie rozwinęło. Na ogół zmieniałem po prostu miejsce pobytu.

Ale na taki sposób nie miałem teraz nastroju, a oprócz tego wiedziałem, że potrzebuję więcej krwi niż zazwyczaj. Zatrzymałem się w jednym z pasaży handlowych przed wielkoekranowym telewizorem, przez chwilę udając, że interesują mnie wiadomości. Amerykański prezydent w porozumieniu z francuskim odwołali spotkanie ze względów zdrowotnych. Planowany termin obrad rozszerzonej Rady G8 w Pradze nie był zagrożony. Ciekawe, że nie podali, kto ma te problemy zdrowotne. Obok mnie przeszedł jakiś mężczyzna w szarym ubraniu i błyszczących lakierkach. Poruszał się energicznie, z dużą dozą pewności siebie, po prostu samiec w pełni sił. Tego właśnie potrzebowałem. Poszedłem za nim. Już od dawna nie polujemy na ludzi w lesie albo w dżungli, tylko na ulicach wielkich miast i nasze instynkty już się do tego przystosowały. Mijając trzecią witrynę sklepową, zorientowałem się, że ktoś mnie śledzi. Gdyby to robił nieco mniej umiejętnie, powiedziałbym, że to człowiek. Jeśli trochę bardziej umiejętnie, to byłby moim ziomkiem. A zatem to jakiś nowicjusz. Dawniej wiadomo było, kto z bractwa przybył do miasta, teraz już nie, ze względu na

niezwykłą intensywność ruchu turystycznego. A niektórzy z moich pobratymców nie przestrzegali podstawowych zasad uprzejmości. Nie byłem w nastroju do wyklócania się, ale to miasto uważałem za swoje terytorium i nie zamierzałem uciekać. Potrzebowałem tylko tak zaaranżować warunki spotkania, żeby obróciły się na moją korzyść.

Facet w szarym ubraniu rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Kiwnął głową w chwili, gdy dostrzegł tablicę informacyjną wskazującą kierunek do szaletu publicznego. To był ten szczęśliwy traf, którego potrzebowałem, sam wpadał mi w ręce. Mój cień w kraciastej czapeczce trzymał się z daleka, jasne było, że tylko mnie szpiegował, nie decydując się na żadną akcję.

Sprawdziłem zestaw łowiecki, czy wszystko jest uporządkowane. Igła anestezjologiczna, wężyk, worek zbiorczy, klej. Nie chodziło mi o to, żeby rzucać się na kogoś w szalecie i wysysać go, jak już powiedziałem, mężczyźni mnie nie emocjonują. Złapać, unieruchomić, lekko poddusić i dobrać się do żyły. Albo do tętnicy – zależnie od ilości czasu do dyspozycji i stopnia bezwzględności. Po wszystkim ustabilizować zdobycz i zniknąć. Stare, ortodoksyjne wampiry zaliczyłyby mnie (o ile wiedziałyby, jakich metod używam) do zdegenerowanych mięczaków. Być może. Ale dzięki temu ludzkie organizacje, takie jak państwo, policja, tajne służby i różni inni, praktycznie mnie nie zauważają. A ja mogę przeżyć bez przynależności do jakiegoś klanu, co wiązałoby się z koniecznością służenia jego przywódcy. Jestem po prostu ostrożnym samotnikiem.

Przeszedłem przez chodnik ku toaletom. Atrakcyjna brunetka z grzywką, ubrana w sportową koszulkę kończącą się kawałek ponad talią, rzuciła mi krótkie spojrzenie. Odpowiedziałem na nie, ale bardzo lekko. Niektóre kobiety wyczuwają we mnie drapieżnika i to je przyciąga. W szalecie przystanąłem przy suszarce do rąk i czekałem, aż szarak (tak go nazwałem) wróci od pisuaru. Wejść do akcji, kiedy zacznie myć ręce. Musiałem działać szybko, żeby wszystko przebiegło zgodnie z planem. Kiedy indziej nie wybrałbym miejsca tak często odwiedzanego w ciągu dnia, ale męczyło mnie pragnienie, a cień za plecami zaniepokoił. Musiałem wrócić do formy.

Szarak podszedł do umywalki, kątem oka śledziłem jego ruchy. Zaszumiała woda. Teraz. Odwróciłem się bez pośpiechu, otoczyłem jego szyję jedną ręką, drugą oparłem o potylicę, wpierając łokieć w plecy, i przydusiłem. Trwało to moment, nie miał czasu na reakcję, powinien szybko upaść bez przytomności. Ale nie upadł. Wykręcił mi się pod ręką i natychmiast pięść z kastetem wylądowała na moich żebrach. Odrzuciło mnie na przeciwległą ścianę, rąbnąłem, aż zadudniło. Nie doceniłem go skutkiem mojego sportowego podejścia do polowania. Rzucił się na mnie i tym razem to on mnie nie docenił. Trafiłem go kopniakiem

tam, gdzie on mnie przedtem pięścią. Stęknął, ale dalej parł jak czołg. Znow zaatakował kastetem, zbyt szybko, jak na człowieka. Ale ja jestem jeszcze szybszy. Skoczyłem na niego pochylony, pociągnąłem i przerzuciłem przez bark prosto na ścianę. Wstałby, gdybym go natychmiast nie kopnął w krocze. Nie było to może zagranie sportowe, lecz bardzo skuteczne. Albo był mistrzem sztuk walki z refleksem wyćwiczonym aż do doskonałości, albo glyhenem. Albo jedno i drugie. Nie miało to znaczenia, jako że krew to krew, czy to od zwykłych ludzi, czy od służących wampirom, było mi wszystko jedno. Sięgnąłem po futerał z wyposażeniem, ale nie wyjąłem go z kieszeni.

– Nie tak szybko.

Nie miałem pojęcia, jak się dostał do środka, ale typ w kraciatej czapce stał tuż przed zamkniętymi drzwiami, celował do mnie z wielkiego pistoletu i miał bardzo zadowoloną minę. Wyglądało na to, że nie tyle zastawiłem pułapkę, co sam w nią wpadłem.

– To moje miasto – powiedziałem spokojnie. – Co tu robicie i dla kogo pracujecie? – zapytałem po czesku.

Nie był to język zbyt rozpowszechniony pośród wampirów.

– Że też akurat pan, jeden z bractwa, który tak pogardza tradycją, powołuje się na prawo zwyczajowe.

Także mówił po czesku, chociaż z silnym akcentem i uprzejmą intonacją. Jego językiem ojczystym był hiszpański? Portugalski? I był to glyhen. Swojak nie zachowywałby się w stosunku do mnie tak poprawnie. Zastanawiałem się, na ile dobrzy są ci dwaj. Glyheny zazwyczaj trenuje się we wszystkich możliwych rodzajach walki, nie mają skrupułów, a jedyne, czego się naprawdę boją, to ich panowie. Często są też znacznie ulepszeni w stosunku do zwykłych ludzi. Właściwie zawsze.

Musieli być bardzo dobrzy, ponieważ pułapka została starannie zaplanowana i mówili po czesku.

– Mam go pod kontrolą – oznajmił towarzyszowi po hiszpańsku ten w czapce. – Wstawaj.

Szarak pomału, ze stękaniami wstał. Zastanawiałem się, czy trenowali go specjalnie w odporności na trafienia w jaja. Każdego normalnego chłopaka taki kopniak uziemiłby na długo. Mnie by chyba zabił, jaja to jednak jaja.

– Wezwij zespół transportowy – kontynuował typ w czapce, nie spuszczając ze mnie wzroku, z nieruchomym palcem na spuście.

Wydawało mi się, że lekko go naciska.

Coś się cholernie popieprzyło. Jestem tylko małym szurkiem gospodarującym na terenie Republiki Czeskiej, nigdy niewystępującym przeciw zwyczajnym gościom, o ile zachowują się choć trochę przyzwoicie. A tu nagle ktoś posłał na mnie całą armię. Może naprawdę byłem zbyt miękki.

– Pańska broń, panie Mathias – zażądał.

Był naprawdę uprzejmy. Dlatego postanowiłem, że zabiję go szybko. O ile zdołam oczywiście.

– Dobrze – kiwnąłem głową – pod pachą mam pistolet.

– Więc niech mi pan go poda, w dwóch palcach i bardzo ostrożnie. I tę tubę też.

Niewłaściwa decyzja, nie potrafił sobie wyobrazić, czego można dokonać takim mieczem. Podałem mu browning, a potem tubus, właściwą stroną zwróconą do niego.

W tym momencie odezwało się stukanie do drzwi. W szaletach publicznych się nie stuka, to meldował się zespół transportowy.

Pociągnąłem, facetowi pozostał w ręce tubus, a mnie miecz. Trochę dłuższy niż klasyczna katana z lekko zakrzywioną klingą, dawniej służący do walki z siodła. Mnie przydaje się do starć z pobratymcami, ponieważ przy właściwym sposobie użycia posiada znakomite właściwości sieczne. A to się bardzo liczy. Brutalne uszkodzenie organizmu w maksymalnie krótkim czasie. Czym jest przy takiej ranie nawet trafienie kulą w serce? Przeciwnik rozumiał, że popełnił błąd, który kosztował go prawą rękę w przedramieniu i lewą w nadgarstku. W błyskawicznym obrocie rozciąłem szarakowi korpus, pistolet, który już trzymał w dłoni, zagrzechotał na posadzce, drzwi szaletu otworzyły się.

* * *

Witaj, zespole transportowy.

Schyliłem się po pistolet. Desert Eagle Action Express. Ciekawe, jak ukrywał go pod marynarką? Chyba znał bardzo dobrego krawca. Zespół transportowy składał się z dwóch facetów przebranych zgodnie z siódmą częścią „*Piratów z Karaibów*”. Taszczyli skrzynię, która sprawiała znacznie lepsze wrażenie niż ich przebranie. Ważyć musiała ze sto kilo. To też były glyheny. Nacisnąłem spust czterokrotnie. Padli na posadzkę, krew i mózg na terakocie świadczyły o tym, że już się nie podniosą. Jednak o szaraku i o tym drugim nie można było tego powiedzieć. Odwróciłem się w momencie, gdy uderzył we mnie żywy taran. Nie mógł to być ten bez rąk, a więc miałem do czynienia z szarakiem. Miał jednak pecha, nie złapał mnie, tylko odbił jak kulę bilardową, tak że poślizgiem oddaliłem się od niego z mieczem i pistoletem w rękach. Zanim zdążył znów na mnie skoczyć, strzeliłem do niego dwa razy. Dwa trafienia w pierś kalibrem.50 definitywnie go znokautowały. Nie było dobrze,

że policyjne śledztwo powiąże kolejne cztery trupy z moją osobą. Dziś wszędzie są kamery. Moi współplemieńcy często zapominają o nowoczesnej technice, coraz bardziej polegając na glyhenach i młodszych wampirach. Ja jestem sam i muszę liczyć tylko na siebie. Wyciągnąłem nóż z pochwy umocowanej nad kostką, przyszło mi do głowy, że przez ostatnie kilka dni miałem więcej pożytku z noży niż przez poprzednie dziesięć lat. Ten był ostry jak brzytwa i praca szła mi jak z płatka. Już od dłuższego czasu nie oprowałem dużego zwierzęcia albo człowieka, ale gdy się coś robi od kilku stuleci, nie sposób tego zapomnieć. Oskalpowanie go razem ze skórą twarzy zajęło mi zaledwie krótką chwilę, wyszedłem z toalety już w przebraniu. Nie nadzwyczajnym może, ale cel uświęca środki, jak dawniej mówiono. To powiedzenie zachowało ważność do dziś.

Z pyskiem szaraka na twarzy, przebrany za pirata, zwracałem wprawdzie uwagę, ale nie wzbudzałem paniki. Byłem tylko jeszcze jedną głupią reklamą. W garażu podziemnym zrzuciłem przebranie, umyłem się możliwie najstaranniej i za pomocą pilota zabranego szarakowi odnalazłem jego samochód – volkswagen passat z wypożyczalni. Przez chwilę zastanawiałem się, jak to auto uruchomić. W ciągu kilku ostatnich dziesięcioleci coraz trudniej było korzystać z nowoczesnej techniki – szczególnie z elektroniki, której nie znam, której nie rozumiem i której nie ufam. Może to błąd – jeśli mam przeciwstawiać się starszym z bractwa, będę musiał na nowoczesnej technice polegać bardziej, niż mam na to ochotę.

Krew, która poplamiła moje ubranie, zaczęła kusząco pachnieć. Ależ miałem pragnienie! Cholera. Jeśli mam skutecznie chronić swoje życie – muszę się napić. Powinienem był jednak wykorzystać szaraka.

Zawsze mogę obrabować stację krwiodawstwa, porządnej ochrony tam nie ma. Srebrzysty mercedes ruszył w kierunku wyjazdu, kierowca zwolnił daleko przed szlabanem, jakby mu się coś przed nim nie spodobało. Może leżał tam martwy kot, który zawędrował aż tu betonowym labiryntem podziemnego parkingu? A może nie. Ostatni problem związany z kwestią terytorium rozstrzygnąłem w dziewiętnastym wieku, kiedy to w rytualnym pojedynku, prowadzonym dokładnie według zasad, zabiłem Helmutha Schmitze, który jako stały przedstawiciel cesarstwa rościł sobie prawo do Czech, Moraw, Słowacji i Rusi Zakarpackiej. Ruś Zakarpacka nadal oficjalnie należała do mojego terytorium łowieckiego, o ile ktoś ze starszych brał to określenie poważnie. Słowację przegrałem w karty z Ludovitem Šturem. Moimi pobratymcami okazują się czasem osobnicy, po których nigdy bym się tego nie spodziewał.

Srebrzysty mercedes stanął. Ani się nie cofał, ani nie zamierzał wyjechać z garażu. Wyglądało na to, że volkswagen do niczego mi się nie przyda.

Zostawiłem go i posuwając się tuż przy ścianie, z mieczem schowanym za plecami, zbliżyłem się do wyjazdu. Byli tam. Jeśli wrogowie rozmieściliby się na polu czy w lesie, potrafiłbym ocenić, które miejsca są najkorzystniejsze do ukrycia się i zaatakowania, i tam bym ich odnalazł. Im staranniej wybraliby kryjówki, tym poszłoby mi z nimi łatwiej. Ale tu miałem do czynienia z profesjonalistami w kamizelkach kuloodpornych, uzbrojonymi w automaty H&K. Gdybym ich przez przypadek nie zauważył, bez trudu podziurawiliby mnie jak sito. Jeszcze przed dwustu laty wszystko było o wiele łatwiejsze. Żadnej broni samopowtarzalnej, a jeśli zwróciło się należyta uwagę na lecące kartacze, to praktycznie można było przejść przez każdą linię frontu. Oczywiście nie chodzi mi o to, żeby powtórzyć bitwę pod Borodino. Stłumiłem chęć odszukania innego wyjścia. Z jakiego powodu ci chłopcy tu byli? Z powodu trupów w szalecie? Absurd, nawet rosyjski oddział Alfa nie mógł tak szybko zareagować. CIA też nie. Ktoś miał mnie na celowniku i poczynił sobie bardzo zdecydowanie. Jediną wskazówką była informacja uzyskana w klubie od glyhena, a ja nadal zbyt jej nie dowierzałem. Tizoc należał do najstarszych i najpotężniejszych. Dlaczego miałby sobie zawracać mną głowę? Znajdowałem się daleko od strefy jego zainteresowań. A może wykorzystałem kiedyś członka jego klanu i to po prostu zemsta? Jednak powoływanie się na wielkiego mistrza przy okazji osobistego rewanzu nie jest zbyt mądre, szefowie tego nie lubią. Nie miałem jednak czasu na rozmyślanie. Najpierw pierwsze, a potem drugie. A najpierw należało stąd zniknąć.

Jeszcze kilka kroków, a wejdę w przestrzeń, której pilnują, w pole śmierci.

Ostatni metr.

Pierwszy z nich już mnie spostrzegł, odbłask światła na hełmie poruszył się, lufa broni nieznacznie podążyła w moim kierunku.

Krok na zgiętą nogę, błyskawiczne odbicie. Elastyczna podeszwa pomogła, wszystkich czarnych sprinterów zostawiłbym za sobą. Błysk ognia, kule podziurawiły ścianę za mną.

Dostrzegło mnie kolejnych dwóch i szykowało się do otwarcia ognia. Jeden z nich celował dokładnie pomimo mojej ogromnej szybkości.

Skok na dekiel koła czarnego BMW, limuzyna zachwiała się, przeciążenie zaskrzyphiało mi w stawach, w ułamku sekundy zmieniłem kierunek i jeszcze przyśpieszyłem. Miecza już nie ukrywałem, trzymałem go w prawej ręce, uniesiony ukośnie w górę.

Dwie serie skrzyżowały się za moimi plecami, widział mnie już cały oddział, ale pozostali nie zaczęli jeszcze strzelać, przypuszczali, że pierwsi dwaj mnie zatrzymają.

Od pierwszego strzelca dzieliły mnie już tylko metry. Teraz miał szansę trafić, zbliżałem się do niego po prostej. Nie zdążył poderwać broni wystarczająco szybko, te H&K są jednak dość ciężkie. Klinga świsnęła i przechodząc dokładnie pod skrajem hełmu, tam gdzie osłona jest najsłabsza, przecięła szyję.

To byli ludzie, jednostka interwencyjna niećwiczona do walki z wampirami.

Niewzmocniony but trochę poddał się podczas następnego odbicia, nie straciłem wprawdzie równowagi, ale też nie osiągnąłem takiej szybkości, jakiej się spodziewałem. Kolejnego strzelca dopadłem jednak szybciej, niż uważał to za możliwe, i z nieoczekiwanego przezeń kierunku. Nie zadałem cięcia mieczem, bo już musiałem zwrócić się ku trzeciemu, odbiłem się tylko od jego głowy, tak jak przedtem od koła samochodu. Zupełnie wystarczyło.

Pozostali zrozumieli, że coś jest nie w porządku, i otworzyli ogień, nie zwracając uwagi na kompanów, przez których już się przebiłem.

Mocno nie w porę, przynajmniej dla mnie. Trafili mnie w nogę i w ramię, upadłem na maskę poobijanego SUV-a. Nadal jednak wiedziałem, w jakim położeniu się znajduję, gdzie skierowany jest miecz i gdzie stoi jeszcze jeden członek komanda. Jego hełm nie wytrzymał pchnięcia w przeziernik, czaszka również nie. Grzechot wystrzałów złał się w jeden głośny huk, odbijający się od ścian. Ześliznąłem się z maski i spadłem na ziemię. Na chwilę zapadła cisza, wymieniali magazynki.

Mogłem zerwać się i rzucić na nich albo uciekać, ale przegapiłem stosowny moment. A właściwie nie miałem na to dosyć sił. Trafili mnie jeszcze raz, tym razem w bok. Kula pozostała w ranie. Cholera. Leżałem na plecach z rozrzuconymi rękami, z mieczem luźno trzymanym w dłoni i z podkurczonymi nogami, opartymi o karoserię auta. Ściślej, o ramę nośną. Oczy miałem otwarte, jak często zdarza się to w przypadku zabitych. Mam w tym doświadczenie.

Nie mam natomiast doświadczenia w czekaniu na kilku śmiertelnie wystraszonych wojaków, którym właśnie pozabijałem kumpli. Jeśli wywałą do mnie z bliska cały magazynek, będę miał przechłapanie.

Zbliżali się. Miałem nadzieję, że jestem tak samo twardy i zimnokrwisty jak dawniej. Nie była to jednak prawda, wygodne życie każdego zmienia.

Pierwszy pojawił się w czujnej postawie, z bronią gotową do strzału, celował mi prosto między oczy. Skoncentrowanym wzrokiem widziałem nacięty na krzyż czubek pocisku w komorze nabojoyej. A więc załadowali amunicję zabronioną przez prawo. Czasem superwzrok nie daje powodów do radości.

– Już po nim – oznajmił, ale H&K w jego ręce nawet nie drgnął.

– Daj mu jeszcze raz dla pewności – zaproponował któryś.

Słyszałem przybliżające się ostrożne kroki.

– Nie. – Pokręcił głową.

Wiedziałem dlaczego. Magazynek z zabronionymi nabojami załadował w ferworze walki, gdy wydawało się, że nie zostałem zraniony. A teraz nie chciał, żeby ktoś niepotrzebnie wypytywał, co za pociski znaleziono w martwym ciele.

– Postrzelany jak sito.

Zgadzałem się z nim. Bolało mnie piekielnie i z każdą sekundą ubywało sił.

Czekałem na tę jedną chwilę i miałem nadzieję, że nadejdzie.

– Fakt, załatwiony ze szczętem.

Mój anioł zguby spojrział na niego. Poprzez osłonę hełmu nie widziałem jego oczu, ale mówiąc to, nieznacznie poruszył głową. Wystarczyła chwila. Ostrze mignęło ukośnym łukiem ku górze, nie sprawdzałem, jak celnie trafiłem, jeśli niezbyt celnie, to byłby koniec. Przetoczyłem się przez ramię i ciąłem poziomo z taką siłą, że obciąłem mu obie nogi równocześnie. Zdażył jednak wystrzelić, trafiając mnie w goleń. Ale czułem się jak na haju. Ryknąłem, drugą ręką złapałem automat, który jeszcze nie zdażył upaść na ziemię. Zerwałem się na jednej nodze w chwili, kiedy ostatnia trójka rzuciła się w moim kierunku. Otworzyłem ogień – po nogach, zawsze są najsłabiej chronione, a ja nie musiałem ich zabijać, tylko wyłączyć z walki. Automat zamilkł, zamek pozostał w tylnym położeniu. Jeden z nich utrzymał się na nogach, celował we mnie, ale chwiał się coraz silniej. Nie miałem już żadnego asa w rękawie. Odbicie światła w przezierniku jego hełmu zadrżało i zniknęło, gdy padał na plecy. Dobrze jest, jeśli pogotowie niedługo dotrze, to przeżyje.

Teraz musiałem zająć się sobą. Czułem, że ja też zaczynam się chwiać. Rzuciłem pusty automat, podniosłem tego, któremu przebiłem mózg, zarzuciłem go sobie na ramię i kulejąc, poszedłem ku drzwiom opatrzonym napisem: „Wstęp tylko dla zatrudnionych”. Były otwarte, nie musiałem użyć granatu, jaki miał przy sobie zabity.

Rozejrzałem się. Nie zauważyłem żadnych ciekawskich. Nic dziwnego, tylko kompletny idiota biegłby popatrzeć na strzelaninę.

Doszedłem jakieś dziesięć metrów do komórki ze środkami czyszczącymi i tam upadłem bez sił. Boże, tylu ran nie odniosłem przez ostatnie pięćdziesiąt lat! Ćmiło mi się w oczach, musiałem szybko się napić albo padnę. Jakimś gałganem wytarłem sobie twarz, klej zdażył już zaschnąć na mojej skórze, ale to była drobnostka. Położyłem zabitego na podłodze, przegryzłem mu szyję i zacząłem pić. Mój żołądek, tak jak i ludzki, ma pojemność około dwóch litrów, ale w moim krew nie zatrzymuje się długo i natychmiast przechodzi dalej.

Skończyłem więc z pełnym brzuchem, miałem mdłości i wiedziałem, że jeśli zacznę wymiotować, na pewno popadnę w kłopoty. Śpiączka po zranieniu jest tak samo niebezpieczna jak szok anafilaktyczny z nadmiaru krwi. Instynkt kazał mi zwinąć się w kłębek i czekać, aż organizm przyswoi ilość substancji niezbędnej wampirowi do życia, ale instynkty w tym świecie stanowiły niebezpieczeństwo. Musiałem gdzieś się schronić. Cholera, dawniej wszystko było znacznie prostsze. Las, pastwisko, w nocy jakiś odludny dworek. W końcu dowlokłem się na zewnętrzny parking dla pracowników, wybrałem poobijanego pick-upa, wgramoliłem się na skrzynię ładunkową i ułożyłem pod płachtą, którą właściciel na moje szczęście zostawił.

Dopiero teraz pozwoliłem sobie zapaść w półsen. Słyszałem tupot nóg biegających ludzi, odgłos niespokojnych rozmów, klątwy śledczych. Później zaczął padać deszcz i ochłodziło się. Deszcz zmyje ślady, przyszło mi do głowy zupełnie bez sensu. Z tą myślą wreszcie zasnąłem na dobre.

* * *

Przebudziłem się głodny, spragniony i słaby. Każdy ruch przypominał mi, że niedawno ledwie uciekłem grabarzowi spod łopaty. Ale można było wytrzymać. Najlepsze zaś, że nadal leżałem pod płachtą. A to oznaczało, że mnie nie znaleźli. A więc jeśli właściciel pick-upa nie miał za zadanie zbierania trupów i nie uznał mnie za element swego zbioru, to wszystko było w porządku. Swoją drogą, nieźle by się zdziwił, gdybym wyprowadził go z błędu.

Wygramoliłem się spod płachty. Wystarczyło głęboko odetchnąć, żeby zorientować się, że miasto musi być daleko stąd. Czułem zapach lasu, pola niedawno pokrytego nawozem, a także chlewa i świń. Ostrożnie rozejrzałem się wokoło. Pick-up stał przed częściowo wyremontowaną posiadłością, w okolicy nie dostrzegałem żadnych innych domostw. Samotna farma. Ponieważ na parkingu przed domem stały dwa poobtłukiwane samochody, wewnątrz było zapewne kilku ludzi. Mógłbym z nich pić bez umiaru przez kilka dni, chyba że w międzyczasie ktoś jeszcze by nadjechał. Cholera, skarciłem sam siebie, zanim zlałem ze skrzyni. Takiego głupiego pomysłu nie miałem już od dawna. W tym świecie udawało mi się przeżyć tylko dzięki temu, że nie rzucałem się w oczy. A w stanie, w jakim się znajdowałem, tylko z trudem bym się powstrzymał, żeby zdobywszy nie zabić. Po czym rozpoczęły się pościgi z łatwym do przewidzenia rezultatem. Potrzebowałem pomocy. Nie mam przyjaciół wśród swoich. Pomiędzy ludźmi – kilku użytecznych znajomych. Są jednak istoty należące do obu gatunków, dla których wyświadczona mi przysługa oznaczałaby korzyść. Ale nie

wiedziałem, na kogo mogę w danej chwili liczyć, zawsze istnieje możliwość, że ktoś drugi zaoferuje więcej niż ja. Może nadszedł czas na inny sposób, na prośbę o uprzejmość?

Sięgnąłem do kieszeni, przy czym uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem pokryty zaschniętą krwią. Telefon na szczęście działał. To był duży plus.

– Derwisz? – zapytałem.

– Jest druga nad ranem – zachrypiał zaspany głos kogoś, kto bardzo dużo pali.

– To ja – powiedziałem spokojnie, choć miałem ochotę się rozłaczyć.

Ludzie to tylko ludzie.

– No tak, cholera, wybac Mathias – powiedział zakłopotany.

– Potrzebuję transportu. Poślę ci SMS-em współrzędne do GPS-u. Jeśli masz możliwość wyboru, to weź jakieś stare auto, jestem dość brudny.

– OK, zaraz ruszam. Przyjadę tak szybko, jak się da.

– Weź ze sobą jakieś surowe mięso, najlepiej świeże.

Mogłem posłużyć się którąś ze świń, ale nie byłem pewny, czy po kolejnym zabiciu nawet tylko zwierzęcia utrzymam w ryzach dziką część swego ja. Żeby przeżyć, musiałem być bardzo przewidujący.

Zakończyłem rozmowę, przełączyłem telefon na funkcję odbioru GPS-u i wysłałem współrzędne. Sporo czasu kiedyś minęło, zanim chociaż z grubsza pojąłem, jak ten cud techniki działa, kiedy można na nim polegać, a kiedy nie. Początkowo uważałem to za stratę czasu, ale w końcu zmusiłem się do nauki. Teraz się to opłaciło.

Jeśli Derwisz był taki sam jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi, miałby wielką szansę zabezpieczenia siebie i swojej rodziny na resztę życia. Już za samą historię dostałby niemałe wynagrodzenie, a gdyby mnie wydał nieprzyjaciołom... Trochę mnie zdenerwowało, że o nic nie wypytywał i przyjął wszystko z niezwykle zimną krwią.

Odszedłem z parkingu i oddaliłem się wyboistą drogą. Była tylko ta jedna, nie musiałem się obawiać, że rozminę się z transportem. Myślałem, idąc, czy mogę polegać na Derwiszu i do jakiego stopnia.

Spotkałem go przed laty jako ofiarę kraksy samochodowej. Był nieprzytomny, dziewczyna siedząca na fotelu obok kierowcy umierała. Nie była żadną pięknoscią; z mózgiem widocznym w rozbitej czaszce żadna nie wyglądałaby pociągająco. Ale w jakiś sposób strasznie przypominała mi moją matkę. Mam na myśli przybraną matkę, która mnie znalazła i wychowała. Kochałem ją, z upływem czasu coraz mocniej, bo tylko ona jedyna w całym moim życiu kochała mnie. I niczego ode mnie nie chciała.

Z Peggy, partnerki Derwisza, napiłem się, dodając jej do krwi trochę tego, co tworzy wampira. Poczekalem do przyjazdu karetki, podałem informację o wypadku, opisałem swoje próby pomocy i zniknąłem.

W podobny, choć o wiele bardziej skomplikowany sposób, z użyciem alchemii czy raczej właściwie chemii, niektórzy z nas zmieniają ludzi w glyheny. Ja tylko doraźnie pomogłem jej podwyższyć zdolności regeneracyjne organizmu.

Derwisz odszukał mnie kilka miesięcy później. Wyśledził mnie sam i odwiedził wraz z Peggy – teraz swoją żoną w zaawansowanej ciąży. Podziękował mi i oznajmił, że pomoże mi w potrzebie. Dawno bym o tym zapomniał, gdyby nie to, że informował mnie o każdej zmianie numeru telefonu czy adresu. Później kilka razy kontaktowaliśmy się, kiedy skorzystałem z jego zawodu dziennikarza, aby uzyskać informacje, do których miałbym utrudniony dostęp. On nie był taki jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi. I dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięćdziesiąt dziewięć procent moich pobratymców.

Po upływie godziny i dwudziestu minut drogę oświetliły migające pośród drzew żółte reflektory. Schowałem miecz za siebie i stanąłem w pozie autostopowicza.

To był Derwisz.

– Muszę się dostać do domu – powiedziałem, kiedy tylko usadowiłem się i zamknąłem drzwiczki. Miecz położyłem na tylnym siedzeniu.

Stara škoda przesiąkła zapachem bezliku wypalonych papierosów, fotele skrzypiały przy każdym podskoku auta.

– Jasne – powiedział i zapalił.

W świetle zapalniczki przyjrzał mi się przez chwilę. Lampka kabinowa nie działała, miał tylko taką możliwość.

– Wyglądasz okropnie – zauważył, ruszając i nabierając szybkości. – Jak rzeźnik, któremu źle poszło świniobicie.

Miał to być dowcip, ale nie był aż tak daleki od prawdy. Świniobicie naprawdę się nie udało, tyle że nie byłem rzeźnikiem, ale świnią przeznaczoną do zarznięcia.

– Masz mięso?

Kiedy zaspokoję głód, będzie mi łatwiej zwalczyć pragnienie. Wiedziałem to z doświadczenia. Podał mi ciężką paczkę zawiniętą w wilgotny papier.

– Jedyne, co znalazłem w lodówce. Zawinałem w gazetę. To jedna z niewielu rzeczy, jakich mamy w domu pod dostatkiem.

Trochę farby drukarskiej nie zaszkodzi. Wyciągnąłem nóż z pochwy, ukroiliśmy plaster i zacząłem jeść. To była wołowina. Dobra, z młodej sztuki. Kierowca rzucił mi kolejne spojrzenie, ale nic nie powiedział i spokojnie prowadził auto.

Pochłonięcie kilograma mięsa nie zajęło mi więcej czasu, niż było potrzebne do przejechania dwudziestu kilometrów. Ale pragnienie miałem dalej.

– Na tylnym siedzeniu znajdziesz coś jeszcze – powiedział, nie spuszczać oczu z drogi.

Był trochę spięty, ale nie wydawało mi się, żeby miał zamiar wydać mnie komukolwiek. Mimo że znałem go tylko z naszych krótkich kontaktów i przekazywanych informacji, zawsze wydawał mi się taki sam. Derwisz, trochę postrzelony dziennikarz, koncentrujący się na nieprawidłowościach, jakich dopuszczały się wszechmocne koncerny z krzywdą dla konsumentów. Zanim po raz pierwszy zwróciłem się do niego o pomoc, sprawdziłem go dokładnie.

Sięgnąłem do tyłu, gotów w każdej chwili zadać cios łokciem. Jechaliśmy niezbyt szybko i ja na pewno przeżyłbym kraksę. On z rozbitą czaszką raczej nie. Na tylnym siedzeniu znalazłem termotorbę, a w niej dwa worki krwi.

Chyba powinienem go zabić, mignęła mi pierwsza myśl.

– Wiem, że nie jesteś człowiekiem – rzekł spokojnie, nadal skupiając uwagę na prowadzeniu, w ciemności żarzył się koniec jego papierosa.

Zabić go mogę zawsze.

Atmosfera ze spokojnej i nieco ospałej zmieniła się w napiętą.

– Odkąd o tym wiesz?

– Od chwili, kiedy uratowałeś Peggy.

Nawet nie wiedziałem, czy nadal z nią jest. Nie pytałem o nią, nie chcąc bez potrzeby ożywiać starych wspomnień.

Wróciłem myślami wstecz i znów zobaczyłem wypadek, jak na filmie wideo.

– Nie byłem przez cały czas nieprzytomny. Widziałem, co zrobiłeś. Wtedy wydawało mi się to bez sensu. Dopiero o wiele później zrozumiałem, kiedy wszystko sobie przypomniałem i wiedziałem, że ona przeżyje. Kiedy urodziła się nasza córka. Zdrowa. I kiedy zauważyłem, że mała rozwija się i dojrzewa harmonijnie, ale trochę wolniej niż ja, niż zwyczajni ludzie.

Nie miałem pojęcia, że jego partnerka była w ciąży, a później nigdy nie przyszło mi do głowy skojarzyć daty wypadku z datą urodzin jego córki. Nie było po temu powodu i nie interesowałem się tym. Był tylko człowiekiem, a ja łowcą, predatorem.

Miałem okropne pragnienie. Szybko otworzyłem plastikowe zamknięcie i zacząłem się odżywiać.

– Co wiesz? – zapytałem.

Škoda zmierzała ku miastu, trzęsąc się znacznie mniej, bo w końcu opuściliśmy drogę czwartej klasy, o której prawdopodobnie mało kto wiedział.

– Sporo. Jestem dziennikarzem, jak wiesz.

Zabić go mogę zawsze, przypomniałem sobie.

– A co z tym zrobiłeś? Z tym, co o mnie wiesz – zapytałem na pozór obojętnie.

– Uratowałeś życie mojej żonie i córce. – Wzruszył ramionami, otworzył okienko i wyrzucił niedopałek.

Rozzarzył się jak meteor i zniknął na zawsze.

– Jeśli jestem tym, czym myślisz, to czy wiesz, ilu ludzi zabiłem?

Znowu wzruszył ramionami.

– Nie widziałem, jak zabijałeś, widziałem, jak ratowałeś życie.

Zawsze to tępe, aż bydlęce, ludzkie oddanie. Rozczulił mnie, naprawdę rozczulił.

– Zabiłem tych w pasażu.

– Domyśliłem się tego – przytaknął – kiedy na fotografiach zobaczyłem twój miecz.

Koledzy z działu kryminalnego bardzo się tym interesują. Służbom specjalnym nie udało się ukryć faktu, że ich oddział interwencyjny został zmasakrowany przez jakiegoś szaleńca z mieczem. Internet jest tego pełny, wszędzie toczą się dyskusje, kto mógł to zrobić. Kto się dogrzebie do jakichś wiarygodnych szczegółów, będzie miał reportaż życia.

Marna pociecha dla mnie, który zawsze czyniłem starania, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Zbliżało się miasto, coraz częściej spotykaliśmy ciężarówki, które sprawiały wrażenie, jakby chciały połknąć sfatygowane auto Derwisza.

– Czy to rozsądne wracać do mieszkania? Szukają cię. Mogą już tam czekać.

Miał rację, ale dysponowałem kilkoma zapasowymi mieszkaniami, chociaż używałem tylko jednego.

– Mam ich więcej – oznajmiłem, karcąc się równocześnie w duchu za szczerość.

Zdobycz nigdy, ale to nigdy nie powinna znać zwyczajów łowcy. Ale nadal potrzebowałem transportu. Podałem mu adres i... ocknąłem się.

* * *

Leżałem w łóżku, w ubraniu, ale przykryty, lodówka włączała się co pewien czas, a radio wyrażało swą radość z nadchodzącego południa. Lodówka warczała. Nie zwracam na

ogół uwagi na takie szczegóły. Mając wrażenie, że ostatnie czterdzieści osiem godzin spędziłem na jakimś hiszpańskim narzędziu tortur w towarzystwie zaangażowanego kata, wstałem. Ciekawe, że nieprzyjemne wspomnienia potrafią pozostać w pamięci nawet po upływie setek lat. Lodówka była pusta z wyjątkiem jednego worka z sympatycznie czerwoną cieczą. Temperatura nie była szczególnie odpowiednia dla magazynowania, ale krew jeszcze się nie zepsuła. Wypiłem ją bez grymaszenia, potem szybko zrzuciłem ubranie, jak wąż zrzuca skórę, zostawiłem je na podłodze i goły przeszedłem do łazienki. Każde opuszczone mieszkanie, nawet najlepiej na początku wysprzątane, po kilku tygodniach zaczyna nabierać charakterystycznego zapachu, pojawia się kurz, a z kranów leci rdzawa woda. O ile w ogóle leci. Nie przeszkadzał mi ani zaduch, ani pleśń, ani odpadająca z sufitu farba. Pozbyłem się pokrywającej mnie krwi i brudu i odkryłem, że brakuje mi miecza.

Wylazłem spod prysznica i wróciłem do łóżka, zostawiając na podłodze mokre ślady. Na nocnym stoliku leżał nieco pognieciony tubus na rysunki. Nie mój! Zdenerwowany szybko go otworzyłem, miecz był w środku. Poczuję ulgę. Już nie byłem bezbronny. Klinga była czysta, pachniała olejem, tak samo wypucowana została rękojeść i jelec. Na Derwiszu można było polegać.

Otworzyłem szafę, przez chwilę przeglądałem jej zawartość, sprawdzając, co sobie przygotowałem przed kilkoma tygodniami. W każdym zapasowym mieszkaniu mam trochę podstawowych rzeczy na wszelki wypadek, które wymieniam w regularnych odstępach czasu. Miałem tu dzinsy, kurtkę dzinsową, koszulkę z napisem „Bloody Bastard”, a do tego wysokie buty na specjalnej kompozytowej podeszwie. Kupuję te podeszwy wprost od producenta, a do butów przyklepia mi je dobry szewc. Dziś zwany obuwnikiem. Wyposażenia dopełniała szczoteczka do zębów, mydło, brzytwa, pianka do golenia, płyn do wywabiania plam. Poszedłem do ubikacji, podniosłem pokrywę rezerwuaru, nie bez trudu wyjąłem fałszywe dno i wydobyłem automatycznego glocka z zapasowym magazynkiem, szczelnie opakowane w folię igelitową. Brakowało tylko telefonu komórkowego, ale za nic nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go schowałem.

Lodówka umilkła. Otworzyłem zamrażarkę, pod tylną ścianką tkwiło zapomniane pudełko paluszków rybnych. Pokrywała je warstwa szronu, a w środku coś grzechotało. Był to telefon. A ja nie lubię paluszków rybnych.

Bateria była oczywiście wyczerpana, ale ładowarkę też umieściłem razem z telefonem. Włączyłem go do ładowania i ubrałem się. Z tubusem na rysunki i w dzinsach będę wyglądał trochę dziwnie, ale co robić.

Ogoliłem się, brzytwą poprawiłem fryzurę na krótką, wojskową i usiadłem na łóżku gotowy do wyjścia.

W krótkim czasie wydarzyło się bardzo wiele, a ja po prostu nie rozumiałem, co się dzieje. Najpierw, nie wiadomo po co, napadł na mnie Tizoc, czy raczej jego psy gończe. Co wychodzi na to samo. Potem zasadziło się na mnie aż za bardzo przygotowane komando ludzkie. Nie wierzyłem, że chodziło tu o rutynową akcję przeciw wrogowi społeczeństwa. Tę akcję poruczył im raczej ktoś inny niż komenda policji. Więc dla kogo pracowali? Dla Tizoca? Musiałyby zapaść korzenie bardzo głęboko w Czechach. Nie wydawało mi się to możliwe.

W tym mieszkaniu wprawdzie panował spokój, ale nie było już bezpiecznie. Nie przypuszczałem, żeby Derwisz mnie zdradził, ale nietrudno było go złamać. Każdy w końcu wszystko powie. Był tylko człowiekiem, miał niewielką wytrzymałość. Oprócz tego potrzebowałem posiłku.

W drugiej z kolei restauracji zacząłem znowu rozmyślać. Przecież nawet zamówienie dwóch befsztyków tatarskich mogło wzbudzić podejrzenia, a tego chciałem za każdą cenę uniknąć.

Kelner odniósł talerz, lecz zanim zdążył odejść, wskazałem znów na kartę dań. Wciąż jeszcze byłem głodny. Wprawdzie już umiarkowanie, ale jeśli się porządnie najem, łatwiej mi będzie przeciwstawić się innemu rodzajowi niezaspokojenia, nazywanemu pragnieniem.

Musiałem się napić, zatrzeć za sobą ślady i przejść do kontrataku, na czymkolwiek miałby on polegać. A może uciec? Schować się, zacząć od nowa w innym miejscu. Myślałem nad tym, z coraz mniejszą ochotą grzebiąc w filecie z łososia. Nie chciałem uciekać. Republika Czeska była terytorium łowieckim o wielkości minimalnej, jak dla moich potrzeb wyżywienia bez zwracania na siebie uwagi. Oczywiście na krótką metę wystarczyłoby i mniejsze terytorium z mniejszą ilością ludzi, ale gdybym chciał przebywać gdzieś dłużej, przez kilka ludzkich generacji, to zaczęłyby się kłopoty. A wielkie metropolie mnie nie pociągały. Życie toczyło się w nich zbyt szybko, pełne chaosu i rozgardiaszu, a przecież i tam musiałbym wywalczyć sobie miejsce, ponieważ wolnych terytoriów łowieckich nie ma na tej planecie co najmniej od stu lat. Tych zapewniających utrzymanie, oczywiście.

Napić się i tak dalej.

Zapłaciłem i wskoczyłem do przejeżdżającego tramwaju. Już wewnątrz zorientowałem się, że przypadkiem dokonałem właściwego wyboru. Tramwaj jechał na Smichov, gdzie miałem jedną ze swoich tajnych skrytek. Znajdowała się wewnątrz pnia starego dębu. W ostatnich latach drzewa mają w Pradze większą trwałość niż domy mieszkalne czy inne

budynki. Park był pusty z uwagi na wiszący w powietrzu deszcz. Wgramoliłem się na konar i zacząłem szukać. Drzewo zmieniło się przez ten czas, kiedy mnie tu nie było. Musiałem się skupić, przypomnieć sobie, gdzie wsadziłem metalowy pojemnik. Jak bardzo mogło urosnąć to drzewo? Znalazłem właściwe miejsce o metr wyżej, niż przypuszczałem, a wyciągnięcie pojemnika z dziupli kosztowało mnie sporo sił. Zadowolony wróciłem na przystanek tramwajowy, chowając ręce w kieszeniach. Podczas wyciągania kasetki połamałem paznokcie i pocierałem skórę, a to mogłoby zwrócić uwagę. Z uczuciem ulgi usiadłem na wolnym miejscu. Dziwnie się czułem, kręciło mi się w głowie i trochę trzęsły kolana, jakbym znajdował się u kresu sił. Zaniepokoiło mnie to nieco, od posiłku minęło trochę czasu, powinienem już czuć się coraz lepiej. Ale chyba dostałem w kość bardziej, niż mi się wydawało.

Młoda kobieta w dżinsach, pantoflach na średnio wysokim obcasie i płaszczyku z wzorem naśladowującym skórę węża przypatrywała mi się spod oka. Trochę opiekuńczy typ, namiętna, ale wyraźnie miała aktualnego partnera. Poznałem to po serii szybkich, prawie niedostrzegalnych zmian wyrazu jej twarzy towarzyszących kolejnym wyobrażeniom dotyczącym mojej osoby. Nie była odpowiednim dla mnie typem, przynajmniej nie w tej chwili.

W pasażu obok sklepu z odzieżą, dokąd zmierzałem, przeliczyłem gotówkę. Było jej dość dużo. Rozdzieliłem pieniądze na trzy części, a kiedy ostatnią chowałem do tylnej kieszeni spodni, coś przyszło mi do głowy. Wyjąłem pieniądze i jeszcze raz obejrzałem. Schowałem je przed dwudziestu pięciu laty, a przez ten czas miało miejsce tyle zmian, że mogły stracić ważność. Cholera, w tym szybko zmieniającym się świecie podobne przypadki zdarzały mi się coraz częściej. Pozostawało mi tylko użyć karty bankowej, ale to oznaczało pozostawienie śladu. Niestety.

Opróżniłem bieżące konto i wyruszyłem na łowy. Do godziny piątej, kiedy większość ludzi opuści biura, pozostawało jeszcze trochę czasu, ale to nie przeszkadzało. Wystarczająca ilość potencjalnych ofiar chodziła po ulicach, pasażach handlowych lub siedziała w restauracjach.

Nie krążyłem w jednym miejscu, to byłby błąd, który mógł zwrócić na mnie niepożądaną uwagę, a przy odrobinie pecha mógłbym skończyć na posterunku policji. Bez pośpiechu spacerowałem pośród wielkich domów bankowych, siedzib towarzystw międzynarodowych, luksusowych hoteli, klubów i salonów fryzjerskich. Nie poszukiwałem jakiegось konkretnej kobiety, blondynki, brunetki, rudej, szczupłej czy przy kości. Było mi to

obojętne. Powinna być pewna siebie, niezależna i oczywiście powinna lubić mężczyzn. I do tego musiała być w odpowiednim nastroju.

Powoli chodziłem po tych łowieckich ścieżkach, kilka razy zauważyłem interesującą kobietę, kilka razy nawiązałem kontakt wzrokowy czy wymieniłem kilka zdań, ale nie było to nic, czym zainteresowałbym się poważnie. Dwukrotnie rozegrałem szczególnie obiecującą grę, w tym jedną z wyglądającą na nieprzystępną businesswoman. Ale wystarczyło popatrzeć na jej szpilki, małymi detalami odróżniające się od tego, co uważa się za szpilki klasyczne, albo na sukienkę, która miała odpowiednią długość, zgodną z kanonami mody, choć o rozcięciu nie dało się tego powiedzieć. Sposób, w jaki się poruszała, też nie miał wiele wspólnego z nieprzystępnością. Była w sumie idealnym typem, ale przeczuwałem, że z nią potrwałoby to raczej długo. Nie była w typie pierwsza randka – pierwsza noc.

Cztery godziny później, kiedy wyszedłem z centrum handlowego i przechodziłem przez tereny wypoczynkowe, usiadłem w kawiarni i zamówiłem kawę z ekspresu. Źle się czułem. Od czasu potyczki z ludźmi Tizoca i oddziałem policyjnym wciąż nie mogłem przyjść do siebie i było mi coraz gorzej.

Obok przeszła atrakcyjna brunetka w mini, jednak wyraźnie gdzieś się śpieszyła. Potem dwie przyjaciółki. Z dwiema też można było dać sobie radę, ale te zachowywały się nerwowo, chyba nie znały okolicy, raczej zjawiły się tu przypadkiem. Podano mi kawę, uniosłem filiżankę i z rozkoszą wdychałem woń parującego płynu. Znakomita. Poprzez gorącą parę unoszącą się nad filiżanką dostrzegłem rudowłosą z długimi, pomalowanymi na perłowo paznokciami. W dłoni trzymała kościaną fifkę z papierosem. Na ustniku dostrzegłem ledwie zauważalny ślad szminki. Patrzyła w moim kierunku, ale z tak zamyślonym wyrazem twarzy, że nie byłem pewny, czy mnie w ogóle dostrzeża. Napiłem się kawy i otarłem usta serwetką. Sądząc po jej prawie niezauważalnej mimice, jednak mnie widziała. Wstałem, podszedłem do jej stolika.

– Madame, czy mogę prosić panią o przysługę?

Oceniała mnie, ale decyzji jeszcze nie podjęła.

Wybredna.

Wyjąłem z kieszeni paczkę papierosów. Na co dzień nie palę, ale papierosy są bardzo pomocne przy nawiązywaniu kontaktu.

– Czy użyczy mi pani ognia?

Sukienka do kolan, dopasowana z szerokim paskiem, biała koszula w stylu hiszpańskim, z szerokim kołnierzykiem. Błyszczący opal na złotym sznureczku,

niesymetryczne kolczyki również ozdobione opalami. Długie nogi, smukła, ładna szyja, kształt przedramion wskazywał, że grywa raczej w squasha niż w tenisa.

– Zgubił pan zapalniczkę? – zapytała z nutą rozbawienia w głosie.

– Nie – odpowiedziałem. – Ognia użyłem tylko jako pretekstu do rozpoczęcia rozmowy.

Spodobało jej się to.

– Zawsze pan taki bezpośredni?

– Tylko wtedy, gdy jest to użyteczne. Kiedy trzeba, jestem bardzo cierpliwy, żeby osiągnąć cel.

– Zależy, co jest tym celem – odparła.

Wystukała niedopalonego papierosa i wsadziła do fifki nowego. Nie widziałem takich w sprzedaży, zapewne specjalny dostawca albo wyrób na zamówienie.

Wyjąłem z kieszeni pudełko zapalek, zapaliłem jedną i podałem jej ogień w taki sposób, żeby musiała bardziej pochylić głowę. Uzyskałem teraz znacznie lepszy wgląd w jej dekolt. Zdawała sobie z tego sprawę. Nosila biały koronkowy staniczek. Pachniała tak, jak powinna pachnieć kobieta, jak powinna pachnieć zdobycz. Dzisiejsze łowy zaczynałem pragmatycznie, tylko w celu ugaszenia pragnienia, ale to zapowiadało się również bardzo przyjemnie.

Bez czekania usiadłem przy jej stoliku.

Zmysłowo wydmuchnęła dym. Był w nim tytoń i jeszcze jakiś dodatek, coś raczej uspokajającego niż odurzającego.

Ja również zapaliłem i siedziałem w milczeniu. Zdaje się, że odpowiadało jej to.

– Pije pani tylko kawę? – zapytałem w stosownej chwili.

– Kiedy jestem sama, to kawę, a w towarzystwie również coś innego. – Uniosła lekko kąciki warg.

– Towarzystwo to czasami dobra rzecz – przytaknąłem, wskazując na bar po przeciwnej stronie pasażu.

– Zależy, jakie towarzystwo – oznajmiła, przywołując kelnera.

Pomogłem jej nałożyć płaszczyk, ale ramienia nie zaoferowałem. Sama wyznaczała granice, obserwując mnie, jak zagospodaruję pozostawione mi możliwości.

W barze usiedliśmy na wysokich stołkach, zauważyłem, że jej nogi nie były aż tak szczupłe, jak mi się wydawało. Właściwie akurat takie, jak trzeba.

Tym razem rozmowa potoczyła się wartko. Zbierała informacje, chciała wiedzieć, kim jestem. Zdawałem sobie sprawę, że wszystko idzie dobrze. Przywołałem jedną ze swoich

starych tożsamości, kiedy utrzymywałem się z handlu antykami, szczególnie mieczami. Robiłem to do czasu, kiedy stwierdziłem, że najlepsze miecze wyrabia się przy użyciu najnowocześniejszej technologii.

Drink przeciągnął się, zjedliśmy również kolację.

– Ma pan tu auto? – zapytała na zakończenie.

– Nie mógłbym prowadzić – wskazałem na prawie pustą butelkę Aligote – i pani też nie. Wezwę taksówkę, możemy pojechać dowolną trasą i wysiadzie pani, gdzie zechce.

– To mi odpowiada.

Wychodząc z baru, wzięła mnie pod rękę. Nie byłem pewny, czy dziś osiągnę cel. Jeśli uzyskam tylko numer telefonu, będę musiał ruszyć na dalsze łowy. W inne miejsca, do których niechętnie chodzę po raz drugi, ale gdzie wszystko jest znacznie prostsze. Lecz i na znacznie niższym poziomie. Prosty żołnierski posiłek zamiast menu na zamówienie.

W taksówce milczeliśmy. Powiedziała, że jest analityczką bankową. Nie za bardzo w to wierzyłem, była na to zbyt niekonformistyczna. Ale ponieważ nie miałem praktycznie żadnego doświadczenia z analityczkami bankowymi, mogła rzeczywiście nią być.

Zatrzymaliśmy się na ulicy zabudowanej domami wzniesionymi na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Nie wiedziałem, gdzie to jest, od dawna już nie bywałem w tej dzielnicy, musiałem z niej uciekać, zacierając za sobą ślady.

Otworzyła torebkę i wyjęła portmonetkę. Zamachałem ręką na znak protestu.

– Jeśli to dla pani problem, to może mnie pani zaprosić kiedyś na drinka.

– Dlaczego nie – zgodziła się – ale niechętnie odwlekam spłatę długów. Może od razu?

– Brzmi znakomicie – odparłem, zapłaciłem taksówkarzowi i wysiedliśmy przed dużymi drzwiami ozdobionymi motywami roślinnymi. Miałem zamiar powiedzieć, że to bardzo interesujące drzwi, ale w porę się powstrzymałem. W panującej ciemności żaden człowiek nie mógł dostrzec takich szczegółów.

Zamek był mechaniczny i na czip, tak jak i wejście do windy. Lepszy adres. Wyglądało na to, że od dawna nie odświeżałem sobie informacji o mieście, a to błąd.

W windzie stanęła tuż przy mnie, dając mi do zrozumienia, że nie chce czekać.

Chciała tego tak bardzo, że aż mnie to zaskoczyło, błędnie ją oceniłem. Rozpiąć koszulę i sięgnąć pod nią było łatwo, ale z sukienką szło nieco gorzej. Oparłem ją o ściankę, podkasałem sukienkę powyżej bioder i ściągnąłem jej majtki. Winda stanęła, ale było jej to wyraźnie obojętne. Mnie też.

Do mieszkania musiałem ją potem zanieść, podała mi tylko torebkę. Za drzwiami znajdowała się nieoczekiwanie duża garderoba, a za nią pokój. Położyłem ją na miękkiej kanapie, pokrytej prawdziwą skórą geparda. Byłem podniecony i cieszyłem się na myśl o krwi, a ona powinna już zacząć się relaksować, osłabiona orgazmem, będąca pod wpływem moich feromonów i lekkiego oddziaływania hipnotycznego. Jednak energicznie chwyciła mój członek i na chwilę zapomniałem o pragnieniu. Przetoczyłem ją na brzuch, chętnie uklękną, oferując mi się od tyłu.

Tym razem ja osiągnąłem orgazm, i to wcześniej niż ona. Potem rozluźniła się, zwinęła w kłębek i zasnęła. A raczej popadła w stan lekkiego letargu. Gdyby nie narastające pragnienie, najchętniej też bym się zdrzemnął, czułem się po prostu wykończony.

Pochyliłem się nad nią, kilka razy głęboko odetchnąłem. W przypadku złego samopoczucia mam potrzebę wypić jak najwięcej. Jest to przymus, zrodzony z instynktu samozachowawczego. Czasem jest on jednak nieokiełznany, a ja nie miałem zamiaru jej skrzywdzić. Innymi słowy, nie chciałem zostawić po sobie zimnych zwłok, które potem badałby jakiś dociekliwy patolog. Łowca nie powinien czuć sentymentu do zdobyczy, najwyżej respekt. Ale ona była tylko człowiekiem, a więc nawet respekt był nie na miejscu.

Zwinąłem język w rurkę, wbiłem go w tętnicę szyjną i zacząłem pić. Z bliska nadal intensywnie na mnie oddziaływała seksualnie, co w połączeniu z piciem stwarzało niebezpieczną mieszankę, trudną do opanowania.

Dość, oderwałem się z trudem i przez chwilę pozostawiłem koniuszek rozluźnionego już języka w miejscu wkłucia. W ten sposób bardzo szybko się zasklepi. A kiedy obliżę ranę i jej okolice, do rana nie zostanie nawet ślad. Ludzie niedawno wymyślili jakieś smarowidła z enzymami przyspieszające gojenie, może mój język działał na podobnej zasadzie?

Skontrolowałem jej puls, miałem wrażenie, że wypłem więcej, niż powinienem. Oddech miała prawidłowy, może trochę szybszy niż zwykle, może była też nieco bledsza. Spróbowałem podać jej coś do picia, odruch łykania funkcjonował właściwie, posłusznie wypłała pół szklanki wody mineralnej. Po namyśle ściągnąłem jej pończochy, przykryłem ją kołderką i podłożyłem poduszkę pod głowę.

Zakładałem ubranie, rozglądając się po mieszkaniu.

Luksusowo wyposażone, cztery pokoje, co dla pojedynczego mieszkańca było na pewno wystarczające. Jeden z pokoi służył jako gabinet do pracy, znajdował się tam duży komputer, drugi mniejszy oraz coś, co było czymś pośrednim pomiędzy komputerem a telefonem. Staram się nie pozostawać w tyle za techniką dzisiejszych czasów, ale sprawia mi to coraz większe trudności, z komputerami jestem daleko mniej obznajomiony, niżbym

potrzebował. Ekran były ciemne, ale cichy pomruk na granicy słyszalności ludzkiego ucha świadczył, że urządzenia były w stanie czuwania przy włączonym zasilaniu. Na próbę dotknąłem klawiatury. Duży, stacjonarny komputer zażądał hasła, mały nie. Po chwili wahania wszedłem do Internetu, a potem do swojej poczty elektronicznej. Też powinienem mieć więcej skrzynek e-mailowych, podobnie jak mieszkań, ale nie chce mi się ich zakładać. Oprócz ogromnej ilości spamów, nudnych pytań od Dany L., czy się jeszcze zobaczymy, i wściekłej wiadomości od K. P., że się ze mną nie widziała całą wieczność, odnalazłem jedną mającą sens wiadomość. Od Derwisza. Brzmiała zwięźle: *Bomby nie będzie. Przyjdź, to interesujące.*

Piwo – odpisałem krótko. Derwisz chodził regularnie na piwo, przynajmniej dawniej. Terminu nie podałem, jutro albo pojutrze zajrzę do obu jego ulubionych lokali i na pewno go spotkam. Przez chwilę zastanawiałem się nad wiadomościami od swoich kobiet zdobyczy. K. P, po dzikich nocach ze mną stała się od nich uzależniona i dlatego zaczęła być niebezpieczna. Może powinienem ją wykorzystać podczas intensywnego śledztwa prowadzonego według zasad mojego gatunku, mogłaby dostarczyć wielu użytecznych informacji, o których nawet nie wiedziała, że je posiada. Jest bardzo dużo rzeczy, które powinienem robić, a nie robię ich. Dana L., nudząca się małżonka bogatego męża, miała ochotę na kolejne spotkania. Od czasu kiedy zacząłem podawać kobietom kontakt do siebie, żyło mi się łatwiej, nie musiałem tak często łowić nowych zdobyczy. Zaczęło się to od telefonów komórkowych umożliwiających pozostawanie anonimowym, a potem zaczęły się kontakty e-mailowe, co było jeszcze prostsze. Ale poczty elektronicznej używałem ostrożnie, bo odnośnie do komputerów i spraw z nimi związanych znałem tylko podstawowe zasady i nigdy nie miałem czasu na dokładniejsze ich poznanie. Jeśli w ogóle okazałbym się do tego zdolny. Każdy wampir ma w tych kwestiach jakiś pułap możliwości.

Przed wyjściem uporządkowałem największy bałagan, klucze wraz z czipem wrzuciłem jej do torebki. Naprawdę nazywała się Anna Gobleska, jak mi powiedziała.

Syty, ale nadal wyczerpany pojechałem nocną taksówką do przypadkowo wybranego hotelu. Dopiero w pokoju hotelowym przyszło mi do głowy, że mogłem zostać u Anny. Obudzi się późnym rankiem, a raczej w południe, a ja miałbym dość czasu, żeby u niej porządnie wypocząć. Czasem zdarza mi się po prostu nie pomyśleć o takiej możliwości.

Rano nie czułem się dobrze. Kręciło mi się w głowie i pocilem się. Zazwyczaj się nie pocę. Czyżby w jakiejś kuli, która mnie trafiła, znajdowała się trucizna? Jakaś specjalna toksyna? Ale dlaczego jej działanie miałyby się objawić dopiero teraz?

Wziąłem prysznic, z hotelowego barku wyjąłem małą buteleczkę wódki, nalałem jej do kubeczka do mycia zębów i starannie wysłuchałem informacji największych stacji telewizyjnych. Wszystkie dotyczyły przygotowań do spotkania przywódców mocarstw światowych. Patronat nad jego przebiegiem objął podobno sam prezydent Republiki Czeskiej. Poświęcano też sporo uwagi koncertowi grupy AC/DC. Starzy rockmani zdecydowali się włączyć do swego tournée Pragę. Komentator w koszulce z napisem „*Go to Hell*” starał się zrobić z koncertu wydarzenie sezonu. Nie rozumiałem dlaczego, dla mnie najlepsza była muzyka od roku 1923 do 1980. O to mógłbym się nawet bić.

Nawet po drugim łyku wódki nie poczułem się lepiej, ale już mi to tak bardzo nie przeszkadzało. Chyba byłem po prostu chory, kilka razy już mi się to zdarzyło. Nie jestem odporny na wszystkie choroby jak niektórzy z nas, a tylko na większość z nich. Po godzinie oglądania telewizji doszedłem do wniosku, że moją bitwę z policyjnym komandem ktoś utajnił. Może o tym właśnie chciał porozmawiać Derwisz.

Musiałem poznać nazwiska tych, którzy zastawili na mnie pułapkę. Oczywiście fałszywe, ale i to by wystarczyło do rozpoczęcia dochodzenia.

Opuściłem hotel, w pierwszym sklepie z odzieżą luksusową kupiłem bieliznę osobistą, koszulę, przebrałem się i uzupełniłem swój strój długim kaszmirowym płaszczem z podwyższonymi ramionami. Był obszerny, dzięki czemu mogłem nosić miecz bez tuby na rysunki. Gdy płaciłem gotówką, sprzedawca patrzył na mnie trochę mało uprzejmie. Pewnie zapomniał, jak się liczy pieniądze. Odplaciłem mu pięknym za nadobne. Zbladł, coś zabełkotał i zakończył transakcję, nic nie mówiąc, bez najmniejszej zmiany wyrazu twarzy. Wiedziałem, że wyrzuci mnie z pamięci, tak bardzo nasze spotkanie było dla niego nieprzyjemne. To jedna z moich użytecznych zdolności. Na faceta z bronią w ręce, niestety, nie działała.

Było zbyt wcześnie na odwiedzenie miejsc, w których Derwisz pijał piwo. W budce z przekąskami kupiłem sobie kawę, usiadłem przy stoliku i obserwowałem otaczających mnie ludzi. Pomimo że miałem jeszcze kilka plików banknotów, prędzej czy później będę potrzebował pieniędzy. A z żadnego z moich kont nie chciałem ich wybierać. Dopóki się nie dowiem, kim są moi wrogowie. Trzeba więc było sprzedać jakiś antyk – obraz, miecz, wazę.

A to wymagało pewnych przygotowań, ponieważ oferowałem tylko prawdziwe i poszukiwane towary. Przeszła obok mnie kobieta w ubraniu w kratkę, w kozaczkach i krótkim futerku z królika. Rzuciła mi przelotne spojrzenie i weszła do sklepu z pralinkami. Dopiłem kawę i poszedłem za nią.

W dwadzieścia minut później, gdy przytrzymałem jej drzwi taksówki, miałem w kieszeni jej wizytówkę. Zawsze na łowach, zawsze gotowy.

Już podjąłem decyzję, co będę robił, jeszcze raz obejrzę miejsce, gdzie na mnie napadli. A może to ja napadłem na nich? Zależy od punktu widzenia.

Szalet był wysprzątny, tak samo jak garaże, przez które wydostałem się na zewnątrz. Jeszcze raz przeszedłem całą trasę, tym razem w odwrotnym kierunku, i odkryłem kilka kamer monitoringu. Były to nowoczesne urządzenia, nagrywające obraz na twardy dysk i bezprzewodowo przekazujące go do centrum. Jako się już rzekło, nie byłem magikiem komputerowym, żebym mógł sam dostać się do zapisów, musiałem sobie poradzić inaczej.

Pośrodku słabo oświetlonej powierzchni parkingu w oszklonej budce siedział strażnik. Przybrałem groźny wyraz twarzy i oznajmiłem, że ktoś mi tu wczoraj obtarł cały bok samochodu. Strażnik wyjaśnił mi, do kogo mam pójść na skargę oraz że wszystko jest nagrywane.

Właściwe miejsce do składania skarg znajdowało się o dwa piętra wyżej, na o wiele przyjemniejszym terenie pasażu handlowego. Wszedłem do środka, rzuciłem spokojne, ale surowe spojrzenie sekretarce, kobiecie nieco przy kości, uczesanej w kok, którym w przypadku zagrożenia dałaby radę obalić jednego czy nawet dwóch napastników. Oświadczyłem, że zaistniał ważny problem, który na szczęście jej nie dotyczy. W przyległym pomieszczeniu, przed trzema ścianami pełnymi ekranów, siedział otyły okularnik w białej koszuli z brudnymi mankietami. Miał za krótkie nogawki spodni, odsłaniające szare skarpetki i cienkie, owłosione łydki.

– Co pan tu robi? – warknął, ale pod koniec zdania głos podskoczył mu o oktawę wyżej, co do złudzenia przypominało szczeknięcie.

To było wszystko, czego w jego przypadku dokonał mój czar osobisty.

– Jak długo archiwizuje pan zapisy? – zapytałem, stając tuż przed biurkiem.

– Sto dwadzieścia osiem godzin – odparł bez wahania. – Ale co pan tu robi? Czemu pan o to pyta? Kto pana, do cholery, wpuścił? – usiłował przejąć inicjatywę.

– Muszę je mieć – oznajmiłem, oparłem mu koniec pochwy miecza o szyję i nacisnąłem, aż odchylił się w krześle do tyłu.

– Ochrona zaraz tu będzie, wystarczy zadzwonić.

Powinienem wziąć pistolet, ludzie bardziej się go boją, już zapomnieli, jak niebezpieczne może być ostrze. Wyciągnąłem miecz z pochwy, nie zabrzmiało to tak jak na filmach, było cichsze, ale bardziej groźne. Oparłem mu chłodną klingę o szyję, nie naciskając na nią. Tam, gdzie pulsuje tętnica. Klinga zimno połyskiwała w świetle dziesiątków ekranów,

linia hartowania była doskonale widoczna. Chyba. Bo tak naprawdę nie wiedziałem, czy ten fenomenalny wyrób Japan Steel Works Ltd. rzeczywiście ma linię hartowania, bo trudno to ocenić tylko na oko. Ale widać było jakąś linię nad ostrzem wzdłuż całej klingi, więc dlaczego tak jej nie nazwać.

– Po co to wszystko? – Prawie zapłakał. – Przecież ja panu dam te zapisy!

Cały był roztrzęsiony.

– Dobrze. W takiej formie, żebym mógł sam je przejrzeć. Bez tego wyposażenia. – Wskazałem ręką wokół siebie.

– Wystarczy klasyczne AV?

Nie wiedziałem, co to jest AV, lecz tak się starał, że przytaknąłem.

– Tak, wystarczy.

Schowałem miecz i obserwowałem, jak przebiera palcami po klawiaturze, a ekrany ożywiają się podczas tego bądź przygasają.

– Tutaj jest. – Po niecałych pięciu minutach podał mi mały pojemnik.

Twardy dysk, zrozumiałem. Oczekiwałem raczej CD.

– Policja nie interesowała się zapisami?

– Policja? – nie zrozumiał. – Dlaczego?

– Nie zajęli się przedwczorajszą strzelaniną?

– Jaką strzelaniną?

Znów wydawał się mocno przestraszony.

– Niech pan o tym zapomni – uspokoiłem go – i o mnie też.

Wyszedłem z biura na główny pasaż. Musiałem usiąść i coś zjeść.

Musiałem usiąść? Dlaczego, na Boga? Ponieważ chwiałem się na nogach, a po plecach spływał mi zimny pot. Ostatnio spotykało mnie to często i zupełnie bez powodu. Stłumiłem głośne przekleństwo cisnące mi się na usta i ruszyłem do McDonalda, którego mijałem po drodze. Z pewnym opóźnieniem stwierdziłem, że od chwili gdy minąłem cukiernię, ktoś mnie obserwuje. Był wysoki, wyższy ode mnie, opierał się o słup repliki secesyjnej latarni, a w ręce trzymał dużą porcję lodów.

Czy jest sam? Dlaczego tak późno go zauważyłem?

Dwóch innych, przyglądających mi się z piętra, na którym mieściły się kina, dostrzegłem od razu. Zazwyczaj wyczuwam, że ktoś na mnie patrzy. Ale nie zawsze. Przystanąłem przy witrynie sklepu z biżuterią, udając zainteresowanie jej zawartością. Odwróciłem się, żeby mieć na oku cukiernię, ale mężczyzny już tam nie było. Może mi się

tylko wydawało? Nie było to zbyt prawdopodobne, bo ci dwaj na górze stale się gapili. Partacze.

W McDonalddie stanąłem w kolejce, na plastikowym talerzyku dostałem marną bułkę z plasterkiem czegoś, co podobno było mięsem. Obsługiwał mnie długi, chudy chłopak, który wyraźnie niewiele spał przez kilka ostatnich nocy, a we krwi miał coś, co powodowało, że był trochę nie na tym świecie.

Poczułem się jeszcze gorzej i jeszcze bardziej głodny.

– Nie znalazłoby się na zapleczu jakieś porządne mięso? – zapytałem, gdy wybijał cenę na kasie.

– Nie, mamy je w piwnicy, odcinamy i przynosimy tutaj – odpowiedział, nie patrząc na mnie i uśmiechając się sam do siebie.

– Zjadłbym porządnego mięsa – powiedziałem z naciskiem.

Nie wyglądał na przestraszonego, oderwał tylko wzrok od kasy i dopiero wtedy mnie zauważył.

– Szef trzyma w lodówce trochę swojego, sam sobie gotuje, tego gówna nie je.

Do kwoty figurującej na wyświetlaczu kasy dołożyłem banknot tysiackoronowy.

Popatrzył na niego, wzruszył ramionami, a jego uśmiech stał się wyraźniejszy.

– Ale nie usmażę tego, do kuchni mnie nie wpuszczą. Będzie surowe.

– Mam nadzieję.

– Majko, proszę cię, poczekaj tu, aż obsłużę pana.

Mała, nieatrakcyjna blondynka z kółkiem w nosie nie wiedziała, o co chodzi, ale posłusznie stanęła przy kasie.

– A co to będzie? – zapytała bez sensu.

– W porządku, zaraz zostanę obsłużony. – Rzuciłem jej spojrzenie wzbudzające zaufanie.

Momentalnie się uspokoiła.

W pierwszym półwieczu mojego życia takie jak ona nazywałem podwieczorkiem. Niechętnie wspominałem te czasy.

Przez dziesięć sekund staliśmy w milczeniu. Wyraz jej twarzy był przejrzysty jak woda w górskim strumieniu.

– Mam to tutaj. – Chłopak pojawił się, trzymając w ręce pakunek zawinięty w woskowany papier.

Było tego sporo.

– Dzięki – powiedziałem i popatrzyłem na dziewczynę. – Tego bękarta wyślij do diabła, zasługujesz na kogoś lepszego. Takiego, któremu będzie na tobie zależało.

Chłopak, nie rozumiejąc, spoglądał to na mnie, to na nią, lecz zaraz zwinął tysiąc koronówkę, resztę pieniędzy zgarnął do kasy i znów przywołał poprzedni uśmiech.

Oczywiście nie zrobiłem tego dla niej, tylko dla siebie. Potrzebowałem takiej zdrowej dziewczuszki, niezarażonej syfilisem, HIV, nienafaszerowanej prochami. Taka krew nawet mnie nie służy.

Usiadłem przy stoliku obok schodów na piętro, mając do dyspozycji trasę ucieczki przez drzwi. A jeśli bym przeskoczył przez ladę, zniknąłbym w kuchni, skąd musiało być jakieś tylne wyjście.

Rozwinałem papier, wyjąłem z kieszeni nóż i przekroiłem czterystugramową polędwicę na trzy części, żeby zmieściła się w smutnej, wymęczonej bułce. Zmieściła się, ale sporządzony w ten sposób hamburger był tak gruby, że nie zdołałem aż tak szeroko otworzyć ust. Znałem pewnego wampira, który dał radę odgryźć człowiekowi głowę. Ale ja takiego talentu nie posiadałem.

Na szczęście.

Poradziłem sobie, sporządzając dwa hamburgery. Kiedyś jadałem surowe mięso po ciemku, żeby mnie ludzie nie wzięli za potwora i nie ukamienowali albo spalili. Teraz poświęcono mi zaledwie kilka ciekawych spojrzeń i to wszystko.

Zjadłem wszystko, co miałem na tacce, i po krótkim czasie, w którym mój organizm przyswoił odpowiednią ilość pożywienia, poczułem się znacznie lepiej.

Trzeba było iść dalej. Wyszedłem z powrotem do pasażu, moich dwóch cieni nigdzie nie było widać. Wiedzieli, gdzie się usadziłem, wystarczyło obserwować wyjście, bez potrzeby sterczenia na deptaku.

Nie wyczuwałem ich po zrobieniu dziesięciu kroków ani po dwudziestu. Coś było nie w porządku. Wciąż jeszcze nie czułem się zupełnie dobrze, w kieszeni miałem dysk, który chciałem przejrzeć w spokoju, nie tęskniłem za żadną bójką. Nie teraz i nie z przeciwnikiem, o którym praktycznie nic nie wiedziałem. Zatrzymałem się obok tabliczki wskazującej wejście do wąskiej uliczki prowadzącej do toalet i jeszcze raz się rozejrzałem. Nadal ich nie było. Byłem tak zaniepokojony, że nawet nie zaskoczył mnie twardy ucisk lufy wpierającej się w żebra.

– Pójdzie pan z nami. Musimy z panem porozmawiać.

Czekał na mnie w zaułku, jakby był pewny, że właśnie tędy pójdę. Używał taniej wody kolońskiej, w ciągu dnia zdążył już wychylić parę szklaneczek. I to nie jakiejś dobrej

whisky czy ginu. Jak to się stało, że dałem się zaskoczyć? Że nie wyczułem go wcześniej? Co się ze mną działo?

– Dokąd? – zapytałem, ponieważ się nie ruszał.

Odwróciłem przy tym głowę, żeby mu się przyjrzeć.

Przeziębła twarz czterdziestolatka zmagającego się z dietą, ale utrzymującego kondycję możliwą do zaakceptowania. Tylko to popijanie.

– Do toalet, a potem po schodach na górę – odpowiedział po krótkiej przerwie nieco swobodniej.

Zrozumiałem, że jego partner trzyma mnie już na muszce.

– Pójdzie pan przede mną, jednakowym tempem. Przy jakichkolwiek nieprzewidzianych ruchach będę strzelał.

– Dobrze – przytaknąłem.

Jak na razie było w porządku. Po prostu chcieli ze mną rozmawiać. Ale gdzie może być ten drugi? Chodnik był wąski, mogliśmy spotkać kogoś nadchodzącego z przeciwka. Musiał być gdzieś nad nami, żeby skutecznie ubezpieczać partnera. Z ukosa spojrzałem do góry i dostrzegłem go. Wyglądał przez okienko dobre trzy metry nad nami. Pozycję miał idealną, jak na strzelnicę.

Posłusznie ruszyłem we wskazanym kierunku.

Doszliśmy do wąskich schodów przeznaczonych dla pracowników biur mieszczących się na wyższych piętrach. W budynkach o takim zagęszczeniu ulokowanych w nich instytucji człowiek lub upiór mógłby pozabijać mnóstwo ludzi i nikt by tego przez dłuższy czas nie zauważył, jeśli użyłby pustych pomieszczeń. I do takiego właśnie pustego pomieszczenia mnie zaprowadzili, zwracając na wszystko uwagę. Jeden znajdował się tuż za moimi plecami, drugi cofał się przede mną, stale celując z pistoletu. Była to broń małokalibrowa, pewnie nie chciał przestrzelić mnie na wylot i trafić dodatkowo partnera. Ale to by mu się nie powiodło nawet z większym kalibrem. W środku jestem trochę twardszy niż zwykły człowiek, zwłaszcza podczas akcji, w pogotowiu.

– Poczekamy tutaj – rzekł ten za mną i odszedł o kilka kroków.

Zachowywali się bardzo ostrożnie, ktoś musiał ich przede mną ostrzec. Chyba że byli tacy już z natury.

– Niech pan zachowa spokój. Nic do pana nie mamy, tylko przekazemy pana ludziom, którzy chcieli z panem pogadać – powiedział miłośnik trunków.

Mówił po słowacku, z lekkim akcentem, którego nie potrafiłem zidentyfikować.

Zachowywałem spokój, czemuż by nie.

Zamilkł i sięgnął po komórkę, rękę z pistoletem zwiesił swobodnie. Ten drugi, stale we mnie celując, również sięgnął do kieszeni.

Wyjął z niej tłumik.

Instynktownie wyszarpnąłem spod płaszcza miecz. Grot pochwy przeciągnął miłośnika cichej broni przez krtań. Niespecjalnie mocno, ale i tak zatoczył się do tyłu.

Japończycy pochwy katany nazywają saya, czy coś w tym rodzaju, a potrafią ich użyć na wiele różnych sposobów. Już byłem przy jego partnerze, lewą ręką chwyciłem pistolet, blokując kurek, i walnąłem go głową w nasadę nosa. Jego partner wybałuszał oczy i trzymał się za szyję, rzeził, ale powoli przychodził do siebie. Uderzyłem go jeszcze raz, tym razem po palcach, i kopnąłem w krocze. To wystarczyło, żeby wypuścił pistolet i tłumik. Nie ma nic lepszego niż pochwa wykonana z kevlaru. Jest lżejsza od drewnianej, a jak się porządnie zamachnąć, to i kij baseballowy można rozciąć. Zaskakujące to, ale i skuteczne.

Obaj leżeli na podłodze, z telefonu odzywał się podrażniony głos.

– Co się tam dzieje, do cholery? Macie go? Gadajcie!

– Nie wstawać – poleciłem im.

– Chcieliśmy pana tylko postrzelić, podobno jest pan bardzo niebezpieczny – powiedział ten od tłumika.

Podniosłem jego broń i nakręciłem tłumik. Tajne służby lubią tłumiki, zwłaszcza Brytyjczycy. Przypuszczałem, że wystrzał nie będzie głośniejszy niż zabeczenie owcy. Albo odgłos pracy zimnego silnika diesla. Beczenia owcy nie słyszałem już od dawna. W terenie łowi się znacznie gorzej niż w mieście.

– Co pan chce zrobić? – zapytali równocześnie.

Z telefonu nadal słychać było rozwścieczone krzyki.

– Muszę was unieszkodliwić. Jeśli nie będziecie krzyczeć, nie zabiję was.

Jedną z sentencji biblijnych bardzo lubię: Oko za oko, ząb za ząb.

Właścicielowi tłumika strzeliłem w nogę, temu drugiemu w rękę.

Na szczęście zachowywali się cicho. Pozbyć się ciał w obecnych czasach jest bardzo trudno, tak samo jak wykręcić się z oskarżenia o zabójstwo. Jeśli zostawię ich przy życiu, sami pomogą w zachowaniu mojego incognito. Wziąłem sobie rewolwer razem z kaburą przypinaną na rzep. Pistolet z tłumikiem schowałem do kieszeni płaszcza.

Obaj trzymali się za swoje rany, obserwowali mnie i wydawali się coraz bardziej przestraszeni. Wiedzieli, kim jestem. Ludzie na ogół są skłonni do przemocy, mając we krwi wysoki poziom adrenaliny. Ja na odwrót, byłem zupełnie spokojny, co wyraźnie wyträciło ich z równowagi.

– Kto was wynajął? – zapytałem, przeglądając równocześnie ich portfele. Obaj mieli firmowe wizytówki Agencji Bezpieczeństwa „Brady Security” oraz po dwa dowody osobiste, każdy na inne nazwisko. W tej branży na pewno nie działali legalnie.

Popatrzyłem na miłośnika trunków i wyciągnąłem w jego kierunku czubek miecza. Jako zachęta zupełnie to wystarczyło.

– Przedstawił się jako Filip Hyklav, zapłacił z góry. Po przekazaniu mu pana mieliśmy dostać dużą premię. We własnym interesie nie wypytywaliśmy go za bardzo – odpowiedział, robiąc krótkie przerwy pomiędzy zdaniami.

Rana musiała go boleć, ale był twardy. Dalsze wypytywanie nie miało sensu.

Wyjąłem baterię z telefonu, wrzuciłem ją do czajnika elektrycznego i włączyłem zasilanie. Potem pozostawiłem ich samych.

Wyszedłem na chodnik, w chwili gdy pojawił się na nim duży, śpieszący się mężczyzna. Dwóch, nie, trzech, czterech. Pierwszy dostrzegł mnie, ruszył biegiem, sięgając pod skórzaną kurtkę. Może byłem zbyt pewny siebie? Ci z Brady Security wprawdzie spaprali robotę, ale posiłki przybyły wcześniej, niż się spodziewałem.

Nie miałem ochoty walczyć z nimi w tym zaułku. Wskoczyłem na poręcz, przebiegłem po niej kilka kroków, ten pierwszy zdążył już wyjąć broń. Wielki, chromowany pistolet. Odbiłem się do góry, złapałem za krawędź schodów prowadzących na piętro, podciągnąłem się i wydostałem na dobrą pozycję, znikając im z widoku i pola ostrzału. Usłyszałem, że puścili się biegiem. Nie próbowałem już żadnych sztuczek i pobiegłem jak najszybciej po schodach. Budynek miał sześć pięter, a na przedostatnim znajdował się kryty łącznik prowadzący ponad ulicą do następnej części centrum handlowego. Byłem od nich szybszy i jak dotychczas nawet się nie zadyszałem. Minąłem chłopaka z dziewczyną trzymających się za ręce, starszego mężczyznę, który wyglądał, jakby zabłądził, i po chwili stanąłem pod drzwiami pożarowymi. Restauracja, wydaje mi się, że tu jest restauracja. Otworzyłem je i wśliznąłem się do środka.

Prosto na trzech osiłków w źle dopasowanych ubraniach. Jeden trzymał w rękach stary, sprawdzony karabin, wzór 58, drugi – pistolet Glock 18 z magazynkiem na trzydzieści jeden naboju, umożliwiający prowadzenie w pełni automatycznego ognia. Wiedzy o broni nigdy nie zaniedbywałem. Trzeci zamiast zabójczych narzędzi miał telefon. W restauracji panował półmrok, ponadto wejście oddzielone było zasłoną od sali jadalnej i nikomu nie przeszkadzaliśmy.

– Niech pan nie robi głupstw, a nic się panu nie stanie – powiedział ten z telefonem.

Karabin, wojskowy glock – wiedzieli, na kogo polują, albo ten, dla którego pracowali, dobrze to wiedział i chciał swoim ludziom zapewnić wystarczającą siłę ognia.

– Tak, mamy go – powiedział do telefonu, nie spuszczać ze mnie oczu.

Jak na komendę broń obu mężczyzn równocześnie skierowała się na mnie.

– Zespół transportowy już jest w drodze – oznajmił lekkim tonem, jakby mu to sprawiało radość.

Sięgnął do kieszeni i wyjął strzykawkę. Byli naprawdę dobrze przygotowani. Cofnąłem się o pół kroku, jakbym się przestraszył, lufy poruszyły się nieco.

Nie byłem wprawdzie zbyt przestraszony, ale trochę zdenerwowany. Właściwie wybrana toksyna mogła mnie uziemić skuteczniej niż trafienie z czterdziestki piątki.

– Spokojnie, tylko spokojnie. To dla pewności, żebyś nam nie splatał figla.

Zwiesiłem ramiona, jakbym zrezygnował. Mężczyzna popchnął lekko tłok strzykawki, nie mogłem się zorientować, czy jest kontaktowa, czy wystrzelił igłę.

Nie cofnąłem się ze strachu, ale celem uzyskania właściwej odległości.

– Proszę, niech pan tego nie robi. – Wyciągnąłem rękę w jego stronę, maskując w ten sposób ruch drugiej ręki. Katana wyskoczyła z pochwy i mignęła długim łukiem, odwrotne cięcie wykonałem oburącz. Pierwszy atak¹ uniemożliwił im strzelanie, drugi był skuteczny. Głowa i ręka upadły na podłogę z głuchym stuknięciem, nagle wszędzie było pełno krwi.

Mój czas uciekał szybciej, niż chciałem. Zespół transportowy zbliżał się, a ponadto w każdej chwili do restauracji mógł wejść jakiś gość.

Zanim zdążyłem obetrzeć klingę, zjawiała się jakaś para małżeńska.

– Proszę tam nie wchodzić – poprosiłem uprzejmie – jakiemuś człowiekowi zrobiło się niedobrze i... hm, trochę tu nabrudził. Idę właśnie po lekarza.

Przeszedłem obok nich i, ruszyłem przez salę restauracyjną do głównego wyjścia. Krzyk rozległ się w momencie zatrzasknięcia drzwi.

Na dół musiałem zjechać windą. Były dwie i obie jechały na górę. Taka synchronizacja nie spodobała mi się.

Wyjąłem pistolet. Szczęście sprzyja przygotowanym. No, to porzekadło chyba nie na wiele się tu przyda. Windy przyjechały prawie równocześnie, z jednej wyszło pięciu, a z drugiej sześciu mężczyzn.

Wszyscy w cywilnych ubraniach, które wyglądały na nich jak uniformy.

¹ Cięcie wprost z pochwy w przypadku otoczenia przez przeciwników zaleca się trenować bez pośpiechu i z zachowaniem ostrożności. Niedostateczne opanowanie techniki pociąga za sobą ryzyko obciążenia sobie palców (przyp. autora).

Glyheny.

Otworzyłem ogień. Strzelałem krótkimi seriami, łuski zakreślały łuk w powietrzu i spadały na podłogę, kule uderzały w ciała i w ściany wind. Trzech upadło na posadzkę, dwóch utrzymało się na nogach i to było wszystko. Reszta napierała na mnie w dalszym ciągu.

Ostatni pocisk trafił jednego z nich w wykrzywioną z wysiłku twarz, roztrzaskując mu szczękę, ale nawet to go nie zatrzymało.

Wytrwałe i bardzo odporne glyheny.

Pierwszy z nich wystrzelił, ciąłem go w ruchu, okrążając ich formację, i od razu zaatakowałem drugiego. Na mój atak zareagowali, rozwijając się w wachlarz. Musiałem wpaść pomiędzy nich, inaczej nafaszerowaliby mnie ołowiem. Kula trafiła mnie pod żebra, świat zwolnił, Visio in Extremis zadziało.

Trzy pociski leciały w moim kierunku, ale tylko mniej więcej dokładnie. Nie warto było się nimi przejmować. Znow ciąłem, dosięgając samym końcem, potem przycisnąłem rękę do ciała i wykonałem piruet z odbicia czubkiem buta. W odpowiedniej chwili odciągnąłem rękę od ciała i zadałem cios w plecy, przecinając kręgosłup. Kolejne poruszające się wolno kule, jedna z nich zmierzała prosto w moją pierś. Puściłem rękojeść jedną ręką, żeby utrzymać równowagę, odbiłem się i kopnąłem kolejnego glyhena w głowę, aż wywinął salto w powietrzu. Coś błysnęło za moimi plecami. Bezwładności własnego ciała nie można pokonać nawet z pomocą Visio in Extremis. Instynktownie machnąłem ręką za siebie i na szczęście udało mi się odbić szeroką klingę na bok. Nie weszła głęboko w ciało, tylko się powierzchownie otarła o moje plecy.

Uzyskany czas pozwolił mi się odwrócić, świat znow przyspieszył, zdawałem sobie sprawę, że w ostatnich dwóch czy trzech sekundach zużyłem większość swego zapasu energii. Glyhen znow zamachnął się tasakiem. Był szybki, nieludzko szybki. Ale znajdowałem się w korzystniejszej pozycji i tym razem nie wystarczyło mu szybkości, katana przeszła mu pod ramieniem i wbiła się głęboko w pierś. Pchnąłem obydwoma rękami, miecz wszedł jeszcze głębiej i dotarł aż do serca. Zwalił się na podłogę, przy czym miecz o mało co nie wypadł mi z ręki. Rozejrzałem się, pot szczypał mnie w oczy, powietrze ze świstem przelatywało przez krtani, gdy starałem się dostarczyć go do płuc jak najwięcej.

Na nogach trzymał się już tylko jeden glyhen. Jednak brakowało mu obu rąk, uciętych w nadgarstkach. Zupełnie nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy to miało miejsce. Czasem w obliczu śmierci tak właśnie się dzieje – po prostu niektórych szczegółów się nie pamięta.

Wytarłem katanę. Schowałem do pochwy, wywlokłem z windy dwa martwe glyheny, wsiałem i nacisnąłem guzik parteru. Znów nie doceniłem przeciwników, pułapka była dobrze zaplanowana. Miałem niezwykle szczęście.

Bez uprzedzenia dopadł mnie atak drgawek, musiałem oprzeć się o ścianę, żeby utrzymać się prosto. Dobrze, że w windzie nie było much. Wystarczyłoby, żeby jedna usiadła mi na ramieniu, a zwałbym się na podłogę. Gdy winda zwalniała, przyszło mi do głowy, że powinienem był zjechać na pierwsze piętro, wmieszać się pomiędzy ludzi i zejść po schodach. Nieprzyjemne uczucie opuściło mnie, dopiero kiedy spostrzegłem mnóstwo spokojnie przechodzących ludzi. Nie mieli najmniejszego pojęcia o krwawej walce kilka pięter wyżej.

Pierwszy człowiek, który mnie spostrzegł, odwrócił wzrok. Albo byłem błąd jak upiór, albo wymazany krwią. Usunąłem się pod ustawiany właśnie banner reklamowy, gdzie mniej rzucałem się w oczy. Zdejmę płaszcz, który jest najbardziej poplamiony, owinę w niego miecz, to musi wystarczyć, zdecydowałem. Dopiero tu poczułem ulgę, że wyszedłem z tego cało. Było naprawdę o włos.

Robotnikowi przylepiającemu kolejną część plakatu odpadł czworokątny kawałek polistyrenu. Byłem tak zmęczony, że nie uchyliłem się przed nim. Ale okazało się, że nie był to polistyren, tylko sieć. W momencie kontaktu przylepiła się do mnie, rozwijając się zdumiewająco szybko. Ruszyłem pędem, niewiele zabrakło, żeby zaplątały mi się nogi, ale dałem sobie radę. Lecz nie z następną pułapką, znacznie skuteczniejszą. Mężczyzna w roboczym kombinezonie, który jeszcze przed chwilą mieszał coś w kubie, wylał na mnie całą jego zawartość. Zdążyłem tylko zamknąć oczy, otworzyć ich już nie zdołałem. Klej.

– Tutaj – usłyszałem.

Ktoś popchnął mnie w plecy, oślepiony potknąłem się o jakąś przeszkodę, przewróciłem, uderzając przy tym w głowę. Potem usłyszałem już tylko syk gazu odurzającego.

Ocknąłem się, wisząc uwiązany za nadgarstki, ze stopami o dziesięć centymetrów nad podłogą. Równie dobrze mogło to być tysiąc kilometrów. Dziesięć tysięcy, sto tysięcy, milion. Spojrzałem do góry. Metalowe kajdanki wpijające mi się w ciało wyglądały na mocne i wykonane z dobrego materiału. Żadne tam zardzewiałe żelazo. Łańcuch był tak gruby, że prawdopodobnie służył przedtem do kotwiczenia statków. Wiedzieli, kogo złapali, i byli w stanie wyobrazić sobie, jaką siłą dysponuję w potrzebie. Przez długie minuty przyglądałem

się łańcuchowi, starając się nie myśleć o narastającym bólu rąk. Skłonny byłbym powiedzieć, że mnie przeceniają.

Spróbowałem obejrzeć miejsce mocowania łańcucha, który zabrzączał podczas ruchu. Jak na sygnał otworzyły się drzwi i do pomieszczenia wszedł łysy grubas, metr siedemdziesiąt na podwyższonych obcasach, w dżinsach sfałdowanych wokół pasa, w ręce trzymał coś, co przypominało pilot do telewizora. Towarzyszył mu szczupły młodzik ubrany na czarno. Swojak, poznałem w mgnieniu oka. Mimo półmroku panującego w moim więzieniu, miał na nosie ciemne okulary.

– A więc przebudziłeś się – powiedział jowialnie grubas.

Podszedł do mnie, wymierzył we mnie swój przyrząd i zaczął się mu przyglądać.

– Temperatura o jeden stopień wyższa niż pański standard, napięcie mięśni na odwrót, niższe, puls szybszy – mamrotał sam do siebie.

Pański standard? Co miał na myśli? Coś jakby standard wampira?

Potem przytknął do mnie przyrząd. Poczułem ledwie odczuwalne ukłucie. Czy to pobranie próbki? Zaniepokoiłem się. Mój gatunek nie lubi badań naukowych.

– Umiarkowana reakcja alergiczna, ale poza tym w porządku. Możemy powiedzieć szefowi, że więzień jest do jego dyspozycji.

– Ty mi nie będziesz niczego nakazywał – zasyczał na niego wampir.

Ze zdumieniem stwierdziłem, że już nie jestem pokryty klejem, ani trochę go na mnie nie zostało, tylko na ubraniu znajdowały się resztki szarego pyłu. Prawie wszędzie.

– Użyliśmy substancji, która depolimeryzuje się pod wpływem fal o konkretnej długości. Mycie nie byłoby wielką frajdą – objaśnił grubas. – To mój pomysł racjonalizatorski. Mógłbym go opatentować.

– Dość mocno mnie boli, nie mógłby pan opuścić mnie niżej? Przynajmniej na początek – zaproponowałem.

– Jest pan więcej niż dobrze przygotowany na znoszenie bólu – wyszczerzył zęby grubas.

Obserwował mnie w ten sam sposób, w jaki uczony obserwuje zwierzęta doświadczalne na filmach popularnonaukowych, jakie czasem oglądałem, żeby choć częściowo zrozumieć szybko zmieniający się świat.

Brakowało mu jednego siekacza, zastąpił go złotym zębem. Ciekawe. Są już dziś przecież białe sztuczne zęby, nie do odróżnienia od prawdziwych.

– Wynoś się, chcę z nim pogadać – nakazał mu wampir.

– Jak chcesz, ale mam wrażenie, że szef...

– Spadaj, ty śmieciu!

Młody wampir zgarbił się i wyglądało na to, że zaraz rzuci się na grubasa. Cóż, młodziaku, to twój kłopot, wściekła gorączka, jak się kiedyś nazywało brak samokontroli, który w przypadku stresu mógł przejść w nieopanowaną agresję.

Grubas albo o tym wiedział, albo nie chciał go prowokować. Wyszedł, trzaskając drzwiami. Dostrzegłem jedynie fragment korytarza z czymś, co w jakiś sposób przypominało kołowrót, przez który przechodzą pasażerowie na lotnisku. W samolocie oczywiście nie byłem, przestrzeń, w której się poruszali, wydawała mi się zbyt rozległa. Chociaż teraz na niebie pojawiały się maszyny latające znacznie większe, niż uważałem to za możliwe.

Nagle zrozumiałem. Znajdowałem się w nadbudówce ogromnej ciężarówki, a korytarz, który zauważyłem, prowadził do następnej. Ktoś stworzył sobie własną luksusową, a przy tym ruchomą rezydencję.

– Chcemy wiedzieć wszystko o Mosekryncovej – oznajmił. – A ja postaram się wydostać z pana komplet informacji.

Mleko wręcz ciekło mu po brodzie, nie mógł być wampirem dłużej niż jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat. Nie wiedział, czy ma przemawiać we własnym imieniu, czy w imieniu swego mistrza albo Wielkiego Mistrza. Może zresztą był starszy, w dużych klanach posiadających określoną strukturę hierarchiczną wampiry nabierają doświadczenia bardzo wolno. Ale mogłbym się założyć, że ten należał do grupy o najmniejszym doświadczeniu i że bez rozkazu nie może w żadnym przypadku ujawnić człowiekowi, że jest wampirem. Nawet jeśli miałby z tego powodu zginąć.

– Nie wiem, o kim mówisz – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Kopnął mnie w żołądek. Ponieważ wisiałem, było to dość wysokie kopnięcie, ale udało mu się. Zadowolony przyglądał się, jak się kołyszę na uwięzi tam i z powrotem.

– Każdy wampir zna nazwiska przywódców klanów, a ona jest jednym z nich – pouczył mnie.

Począł na moment, w którym będę zbliżał się do niego, i znowu mnie kopnął. Jednak tym razem zdołałem odwrócić się bokiem, noga mu się ześliznęła i z trudem utrzymał równowagę. Zatokczył się, aż opluł sobie brodę, ale to kopnięcie było o wiele bardziej bolesne niż poprzednie. Czubkiem buta zdarł mi chyba skórę. Gnojek jeden, będę musiał kupić nową koszulę.

– A więc co mi pan powie o Messalinie Mosekryncovej? – od kopania przeszedł do zadawania pytań.

Zupełnie mi nie przyszło do głowy, że pyta o Mess, Mess Kamratkę, Mess Brzytwę, Mess Bezlitosną. Zależało to od tego, na ile i w jakim charakterze się ją znało. Mówiono, że podobno była przyjacielska nawet dla zwyczajnych pobratymców. Nie mogłem tego potwierdzić ani zaprzeczyć, bo nigdy się z nią nie spotkałem. Jej pełnego nazwiska nie słyszałem od tak dawna, że praktycznie je zapomniałem.

– Podobno jest jak kotka, bardzo sexy i bardzo namiętna.

O tym też mówiono.

Chłopak zdawał się zbity z tropu.

– Ona jest przywódcą klanu! – wydusił na koniec.

No tak, wampira tej rangi szeregowi członkowie klanu uważali jakby za legendę; nigdy nie było pewności, co jest prawdą, a co mitem. Choćby taki Quetzalcoatlus. Przypisywano mu, co kto chciał, ale nigdy nie spotkałem ani jego, ani któregośkolwiek z jego podwładnych. Albo Odin, taki sam przypadek. Z Mess było inaczej, ona z pewnością istniała.

– Nie mojego klanu. Jeśli masz ochotę ściągnąć gacie i wypiąć tyłek, żeby ci go solidnie skopała, to twoja sprawa. Chyba musisz to lubić. – Spróbowałem wzruszyć ramionami, chociaż było to trudne i bolesne.

– Ty bękarcie – wrzasnął rozwścieczony.

Nie fatygował się już kopaniem, ale złapał drewniany kij podobny do trzonka kilofa i porządnie walnął mnie w brzuch. Wyraźnie nie był zadowolony z przebiegu rozmowy.

Wdzięcznie wysunął jedną stopę naprzód, szykując się do drugiego ciosu. Wyrzuciłem do przodu nogę i zahaczając górną powierzchnią buta, przyciągnąłem go do siebie, drugą nogą złapałem go od tyłu pod kolano i zanim się zorientował, co robię, zamknąłem trójkąt duszący. Siłą mięśni brzucha podniosłem go w górę, żeby się zbytnio nie wrywał, tak że musiałem nieść ciężar nas obu. Człowiekowi złamałbym od razu kręgosłup, ale on nie był człowiekiem. Szamotał się, drapał, walczył o powietrze, starał się mnie uderzyć, ale na próżno. W końcu nawet jego uodporniony mózg musiał skapitulować i stracił przytomność. Gdybym pottrzymał go jeszcze dłużej, trzydzieści czy czterdzieści minut, może godzinę, umarłby definitywnie. Wampiry łatwo nie giną.

Nie chciałem go zabijać, wystarczyło przejrzeć mu kieszenie, żeby sprawdzić, czy ma kluczyk od kajdanek.

Miał.

Otworzyć kajdanki na nadgarstkach, za które się jest powieszonym, nie jest łatwo, ale dawałem już sobie radę z trudniejszymi zadaniami. Udało mi się uwolnić z haka eleganckim wywrotem połączonym z boczną rotacją. Znów stanąłem na nogach. Było mi wszystko jedno,

kto tu pociąga za sznurki, chciałem się tylko wydostać z tego prowizorycznego ruchomego sanatorium, i to szybko. To oznaczało maksymalnie pięć sekund.

Kwadrat ściany rozświetlił się, zobaczyłem na nim znajomą postać grubasa.

– Nie pomyślał pan, że tu są kamery? – Wyglądał na rozbawionego. – Miecz ma pan w szafce wyglądającej jak lodówka.

Rozejrzałem się wokół. Szafek, które wyglądały jak lodówki, było mnóstwo, pokrywały praktycznie wszystkie ściany. Po co to w ogóle mówił?

– Jest na niej taśma samoprzylepna z napisem: „Odgryzę wam wasze ptaszki”.

Nadal niczego nie dostrzegłem.

– Jest na niej duży orzeł.

Teraz ją zobaczyłem. Bez zastanowienia podszedłem do mebla i pociągnąłem za uchwyt. W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich wysoki chudzielec.

Sięgnąłem do szafki, rękojeść wśliznęła mi się w dłoń z nieomylną dokładnością, jakby nie mogła się tego doczekać.

Longinus nie śpieszył się, zostawił mi dość czasu na odwrócenie się i dopiero wtedy wszedł do wnętrza.

– Wygląda pan całkiem dziarsko – oznajmił, a równocześnie w jego dłoni pojawił się miecz.

Nawet się nie domyślałem, jak tego dokonał. Houdini nie zrobiłby tego lepiej.

Broń, bądź jej pierwowzór, oceniłem na połowę piętnastego wieku, kiedy było już jasne, że będzie trzeba być cholernie szybkim, jeśli chce się przeżyć, a równocześnie nie powinno się polegać tylko na pchnięciach i zbyt lekkich cięciach.

– Po prostu znakomicie – odpowiedziałem.

Wreszcie jakaś zmiana po wszystkich walkach z rewolwerowcami. Nie podnosił broni, co mogło oznaczać, że załatwię się z nim szybko. Albo na odwrót.

– Zobaczmy – powiedział i podszedł bliżej.

Albo padło na niego więcej światła, albo przestał używać jakiegoś kamuflażowego triku, w każdym razie już wiedziałem, z kim mam zaszczyt. Powinienem był domyślić się wcześniej – wychudzona długa sylwetka, klasyczne stadium bardzo starego wampira.

Ten rębacz mógł widzieć śmierć króla Haralda, albo brać udział w bitwie z Janem Luksemburskim. Wampiry w wieku pomiędzy siedemset a tysiąc lat prawie zawsze są wysokie, chude, a ich naskórek ma kolor i fakturę białego dębu. Później się to zmienia, po przekroczeniu tysiąca lat mogą stracić na wzroście, przybrać na wadze albo jeszcze coś innego. Ale ci w wieku pomiędzy siedemset a tysiąc lat wyglądają praktycznie tak samo.

Zbliżył się bez pośpiechu, trzymając miecz w opuszczonej ręce, nadal nie przyjmował postawy szermierczej.

– Słuchasz temu samemu skurwielowi, co ten osesek? – Wskazałem nieprzytomnego wampira.

– Tizoc nie lubi marnotrawstwa. – Popatrzył na młodziaka. – O ile sam się go nie dopuszcza.

Tizoc, znów nazwisko przywódcy klanu, które wcześniej padło, a ja słyszałem je już kolejny raz. Stanowił krwawą legendę i bez wątpienia nadal istniał. Sam go kiedyś spotkałem.

Ten facet nie był początkującym fanatycznym sługusem jak nieprzytomny młodziak. Może dałbym radę się z nim dogadać.

Stanął o trzy kroki przede mną, uniósł broń i ceremonialnie mnie pozdrowił. Nie miało to praktycznego znaczenia, przybył tu, żeby mnie zabić lub wziąć do niewoli.

Pracował dla Tizoca, najsilniejszego z wszystkich wampirów, sprawcy krwawych orgii, które zniszczyły całe narody, Tizoca Azteka, jak go nazywano nawet po sześciuset latach.

– Już zabijałem takich jak ty – oznajmiłem.

Podświadomie ująłem katanę o ćwierć cala dalej od idealnego położenia i nieco mocniej, żeby zrekompensować niewyważenie. Miałem nadzieję na jedną skuteczną próbę, na więcej zabójca jego klasy mi nie pozwoli.

– Tak, jednego prawdopodobnie zabiłeś w pojedynku zgodnym z regułami. Niestety, nie istnieje żaden świadek i nie wiem, jak tego dokonałeś.

Była to prawda.

– Drugiego za pomocą uskoku, gdy twojego przeciwnika przyhamowała lepka warstwa znajdująca się na podłodze. Ale tu niczego takiego nie widzę.

To też była prawda, której, jak widać, nie udało mi się skutecznie ukryć.

Trzeciego nie wymienił, a ja mu nie podpowiedziałem, tylko rzuciłem się na niego. Człowieka zaatakowałbym cięciem z góry, wprost z doskoku. To jedna z podstawowych technik, jakich uczą wschodnie szkoły szermierki. Wykonana szybko działa ze stuprocentową skutecznością i kończy się rozcięciem przeciwnika na większą i mniejszą część, bez względu na to, jak dobrą miałyby broję. Ale tu zastosowałem zamarkowanie ataku, cięcie jako fintę, cofnięcie się i pchnięcie, przy którym broń powinna przebić go na wylot.

Jestem szybki, mam to w genach, jak to się obecnie mówi. A gdy się skupię, jestem jeszcze szybszy.

Na atak markowany zareagował tak, jak powinien, przed cięciem się uchylił, a potem zniknął mi z oczu i pchnięcie zadałem już w próżnię. Zdałem sobie z tego sprawę na czas i zamiast zostać na miejscu, zrobiłem przewrót i padając przez ramię, wykonałem poziome cięcie za siebie. Nie oczekiwał tego, ale zdążył zareagować.

Katana przecięła powietrze bez oporu: po prostu podkurczył nogi i zanim zaczął naprawdę padać, w ułamku sekundy znów się wyprostował.

Ja też już stałem naprzeciw niego w postawie wyjściowej.

– To było niezłe – ocenił – jesteś całkiem dobrze przygotowany.

Spróbowałem wykorzystać moment jego dekoncentracji i jeszcze szybciej zaatakowałem cięciem w głowę, ale on użył odbicia swojej klingi od mojej dla zadania cięcia w bok. Skręciłem się jak kot, kryjąc się raczej tsubą² niż klingą. Stał już blisko mnie, a z nosa kapłała mi krew. Mimo to bez chwili wahania odbiłem się od ściany i na ślepo przeszedłem z obrony do ataku.

Był tam, gdzie przypuszczałem, gdzie biorąc pod uwagę jego szybkość, być powinien. Jednak bezbłędnie odbił moje cięcie, a ja znów zrobiłem przewrót, lądując w niskim przykucnięciu.

– Jesteś naprawdę szybki. Oczywiście jak na młodzika – skwitował mój wyczyn.

Był zupełnie spokojny. Pomimo że na twarzy pojawiło mu się cienkie nacięcie. Przynajmniej oznaczyłem tego skubańca.

Niestety, nie wiedziałem, kiedy to nastąpiło. Stare wampiry też się boją, szczególnie wtedy, gdy chodzi o ich życie. On się jak dotąd nie bał, co oznaczało, że jeszcze nie użył wszystkich atutów. Schwyciłem miecz oburącz i przygotowując się do defensywy, przyciągnąłem go bliżej do siebie. Nie poruszał się, pomimo że coś się z nim działo. Stawał się jakby cięższy, bardziej zwarty, jakby zmieniał się w niezwykłe narzędzie walki.

Do diabła ze sztuczkami. Skoczyłem do ataku. Chciałem użyć małej niespodzianki, siedmiu ostrych jak brzytwa centymetrów długości ostrza mojej katany, w pobliżu jej sztychu. Już kilka razy okazały się bardzo przydatne. Supersprężyste podeszwy skrzypnęły, gdy się objąłem, stalowa podłoga wgięła się lekko, powietrze świsnęło koło uszu.

Stal zaskrzypiała, kiedy wparł się w podłogę i zaczął usuwać z kierunku ataku na moją zewnętrzną stronę. Jego miecz powoli wznosił się do góry. Czułem, jak stopniowo wchodzę w stan Visio in Extremis. Tym razem nie był to ten nagły przeskok jak zazwyczaj, ale przypuszczam, że zobaczyłbym nawet wystrzelone pociski. Zatrzeszczało mi w kolanie, kiedy

² Garda japońskiego miecza-katany (przyp. tłum.).

w wykroku starałem się obrócić. W rotacji tułów wyprzedzał nogi, kryłem się kataną. Nagle zobaczyłem błysk jego miecza, poczułem silne uderzenie, rozedrgana rękojeść prawie wyleciała mi z dłoni, ale na szczęście udało mi się ją utrzymać. Bezwładność zgięła mnie wpół, opartego na jednej nodze. Przestałem się kryć, desperacko ciąłem z obrotu, ale on już był nieco dalej, poza mną. Jego nogi nie straciły kontaktu z podłogą ani na chwilę, a ja na długi ułamek sekundy znalazłem się w powietrzu, niezdolny do skutecznej reakcji. Ostrze świsnęło, przeszło obok mojej broni; ból, krople krwi w powietrzu, spadająca na podłogę katana. Lewą ręką ścisnąłem ranę, powstrzymując krwawienie.

Do połowy przeciął mi dłoń, uszkodził nadgarstek, a na ramieniu pozostawił ślady aż do połowy jego długości.

O kark opierała mi się chłodna stal. Stał za mną prawie w tym miejscu, z którego rozpocząłem atak. Odwróciłem się, ostrze miecza naznaczyło mi przy tym kark cienką krwawą linią. Sprawiał wrażenie tak samo pewnego siebie jak na początku pojedynku.

Bolało, ale zdawałem sobie sprawę, że będzie o wiele gorzej.

– Otrzymałem rozkaz, żeby cię nie zabijać, tylko dzięki temu przeżyłeś.

– A więc jesteś klanowym zabójcą – określiłem jego pozycję w hierarchii wampirów.

Nad nim, nie biorąc pod uwagę przywódcy klanu, istniała tak zwana rada starszych. Nigdy nie rozumiałem, do czego służyła, bo według niepisanych praw szef klanu był absolutnym panem nad wszystkimi pozostałymi członkami. Ale z jakichś powodów szefowie klanów dzierżący władzę absolutną nigdy zbyt długo nie utrzymywali się na szczycie. Zbyt długo z punktu widzenia wampirów, to znaczyło ponad sto lub dwieście lat.

– To nie jest sprawa, którą powinieneś się interesować – przestał silić się na uprzejmość.

Chyba nadepnąłem mu na odcisk.

– Co wiesz o Mess?

Rzeczywiście chodziło im o Mess. Tylko dlaczego?

– Nic – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

Młodziak, którego pozbawiłem przytomności, zaczął się poruszać, przy czym z kieszeni wysunął mu się zwój cienkiego bandaża. Nadawał się idealnie do owinięcia rany. Ale po co miał go ze sobą?

Na próbę zwoleńłem ścisk swojej rany, ciągle jeszcze krwawiła, ale nie było to nic ważnego, nic, co mogłoby powstrzymać przesłuchanie.

Zabójca cały czas mnie obserwował.

– Już powinno ci się to zagoić – stwierdził.

– Nikt nie jest doskonały – warknąłem ze złością, bo miał rację.

Przez ostatnie dni czułem się pod psem i moja zdolność do wypoczynku, zdrowienia, wszystko to, co nazywa się obecnie regeneracją, była jeszcze gorsza niż pod psem.

– Trzymam się w tym stanie, żebyś się przeze mnie nie nabawił kompleksów – dodałem.

Jeszcze nie przebrzmiała ostatnia zgłoska, jak leciałem do tyłu, wykonując wymuszone salto, kręgi zaprotestowały: „Nie rób nam tego więcej”.

Zrobiłem o pół obrotu więcej, niż oczekiwałem, i upadłem na plecy zamiast na brzuch. Niewygoda, ale nieduża. Podniósł mnie, siłę miał jak dźwig budowlany. Trzymał za przedramiona, nogi znów dyndały mi w powietrzu. To już przerabiałem. Częściowo zagojona rana znów się otworzyła, zacisnąłem zęby, żeby nie jęknąć.

– Nie będziesz uprawiał żadnych gier. Ja pytam, ty odpowiadasz. Nie bawi mnie marnotrawienie czasu z taką nic niewartą hołotą jak ty.

Grzmotnął mną o ścianę, aż zadudniło. Przy tym rozlazła się jego szyta na miarę, elegancka koszula, w poprzek piersi ciągnęła mu się krwawa krecha. Nadal było ją widać, co znaczyło, że ciąłem go solidnie.

Tylko kiedy?

– Niewiele brakowało, a otworzyłbym ci pierś jak muszlę, łajdaku. – Zdobyłem się na skrzywienie twarzy.

W ręce pojawił mu się sztylet, metal zatrzeszczał, a ja ryknąłem. Przybił mi rękę do stalowej ściany. Otworzyły się drzwi, wszedł znany mi już grubas. Tak mi się zdawało. Nie byłem pewny, bo ból nie pozwalał mi widzieć dokładnie. Dawniej wytrzymałem więcej. Zabójca odstał nieco do tyłu i przyjrzał mi się, jakby oceniał efekt artystyczny swego dzieła. Ja nie dałbym za nie nawet dwóch punktów. Kolana załamywały się pode mną, ale za wszelką cenę starałem się utrzymać na nogach. Nie miałem ochoty testować wytrzymałości mojej ręki.

– Ehm, szanowny panie – zwrócił się do niego grubas – jeśli nie będzie pan chciał dalej się nim zajmować, to ja mam do dyspozycji sposoby, które na pewno rozwiążą mu język.

– Nie zabiję go, nie masz się czego bać – zbył go wampir.

Znowu dobył miecza i ciął mnie przez pierś. Nie mogłem tego zobaczyć, ale założyłbym się, że cięcie nie weszło głębiej niż na ćwierć centymetra, nie uszkadzając żeber. Drugie cięcie, tym razem w przeciwnym kierunku. I kolejne.

Bolało to bardziej, niż uważałem za możliwe. Zaczęły ze mnie odpadać fragmenty ubrania. Jeśli przeżyję, jakiś modny salon odzieżowy nieźle na mnie zarobi. Właściwie to staje się już regułą.

– Muszę pana uprzedzić, że wszystko jest nagrywane, gdyby więzień zmarł, musiałbym poinformować szefa, jak to się stało.

Grubas też nie miał ludzkich uczuć, bał się tylko o własny tyłek.

Wampir nic mu nie odpowiedział, tylko z brawurową precyzją pozbawiał mnie skóry.

– Wydawało mi się, że ty pytasz, a ja odpowiadam – zdołałem mu przypomnieć w krótkiej przerwie.

Pomyślał nad tym przez chwilę.

– Już nie – zdecydował. – Przesłucha cię Schnitzel, ja cię tylko przygotowuję, żebyś był skłonny do współpracy.

Podział pracy nawet pomiędzy wampirami? Dokąd ten świat zmierza?

Skądś wyczarował mały nóż, wbił mi go w brzuch i pociągnął.

– Widok własnych wnętrzności też działa pobudzająco.

Wyłem na całe gardło, ale wciąż trzymałem się na nogach, w czym wydatnie pomagała mi ręka przybita do ściany.

Może ten wariat zbyt się nakręcił, może postanowił wypiąć się na szefa i potnie mnie na śmierć. Może mam totalnie przesrane. Zacząłem widzieć to wszystko jakby z góry, z lotu ptaka, dopisywał mi nawet humor, śmierć wzywała mnie na randkę.

– Co tam dziś jadłeś na kolację?

Próbowałem ryczeć jeszcze głośniej. Może będzie mniej bolało, jeśli będę hałasował bardziej niż piła tarczowa. Nikt nie jest takim wielkim twardzielem, jak to sobie wyobraża. Nawet ja.

– Muszę przerwać, choć niechętnie.

Chyba przestałem krzyczeć wcześniej, niż to powiedział, bo inaczej bym go nie usłyszał. Popatrzył na zakrwawiony nóż, jakby zdumiony, że już nie tnie mi żołądka, i powoli się odwrócił. Podniosłem wzrok i już wiedziałem, co mnie uciszyło. Było to uczucie, że znajdujemy się w zasięgu jakiejś siły, jakiegoś centrum grawitacyjnego, mocy podobnej do tej, którą roztaczał wokół siebie zabójca, zanim zaczęliśmy walczyć. Ale to uczucie było o wiele silniejsze, jak różnica pomiędzy światłem reflektora a oślepiającym blaskiem słońca.

Uniesienie wzroku kosztowało mnie tyle wysiłku, jakbym miał na mięśniach gałek ocznych powieszoną tonę balastu.

Nie więcej niż metr osiemdziesiąt, barczysty osiłek w nieokreślonym wieku, krótko ostrzyżony, bez wyrazu w szarych oczach. Co dziwne, nie był ubrany w długi płaszcz, ale w skórzaną kurtkę. Miecza przy boku nie widziałem, a więc nigdzie pod ubraniem też nie mógł go mieć.

– Kim pan jest? – zapytał mój dręczyciel. – I jak się pan tu, cholera, dostał? To jest teren wewnętrzny, bez mojej wiedzy nie powinna się tu prześliznąć nawet mysz.

Schnittzel spojrzał na gruby przegub dłoni, skrywający się pod dużym zegarkiem z wbudowanym miniaturowym komputerem.

– Wszystkie alarmy są w porządku, wartownicy na swoich miejscach – stwierdził.

Zabójca wzruszył ramionami.

– W tej chwili to wszystko jedno. – Spojrzał na ludzkiego posłańca. – Popęnił pan duży błąd, wchodząc tutaj – zwrócił się do nieznajomego. – Gdyby okazał pan jakąś rekomendację, list polecający albo wymyślił wiarygodną historyjkę, być może trochę by to panu pomogło.

Wierzył w siebie, nawet jeśli się zaniepokoił. Ja, będąc na jego miejscu, po prostu bym uciekł. Tylko że zawsze byłem skazany na samego siebie i nie miałem za sobą jednego z najpotężniejszych klanów.

– Niczego takiego nie posiadam. Przyszedłem zadać tylko kilka pytań. Wystarczy na nie odpowiedzieć i pójdę sobie – odparł tajemniczy gość tak zwyczajnie, że graniczyło to z pogardliwym lekceważeniem.

Nie wiedziałem oczywiście, kim jest, ale biorąc pod uwagę, że scena, której był świadkiem, nie wyprowadziła go żadną miarą z równowagi, trudno mi było przypuszczać, że jego pojawienie się oznacza dla mnie zwrot ku lepszemu.

Mój dręczyciel przechylił głowę, jakby mu się wydawało, że źle słyszy.

– Zadać kilka pytań? Tu tylko ja zadaję pytania!

W jednej chwili stał się tylko niewyraźną smugą, z taką szybkością rzucił się na nieznajomego. Uderzył w niego z hukiem przypominającym wystrzał z dubeltówki. Działo się to tak szybko, że nie zdołałem dostrzec, co właściwie zaszło. Zobaczyłem osiłka klęczącego na jednym kolanie i zabójcę stojącego przed nim w jakiejś nienaturalnej postawie. Po chwili zrozumiałem – ręka przybysza była do połowy długości przedramienia zanurzona w brzuchu wampira. Zabójca potrząsnął głową, jakby chciał pokonać zaskoczenie, ale w tym samym momencie miecz wysliznął mu się z dłoni. Nadal zachowywał postawę stojącą. Po kilku sekundach zrozumiałem dlaczego – obcy trzymał w zaciśniętej pięści jego kręgosłup.

– A więc tych kilka odpowiedzi? – zapytał niemal uprzejmie.

Zacząłem trząść się z zimna, wzrok wyostrzył mi się na chwilę.

Czułem, jakbym umierał.

Nie, nie tylko się tak czułem, naprawdę umierałem.

– Całuj się w dupę – zabrzmiała chrapliwa odpowiedź.

– O wiele lepiej będzie, jeśli odniesie pan tę propozycję do siebie.

Tej replice towarzyszył trzask druzgotanych kręgów, zabójca zwałił się na podłogę i nie poruszył więcej.

Dygotałem coraz mocniej, nie tylko szczękały mi zęby, ale trzęsły się również kości, wyglądające z rany kiszki drgały rytmicznie. Ten okropny taniec wykonywałem każdym kawałkiem ciała. Stłamszona kupa mięsa leżąca na podłodze przestała interesować przybysza, a na Schnitzela, kulącego się pod ścianą, nie zwracał żadnej uwagi. Bez pośpiechu podszedł do mnie.

– Co się stało z Mess?

Zacząłem się śmiać, co spowodowało dalsze wysuwanie się wnętrzości z mojego brzucha. Oni wszyscy powariowali.

– Nie mam pojęcia. Czy myślisz, że przyspilił mnie tutaj tylko dla żartu?

Mój śmiech przeszedł w chichot. Zdziwiło mnie to, ale nic nie mogłem poradzić.

Osilek obserwował mnie w milczeniu.

– On też chciał wiedzieć, gdzie jest Mess i co się z nią stało. – Wskazałem wzrokiem martwego zabójcę, nadal chichocząc. – A ja nie wiem, po prostu nie wiem! Nigdy jej nie spotkałem, nigdy nie widziałem nawet z daleka.

Ha, ha, ha, ha.

Dostałem się do jakiegoś spektaklu absurdu.

W końcu udało mi się przywołać resztki rozumu i kontynuowałem już trochę składniej:

– Wszyscy zwariowaliście. Najpierw naskoczył na mnie nie wiadomo po co Tizoc, potem urządzili na mnie łapankę z użyciem całej armii, a wszystko tylko po to, żeby zapytać o Mess. Albo o Messalinę Mosekryncową.

Ta informacja zainteresowała osiłka.

– Kto pytał o Mosekryncową?

– Ten szczeniak. – Wskazałem na młodego wampira, budzącego się z niebytu.

– Jeśli się dowie, że ktoś nazwał ją Mosekryncową – przybysz popatrzył na młodego wampira i pokręcił głową z niedowierzaniem – nawet sam Tizoc go nie uratuje.

Dodanie dwóch do dwóch zajęło mi tylko chwilę.

– Więc to nie jest jakiś inny klan? Oni wszyscy są od Tizoca?

– Taa, przesunął tu większą część swoich sił.

Wiedział więcej niż ja.

– A ty z jakiego jesteś klanu? Kto jeszcze interesuje się namiętą Mess?

– Tego przezwiska także nie lubi – ostrzegł mnie. – Nie należę do żadnego klanu, jestem samotnikiem. Myśliwy na własnej ścieżce, a pracuję dla tego, kto mi zapłaci.

Ja też nie należałem do żadnego klanu, a przeżyłem tylko dzięki temu, że nie rzucałem się w oczy, nikt o mnie zbyt wiele nie wiedział, chociaż Europa była dla wampirów bardzo nieprzyjaznym i trudnym do utrzymania się terytorium. Niewielki obszar, porządne społeczeństwa, przestrzeganie prawa, doskonała kontrola nad obywatelami, minimalna swoboda osobista. Drapieżnik dobrowolnie nie wybrałby sobie takiego terenu.

Jednak on był łowcą innej klasy. Przemieszczał się po całym świecie, umiał oszukać ludzkie systemy i dysponował zdolnościami wyjątkowymi nawet jak na wampira. Do tego stopnia wyjątkowymi, że wynajmowali go właśnie z tego powodu i szczerze mu płacili. Już zyskałem wiedzę o tym, do czego był zdolny, wystarczyło spojrzeć na resztki mojego dręczyciela. Chociaż może nie był martwy. Tysiącletni wampir łatwo nie umiera.

Znów nadchodził atak drgawek, ból rozciętego brzucha zbliżał się do apogeum, a mnie coś zmuszało do nieopanowanego chichotania. Może tortury zniszczyły mój system nerwowy i stałem się pół wariatem? Skupiłem się i sformułowałem uprzejme pytanie. Bardzo uprzejme, wydawało mi się to istotne.

– A czy mógłby mi pan zdradzić, kto tak bardzo interesuje się Mess, że zdecydował się na skorzystanie z pana usług? Z pewnością nie należy pan do najtańszych.

Osiłka rozbawiło moje pytanie.

– Bardzo dokładnie to określiłeś. A wynajął mnie Erie Bruchiari.

Bruchiari, obecnie baron narkotykowy, wcześniej polityk o różnych zapatrywaniach, w ubiegłym wieku rozpętał kilka rewolucji o krwawym przebiegu, podczas których zaspokajał swoje upodobania do brutalności i przemocy. Jego zachcianki nigdy nie przeszkadzały mu w pragmatycznym i ostrożnym myśleniu. Jeszcze wcześniej łowca Indian, angielski gentleman rozszerzający imperium królowej Wiktorii, pułkownik w wojnie trzydziestoletniej, a jeszcze przedtem konkwistador. To wszystko, co o nim wiedziałem. Oprócz tego, że może być jeszcze potężniejszy niż Tizoc.

– A więc to koniec. – Zachichotałem.

Wiedziałem, że zginę, życzyłem sobie tylko, żeby to jeszcze bardziej nie zabolało.

– Koniec, bo ja naprawdę nie wiem, gdzie jest Mess, co się z nią stało, w ogóle nic nie wiem. Nie interesuję się przywódczyniami klanów, ale raczej ludzkimi kobietami, które są chętne i nie przeszkadza im, że przy okazji tracą trochę krwi – zdobyłem się na kilka zdań.

Znów zacząłem szczekać zębami i nie mogłem mówić dalej.

Wyglądał tak, jakby coś mu przyszło do głowy, ale nie wydało mu się możliwe.

Podszedł do mnie blisko, spojrzał mi w oczy, stał z czoła krople potu i powąchał je.

Ze zdziwieniem pokręcił głową i cofnął się.

– Sądzę, że wiem już wszystko, czego potrzebuję. W pełni zapracowałem na swoją zapłatę. Życzę ci dużo szczęścia, młodzieńcze, będzie ci potrzebne.

Zanim się odwrócił, wyrwał ze ściany trzymający mnie sztylet i zniknął. Przynajmniej tak to wyglądało.

Upadłem na chłodną stalową podłogę.

Widziałem mniejsze i większe plamy krwi, fragmenty wnętrzości przemieszane z ich zawartością, czułem, jak ciepłem ciała ogrzewam stalową blachę i chłód ustępuje. Myśli krążyły mi po głowie bez ładu i składu jak przestraszonej owcy. W końcu udało mi się zebrać je do kupy i choć w części rozsądnie pomyśleć.

Punkt pierwszy – muszę się stąd wydostać.

Punkt drugi – potrzebuję pomocy, bo źle ze mną, i sam się z tego chyba nie wygrzebię.

Punkt trzeci – muszę się śpieszyć.

Punkt czwarty – nic mi się nie uda, jeżeli nie powsadzam sobie wnętrzości z powrotem do brzucha.

Punkt piąty – nie jestem sam, a przestraszony ludzki sługa szykuje się do jakiegoś działania.

– Ty – zwróciłem się do Schnitzela – jeśli do kogoś zadzwonisz, obetnę ci jaja, wetknę do gardła i dodam do tego jeszcze oczy.

Wiarygodności tej pogroźce dodałem w ten sposób, że wstałem. Starłem się przy tym nie nadepnąć na te części ciała, które znajdowały się w niewłaściwych miejscach. Zadziało, instynktownie odsunął rękę od swojego zegarka, godnego King Konga.

– Jeśli do nikogo nie zadzwonię, to coś bardzo podobnego zrobi mi mój szef, Tizoc.

Myśl, myśl, przynaglałem samego siebie. Schnitzel musiał być kimś specjalnym, bo w przeciwnym przypadku dostałby się tylko w szeregi glyhenów, otrzymywałby rozkazy od jakiegoś wampira zajmującego w hierarchii niską pozycję. A on mówił bezpośrednio o Tizocu.

– Ile mamy czasu na porozumienie się?

– Za cztery minuty będę musiał zgłosić do systemu bezpieczeństwa, że wszystko w porządku. W przeciwnym razie oceni sytuację jako awaryjną – zagrożenie napadem.

Ludzie i ich skomplikowana technika! Zgroza!

– Dobra, mamy cztery minuty. – Kiwnąłem głową.

Dwie na przekonanie go o konieczności współpracy i dwie na ucieczkę. Myśl, cholera, myśl. Trzęsąc się, z dziurą w brzuchu, częściowo pozbawiony skóry... nic łatwego.

– Dlaczego Tizoc cię... najął? – zastanawiałem się nad doбором właściwego słowa.

– Bo jestem geniuszem – odpowiedział bez wahania. – Miałem oferty łowców głów z największych firm. Oferowali mi świetne posady, obiecywali laboratoria wyposażone według moich projektów, budżet godny króla.

Nie wyglądał na geniusza, ale było mi wszystko jedno.

– No to dlaczego wybrałeś Tizoca?

Wybranie Tizoca było określeniem trochę mylącym – zwyczajny człowiek nie miał możliwości wyboru, jeżeli chciał pozostać przy życiu.

– Cierpię na stwardnienie zanikowe boczne, ALS, podobnie jak swego czasu profesor Hawking. Wyniki mam jeszcze gorsze od niego. Uszkodzenia neuronów motorycznych rozwijają się o wiele szybciej. Kiedy sam zdiagnozowałem chorobę, miałem przed sobą ostatnie dwa miesiące stosunkowo normalnego życia i pół roku do śmierci. Tizoc zaoferował mi zdrowie i życie.

Czyli on też był właściwie glyhenem. Jego glyheństwo polegało na tym, że był żywym, zdrowym człowiekiem.

– Tizoc powstrzymał przebieg choroby – odgadłem.

Duża część mocy starych wampirów polega na zdolności do tworzenia glyhenów, powstrzymywanie chorób u ludzi nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu.

Przytaknął.

– Zostają dwie i pół minuty.

– Gdybyś stał się wampirem, z twoją chorobą byłby definitywny koniec.

– Jasne. Ale Tizoc nigdy mi na to nie pozwoli. Z „zamrożoną” chorobą jestem dla niego cenniejszy, posłucham każdego polecenia.

Głupi to on naprawdę nie był.

– Pomóż mi wydostać się z tych kłopotów, a zrobię z ciebie wampira. Nie z tego tu barłogu, ale ze wszystkich problemów.

– W porządku, umowa stoi.

Dwie minuty do końca.

– Potrzebuję załatać brzuch i dowiedzieć się, którądy wiać.

Użył taśmy samoprzylepnej, delikatnością przy tym nie grzeszył.

Później otworzył stalowe drzwi.

– Niech pan ucieka wzdłuż ściany, za hydrantem znajduje się okienko do piwnicy. Te aroganckie nadęciuchy przegapiły ten drobiazg. Skontaktuje się pan ze mną, dzwoniąc na ten numer. – Wetknął mi w rękę papierek. – I niech pan nie próbuje mnie oszukać. Tizoc mi ufa, odpłaciłby panu z procentami.

Człowiek, który był świadkiem niszczycielskich zdolności wampirów, na pewno święcie w to wierzył. Ale dlaczego nie. Pobiegłem w nakazanym kierunku. Albo na skutek doznanych obrażeń nie widziałem dobrze, albo na dworze panowały ciemności. Moje kroki brzmiały tak, jakbym znajdował się na ślepych podwórzu albo na zabudowanym placu. Potem dostrzegłem szare kształty odbijające nieco światła – ciężarówki z dużymi naczepami.

Minąłem hydrant, zawyła syrena ultradźwiękowa, której ludzie nie mogą słyszeć. Ześliznąłem się w kierunku ściany, na okienko piwnicy trafiłem niedokładnie, ale trafiłem, a to było najważniejsze. Trochę więcej bólu nie grało już roli.

Sterna węgla, na którą spadłem, wydała mi się najdziwniejszym łóżem, w jakim spoczywałem od stu lat. Łoże... muszę być zupełnie wyczerpany, jeśli przychodzą mi do głowy takie archaiczne słowa.

* * *

Obudziłem się na kupie piekielnie twardego węgla, w brzuchu czułem ogień i śmierdziałem jak kawał gnijącego mięsa. Poważnie mnie to zaniepokoiło. Mój organizm, z mniejszymi lub większymi problemami, dawno powinien się uporać z raną brzucha. W każdym przypadku.

Wstałem z trudnością, jakbym starał się poluzować mocno zardzewiałą śrubę. Będę potrzebował pomocy Problemem samotników jest jednak to, że nie mają przyjaciół czy znajomych, do których mogliby się zwrócić. Istniał jeden człowiek, któremu już raz zaufałem z dobrym skutkiem – Derwisz. Przez chwilę rozważałem tę możliwość. Nie miałem ochoty wciągać go w wydarzenia, których przyczyny sam nie rozumiałem. Życie ludzkie jest kruche. Z drugiej jednak strony nie zależy nam na nich aż tak bardzo, są dla nas czymś podobnym do zwierzyny łownej. Pomimo to zdecydowałem, że Derwisza zostawię sobie na sam koniec, jeśli nie będzie innej możliwości. A taka przecież istniała w osobie sługi wampirów, genialnego Schnitzela, mojego konia trojańskiego. Nie miałem jednak telefonu komórkowego i miecza, do tego śmierdziałem jak cholera. Ale po kolei. Żeby wezwać

pomoc, musiałem mieć telefon, żeby się do niego dostać, musiałem wyleźć z tej piwnicy. Jednak byłem na to zbyt słaby. Musiałem się porządnie napić, odpocząć i zdobyć nowy miecz. Potem pozyskam telefon. A może odwrotnie, najpierw telefon, a potem miecz? Ale czy poradzę sobie sam?

Mój mózg pracował ze sprawnością maszyny parowej, pod której kotłem pali się namokniętym drewnem.

Będę potrzebował pomocy, na to już się zdecydowałem.

Zacząłem się wdrapywać po stercie węgla ku jaśniejszemu prostokątowi, z którego dochodziła głośna, rytmiczna muzyka.

Wspinałem się w górę po sypkim węglu, ześlizgiwałem w dół i znów pełzłem w górę. Myślałem o tym, że za wszelką cenę muszę dostać się do któregoś z moich awaryjnych schowków, bo gdybym zdecydował się napić z człowieka, nie przeżyłby tego. Ponaglały mnie instynkt, wola przeżycia, nie zdołałbym zatrzymać się w odpowiednim momencie. Oczywiście z ludźmi nie powinienem za bardzo się liczyć, są tylko zdobyczą. Ale nie chciałem nigdy zostać oskarżony i skazany za zabójstwo. A w końcu tak by się to skończyło, bo w moim stanie miałem kłopoty nawet z wygramoleniem się z piwnicy, a co dopiero mówić o wyprowadzeniu w pole policji, której metody śledcze były z roku na rok coraz lepsze.

Wreszcie. Świeże powietrze i głośna muzyka. Nie przeszkadzała mi zupełnie.

Przez kilka minut leżałem na zimnym bruku, zbierając siły. Mimo że jestem wampirem pamiętającym odrodzenie się tego państwa, rewolucję w tysiąc osiemset czterdziestym ósmym, cesarzową Marię Teresę i mnóstwo innych rzeczy, to jednak zbyt wiele wytrzymać nie mogłem.

Udało mi się wyobrazić sobie mapę i zlokalizować na niej najbliższy awaryjny schowek. Naprawdę awaryjny. Była to chemicznie zakonserwowana krew, podzielona na dwa pakunki przechowywane w zamrażarce hurtowni mięsa. Smakuje nieszczególnie, trochę jak rybi tłuszcz, ale w tej formie daje się przechowywać najdłużej. Na chwilę ogarnęła mnie panika, że zapomniałem wymienić zapas na świeży i czas przechowywania minął. Z tego powodu umarło więcej wampirów niż w pojedynkach, niektóre nawet w pomyślnych czasach, w krótkim okresie niepowodzeń i łowieckiego pecha. Potem uspokoilem się, daty „spożytkować do...” na pewno nie przegapiłem.

Wstałem i trochę chwiejnie odszedłem od grzmiącej muzyki ku dzwoniącym tramwajom i warczącym autom.

Już widziałem przystanek, jeździła tędy dwunastka, nie trzeba było się przesiadać. Miałem szczęście. Oprócz bandy wałęsających się wyrostków ulica była pusta. Z takimi nigdy nie miałem kłopotów, gorsi byli porządni obywatele, którzy czasami wołali policję.

Stałem na końcu wysepki i po chwili poszukiwań znalazłem w kieszeni bilet tramwajowy. Świetnie, nie będę musiał niepotrzebnie kusić losu i uciekać przed kontrolerami.

– Patrzcie, zombie. I cały czarny. Zombie górnik – skomentował mój wygląd jeden z bandy.

Kumple zarechotali. Jak na wyrostków kręcących się koło przystanków tramwajowych, byli zbyt dobrze ubrani, raczej nudzący się chuligani.

– No to tramwajów już nie musimy sprawdzać – powiedział jeden z nich półgłosem.

Miałem tego nie usłyszeć.

Szukali zdobyczy w tramwajach. Łowca zawsze pozna łowcę.

Powoli zbliżali się do mnie.

– Gdzie mieszkasz, koleś? – zapytał któryś z nich.

– Nigdzie – udzieliłem odpowiedzi stosownej do mojego wyglądu.

– To kiepsko. Chcesz fajkę? – zaoferował przyjacielsko mięśniak ostrzyżony na jeża.

Sądząc po tym, gdzie stał i jak byli wokół niego rozmieszczeni pozostali, musiał być przywódcą bandy.

Byłoby podejrzane odmówić.

– Chętnie – mruknąłem.

– Saskie. – Przywódca skinął na jednego z grupy, który usłużnie podał mi papierosa i ogień.

W porę przymknąłem oczy, żeby nie oślepił mnie płomień zapalniczki. Kiedy pierwszy raz się zaciągnąłem, wszyscy popatrzyli po sobie porozumiewawczo i z zadowoleniem pokiwali głowami.

Do tytoniu coś było dodane. Prawdopodobnie jakiś środek odurzający, który stępiał zdolność oceny sytuacji i instynkt samozachowawczy. Jednak ja czułem się tak źle, że działanie narkotyku nie robiło mi żadnej różnicy.

Pociągnąłem jeszcze raz. Poczułem się lepiej, chociaż kolana miałem nadal miękkie.

– Może wstąpilibyśmy gdzieś na piwko? – zaproponował jakiś przystojniak, należał zapewne do ścisłego grona najlepszych kumpli wodza.

Te łażęgi były inne, niż początkowo przypuszczałem. Znałem się na ubraniach, a ich stroje pozwalały nie wyróżniać się pośród tłumu dobrze ubranych ludzi. Dlaczego ktoś, kto

ma na sobie ciuchy za dwadzieścia, dwadzieścia pięć tysięcy, miałby iść na piwo z bezdomnym?

– Znam niezły lokal – powiedział, położył mi rękę na ramieniu i poprowadził z wysepki na chodnik.

– Jasne, jasne, chętnie wypiję jakieś piwko, tylko nie zmuszajcie mnie do pośpiechu. W nogach jestem słaby – plotłem bzdury.

– Tędy. – Skierował mnie w ciemną uliczkę.

Posłuchałem bez protestu. Byłem otępiały i mnóstwo rzeczy było mi obojętne, ale równocześnie chciałem się dowiedzieć, co to za jedni. Jakaś pułapka? Glyheny patrolujące okolicę?

Jeden z nich oddychał szybciej. Przypomniałem sobie odgłosy, jakie słyszałem w ostatnich kilku minutach. Ten chłopak odbiegł gdzieś, a teraz wrócił.

Ciekawe.

Uliczka była w tym miejscu najciemniejsza, dalej mdło pobłyskiwało światło zmęczonej latarni ulicznej. Przeczynałem, że zbliża się moment przełomowy, ale nie broniłem się przed nim – może za sprawą papierosa. Albo moich przeżyć i obrażeń, jakich doznałem, wszystkiego razem. Mięśniak podciął mi nogi, posłusznie klapnąłem na ziemię. Byli tak pewni siebie, że wyjęli latarki. Nowoczesne, ze stali nierdzewnej, z reflektorami LED, łatwe do użycia jako obuszek.

Zrobiłem głupią minę.

– Co robicie?

– Bawimy się, ty idioto – zaśmiał się szef bandy.

Któryś podał mu prostokątny pojemnik. Dopiero po chwili zorientowałem się, że to dziesięciolitrowy kanister. Z benzyną, stwierdziłem po zapachu.

– Dzisiaj twoja kolej, Saskie. Użyj sobie.

To mówiąc, zaczął mnie polewać. Dlaczego nie. Każdy lubi inny rodzaj zabawy. Ale również każda heca coś kosztuje.

Saskie sięgnął do kieszeni i znów wyciągnął zapalniczkę. Tym razem przyjrzałem się jej. Srebrna, zdobiona, doskonały wyrób rzemieślniczy. Wyglądała na nową, jakby wziął ją specjalnie na tę podniosłą okazję – spalenie bezdomnego. Ponieważ byłem dokładnie obłany benzyną, nie pozwoliłem mu skrzesać ognia. Zerwałem się na nogi, wyrwałem zapalniczkę, wepchnąłem mu głęboko w szyję i zająłem się pozostałymi, którzy dopiero teraz spostrzegli, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Najpierw jednego po drugim obaliłem na ziemię. Z wyjątkiem herszta. Jego przyciągnąłem do siebie. Wyglądał na sparaliżowanego ze strachu.

– Takiego sposobu zapraszania na piwo rzeczywiście nie lubię.

Wiem, że to tylko przesąd, wynik mojego seksualnego konserwatyzmu, ale jak mówiłem, o wiele chętniej piję z kobiet niż z mężczyzn. Facetami właściwie się brzydę. Jestem archaicznym przeżytkiem historii wampirów albo dekadentckim wyskrobkiem nowych czasów, zależnie od punktu widzenia. Zabrałem mu nóż, poderżnąłem gardło i postarałem się prosto z powietrza złapać ustami jak najwięcej z krwawej fontanny. Nie było tego dużo, ale miałem dziś mnóstwo innych dawców.

Byli tak zszokowani, że nawet nie próbowali uciekać. W końcu leżeli wszyscy pospołu, połączeni jednością stygnących ciał.

Przez chwilę przyglądałem się trupom. Zdawałem sobie sprawę, że pragnienie ugasiłem tylko na moment, zbyt źle się czułem, żeby to wystarczyło. Zadowolenie z dobrze wykonanej roboty zniknęło dość szybko, kiedy wyobraziłem sobie, ile będzie kłopotu z pozbyciem się takiej ilości ciał. Zostały na nich moje odciski palców, zębów, a może i włosów, ślady śliny, cały materiał genetyczny. „Saskie, dziś twoja kolej” – przypomniałem sobie, co powiedział szef gangu. Nie po raz pierwszy tak się zabawiali i z pewnością współzawodniczyli w tym, kto zapali ogień. Ukucnąłem przy trupach. Już nie wydawały się tak nęcące jak na początku, właściwie odwrotnie. Systematycznie przeszukałem wszystkie zwłoki od zawartości kieszeni po zegarki i biżuterię, której mieli zdumiewająco dużo.

Oprócz sporej ilości gotówki, wielu kart kredytowych i ich własnych dokumentów, znalazłem część mocno zużytego dowodu osobistego na nazwisko Jan Nowotny, który właśnie dziś świętowałby czterdzieste ósme urodziny, wytartą papierośnicę, złoty ząb zapakowany w jedwabny woreczek i szereg innych trofeów. Mój pomysł stawał się coraz bardziej interesujący.

Ale do tego trzeba było o wiele więcej benzyny, resztką, jaka pozostała w dziesięciolitrowym kanistrze, nie mogła wystarczyć. Na szczęście w pobliżu stało stare auto z wlewem paliwa, do którego bez trudu mogłem się dostać. Gorzej było z wężykiem, ale to dało się załatwić – przydał się sklep z towarami różnymi, w jego zakurzonej witrynie dostrzegłem przewód o odpowiedniej średnicy. Wszystko szło jak po maśle, ale pomimo to czynności pogrzebowe zajęły mi prawie godzinę, kończąc się wreszcie ku mojemu zadowoleniu.

Teraz pozostawało tylko potrzeć zapałkę.

Na znaku drogowym „pierwszeństwo przejazdu”, dość blisko na to, żeby dotarł tam podmuch, ale na tyle daleko, że nie dotarłyby tam płomienie, wisiał worek sporządzony

przeze mnie z kurtki skórzanej, wewnątrz którego znajdowały się wszystkie łowieckie trofea, jakie znalazłem.

Nie użyłem jednak zapalki, tylko srebrnej zapalniczki. Nie czułem się zagrożony i nie starałem się o to, ale nagle wskoczyłem w tryb Visio in Extremis. Mogłem obserwować pierwszą falę ognia, która szybko rozlała się po nasączonej benzyną powierzchni, dostrzegłem również pierwsze jaśniejsze płomienie, kiedy zaczęło się palić coś innego niż benzyna.

Ogień nie zatrze wszystkich śladów, to jasne. Ale na pewno większość z nich. Kiedy prowadzący śledztwo znajdą łupy, zrozumieją, co te bękarty robiły. Śledztwo będzie kontynuowane, to oczywiste, ale z o wiele mniejszym zaangażowaniem osobistym śledczych. Ponadto nastąpią naciski ze strony krewnych ofiar, żeby sprawę śmierci winnych tych zbrodni uznać za przypadek niewyjaśniony.

Miałem nadzieję, że moje rozumowanie jest poprawne. Moje życie zależy od poprawnego rozumowania.

Zadowolenia wystarczyło mi na przejście obok trzech bloków. Potem znów napadła mnie słabość, aż musiałem usiąść na chodniku. Nie odważyłem się na skorzystanie z transportu zbiorowego, ponieważ wyglądałem, mówiąc skromnie, bardzo podejrzanie, a pierwszy taksówkarz na mój widok prawdopodobnie natychmiast wezwałby policję. Gdyby to był Halloween, to indywiduum na pół pozbawione skóry, pokryte swoją i cudzą krwią, a na dodatek wytarzane w pyłe węglowym mogłoby zniknąć w tłumie przebierańców. Niestety, do mojego ulubionego święta pozostawało jeszcze kilka tygodni.

Musiałem iść piechotą.

Wreszcie dotarłem do jednego z zapasowych mieszkań o pośledniejszym standardzie. Nie dałbym już rady dojść do skrytki, a to lokum było na szczęście niedaleko.

* * *

Położyłem się na kanapie i głęboko odetchnąłem powietrzem od dziesięciu lat niewietrzonego wnętrza. Miałem dużo szczęścia, ponieważ właścicielowi mieszkania wystarczyło regularnie płacić, a on niczym się nie interesował, podobnie jak sąsiedzi. Chociaż sądząc po kupach odpadków na chodniku, to nie byli zupełnie normalni sąsiedzi. Nie byli jednak na tyle nienormalni, żeby zignorować napisy i rysunki na drzwiach mieszkania. Pochodziły one z różnych miejsc świata i ostrzegały: „To miejsce przynosi śmierć”. Mieszkanie wynajmowałem już od dwudziestu pięciu lat, a przez ostatnie dziesięć miałem z nim tylko jeden kłopot – włamanie dokonane przez faceta z mózgiem wymazanym przez metamfetaminę. Rozwiązałem problem wystarczająco radykalnie, nawet jak na gust moich niekonformistycznych sąsiadów, i od tej pory miałem spokój. Nie zdołałem sobie

przypomnieć, co właściwie wtedy zrobiłem. To było zbyt trudne. Skupiłem się na ważniejszej sprawie – na prawidłowym oddychaniu. To też nie było proste, ale gdy się postarałem, częściowo mi się powiodło. Tuż pode mną coś się roło w kanapie, a stara, zużyta skrzynia skrzypiała, mimo że się nie poruszałem.

Usnąłem albo raczej zapadłem w stan nieświadomości.

Obudziłem się w nadal złym stanie. Gdzie się podziała moja zdolność do regeneracji? Zniknęła bez pożegnania.

Potrzebowałem pomocy, i to szybko. Od kogoś, komu mogłem zaufać. Problem polegał na tym, że nikogo takiego nie znałem. To znaczy znałem, ale nie chciałem go w to wciągać.

Cholera.

Kolejne dwie godziny złego samopoczucia.

Derwisz. Czemu jego nazwisko wciąż do mnie powracało, kiedy wpadłem w poważne tarapaty? A właściwie dlaczego nie? Był tylko człowiekiem. Nie znaczył prawie nic. Wybrałem jego numer na komórce, ale wywołania na razie nie naciskałem. Może już znali ten numer, może już mają je wszystkie i teraz czekają, do kogo zadzwonię. Wiedziałem, że technicznie taka możliwość istnieje. A nie chciałem narażać Derwisza na śmierć, chociaż był tylko zwierzyną łowną. Potem przypomniałem sobie stare telefony. W każdym mieszkaniu miałem taki, a przed mieszkaniem Derwisza stała budka telefoniczna. Znałem jej numer, czasem dobrze jest znać użyteczne szczegóły.

Wstałem z kanapy, mysz chrobocząca w jej wnętrzu ucichła, ale odgłosy gryzienia wydawane przez jakieś mniejsze stworzonko, pożerające nie wiadomo co, trwały nadal. Po półgodzinnych wysiłkach dołączyłem do kuchni, gdzie na popękanej blacie stołu stał przestarzały aparat telefoniczny. Bakelit był na szczęście niejadalny dla moich nieproszonych domowników.

Po wybraniu numeru czekałem przez cztery minuty, a potem zrobiłem dwuminutową przerwę. Była mi potrzebna, żebym mógł odpocząć i znów podnieść słuchawkę. Czemu tak źle się czułem? Otruli mnie czy jak? Czemu, do diabła, ta słuchawka jest taka ciężka?

Po czterdziestu dwóch minutach ktoś podniósł słuchawkę. Słyszałem jego ciężki, przerywany oddech. Czekałem w milczeniu.

– Kto tam?

Głos był mi nieznany.

– Jeśli chcesz zarobić, to przyjdź jak najszybciej pod adres – podałem prawidłową nazwę ulicy i numer domu – drugie piętro, mieszkanie naprzeciw schodów – to podałem już fałszywie.

– To brzmi bardzo dziwnie – usłyszałem i nieznajomy odwiesił słuchawkę.

To na pewno jakiś pijak albo ćpun, kto inny chciałby odbierać telefon dzwoniący w budce? Jego krew niewiele by mi pomogła.

Kontynuowałem próby przez kolejne czterdzieści dziewięć minut.

– Słucham? – druga zgłoska zginęła w kaszlu nałogowego palacza, któremu nie służy nocne powietrze.

– Tu Mathias. Potrzebuję pomocy – powiedziałem, a raczej zaskrzeczałem.

Krótką przerwę.

– Coś często w ostatnim czasie.

Byłem zbyt zdołowany, żeby złościć się faktem, że człowiek robi mi takie uwagi.

– Być może – zgodziłem się. W końcu miał przecież rację. – Jestem w niebezpieczeństwie. Otruli mnie czy coś w tym rodzaju. Potrzebuję krwi.

Milczał. Może miał już tego dość, może zdał sobie sprawę, że pakuję go w poważne kłopoty.

– Masz swoje schowki... jak mi się wydaje.

Derwiz rzeczywiście nie był głupi.

– Tak. Chciałbym, żebyś odwiedził kilka z nich i przyniósł mi, co tam znajdziesz. Ale czasem są to całkiem odludne miejsca.

– W porządku. Jestem dziennikarzem, zorientuję się.

Zastanawiałem się przez chwilę.

– Jesteś tam? – upewnił się.

– No – potwierdziłem.

To nie było bezpieczne dla niego i dla jego rodziny. Z mojej strony nie było fair, że proszę go o coś takiego. To niewłaściwe, że łowca oczekuje pomocy od zdobywcy.

– Jak mi przyniesiesz towar, to weźmiesz rodzinę i wyjedziesz na urlop gdzieś daleko na dwa czy trzy miesiące – powiedziałem.

– Zwariowałaś – zaśmiał się – a czym zapłacę?

– Pieniędźmi, które dostaniesz ode mnie. Wyrównam ci też straty, jakie poniesiesz z powodu swojej nieobecności.

Zamilkł, wyglądało na to, że go nie przekonałem. Zawsze gdy potrzebowałem czegoś od ludzi, po prostu im płaćłem. W jego przypadku to nie działało. Czemu, do cholery?

– Zadzwoń za chwilę, dłużej nie utrzymam słuchawki przy uchu – zakończyłem rozmowę.

Zrobiłem sobie przerwę na odpoczynek, ale i tak numer wykręciłem dopiero za drugim razem, a trwało to dłużej niż normalnie. Czekał tam jednak.

– Czy masz coś przeciw diamentom? – zapytałem.

Chwilę potrwało, zanim zareagował.

– Nic – odpowiedział. – Ale niezbyt często mam z nimi do czynienia. W domu też żadnych nie posiadam. Peggy nosi pierścionki z metalu, a kolczyki z drewna.

– Kiedy wrócisz z długiego urlopu z rodziną, znajdziesz w skrytce kamień, przy którym Cullinan to świecidełko. Razem z dokumentami na twoje nazwisko.

– Nie mogę tego przyjąć.

– W porządku. Zapomnij o moim telefonie. Cześć.

Pomału zacząłem odsuwać słuchawkę od ucha.

– Poczekaj – powiedział w chwili, kiedy trzymałem rękę w pół drogi do widełek.

Poczułem ulgę.

– Wchodzę w to. Choć wołałbym bez tego diamentu.

Tak nie byłoby jak należy. Diament uspokajał moje sumienie, moją świadomość. Moje milczenie świadczyło o tym, że to nie byłoby dobrze.

– A czy nie mógłby być trochę mniejszy niż Cullinan?

Nie ulegało wątpliwości, że wyobrażenie sobie posiadania wielkiego kamienia szlachetnego zajmuje go raczej jako ćwiczenie intelektualne niż jako upajanie się niespodziewanym bogactwem.

– Będziesz zadowolony – powiedziałem.

Wiedziałem, który diament mu dam. Przed ponad półwiekiem zabrałem go bandzie esesmanów uciekających ze wschodu do strefy zajętej przez aliantów. Jak na ludzi, byli nieoczekiwanie twardzi i bezwzględni. Ale nic im to nie pomogło.

– Dobrze – zgodził się.

Zacząłem mu przekazywać listę miejsc, w których przechowywałem konserwowaną krew. Z krwią jest ten kłopot, że nie można jej długo przechowywać, najwyżej kilka miesięcy. Przechowywać tak, żeby mogła ugasić pragnienie. Miałem nadzieję, że niczego nie zaniedbałem i krew będzie w dobrym stanie.

Jeszcze większą nadzieję miałem, że Derwisz zacznie od razu. Pragnienie zaczynało być nieznośne. Na szczęście nie mogłem utrzymać się na nogach, więc nie byłem zdolny do

zabicia lokatorów sąsiednich mieszkań i napicia się z nich. Albo napicia się i zabicia. Odpowiedzi na niektóre pytania bywają trudne.

W końcu podałem mu adres, pod którym się schroniłem, i zakończyłem połączenie. Nim znów pograżyłem się w stanie nieświadomości, zdałem sobie sprawę, że tym razem całkowicie zdałem się na jego łaskę i niełaskę.

* * *

– Obudź się, obudź, do cholery!

Towarzyszył temu siarczasty policzek.

– No obudź się.

Drugi policzek sprawił, że ugryzłem się w język.

Odruchowo powstrzymałem rękę, zanim znów mnie trzepnęła. Mogłem pogruchotać te kruche kości, ale w porę zorientowałem się, że to Derwisz.

– Czego wariujesz? – zapytałem.

Wetknął mi do ręki plastikowy worek z czerwoną cieczą.

– Budzę cię już dobre pół godziny!

A więc byłem już na początku drogi bez powrotu, ale nic nie powiedziałem, tylko otworzyłem worek i zacząłem łapczywie pić.

Derwisz przez kilka sekund obserwował mnie jak laborant przyglądający się niezwykle mu zachowaniu szczura, a później stracił zainteresowanie i odwrócił się.

– Zupełnie dzikie miejsca, nie przypuszczałem, że w okolicach Pragi można takie znaleźć.

Kurtkę miał zabrudzoną, może nawet zakrwawioną, w jednym miej scu podartą lub przeciętą.

– Mówiłem ci – mruknąłem z pełnymi ustami.

– Zrobię o tych miejscach serię reportaży, coś na kształt „Dżungli Naszego Świata”. Oczywiście dopiero jak sytuacja się uspokoi. To będzie prawdziwa bomba.

Wypiłem już wszystko z pierwszego worka i zacząłem otwierać drugi.

Nie smakowało mi, jak zawsze w przypadku zamrożonej krwi, ale nie zwracałem na to uwagi. Musiałem porządnie się napić. No i oczywiście nie zwymiotować tej starej krwi, bo całe przedsięwzięcie straciłoby sens. Czasem wygłodzone wampiry umierały z takiego powodu.

– Jasne – zgodziłem się.

– Niedaleko stąd znaleźli kilku spalonych ludzi. Nie maczałeś w tym przypadkowo palców?

Wreszcie udało mi się otworzyć worek, zamknięcie było innego systemu, mniej dla mnie zrozumiałego.

– Nie jestem w stanie nawet papierosa zapalić – uspokoiłem go.

W tym momencie przypomniałem sobie, że w kieszeniach mam sporo kart kredytowych i telefonów komórkowych.

Wypiłem drugi worek krwi. Pełny żołądek wydał mi brzuch, ale nadal miałem pragnienie, zabójcze pragnienie – starałem się w ogóle nie patrzeć na Derwisza, żeby osłabić pokusę. Świeża krew to coś zupełnie innego niż zimna konserwa. Upewniłem się, że nie grożą mi wymioty, i zabrałem się do następnej porcji.

– Co zamierzasz dalej robić? – zapytał.

– Sprawdzę, dlaczego Tizoc interesuje się Mess i dlaczego myśli, że właśnie ja mógłbym coś o niej wiedzieć. Sam też się za nią rozejrzę. Na wypadek gdybym znów popadł w kłopoty. Na pewno nie zaszkodziłoby mieć w zanadrzu kilku informacji, których inni poszukują.

– Inni? Mówiłeś tylko o Tizocu – odezwał się, zapalając papierosa.

Płomyk na chwilę oświetlił mu twarz, cień spowodował, że jego oczy wydawały się pustymi otworami. Niewiele brakowało, a byłby martwy, z takimi właśnie oczami.

– Pojawił się tam jeszcze ktoś inny. Jakiś zabijaka. Przeszedł przez wartowników i nawet się przy tym nie spocił, gołymi rękami zabił nasłanego na mnie przez Tizoca świetnie wyszkolonego zabójcę. Wbił mu pięść w brzuch i pogruchotał kręgosłup. – Spojrzałem na Derwisza, ciekawy, jak na to zareaguje.

Rozżarzony czubek papierosa znieruchomiał i zaczął blednąć, w chwilę później znów się rozpałił.

– To brzmi jak jakiś idiotyczny film – stwierdził.

– To twarda rzeczywistość, kolego – oznajmiłem. – Rzeczywistość mojego życia. A jeśli nie będziesz uważał, to twojego również. W takim przypadku szybko by się ono skończyło.

– A Mess? Co to za jedna? – zapytał, jakby nie słyszał mojego ostrzeżenia.

Brzuch miałem nadal wydęty, ale pragnienie utrzymywało się. To było bardzo dziwne. Sięgnąłem po kolejny worek krwi. Tylko nie wolno mi zwymiotować, bo nie przeżyję.

– Mess to przywódczyni klanu. W odróżnieniu od innych bardzo szczegółna. Nikt nie wie, gdzie ma główną siedzibę, porusza się po świecie bez żadnej praktycznie ochrony. To samo dotyczy pozostałych członków klanu. Ale w razie potrzeby potrafią zebrać się razem. Nie tak dawno, nie dawniej niż dwadzieścia lat temu, ktoś zabił kilku jej podwładnych. To był

klan Balzera. W ciągu sześciu miesięcy Balzer nie żył, a jego klan został rozpedzony. Więcej nic o niej nie wiem. Jeśli nie liczyć starych historii.

– Jakich starych historii?

Zajrzałem do pamięci. Było ich tam mnóstwo.

– Nie wiem, to nic ważnego, wcale nie potrzebujesz o tym wiedzieć.

– Jestem dziennikarzem, interesuję się wydarzeniami, choćby były bardzo dziwne.

– Zacznę od tego, że sprawdzę, gdzie mnie więził Tizoc, a później zobaczę, co dalej – myślałem głośno. – Zupełnie nie domyślam się, dlaczego opuścił swoją norę i jak tu dotarł z całą armią.

Dlaczego, dlaczego, dlaczego, tłukło mi się po głowie. To był klucz do zrozumienia reszty.

– Wielcy Mistrzowie klanów, włączając w to Mess, nigdy nie podróżują sami i niechętnie poruszają się bez minimalnej chociaż obstawy. Boją się, że mógłby na nich napaść jakiś konkurent – wyjaśniłem – ale to już wszystko, co mam ci do powiedzenia. Już czas, żebyś poszedł do domu.

Nie wiadomo kiedy wypilem kolejne czterysta sześćdziesiąt gramów krwi, co odczytałem z napisu na etykiecie worka. Grupa AB+.

– To bardzo niebezpieczna sprawa, a ja cię w nią wciągnąłem głębiej, niż powinienem.

– Zdobycz nie może mieszać się do sporu łowców? – Skrzywił się.

Nie przypominałem sobie, żebym kiedyś wygłosił takie stwierdzenie w jego obecności. Bredziłem w śpiączce czy może jestem dla niego tak łatwy do rozszyfrowania?

Zgasił papierosa o podeszwę i położył go przed sobą na stole. Na zewnątrz zaczynało już świtać. Czas wyruszyć do akcji, o ile chciałem zwiększyć swoje szanse na przeżycie.

– Jeżeli Wielcy Mistrzowie poruszają się po świecie w większym towarzystwie, to muszą zostawiać jakieś ślady. Jestem dobry w przeglądaniu sieci, archiwów, w poszukiwaniach – nadmienił Derwisz.

– Chcesz powiedzieć, że ja tego nie umiem? – wyskoczyłem na niego bardziej rozzłoszczony, niż się spodziewałem.

– No nie, na to bym sobie nie pozwolił – odpowiedział obojętnym tonem.

Przez chwilę rozmyślałem o jego ofercie, bo to była oferta. Mógłby mi w ten sposób pomóc, oczywiście. Wysiadując przed komputerem, niczego by nie ryzykował. Na pewno nie więcej niż dotychczas.

– Dobra, będziesz dla mnie szukał przy komputerze – powiedziałem. – Jeśli coś pójdzie źle, znikniesz z całą rodziną, tak jak się umówiliśmy. Od razu po mojej informacji.

O diamencie na razie nie wspominałem.

Spojrzałem na niego. W palcach trzymał kolejnego, jeszcze niezapalonego papierosa.

– Dobrze – przytaknął.

– Słowo?

– Słowo.

Nie chciało mi się rozmyślać nad tym, czy mówi poważnie, czy też nie.

– Najwyższy czas się wynieść, już za długo tu jestem – zdecydowałem. – A ty powinienes zniknąć już teraz.

Zostało mi dużo rzeczy do zrobienia, ale Derwisz nic do nich nie miał.

Podniosłem zawiniątko z ubraniem, rozpakowałem i przez chwilę zachmurzony przyglądałem się ciuchom, w których będę musiał chodzić. Obdarty komplet džinsowy, na plecach kurtki naszywka przedstawiająca typa z ogromnymi zębami w górnej szczęce, a do tego z czarnymi skrzydłami. Całości dopełniał napis: „Jestem wampirem”. Chryste Panie!

Zauważył moją minę i stłumił uśmiech.

– Nic innego w domu nie miałem – wyjaśnił. – Zostało z buntowniczych lat. Co mi możesz jeszcze powiedzieć o Wielkich Mistrzach?

Zamknąłem walizeczkę z krwią i zatrzasnąłem zamki. Zaniepokoiło mnie, że tak dużo jej zużyłem, ale tym będę się martwił później.

– Niewiele, nigdy nie miałem z nimi zbyt wiele wspólnego. To dla nas niezdrowe. Na ogół opierają się na jakiejś radzie starszych, którą tworzy kilka bardzo starych wampirów cieszących się z jakiegoś powodu ich zaufaniem. Musisz sobie uzmysłwić, że Wielcy Mistrzowie są niezwykle starymi wampirami, a otaczający ich świat jest dla nich obcy. Tak jak dla kosmitów, o ile tacy istnieją. Chociaż są wyjątki – dodałem po chwili. – Istnieje kilka stopni w hierarchii klanów. Im starszy klan, tym jest ich więcej. W gruncie rzeczy oddzielają one Wielkiego Mistrza – prastarego wampira – od bezpośredniego kontaktu ze światem zewnętrznym. Więcej nic nie mogę powiedzieć. Jestem samotnikiem i nigdy nie należałem do żadnego klanu.

Uświadomiłem sobie, że wyjawiałem Derwiszowi więcej, niż zamierzałem. No i co z tego?

Zacząłem się przebierać, moje stare ubranie wciąż jeszcze czuć było benzyną. Może ja też dobrze bym się palił?

– Wyglądasz okropnie – stwierdził. – Takie rany z pewnością zabiłyby człowieka.

– Człowieka na pewno tak – zgodziłem się.

Nie wspominałem o tym, że deptałem po własnych wnętrznościach, a dziurę w brzuchu Schnittzel zalepił mi taśmą i plastrami.

Buty musiałem zostawić swoje własne, choć wyglądało to na nieco dziwne zestawienie.

– Gotowe. – Wstałem z kanapy.

Derwisz niechętnie poszedł w moje ślady.

– A co z innymi wampirami? Ilu jest takich jak ty?

Rozejrzałem się, żeby uzyskać pewność, że nie zostawiłem niczego, co by mogło mnie zdradzić.

– Takich jak ja chyba jest niewielu. To mocno ryzykowny i uciążliwy sposób życia. Ale mnie się podoba. – Wzruszyłem ramionami. – Istnieje jednak mnóstwo wampirów, które są – poszukałem stosownego określenia – bardziej lub mniej wolnymi wasalami poszczególnych Wielkich Mistrzów, a czasem równocześnie ich zastępców. Po prostu ze względów porządkowych.

– Rozumiem.

Wyszedłem z mieszkania, zszedłem po schodach na parter, za sobą słyszałem jego kroki i przyspieszony oddech.

– Na razie, odezwę się przez telefon – powiedziałem na pożegnanie i poszedłem w przeciwną stronę niż on.

Dokąd, tego jeszcze nie wiedziałem.

Wczesny ranek zastał mnie w lokalu otwieranym o wpół do piątej, żeby robotnicy idący na pierwszą zmianę mogli wypić jednego. Jak na ich ilość, w lokalu było dość cicho. Zarośnięte twarze, noszące ślady niewyspania lub pozostałości kaca, nikt zbyt dużo nie mówił. W szybkim tempie mieszały się: wódka, jałowcówka i inne napoje wysokoprocentowe, a razem z nimi: narzecza, dialekty i gwary, którymi posługiwano się na wschód od Pragi.

Przeglądałem książki adresowe jednego telefonu po drugim. Miałem z tym sporo zacho- du, wszystkie były najnowszych typów z wieloma przyciskami i różnorodnymi funkcjami. Ale w końcu udawało mi się odszukać adresy. Nie szukałem kontaktów, tylko numerów kart bankomatowych. Musiałem się bardzo skupić, żeby przypomnieć sobie, któremu z zabitych zabrałem telefon i kartę, ale w końcu dałem sobie z tym radę.

– A ty co? Bawisz się aparacikami? Daj jeden, masz ich całą kupę.

Siedziałem w najciemniejszym kącie, w którym słabe światło czterdziestowatowej żarówki ledwie rozpraszało ciemność, a mimo to ktoś mnie wywąchał. Chłopisko jak góra,

kilka brakujących zębów, w spojrzeniu morze alkoholu. Mógłbym mu dać jeden z telefonów, ale na tym na pewno by się nie skończyło.

– Na – powiedziałem, podając mu aparat, w którego pamięci nie znalazłem nic ciekawego.

Oprócz mnóstwa numerów opatrzonych damskimi imionami.

Kolos chciwie sięgnął po aparat, ale zanim zdążył mi go zabrać, objąłem jego palce swoimi i ścisnąłem.

W pierwszej chwili tylko się skrzywił, potem ścisnął szczęki, a kiedy kości zatrzęszczały, jęknął. Zwolniłem nacisk, a on trzymał w ręce rozgnieciony, nic niewarty rupieć.

– Jeszcze czegoś ode mnie chcesz? – zapytałem.

– Nie, panie. – Energicznie pokręcił głową.

Próbował uciec, ale trzymałem go mocno.

– Wypij jednego za moje zdrowie, może czasem będę miał dla ciebie jakąś robotę. – Puściłem go i wetknąłem mu w dłoń setkę.

Był trochę przestraszony, trochę rozzłoszczony, ale setka to setka.

Schowałem telefony i ruszyłem na poszukiwanie bankomatów. Wiedziałem, które mają zainstalowane kamery bezpieczeństwa, a jeden z nich bardzo często miał ją zniszczoną albo zasmarowaną farbą. To był mój ulubiony.

Tym razem farba była czerwona.

Przepuściłem przez bankomat wszystkie siedem kart i ogółem uzyskałem sześćset pięćdziesiąt tysięcy koron. Złota młodzież. Potem zacząłem się zastanawiać, czy mogę używać zdobycznych telefonów. W końcu odrzuciłem taką możliwość, nie wiedząc, co można wyśledzić z przeprowadzonych rozmów. Nie chciałem bez potrzeby zostawiać śladów, po których mogłaby do mnie dotrzeć policja.

W kawiarni otwartej od wczesnych godzin porannych nad podwójną kawą z ekspresu doczekałem dziewiątej, a potem kupiłem najprostszy telefon wraz z kartą i zadzwoniłem do Schnitzela.

– Słucham – odezwał się neutralny głos.

– Musimy się spotkać.

– Nie może pan dzwonić do mnie o dowolnej porze – zdenerwował się.

Sądząc po reakcji, był to na pewno Schnitzel.

– A więc niech pan oddzwoni. Wkrótce. – Zakończyłem połączenie.

Nie miałem na niego żadnych atutów, ale chciałem, żeby pozostawał pod moim wpływem, a ta rozmowa dobrze się temu przysłużyła.

Teraz zamierzałem zbadać praską rezydencję Tizoca. Nie miałem na to ochoty, bo jego goryle na pewno mnie szukali. Ale musiałem to zrobić, a nie chciałem posyłać Derwisza w paszczę tego potwora. Nie zamierzałem jednak iść bez broni.

Stałem przed witryną, w której zmęczona dziewczyna w o numer za ciasnych dżinsach układała dekorację.

Pozyskać broń, a więc odwiedzić trezor, muzeum albo pewne miejsce trochę na północ od miasta, w którym przed kilku laty zakopałem skrzynię z dobrze impregnowanego drewna. Rozważałem, którą z tych możliwości wybrać, i nagle znowu poczułem pragnienie. Coś ze mną było nie w porządku. Gdybym był człowiekiem, poszedłbym do doktora. Niestety, nie znałem nawet żadnego felczera od wampirów. W końcu zdecydowałem się na muzeum. Znajdowało się stosunkowo blisko, dostać się do środka nie było trudno, wystarczyło kupić bilet, a potem niezauważonym zniknąć w drzwiach dla personelu. I nie musiałem kopać żadnej choleralnej dziury w ziemi. Muzeum

Miejskie było otwarte od dziewiątej. Kasjerka dziwnie na mnie patrzyła, ale sprzedała mi bilet, informując, że gdybym poczekał do dziesiątej i trochę dopłacił, to wziąłbym udział w zwiedzaniu z przewodnikiem.

Odmówiłem z podziękowaniem.

Przeszedłem przez sale wypełnione regałami, gablotkami, tabelami i dużą ilością objaśnień na tylne schody prowadzące do podziemia. Dwadzieścia pięć lat temu z powodu braku miejsca część zbiorów tam przeniesiono. Miałem nadzieję, że nic się od tej pory nie zmieniło.

Skrzynia, którą tam kiedyś umieściłem przy okazji przeprowadzki, wciąż stała na swoim miejscu. Przylepiłem na niej numer inwentarzowy określający zawartość jako wał korbowy silnika pochodzącego z początku dwudziestego wieku. Teraz był zakurzony. Otworzyłem skrzynię, wyjąłem wał, a później podłużny pakunek zawinięty w wojskowy brezent. Ćwierć wieku w niczym mu nie zaszkodziło. Mieczowi w blaszanym tubusie również nie. To była katana, specjalny pojedynkowy wyrób wykonany dla Helmutha Schmitza. Wiedziałem o nim, że opanował bardzo niebezpieczną technikę zastawy z odsmykiem klingi przeciwnika, służącą do łamania ostrzy. Zważyłem miecz w ręce. Był o jakieś dwieście pięćdziesiąt gramów cięższy od tego, który straciłem u Tizoca, klinga została wzmocniona praktycznie niewidocznym dla oka żebrem, które dawało jej o wiele większą sztywność w kierunku podłużnym. I czyniło ją bardzo odporną na przecięcie. Tsuba była większa niż

zazwyczaj, co ułatwiało krycie. Za to utrudniało nieco noszenie broni w ukryciu. Mogłem ją jednak łatwo zdemontować. Niewygoda, której nie dawało się usunąć, był świst, jaki wydawała klinga podczas cięcia. Żebro powodowało, że do cichego zabijania ten miecz był po prostu zbyt głośny.

Usiadłem na skrzyni, wyjąłem z woreczka potrzebne narzędzia i po chwili miałem miecz bez gardy. No i fajnie.

Przyszła kolej na starą, dobrą jeden-dziewięć-jedenastkę i pięć magazynków amunicji. Żeby mechanizmy nie były przez dłuższy czas niepotrzebnie w stanie napięcia, zapakowałem broń rozłożoną. Sprawnymi ruchami szybko ją złożyłem, rozmyślając nad tym, jak szybko ludzka technika idzie do przodu. Zabić wampira jednym wystrzałem jest w pełni możliwe, o ile trafi się go w głowę. W przypadku starszych, bardziej odpornych trzeba trafić w oko, żeby naprawdę, mocno uszkodzić mózg. Najłatwiej to zrobić wtedy, kiedy używa się wielkokalibrowej amunicji. Moja amunicja była specjalna, niezgodna oczywiście z wszystkimi układami wojskowymi i prawami dotyczącymi broni. To mi jednak nie przeszkadzało, ponieważ i tak nie miałem pozwolenia na broń. Karabin maszynowy czy działko rozwaliby mi czaszkę bez stosowania jakichkolwiek ulepszeń. A co mówić o pociskach kierowanych, miotaczach ognia i innych śmiertelnych zabawkach? Świat się po prostu zmieniał, i to stale na gorsze.

Umieszczenie na sobie broni i magazynków zajęło mi trochę czasu. Jeszcze więcej takie ich ułożenie, żeby znalazły się w najwygodniejszym dla mnie położeniu. Nawet nie zauważyłem, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci straciłem nieco na wadze.

W końcu byłem gotowy do wymarszu.

Ostrożnie podszedłem do drzwi i bez większego namysłu otworzyłem je. Znalazłem się za plecami grupy dzieci słuchających objaśnień nauczyciela. Cholera.

Jeden z chłopców, który wyraźnie nie interesował się wykładem, spoglądał w przeciwnym kierunku niż pozostali i zobaczył mnie. W jego oczach można było dostrzec kolejno: zaskoczenie, ciekawość, podejrzliwość. Otworzył usta – może chciał krzyknąć. A zwrócenie na siebie uwagi nie było mi potrzebne.

– Pst. – Położyłem palec na ustach.

– Kradłeś tam? Jest tam coś ciekawego? – zareagował ściszym głosem.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Poszedłem po swoje rzeczy, które kiedyś schowałem w piwnicy.

Przyglądało mi się już trzech chłopaków. Musiałem ich uciszyć, bo powstanie zgiełk.

– Ponieważ jestem kimś na kształt łowcy wampirów. – Wyciągnąłem nieco katanę z pochwy i pokazałem im.

– Jak Blade? – zapytał największy chłopiec.

– Nie. – Pokręciłem głową. – W odróżnieniu od niego jestem biały.

– Sam widzisz, głupku – ocenił pytanie kolegi ten pierwszy.

– Chłopcy, co to za hałasy! Rambousek, Zamboch, Merinsky jak zwykle przeszkadzają!

Przycisnąłem katanę do siebie i udawałem, że z wielkim zainteresowaniem słucham wykładu.

– Tak, panowie, muszę iść, mam robotę – pożegnałem się, kiedy nauczyciel znów podjął wątek.

Chłopcy gapili się na mnie z wytrzeszczonymi oczami.

– Zabijać wampiry? – chcieli wiedzieć.

– Dokładnie. – Skinąłem im głową i odwróciłem się, żeby odejść.

– Ale na plecach masz napisane, że jesteś wampirem!

– To jest maskowanie, ty idioto – usłyszałem, zanim zamknąłem za sobą drzwi.

W parku, pośród siedzących na ławkach bezdomnych, wypilem kolejną porcję krwi, a potem poszedłem na dworzec i schowałem termoizolacyjną walizeczkę do skrytki na bagaż. Czułem się trochę lepiej, ale jeszcze nie za bardzo.

* * *

Powrót do domu zajął mi o wiele więcej czasu, niż zakładałem. Nigdzie w pobliżu nie natrafiłem na skupisko ciężarówek z wielkimi naczepami, tylko domy starej zabudowy. Z głównej ulicy dobiegały do mnie dzwonki tramwajów i warkot przejeżdżających aut.

Zacząłem zataczać coraz szersze kręgi, rozglądając się wokół, ale niczego nie mogłem rozpoznać. Wszedłem do jakiejś gospody, zamówiłem piwo i wyglądałem przez zakurzone okno. Nie wiodło mi się. Naraz zobaczyłem człowieka, którego już spotkałem podczas mojego szwendania się po okolicy. Szedł powoli, jakby bez celu, przystanął pod latarnią, przez chwilę się rozglądał, a potem ruszył w tym samym kierunku, z którego przyszedł. Po prostu patrolował ulicę.

Pozostałem w gospodzie i zamówiłem drugie piwo.

Kiedy zacząłem myśleć, że sobie poszedł, znów pojawił się w moim polu widzenia. Jeżeli był uzbrojony, to broń miał dobrze ukrytą. Obok niego przeszła grupka ludzi, pilnie się im przyglądał, potem sięgnął do kieszeni, wyjął telefon czy raczej mały nadajnik i przez chwilę rozmawiał. Przeszedł koło niego kolejny przechodzień, jemu też poświęcił sporo

uwagi. Ale było w nim coś szczególnego, już wiedziałem co. Był to wampir, młody, stale odczuwający pragnienie, albo wampir celowo utrzymywany w takim stanie. Obserwując ludzi, najwięcej uwagi poświęcał ich szyjom. Tym intensywniej, im bardziej były odkryte. W lecie chyba od tego zwariował.

Może powinienem ułatwić sobie zadanie i zapytać go wprost, gdzie jego pan i władca ma siedzibę. O ile rzeczywiście pracował dla Tizoca. Ale dla kogóż by innego, to przecież było moje terytorium. Zanim ten stary sukinkot się tu pojawił, wiedziałem o każdym przybyszu, ponieważ sami uprzejmie się do mnie zgłaszali.

Zdecydowałem się cierpliwie czekać.

Wytrzymałem jeszcze trzy godziny, aż przyszła jego zmiana. Zapłaciłem i poszedłem za nim nieoczekiwanie daleko, bo aż do trybun wybudowanych na błoniach.

W chwili kiedy zauważyłem afisz zapowiadający koncert grupy AC/DC2, zatrzymałem się tak nagle, że idący za mną facet prawie na mnie wpadł.

– Uważaj, człowieku, do cholery – burknął.

Przyglądałem się plakatowi. Stare wampiry mają problem z pozyskiwaniem nowych identyfikacji dla siebie i swojej rady starszych. Od jak dawna grała już ta kapela rockowa? Od czterdziestu, pięćdziesięciu lat? I ciągle pozostawał w niej jeden i ten sam muzyk, pochodzący z okresu, kiedy jeszcze nie mieli w nazwie dwójki. Taki kamuflaż byłby dla Tizoca idealny. Mógł jeździć po świecie zgodnie ze swoimi potrzebami i nie miałby żadnych kłopotów z transportem materiałów i swoich podwładnych. Kiedy poszedłem dalej, ujrzałem obozowisko ciężarówek, ogrodzone zaporami z kilkoma wartownikami na zewnątrz. Nie było dla mnie problemem odróżnienie, gdzie straż trzymają wynajęci ludzie, a gdzie wewnętrzna ochrona Tizoca.

Nie chciałem zwracać na siebie uwagi, poszedłem więc dalej. Parking ciężarówek był rozległy i praktycznie całkowicie wypełniony. Musieli mnie trzymać gdzieś na samym skraju, w przeciwnym przypadku nie zdołałbym tak łatwo uciec.

Wyjąłem z kieszeni telefon i wybrałem numer Derwisza.

– To ja – powiedziałem bez zbędnych wstępów. – Już wiem, jak ten bękart podróżuje. Z własną grupą AC/DC.

Po drugiej stronie zaległa cisza.

– Jesteś tam? – upewniłem się.

– Tak. Czyś ty zwariował? Gwiazdy rocka są zawsze w świetle reflektorów. Coś takiego by nie przeszło.

– Tizoc nie musi sam hasać po scenie. Załatwia wszystko z drugiego rzędu.

– A dlaczego ta kapela miałyby go słuchać?

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie zauważyłeś, że żyją... żyli tak długo? Tyle pijaństwa, narkotyków i w ogóle – podsunąłem mu.

– Może i tak – nie upierał się.

– To pewne, widzę tu kilka wampirów i mnóstwo glyhenów. Spróbuj odkryć, jakie jeszcze grupy muzyczne mogłyby zapewniać im kryjówkę. Robisz dla mnie przecież poszukiwania – przypominałem.

– Jeśli okaże się, że Tina Turner jest jedną z was, to się zezłoszczę.

Nie wiedziałem, że lubi Tinę Turner. No, chyba aż tak źle nie będzie.

Poszedłem dalej na przystanek. Kiedy czekałem na tramwaj, odezwał się telefon, z którego dzwoniłem do Schnitzzela.

Odebrałem połączenie i słuchałem.

– Możemy się spotkać. Dziś po południu. Najlepiej gdzieś w mieście, gdzie będę kupował wyposażenie. Podam ci adres.

– Nie, ty wyznaczyłeś czas, a ja miejsce – sprzeciwiłem się.

Wybrałem lokal w pobliżu centrum, gdzie szerokie okna zapewniały dobry widok na okolicę. A w razie niebezpieczeństwa możliwość ucieczki przez okno. O ile nie zamontowano tam ostatnio szyb kuloodpornych.

Siedząc nad swoją kawą, wymieniłem przelotne spojrzenia z mniej więcej dwudziestopięcioletnią brunetką. Ładna, z włosami ściągniętymi w koński ogon i ciemnymi, wyrazistymi oczami. Ubrana była w ciemne spodnie, krótki T-shirt odsłaniający część brzucha i półwysokie skórzane buty sportowego fasonu. Paznokcie miała polakierowane na czerwono. Czytała coś, rzucając na mnie od czasu do czasu krótkie spojrzenia. Biorąc pod uwagę moje nędzne ciuchy, stanowiła górną granicę wiekową kobiet, na których mogłem wyrzeć wrażenie. Już zresztą wywarłem.

Schnitzzela nigdzie nie widziałem, wstałem więc i poszedłem do toalety po drugiej stronie sali, przechodząc obok jej stolika.

Czytała książkę, jeśli dobrze odczytałem tytuł, to brzmiał on „Ciemny świt” czy jakoś tak, zamiast zakładki używała karty magnetycznej na nazwisko Natalia Hornova. Chciałem do niej zagadać, ale w ostatniej chwili odwróciła wzrok, tracąc zainteresowanie. Poszedłem dalej i pod drzwiami toalety odwróciłem się. Przy jej stoliku siedział właśnie okazały mięśniak. Przystojny, męski typ. Wioślarz, sztangista, słowem, waga ciężka. Pech.

Schnittzel zdenerwowany i spocony pojawił się mniej niż dziesięć minut potem. Tymczasem znów poczułem silne pragnienie.

– Krwi pan przypadkiem nie przyniósł? – zapytałem głośno.

– Nic pan nie mówił. – Drgnął zaskoczony.

To prawda.

– Co się działo po mojej ucieczce?

Spod oka obserwowałem brunetkę. Rozmawiała ze swoim towarzyszem, ale nie była zbyt zadowolona. Znali się od pewnego czasu i mieli do siebie zaufanie, ich zachowanie wyraźnie na to wskazywało.

– Intensywne śledztwo, kto właściwie zabił Krawcooka.

Okropne nazwisko.

– To był ten, który miał ze mnie wyciągnąć informacje?

– Tak, to on. Mnie się, co dziwne, nikt o nic nie pytał. Słyszałem, że Tizoc był wściekły jak rzadko. Podobno zabił nawet kilku, ehm, swoich ludzi.

– Ma pan na myśli wampirów?

– Tego nie wiem, ale glyhenów na pewno.

Wierzyłem w to, co mówił Schnittzel. Umiejętności, jakie zademonstrował przybysz, graniczyły ze zdolnościami Wielkiego Mistrza. Przynajmniej ja byłem o tym przekonany. To, że Schnittzela o nic nie pytano, również mnie nie zdziwiło. Żaden wampir nie przykładałby w takim przypadku najmniejszej wagi do słów zwykłego człowieka.

– Co pan właściwie robi dla Tizoca? – zmieniłem temat. – Niech pan coś sobie zamówi, wygląda pan na zdenerwowanego. Najlepiej coś słodkiego.

– Gdyby się dowiedział, że z panem współpracuję, zabiłby mnie.

Nic na to nie odpowiedziałem. Nie chciałem rozbudzać jego wyobraźni. Bo w tym przypadku nie chodziło tylko o to, żeby umrzeć, ale również w jaki sposób.

Kelnerka zauważyła w końcu, że przy stoliku przybyła nowa osoba, i przyszła nas obsłużyć. Schnittzel zamówił podwójnego sachera, a ja Bloody Mary.

– Ma pan pragnienie, prawda? – zapytał.

– Skąd pan wie?

– Widzę po objawach. Normalnie ma pan cerę raczej bladą, a teraz panu ściemniała, nawet poczerwieniała, czoło ma pan wilgotne i jest pan pobudzony.

– Nie jestem – odparłem. – Ale co pan teraz robi dla Tizoca? Dokładniej.

– Mówiłem, że jest pan pobudzony.

Aż drgnął na widok mojej miny.

Chłopak właśnie robił brunetce jakieś wymówki, słuchała w milczeniu. To on miał przewagę w tej dyskusji.

– Już mówiłem. Jestem kimś na kształt eksperta naukowego. Doradcą w sprawach nowoczesnej techniki. Doradzam, w jaki sposób wampir jego formatu może ją wykorzystać i stać się jeszcze potężniejszy.

To mnie trochę zmartwiło. Tizoc nawet między nami miał złą opinię, a jeśliby miał stać się jeszcze mocniejszy... Już raz tego próbował i bardzo źle się to skończyło. Utopii we krwi całe narody i spowodował, że pozostali członkowie bractwa nie mieli pożywienia i wymierali. Mnie to nie przeszkadzało, jeszcze nie było mnie wtedy na świecie.

Zjawiła się Krwawa Mary i pan Sacher. Wypiłem połowę i bez ceregieli dolałem do szklanki życiodajnej AB+.

Schnittzel przyglądał się temu z trochę niepewną miną.

– Mam pragnienie, sam to pan powiedział.

Pozwoliłem mu jeść tort, a sam rozmyślałem nad tym, co usłyszałem. My, wampiry, za bardzo nie ufamy nowoczesnej technice, boimy się jej i obawiamy tego, co nam może przynieść. Sam się z tym zmagam każdego dnia, ale pracuję nad sobą, bo samotnikowi nic innego nie pozostaje. Stare wampiry są jeszcze większymi konserwatystami. Ale Tizoc? To szczególnie. Może wyczuwał jakąś korzystną okoliczność, o której ani ja, ani pozostali nie mieliśmy pojęcia.

– Czy ma więcej takich ekspertów? – zadałem kolejne pytanie.

Przystojniak trzymał właśnie młodą kobietę za rękę. Nie czyniła żadnych starań, żeby mu ją wyrwać, ale widać było, że przeszkadzało jej to. Może jeszcze sobie tego nie uświadomiła, lecz ten moment wkrótce nadejdzie.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział z dumą. – Jestem najlepszy i jedyny, którego obdarzył takim zaufaniem.

– Więc dlaczego wasze laboratorium, czy to, gdzie macie siedzibę, znajduje się na samym skraju obozu Tizoca? U nas odpowiednie miejsce jest w samym środku, w centrum klanu, żeby żaden nieprzyjaciel łatwo się do niego nie dostał.

„U nas” było eufemizmem, nigdy przecież nie byłem członkiem klanu, tylko raz przez pewien czas byłem zmuszony pełnić powinności wasala. Ale potem się urwałem – za pomocą stu centnarów prochu strzelniczego i pięćdziesięciu łokci lontu. Zawsze byłem zwolennikiem nowoczesnej techniki, aż do czasów współczesnych.

Teraz czuję się w niej zagubiony.

– Z bardzo prostego powodu. – Schnittzel popatrzył na mnie z powagą.

Nagle oczy uciekły mu w bok i zamarł w tak charakterystyczny sposób, że od razu domyśliłem się, co zobaczył – kobietę.

Odwrociłem się. Była wysoka, z dużymi, ciężkimi piersiami i stosunkowo wąską talią, tylko tyłek mogłaby mieć trochę mniejszy. W długiej sukni, spod której wynurzały się skórzane kozaczki, poruszała się jak królowa. Takie kobiety dawno temu władały mężczyznami, przynajmniej tak mi mówiła dziedziczna część pamięci.

– Mój Boże, taką mieć w łóżku – szepnął prawie nabożnie.

Z niej można by wykroić dwóch Schnitzelów, ale nie powiedziałem tego.

– Jest sama, może pan przecież zacząć rozmowę, popróbować – podsunąłem mu.

Pokręcił tylko głową. To był typ, który tylko marzy, a potem onanizuje się przed pisemkiem erotycznym. Znów trochę wypilem i dopełniłem szklanekę.

Brunetka spojrzała na mnie, sprawiała wrażenie zszokowanej, jej towarzysz powiedział coś głośniej i przestała zwracać na mnie uwagę.

– Z jakiego powodu? – pytałem dalej.

Życie seksualne Schnitzela nie interesowało mnie zupełnie.

– Przywódcy klanów są najstarszymi wampirami – przybrał ton wykładowcy.

Nie całkiem była to prawda, ale nie spierałem się. W każdym razie należeli do grupy najstarszych.

– Mówimy o setkach lat, a w przypadku Tizoca i jemu podobnych może nawet o ponadtysiącletnich wampirach.

Teraz w jego głosie zabrzmiał nabożny podziw.

Sam znałem jednego, który mówił, że był doradcą Piłata. Doradzał mu źle, jak to my, wampiry, zazwyczaj robimy.

– W przeszłości zmiany zachodziły powoli, wampiry łatwo się do nich przystosowywały. Dziś to całkiem co innego, nawet ludzie wobec krótkiego okresu ich życia mają problemy z tempem postępu. Na przykład w czasie rozwoju kolei żelaznej uważano za pewnik, że człowiek jadący z prędkością wyższą niż sześćdziesiąt kilometrów na godzinę musi nieodwołalnie zwariować.

O tym nie wiedziałem.

– Wprowadzenie broni automatycznej podczas pierwszej wojny światowej ograniczone było obawą o niedostatek amunicji, jak również mentalnością oficerów, którzy nie mogli wyobrazić sobie sprawności wytwórczej maszyn stosowanych już wówczas przez fabryki oraz możliwości logistycznych.

Pierwsza światowa była wystarczającym świństwem nawet bez nadmiaru karabinów maszynowych, po wielu latach nadal dobrze to pamiętałem. Ale nie powiedziałem nic.

– Znalazłbym mnóstwo takich przykładów – kontynuował Schnitzel. – Niech pan sobie teraz wyobrazi, jak dzisiejszy świat musi oddziaływać na tysiącletniego osobnika. Bez pozyskiwania mnóstwa umiejętności, bez wpajania nawyków już od dzieciństwa, bez tworzenia podświadomych refleksów, bez przygotowania, które przyswoi tylko młody, niezapisany jeszcze mózg, jest to niemożliwe.

W tym na pewno było ziarno prawdy.

– I dlatego te najstarsze i najmocniejsze wampiry otaczają się młodszymi osobnikami, które lepiej radzą sobie z techniką i ze światem odpowiednim dla czasu ludzkiego. Kiedy i oni się zestarzeją, pojawi się nowy krąg młodych wampirów. Dzięki temu Tizoc komunikuje się ze światem zewnętrznym za pośrednictwem kilku filtrów, które łagodzą ostrze nowej techniki i umożliwiają mu uniknięcie obłądu, równocześnie mogą transformować jego decyzje, oparte na zdobytym przez setki lat doświadczeniu, do nowoczesnego kształtu. Dla korzyści całego klanu.

Schnitzel chyba czyścił Tizocowi buty.

Mówienie o korzyści klanu nie miało sensu. Życie wampira jest trudne. Musi uważać na ludzi, na inne wampiry i w ogóle. Dlatego większość z nich wybiera hierarchię klanową zamiast życia na swobodzie. A hierarchia podporządkowuje wszystko jednemu celowi – korzyści dla tych, którzy są na jej szczycie. Oczywiście, jeśli wiecie im się bardzo dobrze, to i tym na niższych szczeblach powodzi się o wiele lepiej.

– Sądząc po ilości kręgów oddzielających najwyższego w hierarchii wampira od kontaktów ze „światem zewnętrznym, można wnioskować, jak bardzo jest stary – mówił dalej Schnitzel.

To było interesujące. Nigdy mi to nie przyszło do głowy, a przecież o wampirach wiedziałem więcej niż on. Naprawdę nie był głupi. Spróbuję go pociągnąć za język, to może się jeszcze czegoś dowiem.

– Ale przecież Tizoc używa samolotu i innych zdobyczy techniki – zaprotestowałem – a przy tym nie musi wiedzieć, na jakiej zasadzie działają.

– Tak, ale używa ich w okolicznościach przystosowanych do jego potrzeb. Nie musi kupować biletu, wypełniać dokumentów podróжных. Wszystko to wykonują za niego inni.

Trochę mi się to nie wydawało prawdziwe.

– Na przykład Krawcook, to znaczy ten wampir, który pana, ehm, przesłuchiwał – Schnitzel, nazywając moje tortury przesłuchaniem, patrzył w bok – był bardzo doświadczonym zabójcą klanowym. Z tego, co wiem, pamiętał czasy Karola IV.

Moim zdaniem, był starszy, ale nie powiedziałem tego. Jak na człowieka, Schnitzel był doskonale poinformowany. I tego, o czym wiedział, potrafił użyć do dalszej dedukcji. W większości przypadków trafnej.

– Pomiędzy ludźmi poruszał się sam, ale do pracy potrzebował asystentów – powiedział.

– Chce pan powiedzieć, że kiedy kogoś zabił, musieli przyjść inni, którzy zrobili porządek, żeby policja nie natrafiła na jego ślad? – zrozumiałem.

– Tak jakby – przytaknął niechętnie. – No i żeby naprawili uchybienia, których się każdy taki wampir dopuści podczas kontaktów ze światem zewnętrznym.

Pomyślałem o tym przez chwilę. Może rzecz nie polega na niezdolności do przystosowania się, ale na arogancji i braku chęci. Gdy się ma swoje lata, chyba brakuje ochoty do zachowywania się zgodnie z regułami na przykład motyli czy ważek.

– Czy Tizoc rozmawia z panem osobiście? Czy przez pośredników? – zapytałem.

– Osobiście – rozpromienił się Schnitzel.

– A czego konkretnie od pana chce?

– Wprowadzenia do klanu nowoczesnej techniki, wykorzystania wszystkich korzyści, jakie może mu przynieść – odpowiedział szorstko.

Tak szorstko, że podejrzewałem, iż kłamie. Ale tę sprawę zostawiłem na później.

Popatrzyłem przez okno. Podejrzany typ w starym, wyświechtanym płaszczu opierał się o latarnię uliczną, ręce trzymał w kieszeniach, w ramionach był tak szeroki, że głowa pomiędzy nimi sprawiała wrażenie piłki tenisowej.

– Przyszedł pan bez towarzystwa?

– Oczywiście, wybrałem się po zakupy wyposażenia.

– To dobrze. – Kiwnąłem głową, chociaż byłem przekonany, że facet jest cieniem Schnitzela lub jego ochroniarzem.

– Potrzebne mi są jakieś informacje o Mess – powiedziałem.

Schnitzel spojrział na mnie z zaskoczeniem, brunetka ze swym towarzyszem właśnie wychodzili. Popatrzyła jeszcze raz w moją stronę. Uchwyciłem jej spojrzenie i podtrzymałem kontakt wzrokowy, zanim odwróciła oczy. Nie było to dla niej nieprzyjemne, co to, to nie.

– Dlaczego Tizoc tak się nią interesuje, dlaczego myśli, że mógłbym o niej coś więcej wiedzieć?

– Dobrze. – Schnitzel kiwnął głową.

– Niech pan nie zapomni o naszej umowie, ja słowa dotrzymam – przypomniałem mu.

– Prawdopodobnie to wszystko okaże się czystym nieporozumieniem i z pańską pomocą wypłaczymy się z tego całkiem prosto. A pan dostanie to, czego chce.

Zrobił nieco bardziej optymistyczną minę i przytaknął. Potem z szybkością palacza karmiącego nienasyconą maszynę parową wrzucił w siebie obie porcje tortu i wyszedł bez pożegnania. Zostawiłem pieniądze na stoliku i po chwili też wyszedłem. Akurat na czas, żeby zobaczyć, jak facet spod latarni powoli ruszył za Schnitzelem.

Jeśli on mnie zdradził, to dlaczego ten człowiek śledził jego, a nie mnie? Wydawało mi się to bez sensu. Nikogo więcej w pobliżu nie widziałem. Poszedłem za nimi, zgadując, że Schnitzel przyjechał taksówką. Prowadzić auto w Pradze w czasie szczytu komunikacyjnego to żadna przyjemność. Zobaczyłem, że Schnitzel rozgląda się za taksówką, też zacząłem to robić, tyle że miałem pecha, a on szczęście. Prawie od razu zatrzymała się przed nim jedna z nich. Zaledwie otworzył drzwiczki, jak osiłek dopadł go od tyłu i przytrzymał. Schnitzel znieruchomiał. Najprawdopodobniej był sparaliżowany bólem. Nieznajomy wsadził go do wozu z szybkością i łatwością świadczącą o dużej wprawie i sile.

Cholera! Działo się coś nieoczekiwanego.

– Chce pan zarobić pięć tysięcy? – zawołałem do kuriera wychodzącego ze sklepu z odzieżą. Szedł do małego skutera zaparkowanego pod latarnią.

Przyjrzał mi się dokładnie, młody człowiek, nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat.

– Dlaczego nie – zdecydował się.

Weisnąłem mu w dłoń banknot dwutysięczny.

– Za tą taksówką, muszę wiedzieć, gdzie jedzie.

Popatrzył na mnie, na powoli odjeżdżające auto, na banknot w ręce.

– W porządku, ale tylko po mieście. Więcej niż siedemdziesiąt z tego nie wyduszę. A z panem pięćdziesiąt.

Zapuścił silnik, usiadłem za nim na niewielkim kawałku siodełka, jakie mi pozostało.

– Ale mandat za jazdę bez kasku to pan płaci – krzyknął i dodał gazu.

Kluczenie pomiędzy samochodami nigdy nie należało do moich ulubionych zabaw, ale ten chłopak był w tym naprawdę dobry. Tam, gdzie miał kawałek wolnej drogi, bezlitośnie żyłował niewielki silnik na wysokich obrotach tak, że taksówka oddalała się od nas bardzo powoli. W końcu dogoniliśmy ją w sporym korku, ale nastąpiło to już w starej dzielnicy przemysłowej. Kiedy zobaczyłem dwa popękane kominy, zacząłem się domyślać, dokąd

wiozą Schnitzela. Bardzo lubimy takie miejsca, jak odludne cmentarze albo opuszczone fabryki.

– Stanie pan przy tej fabryce, to mi wystarczy – wrzasnąłem kierowcy do ucha.

Kiedy stanął, poczułem, że pieką mnie uda od ciepła wydzielanego przez silnik, wyżyłowany do granic możliwości.

– Tu są pieniądze. – Włożyłem mu do ręki trzy tysiące. – Teraz znika pan stąd i po kłopotcie.

– Dziwny z pana typek. Chyba nie taszczy pan ze sobą rysunków, co? – Wskazał na mój tubus.

– Dokładnie. – Kiwnąłem mu głową i zrobiłem dłonią ruch oznaczający dodanie gazu.

Odjechał, perkocząc motorkiem, a ja przeszedłem przez ulicę, stanąłem pod drzwiami domu mieszkalnego i rozejrzałem się po okolicy. Nikogo nie było w pobliżu, tylko środkiem ulicy truchtał chudy, bezdomny pies, trzymający w pysku jakąś kość.

Mur otaczający teren fabryki wyglądał na zaniedbany, już od ładnych kilku lat nikt go nie naprawiał. Pies zbliżył się, dostrzegł mnie i stanął. To, co trzymał w pysku, było ludzką ręką. Ludzie wyrzucają do śmieci, co im przyjdzie do głowy, ale to wyglądało ciekawie i obiecująco. Zza rogu wynurzył się jakiś mężczyzna, był za daleko, żebym mógł przyjrzeć się dokładniej. Pchnąłem drzwi, zamek puścił i wśliznąłem się do środka. Tego mężczyzny nigdy przedtem nie widziałem, ale tam, gdzie po ulicy biegają psy z ludzkimi resztkami w zębach, tak człowiek, jak i wampir powinien zachować szczególną ostrożność. Mężczyzna podązał za psem, cały czas przemawiając do niego po portugalsku uspokajającym tonem. To była brazylijska odmiana portugalskiego, jak się po chwili zorientowałem. Pies zwolnił, stanął i słuchał, co mężczyzna do niego mówi. W końcu zdecydował, że nie może mu zaufać, i pobiegł dalej. Niestety, za późno. Nieznajomy machnął ręką tak szybko, że z trudem zauważyłem nóż, którym rzucił w psa. Rzucił celnie. Klinga trafiła zwierzę z tyłu w głowę.

Wampir albo doskonale ulepszony glyhen, pomyślałem. Raczej to drugie.

Mężczyzna podszedł do zabitego psa, wyciągnął nóż, wytarł go o psią sierść i schował do pochwy przy pasie. Potem wziął psa w jedną rękę, ucięte lub w inny sposób oddzielone od ciała ramię w drugą i bez pośpiechu wrócił tam, skąd przyszedł – zniknął za rogiem. W kilka sekund później wydało mi się, że słyszę skrzypienie zamykanej bramy.

Pies miał pecha, ukradł kawałek mięsa, które mogło wywołać niepożądaną ciekawość okolicznych mieszkańców. Ten facet zrobił po prostu porządek. To, że pies dostał się do martwego ciała, oznaczało, że nie zachowują specjalnej ostrożności. Aroganci, przywykli do

respektu otoczenia i swojej siły. To się oczywiście liczyło w ich kraju ojczystym – w Ameryce Południowej, zapewne w Brazylii. Nawet jeśli było dyskusyjne.

Na ulicach zaczął się ruch, ludzie wracali z pracy. Dla mnie to było wygodne, obszedłem fabrykę dookoła i stwierdziłem, że są dwie bramy wejściowe. Obie były utrzymane w dobrym stanie, niedawno zabudowane, pomalowane i chyba z nowymi zamkami. Zastanawiałem się, ile Schnitzel ma czasu, zanim się do niego naprawdę wezmą. Chcieli go o coś zapytać, inaczej by go tu nie ciągnęli. Samo wypytywanie nie przyniesie rezultatu, trzeba jeszcze wzbudzić strach przed tym, co dręczyciele mogą zrobić z ofiarą. Schnitzel był tylko człowiekiem, a do tego strachliwym, jeśli wyśpiewa im wszystko od razu, na pewno rzuca go psom.

Stałem i pożałowałem, że nie noszę przy sobie papierosów, byłyby dobrym kamuflażem. Zamiast palić, z zafrasowaną miną szperałem po kieszeniach, rozglądając się uważnie dookoła. Stary mur stwarzał nieprzyjemną przeszkodę, za dnia nie mogłem się tam dostać, z każdego miejsca mogli trafić mnie z jakiejś wielkokalibrowej broni.

* * *

Wszedłem do najbliższego lokalu, zamówiłem coś do jedzenia i piwo. Nie mieli Krwawej Mary ani soku pomidorowego. Zadowolilem się zwyczajną wódką. Nie miałem już ze sobą krwi, w zasadzie nie było potrzeby psuć alkoholu.

Wybrałem numer Derwisza.

– Potrzebuję czegoś – zacząłem bez wstępów. – Czy dasz radę sprawdzić, kto i kiedy kupił... – podałem mu nazwę fabryki, którą zapamiętałem z napisu nad bramą. – Oczywiście oficjalnie może się inaczej nazywać – zwróciłem mu uwagę.

– To żaden problem, zajrzę do katastru. Nad tą drugą sprawą pracuję.

Oddzwonił w półtora kieliszka później.

– Brazylijska firma La Conte. Produkcja i sprzedaż chrupiek dla psów i innych zwierząt. Kupili przed trzema miesiącami.

– To dość czasu, żeby dobrze się zagospodarować – stwierdziłem.

– Dzięki.

Może i wyrabiali psie chrupki, ale nie zachowywali się dobrze wobec zwierząt. Szkoda, że tego nie widzieli zieloni, mogliby im narobić kłopotu.

– Zamawia pan coś jeszcze?

Kelnerka miała ze trzydzieści kilo nadwagi, a biust taki, że mogła na nim postawić kufle, które roznosiła. Pomimo to miałem problem z odwróceniem wzroku od jej szyi.

Znów miałem pragnienie, straszliwe pragnienie.

– Piwo poproszę.

– Jaki uprzejmy. – Uśmiechnęła się do mnie znacząco.

Może myślała, że gapię się na jej piersi. Spóźniłem się o sekundę z kontynuacją rozmowy, postawiła przede mną piwo i dostojnie oddaliła się w głąb sali.

Więcej już nie piłem, zadowolając się kawą i wodą sodową. W końcu zapadł zmrok. Wyszedłem. Teren starej fabryki był oazą ciemności, ulice natomiast jako tako oświetlono. Przez chwilę rozważałem, czy nie zrobić krótkiego spięcia, żeby było zupełnie ciemno, ale później odrzuciłem ten pomysł. Nawet do tej dzielnicy położonej na skraju miasta mogło przyjechać pogotowie energetyczne, a mnie nie zależało na zbędnych świadkach.

Odszedłem nieco dalej od knajpy, przysuwając się do popękanego muru z cegły. Wyjąłem kataną, a tubus oparłem o mur. Miałem nadzieję, że żaden z piwoszy mi go nie obsika. Skupiłem się, zamknąłem i otworzyłem oczy, nocne czarno-białe widzenie zjawilo się łatwiej niż kiedykolwiek przedtem. Mur był wysoki na około trzy metry, więc nie wiedziałem, jak wygląda na górze. Potłuczone szkło bardzo by mi się nie podobało.

Zgiąłem nogi w kolanach i wyskoczyłem do góry, złapałem się nierównego grzbietu muru, podciągnąłem i miękko wylądowałem w kucki na szczycie. Usłyszałem tylko jeden spadający kamyk.

Całkiem niezły wyczyn.

Wciągałem w nozdrza chłodne powietrze pełne zapachów wielkiego miasta i ostrożnie się rozejrzałem. Ostrożnie, żeby nie utracić nocnego widzenia. W otaczającej mnie szarości majaczyły ciemniejsze zarysy hal fabrycznych i budynków pomocniczych, przestrzenie pomiędzy nimi wypełniała atramentowa czerń.

Znowu, jeszcze staranniej obwąchałem powietrze. Żadnego zapachu olejów, obrabianego metalu, plastiku czy czegoś podobnego, co świadczyłoby o tym, że coś się tu wytwarza. Nawet chrupek dla psów. Wyczułem za to inne zapachy, bardzo słabe, ale dobrze mi znane – krew, gnijące mięso, odchody. Jeszcze raz się rozejrzałem, wydawało mi się, że na ciemnym kształcie jednego z dalej stojących budynków widzę odbłask światła. Przynajmniej wiedziałem teraz, w którą stronę powinienem pójść.

Zeskoczyłem z muru i ruszyłem w stronę światła. Zapach śmierci nasilał się. Idąc, wymijałem szczątki na wpół spróchniałych skrzyń drewnianych, zardzewiałe śruby i różne odpady przemysłowe. Odór stał się tak intensywny, że dosłownie bił w nos. Zaprowadził mnie na centralny plac przed bramą. Na jego skraju znalazłem świeżo zasypaną jamę i kopczyk pozostałej gliny. Gdy się zasypuje grób, zawsze część wykopanej ziemi zostaje.

Kogoś tu pogrzebali, to było jasne, ale chciałem się dowiedzieć kogo. Na szczęście byli leniwi i pierwsze ciało znalazłem tuż pod powierzchnią. Mięso było w większej części ogryzione, na nogach zostały stare, rozdeptane buciska. Reszta ubrania wiele mi nie powiedziała. Popatrzyłem na nędzne obuwie i tylko jedno przyszło mi do głowy – bezdomny albo squatter nocujący w opuszczonej fabryce. A więc nowi nabywcy oczyścili teren. Mogli to zrobić dość łatwo za pomocą istniejącego prawa, ale oni posłużyli się brutalną siłą. Pewni siebie i swojej siły, to już wiedziałem.

Ale kto ogryzł ciała? Gdy się nad tym zastanawiałem, dał się słyszeć świst stali przecinającej powietrze. Ciąłem, pozostając w pozycji klęczącej, do tyłu za siebie, tak mocno, że aż się odwróciłem. Klinga natrafiła na opór i przeszła na wskroś. Z niskiej pozycji ciąłem ukośnie w górę, w drugi czarny cień, lecący na mnie zbyt szybko, w ostatniej chwili wykonałem unik. Ale czy trafiłem?

Napastnik upadł na ziemię i już się nie podniósł, a ja dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że nie chybiłem i dokładnie według zamysłu rozciąłem mu pierś, dosięgając serca. Przecież było ich dwóch, pomyślałem, przypominając sobie swój pierwszy atak, będący w gruncie rzeczy obroną. Dwa ogromne psy. Nie powinny zbliżyć się do mnie niepostrzeżenie, musiały być specjalnie tresowane. Przyjrzałem im się dokładnie.

Mocno umięśnione, z szerokimi pierściami i długimi nogami. Mordy miały nadzwyczaj masywne i nieforemne, bardziej przypominające pysk hieny niż psa. Jednemu otworzyłem paszczę. Była pełna zębów. Ostrych, trójkątnych szpiców niemających nic wspólnego z normalnym uzębieniem psa. Raczej rekina. Te zęby miały za zadanie przegryzać kości i wrywać całe kończyny. W walce z wampirami? Czy z samymi tylko ludźmi?

Pochwę katany wsadziłem za pas i poszedłem dalej. Przed budynkiem, do którego zmierzałem, parkowała ciężarówka, a na ziemi poniewierało się mnóstwo waty izolującej dźwięki. Byli tak pełni względów dla sąsiedztwa, że nie chcieli, aby efekty towarzyszące ich pracy zakłócały spokój w okolicy. To doprawdy godne pochwały.

Żadna większa budowa nie może mieć tylko jednego wyjścia. Dobrze o tym wiedziałem. Ruszyłem wzdłuż ściany, szukając drzwi albo bramy.

Znalazłem je bez większych problemów i wszedłem do środka. Przeszedłem przez kilka korytarzy, w których panowały takie ciemności, że nawet ja musiałem poruszać się po omacku, dotarłem do drzwi, spod których sączyło się światło. Alleluja, wreszcie na miejscu.

Nie zastanawiając się długo, otworzyłem.

Schnittzel stał na palcach uwiązany do łańcucha przerzuconego przez poziomą belkę, mogącą utrzymać daleko cięższe ładunki. Na kuchence gazowej bulgotało coś w garnkach,

dwóch mężczyzn krzątało się przy wielkich skrzyniach wyścielonych sianem. Co właściwie robili, tego nie widziałem. Z dużego kwadratowego otworu w podłodze dobiegał stłumiony szelest.

Zajęci pracą nie zauważyli mnie. Ruszyłem prosto ku nim, kataną trzymałem przy sobie, żeby ich zbytnio nie zaniepokoić. Nadmierny stres źle służy zdrowiu. Czytałem o tym.

Pomimo że nie robiłem więcej hałasu niż powietrze w pustej szklance, spojrzeli na mnie, zaledwie przebyłem połowę drogi. Gdybym nie widział incydentu z psem na ulicy, mogliby mnie dostać. A tak rzucony nóż brzęknął odbity mieczem, a przed shurikenem zrobiłem unik.

Popatrzyli po sobie.

– Przynajmniej będzie trochę zabawy – zrozumiałem ich portugalski.

Wybrałem tego z lewej strony, moje wzmocnione podeszwy butów zaskrzypiały, gdy ruszyłem do ataku. Skracając dystans, obniżyłem nieco środek ciężkości, ostatni krok wydłużyłem, przyśpieszając równocześnie. Wykonałem cięcie, ale była to tylko finta do wypadu. Pchnięcia uniknął odskokiem. W jego ręce pojawił się ciężki tasak. Nie zatrzymując się, kontynuowałem atak odwrotnym cięciem i trafiłem go. Bez skutku, jakbym próbował rąbać dębinę. Przesunąłem się tak, żeby go mieć między sobą a jego partnerem, który zbliżał się bez pośpiechu, trzymając w obu dłoniach coś, co na pierwszy rzut oka przypominało klamry służące do łączenia elementów drewnianych.

Moje kolejne cięcie zostało w ostatniej chwili wstrzymane, żebym mógł płynnie przejść do kończącego pchnięcia. Ale coś eksplodowało mi na żebrach, wyciskając ze mnie całe powietrze. Z pewnością wyrządziło też jakieś dalsze szkody. Prawie mnie sparaliżowało. Powietrze nagle zgęstniało, widziałem, jak zbliża się do mnie sztych tasaka. Chciał mnie pchnąć, a potem rozciąć. Z najwyższym trudem odbiłem jego cios z wypadu na bok, już trzymał w ręce żelazną kulę na łańcuchu, która jakimś cudem wyskoczyła mu z rękawa. Wpadliśmy na siebie, nie broniłem się przed tym, wykonałem tylko obrót, katana świsnęła poziomo, jej odgłos brzmiał w moich uszach jak głuchy grzmot. On również odwrócił się, ale niedostatecznie szybko. Ciąłem go przez plecy, wystarczająco silnie, żeby przeciąć kręgi. Na nic więcej nie miałem czasu, zagięta klamra, czy raczej niezwykle miecz z hakiem na końcu, prześliznęła się po moim boku. Zabolało okropnie, ale hak nie wbił się wystarczająco głęboko, żeby napastnik przyciągnął mnie do siebie. Wykonałem błyskawiczny obrót, aby zwiększyć dystans i ustabilizować postawę, natychmiast zareagował, starając się mnie doścignąć. Był szybki, może nawet szybszy niż ja, i wiedział, jak walczyć z wampirami. Prawą ręką dotknąłem podłogi, już czułem zagięte ostrze mierzące mi w kark. Poczekałem, aż

podeszwy chwyć dobry kontakt z podłogą, i odbiłem się w odwrotną stronę. Praktycznie z jednego kierunku obrotu przeszedłem do przeciwnego. Kolano zatrzeszczało z wysiłku, ale wytrzymało, a haki mnie ominęły. Prawie natychmiast zrozumiał, co zrobiłem, ale w tym momencie już wyprowadzałem cięcie z rotacji, jedną ręką, niezbyt mocno, prosto na gardło. Skoczyłem na obie nogi i ciąłem powtórnie. Krwawy wytrysk znalazł sobie ujście na zewnątrz. Później Visio in Extremis nagle się skończyło i bieg wydarzeń przyspieszył. Nadal trzymał się na nogach i szedł na mnie. Cofnąłem się o jeden krok, potem o drugi, ale on dalej na mnie szedł, z uporem w spojrzeniu, z bronią w pogotowiu. Już nie miałem dokąd się cofnąć, hak był blisko mojego niczym niechronionego brzucha. Instynktownie napiąłem mięśnie, jak się okazało, zbyt mocno. Nagle upadł na podłogę.

Ja utrzymywałem się na nogach.

Popatrzyłem na Schnitzela. Wyglądał źle, ale wydawało mi się, że moje zwycięstwo przywraca mu chęć do życia.

Szuranie z podziemia przybliżyło się. Ktoś coś powiedział, ale tak seplenił, że nie rozumiałem ani jednego słowa. Nie wyglądało to dobrze.

Schody zazgrzytały... Stalowe schody głośno zazgrzytały. Źle to wyglądało.

Z podziemia wygramoliło się na wpół ludzkie monstrum z ramionami szerokości szafy i dwiema parami rąk. Obie były połączone z nienaturalnych rozmiarów stawami barkowymi, zmodyfikowane i przerośnięte mięśnie sprawiały wrażenie wychodzących z górnej części korpusu. Całość wyglądała jak dzieło pijanego chirurga, który po kilku szklaneczkach popadł w twórczy zapał. Ale to coś działało. Monstrum spojrzało na mnie, na trupy leżące na podłodze i położyło ręce na broni wykonanej z grubych żelaznych profili typu I. W każdej dłoni trzymało solidny drąg, czy raczej żelazny kij.

Nie mogłem czekać.

Doskoczyłem, omijając jego żelazną broń, i ciąłem ukośnie w pierś od ramion po biodro, później nisko, przy podłodze obszedłem go półkolem, podeszwy skrzypiały, a ja śledziłem szybkość jego ruchów. Kawał żelaza zburzył mi fryzurę, może przy okazji jeszcze coś innego. Nawet się nie zachwiałem, odwrotny kierunek naszych obrotów sprawił, że przez moment byliśmy odwróceny do siebie plecami. Kataną miałem w pogotowiu i z całą siłą, do jakiej byłem zdolny, pchnąłem go od tyłu. Klinga natrafiła na niespodziewany opór, wnikając w plecy nie głębiej niż na dwa, trzy centymetry. Mój silny napór spowodował, że wygięła się w łuk, aż rękojeść wyskoczyła mi z dłoni. Rzuciłem się do przodu, żeby złapać oddech, ale zanim się odbiłem, uderzenie w ramię zważyło mnie na podłogę, w zwolnionym widzeniu

zobaczyłem, jak miecz tkwiący w plecach przeciwnika powoli powraca do normalnego kształtu. Musiał być z kamienia, inaczej byłoby to niemożliwe.

Niewyraźnie widoczny z powodu niewiarygodnej szybkości, koniec dwumetrowego drąga zbliżał się do mojej głowy. Sięgnąłem po pistolet, uchyliłem się o kilka centymetrów, schodząc mu z drogi, ale wszystko trwało bardzo długo i nie miałem pewności, jaki będzie ostateczny rezultat moich usiłowań. Tak gwałtownie wyszarpnąłem broń z kabury, że aż zabolął mnie nadgarstek. Uderzenie żelaznego kija wykrzesало z podłogi snop iskier, niektóre trafiły mnie prosto w twarz, następne żelazne drągi zbliżały się w doskonale zsynchronizowanym ataku. Jak przy młóceniu zboża. Tylko że tu nie chodziło o zboże, lecz o moją czaszkę.

Nacisnąłem spust, kurek poruszył się denerwująco wolno, spadł, zamek cofnął się, z lufy wytrysnął strumień ognia, odniosłem wrażenie, że coś urwało mi nogę, i wreszcie ujrzałem lecący w powietrzu pocisk.

Trafiłem monstrum w pierś, ale nic się nie wydarzyło. Strzelałem dalej, celując w to samo miejsce. Na chwilę przerwał atak, ale zaraz znów ruszył, uderzając mnie w brzuch, jednak już z nie taką zabójczą mocą. Czwartej pałki mierzącej w głowę udało mi się uniknąć, odchylając się w tył. Nagle ładunki umieszczone w pociskach zaczęły eksplodować, wrywając mu w kadłubie co najmniej trzydziesto-centymetrową dziurę. Zatrzymał się, pochylił, chcąc sprawdzić, co mu się właściwie stało, przez chwilę gapił się na powstały krater, wreszcie powoli, niechętnie upadł na podłogę. Nie wiedziałem, gdzie ma mózg, ale podpełzłem do niego i dla pewności strzeliłem mu dwukrotnie w każde oko. To był jego koniec, pozostał na miejscu bez ruchu. Wtedy usłyszałem zduszone wrzaski Schnitzela.

* * *

Za wszelką cenę musiałem się napić. Może będą tu mieli jakąś krew?

Minęła cała wieczność, zanim zdołałem usiąść. Krew z rozbitej głowy zalewała mi oczy, widok okulawionej nogi również nie pomagał. Dobrze chociaż, że nie rozwalił mi kolana. Co do brzucha, jasne było, że będę musiał kupić nowe ubranie. Odkryłem ranę, była długa, o nierównych krawędziach, ale płytka, tym razem nie będę musiał wtykać wnętrzości z powrotem.

– Trzymaj się pan! – zawołałem do Schnitzela.

Już nie wyglądał na wystraszonego, obserwował mnie uważnie.

Wstałem i opierając się na jednym z żelaznych drągów, zacząłem kuśtykać po okolicy. W różnych skrzyniach znalazłem niedawno przywiezione wyposażenie i narzędzia – pozostałości po dawnej produkcji. Krew odkryłem w ogromnej szafie chłodniczej

pomalowanej farbą khaki. Oraz tego, do którego pierwotnie należała. Wisiał na haku, wypatroszony, pozbawiony skóry, ale jeszcze niepodzielony na porcje. Opadłem na podłogę, jeszcze wewnątrz lodówki otworzyłem półlitrowe opakowanie i ostrożnie zacząłem popijać. Obawiałem się, że ból z odniesionych ran nie pozwoli mi utrzymać krwi w żołądku. Ta powściągliwość była chyba gorsza niż niedawna walka. Opanowałem się jednak i wreszcie przyszła kolej na następne sprawy. Schnitzel patrzył na mnie, ale nie domagał się, żebym go jak najszybciej uwolnił. Zapewne rozumiał, że najpierw muszę zadbać o siebie.

Wypełzłem z chłodziarki, natrafiłem na stary, zapomniany młotek i jego wygładzoną drewnianą rękojeść wsadziłem sobie między zęby. Potem najlepiej jak umiałem nastawiłem kości złamanej nogi, ująłem ją w dwie deseczki z rozbitej skrzyni i owinąłem leżącą w pobliżu taśmą techniczną, tworząc prowizoryczne łubki.

Ocknąłem się, leżąc przed wejściem do chłodziarki, z której nieboszczyk patrzył na mnie z wyrzutem. Musiałem zemdleć, a to nie przytrafia mi się często. Wypiłem jeszcze jedno opakowanie krwi i dopiero wtedy zdołałem dowlec się do Schnitzela.

Wyglądał na zrezygnowanego, chyba byłem nieprzytomny dłużej, niż mi się wydawało.

Klnąc na czym świat stoi, zdjąłem go z łańcucha, a on natychmiast upadł na podłogę.

Z trudem łapałem oddech, przyglądając się, jak bada językiem wargi i zęby, obmacuje ślady po więzach na rękach i nogach.

Po przeżytych napięciu trochę się trząsł, ale nie był załamany.

– Wie pan, co to za jedni? – udało mi się sklecić zdanie.

– Nie, nie mam pojęcia. – Pokręcił głową, spoglądając w stronę zabitego monstrum o czterech ramionach.

Za żadną cenę nie chciałem w Pradze wojny klanów, ale wyglądało na to, że już tylko krok mnie od niej dzieli. Co to za jedni, do kurwy nędzy?

– Dysponuje pan zdolnością błyskawicznego widzenia i reakcji, prawda?

Zrozumiałem, że ma na myśli Visio in Extremis.

Noga bolała mnie coraz mocniej, do tego dołączyła się gorączka.

– No tak, każdy z nas ma taką zdolność.

– Ale nie każdy umie ją utrzymać tak długo jak pan. W tym stanie można się znajdować tylko przez ułamek sekundy, najwyżej sekundę, i to tylko w razie niezwykłego zagrożenia. Właśnie dlatego takie błyskawiczne widzenie nazywa się Visio in Extremis, nie?

Wyglądało na to, że o wampirach wie jednak więcej ode mnie. Może dlatego, że nie byłem zbyt towarzyski i niewiele miałem wspólnego z moimi pobratymcami.

– Myślałem, że młode wampiry nazywają to błyskawicznym lub błyskowym widzeniem, bo widzą błyski towarzyszące pociskom wylatującym z lufy – powiedziałem i zacisnąłem zęby, żeby nie szczękały.

Spotkałem kiedyś szczeniaka, który nazywał tę zdolność *bullet time*. Nie rozumiałem dlaczego.

– Widzi pan pociski opuszczające lufę? – zapytał Schnitzel ze zdziwieniem. – Taką zdolność mają dopiero starsze wampiry! Ujawnia się ona po okresie nie mniejszym niż pięćset lat!

– Nic mnie to nie obchodzi – warknąłem. – Niech mi pan przyniesie krew i coś do jedzenia. Najlepiej mięso. Ale nie z tego trupa w chłodni, ludzi nie jadam.

Chociaż mógłbym, zdobycz to zdobycz, zwierzyna łowna. Ale wydawało mi się to obrzydliwe. Tak jak niektórym ludziom jedzenie małp. Niektórym.

– Oczywiście zaczyna się regeneracja. Dlatego podskoczyła panu temperatura, w celu przyspieszenia procesu. Powinien pan się czymś okryć, utrata ciepła pana osłabia.

Schnitzel był naprawdę sprytny i posłuchałem go.

– Ma pan też wzmożone zapotrzebowanie na białko, potrzebuje pan materiału.

– No to niech mi pan coś przyniesie albo będę musiał zjeść pana.

– Zaszczekałem zębami.

Jeśli miałby zamiar mnie zabić, to teraz była ku temu najlepsza okazja.

Z innej lodówki, której nie zauważyłem, przyniósł jakieś normalne jedzenie, które ostrożnie zacząłem zjadać.

– Co oni tu właściwie robili? – zapytał, zaglądając do podziemia.

Nadal dochodziły stamtąd stłumione odgłosy niewiadomego pochodzenia, ale ponieważ nikt nie wyłaził, miałem nadzieję, że nadal tak będzie. Zresztą nic innego mi nie pozostawało.

* * *

Otworzyłem oczy i zobaczyłem Schnitzela pochylonego nade mną, z peseta i lusterkiem dentystycznym w ręce. Co ten idiota zamierzał zrobić?

– Co robisz, do cholery? – warknąłem na niego.

Odskoczył przestraszony.

– Myślałem, że pan nie żyje! Nie reagował pan na nic. Był pan zimny jak lód i nie oddychał – tłumaczył się pośpiesznie.

– Czuję się tak, jakbym nie żył – powiedziałem, wstając.

Noga mnie bolała, ale mogłem na niej ustać. Nabiłem pistolet, uniosłem miecz i wskazałem nim wejście do podziemnej części fabryki.

– Obejrzymy to i znikniemy stąd.

Schnittzel nie miał specjalnej ochoty schodzić na dół, ale wołałem nie zostawiać go na górze. Razem zeszliliśmy po stalowych schodach, on z latarką, ja z aktywowanym nocnym widzeniem. Trudno było stwierdzić, do czego podziemna hala służyła dawniej. Teraz wypełniono ją małymi sześcianami, obłożonymi cieńszą lub grubszą warstwą waty izolacyjnej. Z każdego wystawała rura doprowadzająca powietrze, a z boku znajdował się zarys drzwiczek.

– Co to jest? – nie mógł zrozumieć Schnittzel.

Ja już wiedziałem.

Odciągnąłem watę z miejsca, gdzie powinny być drzwiczki, i zajrzałem do środka przez małe okienko.

Na gołej podłodze leżał mężczyzna z dwoma parami rąk. Lżej szał i sprawiająca wrażenie cywilnej wersja tego, któremu wystrzeliłem dziurę w korpusie. Jedna para ramion nie była jeszcze w pełni rozwinięta. Żadna z nich nie wyglądała na jego własną. Jeśli ten facet się postara, to będzie mógł później chodzić w płaszczu o poszerzonych ramionach pomiędzy zwykłymi ludźmi.

W innym pojemniku znalazłem psa. Raczej pumę, jeszcze groźniejszą wersję tych psów bojowych, które zaskoczyły mnie na zewnątrz.

– Tu wytwarza się glyheny – pojął wreszcie Schnittzel.

Do ścian przymocowane były tablice z notatkami wypisanymi kredą w obcym języku. Nie znałem go. Od wampirów oczekiwałbym raczej łaciny, naszego języka międzynarodowego. A to wyglądało jak francuski z dodatkiem pisma obrazkowego.

– I wytwarza się je bardzo starym sposobem. Jak również bardzo dobrze – zgodziłem się.

Niewiele brakowało, a byliby mnie dostali. Nigdy nie spotkałem tak dobrych wytwórców, ani też nigdy o takich nie słyszałem.

– Co z nimi zrobimy? – zapytał Schnittzel.

Najlepiej byłoby je pozabijać, bo wytwarzanie glyhenów zawsze zaczyna się od tego samego, od wszczępienia im lojalności. Może się to wydawać niewiarygodne, ale większość ludzi decyduje się na to dobrowolnie, mając na uwadze jakieś korzyści. Glyheny wytworzone pod przymusem mają zazwyczaj mocno ograniczony intelekt i minimalną zdolność do rozrodu.

– Nic. – Pokręciłem głową. – Przyjrzymy się jeszcze zabitym i wynosimy się. Już dość długo się tu kręcimy.

Schnittzel nie bardzo się do tego kwapił, ale przy rozbieraniu i oglądaniu ciał wykazał się dużą zręcznością. Zabici nawet po śmierci mieli twarde mięśnie, jakby ktoś je uzupełnił drewnem dębowym. Kości mieli o wiele masywniejsze niż u zwykłych ludzi. Schnittzel użył skalpela, który wyczarował z głębi kieszeni mocno już sfatygowanej marynarki, ale szło mu ciężko, a ja nie zaoferowałem pomocy.

– Ciekawe – pomrukiwał – struktura włóknista jak u was, ale mocniejsza, pewnie nie pozwala na osiągnięcie takiej szczytowej sprawności maksymalnej jak wasza, ale na dłuższą metę przewyższa ludzką. Może z precyzyjną koordynacją jest trochę gorzej.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „jak u was”? – zapytałem.

W zgięciu łokcia jednego z nich odkryłem niewielki znak. Wyglądał jak duża litera H, kropka a za nią rzymska trzynastka. Schnittzel był wyraźnie zadowolony, że coś odwróciło moją uwagę, i milczał. Zapewne powiedział coś, czego nie powinienem słyszeć.

– No mów pan – popędziłem go.

Jego twarz była czytelna jak reklama proszku do prania, widziałem, że zamierza kłamać.

Podniosłem kataną, powoli przyłożyłem ostrze do jego szyi. Zrobiłem to z takim spokojem, że go to zaskoczyło.

– Zawarliśmy umowę, jedziemy na jednym wózku. Ale pamiętaj, jesteś człowiekiem, dla mnie tylko zwierzyną łowną. Nawet oni – wskazałem na martwych glyhenów – są mi bliżsi. Jeśli będziesz coś przede mną ukrywał... – Lekko poruszyłem ręką i na szyi pojawiła się kropla krwi.

Oblizalem się.

Cholera, ależ miałem pragnienie.

– Ehm – zbladł, głowę trzymał prosto i nie odważył się nią poruszyć. – To wymaga dłuższych wyjaśnień.

Czekałem bez ruchu, obserwując kroplę krwi ściekającą po szyi.

Wreszcie zrozumiał, że nie mam zamiaru się śpieszyć.

– Czy pomyślał pan kiedyś, dlaczego jest pan tym, czym jest? Wampirem?

– Ugryzł mnie inny wampir – oświadczyłem i dla pewności odsunąłem kataną od jego szyi.

– To na pewno. – Machnął ręką. – Ale co faktycznie przemieniło pana w wampira? Co spowodowało tę przemianę?

Nigdy się nad tym zbyt nie zastanawiałem, dorastałem w czasach, kiedy powszechnie wierzono w wampiry, wilkołaki, potwory z bagien, Boga Wszechmogącego. Wierzyłem w Niego do czasu, kiedy stało się ze mną to, co się stało. Nawyki wpojone młodemu człowiekowi zostają na dłużej.

– Jest pan zainfekowany pasożytem czy czymś pozostającym z panem w symbiozie, nazwa zależy od punktu widzenia.

Zapomniał o strachu, był zaangażowany i podniecony.

– Wyhodowanym w jakimś laboratorium? Czy może pochodzenia pozaziemskiego? – zapytałem.

Widziałem kilka filmów o podobnej tematyce. Nigdy jednak nie czułem w sobie niczego obcego ani nie wyskoczył mi z brzucha niezniszczalny intruz.

– W laboratorium oczywiście nie, to jest z nami od ponad tysiąca lat. Z kosmosu? Tego nie mogę potwierdzić ani nie mogę temu zaprzeczyć.

Schnittzel przez chwilę szukał właściwego słowa.

– Ma pan w sobie coś, co stopniowo pana zmienia. I zapewnia panu zdolności rozwijające się z wiekiem. U każdego wampira przebiega to inaczej i z inną intensywnością, to zależy od osobistej dyspozycji, a prawdopodobnie również od starań o ich postęp.

Staralem się słuchać go uważnie, usiłując przypomnieć sobie, czy widziałem już gdzieś takie oznakowanie cechą Wielkiego Mistrza, jakie odkryłem u zabitego. Raczej nie, ale nie byłem tego pewny.

– Na przykład siła, którą pan może wykorzystać przez krótki okres. Jeśli jest panu potrzebna, a raczej kiedy pańska podświadomość uzna, że jest potrzebna.

Brzmiało to interesująco.

– W ciałach wampirów wytwarza się wtórna nerwomotoryczna struktura, w zasadzie kopiująca strukturę mięśniową, ale oparta na innej bazie. Można powiedzieć, że ta struktura jest nieco podobna do krystalicznej.

Nie wiedziałem, o co Schnittzelowi chodzi, lecz jemu to nie przeszkadzało, mówił dalej, pełen naukowego entuzjazmu.

– Ta struktura zajmuje minimalną objętość. Ale dzięki temu, że jest zdolna wytworzyć w poprzecznym przekroju o kilka poziomów wyższe napięcie niż normalne umięśnienie biologiczne, na krótką metę wyraźnie zwiększa pańską siłę fizyczną.

Nie czułem się aktualnie dwukrotnie silniejszy, miałem natomiast uczucie, że siedzimy w tym miejscu już bardzo długo. Ci trzej na pewno nie byli jedynymi.

– Znikamy stąd – zdecydowałem.

Na odchodnym wziąłem jeszcze dwa plastikowe worki z krwią. Cóż, pragnienie.

* * *

Powietrze na zewnątrz pachniało wyśmienicie, jakbym nim nie oddychał od kilku miesięcy, a nie od kilku godzin. Do świtu jeszcze trochę brakowało. Niektóre noce są po prostu długie.

Rozstaliśmy się od razu na pierwszym skrzyżowaniu. Kuśtykałem blisko ścian, walcząc o każdy krok, Schnitzelowi prawie natychmiast trafiła się wolna taksówka. Ludzie jednak mają na świecie łatwiej.

Musiałem odpocząć, i to porządnie, a przede wszystkim pomyśleć, co robić dalej. Przywołałem w myśli plan Pragi. Nawet najbliższe mieszkanie, które utrzymywałem na wypadek sytuacji awaryjnej, znajdowało się zbyt daleko. Kiedy się rozwidni, zakrwawiony, w podartym ubraniu zacznę budzić powszechnie zainteresowanie. Nie pozostawało mi nic innego, niż zaryzykować i złapać nocny tramwaj. Znowu zaczynałem się trząść, niech to diabli.

Usiadłem w tyle wozu, odwróciłem się do okna, żeby nie było mnie dobrze widać, miecz ująłem pomiędzy kolana i zwracałem baczną uwagę, żeby nie rozpięła mi się kurtka, odkrywając pistolet.

– Pana bilet poproszę – obudził mnie z drzemki czyjś głos.

Jak pech, to pech. Na następnym przystanku miałem wysiąść. Podniosłem głowę i popatrzyłem na kontrolera.

Nie wiem, co zobaczył w mojej twarzy, ale zbladł i cofnął się o dwa kroki. Tramwaj szarpnął, niewiele brakowało, żeby facet się przewrócił.

– Nic panu nie jest? Może zawołać pogotowie? – wybełkotał.

– Niech się pan nie boi, na następnym przystanku wysiadam. Umrę dopiero na ulicy – uspokoiłem go, wcale przy tym nie przesadzając.

Zaraz potem stałem na wysepce, a za mną zamykały się drzwi tramwaju. Uświadomiłem sobie, że trawiony gorączką pojechałem nie do zapasowego mieszkania, ale do tego, w którym ostatnimi czasy mieszkałem. Dlaczego nie? Podobno najciemniej pod latarnią.

Wszedłem do środka, wypłem resztę krwi i tak jak stałem, zwałem się na łóżko.

* * *

Obudziła mnie woń kawy i dymu papierosowego. Radio podawało listę środków bezpieczeństwa, jakie zostaną w najbliższych dniach wprowadzone z powodu spotkania światowych polityków i które bez wątpienia utrudnią życie mieszkańcom Pragi. W kuchni

ktos się poruszał, a ja leżałem na łóżku w butach, zakrwawionym i podartym ubraniu, z pistoletem na nocnym stoliku i mieczem w dłoni.

– Derwisz? – zawołałem.

– Chcesz tylko kawę czy coś jeszcze? – usłyszałem.

– Jajecznice – wpadłem na pomysł – całą michę jajecznicy. I podwójną porcję Bloody Mary.

Obok mnie leżał woreczek krwi, którego jeszcze nie wypilem. Po pierwszym łyku zamknąłem go z niesmakiem. Już zdążyła się zepsuć.

Kulejąc, doszedłem do łazienki, wziąłem prysznic i obejrzałem ranę, która mimo mojego złego stanu goiła się nad podziw dobrze. Noga była prawie w porządku, innych obrażeń nie dostrzegłem. Tylko w lustrze zobaczyłem szkielet z zapadniętymi oczami.

Z łazienki wyszedłem akurat na czas, żeby mnie powitała miska parującej jajecznicy, duża szklanica pełna czerwonej cieczy, ze śladami pieprzu i soli na brzegach. Derwisz zapalił kolejnego papierosa i wyglądał na zadowolonego.

– Jak na gospozię, jesteś wcale niezły – pochwaliłem go.

– Lata praktyki, zanim poznałem Peggy.

– Jak ona się miewa? – zapytałem.

Uświadomiłem sobie, że nie pytam tylko tak, bo kiedyś uratowałem jej życie, czułem jakąś więź z jej osobą, pewną specyficzną życzliwość. Może też z powodu Derwisza?

– Powiedziałem, że pracuję dla ciebie i że dobrze płacisz. Obiecałem jej również długie, egzotyczne wakacje.

– I była zadowolona?

– Powiedziała, żebym na siebie uważał.

To była stosowna odpowiedź. Ale trudno na siebie uważać, kiedy ma się do czynienia z czterorękim potworem, który za nic nie chce umrzeć.

– Skąd wiedziałeś, że mnie tu znajdziesz?

– Dzwoniłem do ciebie w nocy, powiedziałeś, żebym tu przyjechał.

Nie pamiętałem tego, tak jak mnóstwa innych rzeczy.

– OK, co dla mnie masz?

Bez tego by nie telefonował.

– Wyśledziłem tego Brazylijczyka, który kupił fabrykę. Poprzez firmę La Conte.

Nie zapytałem, jak tego dokonał, opychałem się jajecznicą i popijałem Bloody Mary. W lodówce, za mięsem, miałem schowany jeden woreczek krwi i z początku chciałem domieszać ją do drinka. Ale nie zrobiłem tego. Lepiej jedno po drugim.

– Wszystko wskazuje na to, że mieszka w hotelu Hilton.

Czekałem na dalszy ciąg. Sporo ludzi mieszka w tym hotelu.

– Na tych piętrach, które zajmuje grupa AC/DC i ich zespół techniczny na czas koncertu w Pradze – oświadczył Derwisz, nie mając pojęcia, jaka to dla mnie niespodzianka.

Aż mi szczęka opadła. To nie miało sensu. Dlaczego podległy Tizocowi wampir, prawdopodobnie bardzo wysoko postawiony w hierarchii, uprowadzał ludzkiego sługę tegoż Tizoca? Chyba że Schnitzel nie był zwyczajnym sługą. Ludzie w oczach tysiącletnich wampirów zawsze są tylko sługami. A dla Tizoca znaczyli mniej niż kurz uliczny, nie uważał ich nawet za pożywienie, od którego zresztą zależało jego życie.

– Coś ci się w tym nie podoba, mam rację? – zapytał Derwisz.

Nie musiał o tym wiedzieć, nawet nie miał prawa. Ale ryzykował życie, jak również życie swojej żony i dziecka, chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy.

– Kiedy ci powiem, że trzeba, pojedziesz na wakacje, jak ustaliliśmy, zgoda?

– Jasne – przytaknął.

– Tizoc ma złą opinię, mówiąc między nami. Kilkaset lat temu w Ameryce Południowej zdecydował się wziąć sprawy w swoje ręce, stał się władcą, bogiem zstępującym z niebios na ziemię. Ujarzmił połowę kontynentu i ogromną ilość plemion, całe indiańskie narody. I zaczął składać krwawe ofiary tylko dla swojej przyjemności. Nie wystarczał mu jeden, dwóch, czy kilku ludzi do zaspokojenia głodu i pragnienia. Padło mu na mózg i żądał tysięcy, dziesiątków tysięcy ofiar. Dokonał takiego spustoszenia, że spowodował sytuację zagrażającą innym wampirom.

Derwisz patrzył na mnie, jakby nie mógł w to uwierzyć.

– Czy to on był Ahuitzotlem, tym, który podczas ceremonii poświęcenia nowej świątyni boga Huitzilopochtli złożył ofiarę z dwudziestu tysięcy ludzi?

Pokręciłem głową.

– Nie, przedstawiał sobą jakby całą dynastię. Nie przeczę, że wojny i chaos, wybuchające wtedy, kiedy organizacje państwowe są słabe i dużo ludzi umiera, są dla nas niekorzystne. Ale nawet my nie chcemy gnić w okopach, ginąć w ogniu artylerii czy z pragnienia w wyludnionej krainie, w której możesz spotkać najwyżej chorego nieszczęśnika oczekującego już tylko śmierci.

Słuchał mnie w milczeniu. Może takie prawdy nigdy nie przysły mu do głowy.

– Czy niektórzy z was jedli ludzi?

– W dawnych czasach zdarzało się, dziś to tylko wyjątki. Raczej mocno zmutowane glyheny są kanibalami. Ale wampiry o ludożerczych skłonnościach nadal istnieją. Jednak

tych, którzy gasząc pragnienie, zabijają ofiarę, jest zdecydowanie więcej. Ten zwyczaj ostatnio również zanika. Może dlatego, że policja prędzej czy później wykrywa sprawców. Ale nie zapominaj, że Tizoc jest prastarym wampirem i stoi za nim również ludzka moc. Może sobie pozwolić na zaspokojenie wszystkich zachcianek, jakiekolwiek by one były.

– Ale ty nie zabijasz.

Popatrzyłem na Derwisza. Nie upewniał się, stwierdzał wiadomy fakt.

– Nie, jednak mogę w razie konieczności.

Narysowałem na kawałku papieru znak, który znalazłem na martwych glyhenach, i przez chwilę intensywnie mu się przypatrywałem. Nie mogłem sobie przypomnieć, co oznaczał, wiedziałem tylko, że już go kiedyś widziałem.

– Muszę zajrzeć do księgi.

– Jakiej księgi?

Czy powinienem to zdradzić? Właściwie dlaczego nie, uratował mi przecież życie, mimo że wiedział, kim jestem.

– Jak na wampira, jestem stosunkowo młody, lecz w miarę upływu dziesięcioleci i ludzkich generacji zapominam wielu rzeczy, podobnie jak stare osobniki. A niektóre informacje mogą się stać przydatne nawet po długim czasie. Dlatego mam księgę, w której zapisuję wszystko, co uważam za istotne. Zapisałem również wykaz wszystkich znanych mi oznakowań, jakie wprowadzili Wielcy Mistrzowie. Chcę się im przyjrzeć.

Zamilkłem. Dwóch Wielkich Mistrzów budujących bazę w jednym i tym samym miejscu – bowiem podjęcie produkcji glyhenów nie mogło oznaczać niczego innego – to było zdecydowanie bez sensu. Wojna klanów – owszem, ale żaden Wielki Mistrz nie dzieliłby się dobrowolnie tym samym terytorium z przeciwnikiem. Po odniesieniu zwycięstwa po prostu przejąłby zdobyty teren.

– Pojedziemy moim autem? – zapytał Derwisz.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, że on nigdzie nie jedzie, znów poczułem się bardzo źle. Tak źle, że szklanka wyśliznęła mi się z ręki. Na szczęście już prawie nic w niej nie zostało. W chwilę później pojawiło się pragnienie. Zwierzęce, trudne do opanowania. Cholera, co mi się stało? Ciagle potrzebowałem pomocy. Teraz przynajmniej szofera.

– Weźmiemy z wypożyczalni – zdecydowałem.

Derwisz poszedł po auto sam. Zanim dołączyłem do niego godzinę później, wypłem ostatnią żelazną rację. Przed opuszczeniem Pragi zatrzymaliśmy się jeszcze, żeby zabrać termos z krwią. Nie pozostało już zbyt wiele z moich zapasów. Nie było się czemu dziwić, biorąc pod uwagę moje potrzeby.

Drogi szybko ubywało; siedząc na wygniecionym fotelu w poobijanej skodzie, starałem się zająć jak najwygodniejszą pozycję i wmówić sobie, że już mi lepiej.

* * *

– A Hitler? Naziści z obozów koncentracyjnych? – zapytał Derwisz kawałek za Brnem, kiedy zwróciliśmy się bardziej na północ. – Był wampirem? Te obozy to wyście wymyślili?

Jego pytanie wyrwało mnie z drzemki.

– Nigdy nie chcieliśmy zajmować miejsca na samym szczycie piramidy mocarzy. Na wampira wszyscy zwracają uwagę i łatwo można go odkryć. Co się tyczy obozów koncentracyjnych, jesteśmy łowcami, a nie hodowcami trzody. Przynajmniej większość z nas.

Derwisz nie wyglądał na przekonanego. Przez kilka kilometrów rozmyślałem o tej stronie naszej natury.

– Dawniej, kiedy w lasach chowały się demony, a władca był absolutnym panem swoich poddanych, przekonaliśmy się, że gdy tylko któryś z nas osiągnie sam szczyt, zostanie najwyższym władcą, prędzej czy później popadnie w krwawe szaleństwo – powiedziałem, kiedy znajdowaliśmy się niedaleko odgałęzienia na Slavkov.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Derwisz, ustępując drogi czerwonemu samochodowi sportowemu.

– Krwawe szaleństwo nie pozwoli mojemu ziomkowi zadowolić się złowieniem ofiary ani ugaszeniem pragnienia. Taki wampir chce coraz więcej zabijania.

Niechętnie o tym mówiłem.

– Jak Tizoc?

– Tak jakby – nie zaprotestowałem. – Tizoc jest jednak niezwykle przebiegły. Nigdy nie pozostał w piekle, które sam rozpętał.

Derwisz wetknął pomiędzy wargi kolejnego papierosa.

Znów na pewien czas zasnąłem, obudziłem się na zjeździe z autostrady, z prawej strony widać było zaokrąglone, pokryte śniegiem szczyty Beskidów.

– Czy powiesz mi wreszcie, dokąd jedziemy? Twoje wskazówki tu się kończą.

Podąłem mu nazwę wsi.

– Dawniej nie było jej na mapie, teraz już chyba jest.

Derwisz spojrział na mnie z politowaniem, wyciągnął z kieszeni na piersi komórkę i z pamięci nacisnął kilka guzików.

– W tej nawigacji na pewno jest.

* * *

Dojechaliśmy na miejsce dopiero późnym popołudniem, nasze auto na dziurawych drogach, stosownych dla terenówek czy traktorów, nieco ucierpiało. Dopiero pół kilometra przed tablicą z nazwą wsi pojawiła się lepsza droga. Nie asfalt, lecz dość równy szuter. W końcu zatrzymaliśmy się.

Plac pośrodku osiedla był utrzymany w czystości, wiatr poruszał koronami lip, a pod parasolem z wielkim logo browaru Nošovice siedziało kilku ludzi, miejscowych i turystów. Wiele się tu zmieniło, tylko budynek małego drewnianego kościoła pozostał taki sam. Chociaż słomiana strzecha była nowa, tak jak i ramy okienne.

A cały kościółek był świeżo otynkowany.

– Znasz tu kogoś? – zapytał Derwisz, wysiadając z auta i zapalając papierosa.

– Nikogo – odparłem. – Nie byłem tu od pięćdziesięciu lat.

Poszedłem do gospody i wszedłem do środka. Przy jednym ze stołów siedziało nad piwem dwóch starców, wyraźnie miejscowych.

– Dzień dobry – pozdrowiłem ich i czekałem.

Po chwili odpowiedzieli.

– Szukam proboszcza, czy wiecie panowie, gdzie mogę go znaleźć?

Derwisz przysłuchiwał się, stojąc za mną.

– O tej porze będzie chyba w ogrodzie albo na cmentarzu – odpowiedział jeden z nich, który popijał grzane piwo.

Byli oczywiście ciekawi, ale wypytywanie leżało poniżej ich godności. Podziękowałem i odszedłem.

– Zachowujesz się naraz całkiem inaczej, znacznie uprzejmiej i jakoś tak staromodnie – oznajmił Derwisz, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

– Stosownie do miejsca i tego, czego nam trzeba. Jesteśmy na wsi.

Ogród należał do plebanii, pamiętałem o tym z minionych lat, nie miałem więc problemu z jego znalezieniem.

Kiedyś zadbane, w połowie użytkowy, w połowie ozdobny ogródek, zmienił się w sad z dużymi drzewami owocowymi, jakich w dzisiejszych czasach nie widuje się często. Pod jednym z nich znaleźliśmy krótko ostrzyżonego pięćdziesięciolatka z ogorzałymi policzkami. Ubrany w strój roboczy grabił liście i połamane gałązki.

– Dzień dobry, szukamy tutejszego proboszcza, gospodarze przysłali nas tutaj – powiedziałem.

– No to dobrze trafiliście, Karel Wajcuk – przedstawił się, podając mi rękę.

– Jakub Svolsky – użyłem jednego ze swych nazwisk i potrząsnąłem jego prawicą.

W oczach Wajcuka zabłysło coś, co świadczyło, że mnie poznał, choć wydawał się zaskoczony i niezupełnie pewny.

– Jakub Svolsky młodszy, właściwie już trzeci z kolei o tym nazwisku – sprecyzowałem.

– Przypuszczałem, że jest pan Svolsky junior. Po tych wszystkich latach nie wierzyłem, że pana spotkam.

Derwiz również się przedstawił, oświadczając, że jest dziennikarzem i wykorzystał okazję, żeby wyjechać z Pragi na wycieczkę.

– Chodźcie do mnie, naparzę kawy, możemy też wypić coś mocniejszego, o ile nie będziecie chcieli zaraz wracać.

– Nie zaraz. – Pokręciłem głową. – Mam nadzieję, że znajdziemy tu jakiś nocleg.

– Zanocujecie u mnie – oświadczył Wajcuk w sposób wykluczający wszelką odmowę.

* * *

– Czy pan wie, że pańska rodzina wspiera ten kościół już od kilku pokoleń? – powiedział proboszcz nad kawą i struclą jabłkową.

– To nasz kościół. – Uśmiechnąłem się. – Jeden z moich przodków położył pod niego kamień węgielny i w rodzie pozostała tradycja, że wraz z tym kościołem trwa lub upada cały ród.

Derwiz wydawał się zdziwiony moimi słowami, ale nic nie powiedział.

– Powiniennem być przeciwny wierzeniom w takie przesady, ale kiedy służą słusznej sprawie... – wzruszył ramionami Wajcuk i poszedł otworzyć szafę, w której obok małych kieliszków stała butelka przezrzystego płynu.

Przez jakiś czas gawędziliśmy niezobowiązująco, a kiedy konwenansom stało się zadość, przeszedłem do sedna sprawy.

– Potrzebowałbym zajrzeć do biblioteki probostwa i może nawet zapisać kilka rzeczy.

Wajcuk przytaknął, jakby moja prośba nie zdziwiła go w najmniejszym stopniu.

– Hasloberg, poprzedni proboszcz, pozostawił wskazówki, w których napisał, że powiniennem wyjść naprzeciw pańskim prośbom. Zwrócił uwagę, że być może będzie pan chciał przejrzeć bibliotekę. Choć miał raczej na myśli pańskiego ojca.

Uśmiechałem się, oczekując, co jeszcze powie.

– Jest do panów dyspozycji tak długo, jak będziecie sobie życzyć.

Wypiliśmy jeszcze po kieliszeczku, a potem gospodarz opuścił nas, prosząc o wybaczenie. Powiedział, że jest przyzwyczajony kłaść się wcześniej, a dzisiaj miał za sobą ruchliwy dzień. Wierzyłem w to bez zastrzeżeń.

W bibliotece, pomieszczeniu wypełnionym półkami zastawionymi starymi, zakurczonymi dokumentami, Derwisz dał nareszcie upust swemu zdumieniu.

– Myślałem, że będziesz się bał kościoła, krzyża, czy ja wiem czego.,

– Ty, człowiek dwudziestego pierwszego wieku? – Skrzywiłem się, rozglądając za schodkami. – Kościoły to budowle, które przetrwają całe stulecia. Schowałem tu swoją „Pamięć”, już dawno temu. Co kilka lat przysyłam probostwu dotację. Tak jak to robił mój ojciec, dziad, pradziad.

Ten wyimaginowany szereg nieistniejących przodków mógłbym ciągnąć jeszcze dalej, ale nie wiedziałem, kto powinien być przed pradziadem.

Wspiąłem się do górnej półki i po krótkim poszukiwaniu znalazłem grubą księgę oprawioną w skórę z zupełnie zatartym napisem.

Zniosłem ją na dół i położyłem na stole. Była duża i ciężka i wyglądała na dobrze zachowaną.

– Czy ktoś z twojej rodziny rzeczywiście pracował przy budowie tego kościoła?

– Sam pracowałem, była to kara za to, że nie upilnowałem owiec i pożarły je wilki. Tyle tylko, że to nie wilki, ale ja, owładnięty niepohamowanym pragnieniem, rozdarłem je na sztuki gołymi rękami.

Ale to było bardzo dawno, dziś znacznie lepiej panuję nad sobą. Co więcej, baraniny nie mogę nawet powąchać.

– Nie przeszkadzaj mi teraz przez jakiś czas – poprosiłem.

Moje zapiski wydały mi się zapiskami obcego człowieka, a łacinę, której nie używałem od dziesiątków lat, musiałem wykopywać z zakamarków pamięci. W końcu mózg się obudził i w szybkim tempie czytałem wiersz za wierszem. Znalazłem zestaw oznakowań Wielkich Mistrzów, a w innych partiach tekstu kilka kolejnych, dorysowanych później. Niestety, nie znalazłem niczego, co przypominałoby znak, którego szukałem.

Derwisz drzemał na krześle, ale kiedy poruszyłem się, a moje siedzisko zaskrzypiało, drgnął i obudził się.

Wybrałem numer Schnitzela, lecz odezwała się poczta głosowa.

– Oddzwoń, to pilne – zostawiłem wiadomość.

– Nie zdążyłem ci powiedzieć, ale oprócz tego brazylijskiego wampira znalazłem jeszcze coś innego – odezwał się Derwisz, przerywając ciszę.

Ze znużeniem zamknąłem księgę. Powinienem dopisać nowe informacje, jednak teraz nie miałem na to ochoty. Później, gdy to wszystko będzie już za mną. Spojrzałem na niego, kiwnąłem, żeby mówił dalej.

– Odkryłem inne jeszcze wampiry znane szerokiej publiczności. Albo raczej ewentualne wampiry, ale mogę się założyć, że mam rację.

To zabrzmiało interesująco. Derwiz uśmiechał się z zadowoleniem.

– Przyjrzałem się długoletnim, ustabilizowanym grupom ludzi, z którymi łączą się duże pieniądze i którzy często podróżują po świecie. To by było idealne maskowanie dla Wielkich Mistrzów, prawda?

– Fakt – przytaknąłem.

Czemu mnie to nie wpadło do głowy? Przecież sam mogłem śledzić nowe tożsamości starych przywódców klanów.

– Rolling Stones – powiedział.

– Kolejny zespół? – nie rozumiałem. – To niezbyt oryginalne.

– Po co wymyślać coś nowego, kiedy istniejący pomysł znakomicie działa? Z tego wynikają także dalsze korzyści. Egzystują od dobrych pięćdziesięciu lat, a pomimo że założyciele zespołu nie stronili od alkoholu i narkotyków, są do dziś zdrowymi i dobrze się prezentującymi starszymi panami. Stale jeżdżą po świecie z koncertami, a towarzyszy im naprawdę istny cyrk, mogę cię o tym zapewnić.

To wydawało się możliwe, jednak tak samo dobrze mógł wymyślić tuzin innych całkiem prawdopodobnie brzmiących historyjek.

– Sam popatrz. – Derwiz otworzył mocno zużytą dżinsową torbę, z którą się nie rozstawał, wyciągnął z niej laptop, często używany, sądząc po stanie metalowych części, i podał mi go.

Komputer wyglądał wprawdzie kiepsko, ale odpalił prawie natychmiast, czego mój własny zupełnie nie umiał.

– To zdjęcie z siedemdziesiątego drugiego roku, montaż podium koncertowego. A to z roku dwa tysiące jedenastego, o czterdzieści lat później.

Nie mogłem się zorientować, na co mam patrzeć, i czarno-białe, i kolorowe zdjęcie pokazywało po prostu nieznanymi mi ludzi przy pracy.

– Przyjrzyj się temu. – Stuknął w klawiaturę i na starej fotografii pojawiło się czerwone kółeczko otaczające twarz jednego z pracujących.

Za chwilę takie samo kółeczko obramowało twarz figurującą na kolorowym zdjęciu.

Twarze były identyczne. Uczesanie i strój inne, ale twarze takie same.

– Nie wiem, jak ten gość się nazywa, ale jest to jeden i ten sam człowiek – powiedział.

– Trzydzieści osiem lat nie zaznaczyło się nawet jednym siwym włosem.

Nazwisko nosił na pewno inne, w takich przypadkach jesteśmy ostrożni.

- Ile fotografii przejrzałeś? Musiały ich być tysiące.
- Jeszcze więcej, ale nie ja je przeglądałem, tylko program rozpoznawania twarzy.
- Ściągnąłeś od kryminalnych? – popisałem się znajomością nowoczesnych metod śledczych.

– Nie, po prostu z Internetu, już go tam można znaleźć.

Wiedziałem, że muszę wciąż uważać, żeby się nie wychylać, nie pojawiać w gazetach, na fotografiach czy gdziekolwiek indziej. Wyglądało jednak na to, że wkrótce życie, jakie prowadziłem, stanie się jeszcze trudniejsze, a w krajach cywilizowanych być może w ogóle niemożliwe.

– Znalazłeś jeszcze jakichś innych? – zapytałem, z góry znając odpowiedź.

Zadowolona mina Derwisza świadczyła, że miałem rację.

– ONZ? – strzeliłem.

– Nie. – Pokręcił głową. – Próbowałem, lecz bez skutku. Może to dla was organizacja za bardzo na widoku, zawsze w pierwszej linii.

– Może.

Czekałem, co powie.

– Komitet Olimpijski. Mnóstwo starych działaczy i ogromny obóz towarzyszący. Tam znalazłem więcej takich samych ludzi. Najstarsze zdjęcie pochodziło z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku.

Było to wprawdzie bardzo interesujące, ale nie rozwiązywało mojego problemu.

– Musimy się dowiedzieć czegoś o Mess i o tym brazylijskim wampirze, przede wszystkim jakie są jego stosunki z Tizokiem. Jak dotąd niczego pewnego nie wiem, wszystko się raczej coraz bardziej gmatwa, a ja mam coraz większe kłopoty.

Derwisz w pierwszej chwili chciał protestować, lecz się rozmyślił.

* * *

Leżałem na łóżku i rozmyślałem. Derwisz siedział z laptopem na kolanach, przebierając palcami po klawiszach. W ustach trzymał papierosa, jednak na razie go nie zapalał. Panowała cisza zakłócana jedynie odgłosem naciskanych klawiszy.

– Dałbyś radę sprawdzić, jak wyglądał ten człowiek, który kupił fabrykę? Ten brazylijski wampir – zapytałem.

– Nie wiem, czy stąd mi się uda, ale z Pragi na pewno tak – odparł, nawet nie odwracając wzroku w moją stronę.

Zadzwoił mój telefon, to Schnitzel w końcu się odezwał.

– Czego się pan dowiedział o Mess? – rzuciłem.

– Niczego, jak na razie niczego – zająknął się. – Bardzo mi trudno tak jawnie wypytywać o sprawy mające związek z Wielkim Mistrzem.

Miał rację, zanim się czegoś dowie, trochę czasu upłynie. Zmusiłem się do zmiany tematu.

– Muszę znać nazwiska doradców Tizoca, rady starszych. Jeśli ma pan zdjęcia, bardzo się przydadzą.

Nie widziałem Schnitzela, ale ze zmiany rytmu jego oddechu wyczułem, że za chwilę będzie się starał wykręcić.

– Pan już je ma – oznajmiłem. – Więc proszę mi szybko przysłać.

– To delikatny materiał – zaproponował.

– Chcieli pana zabić, a ja pana uratowałem – przypomniałem mu.

– Wystarczy, że podniosę słuchawkę i przekażę Tizocowi kilka ciekawych informacji o panu. Będzie się pan modlił o śmierć – pogroziłem, na wypadek gdyby wdzięczność nie wystarczyła.

Strach działa najlepiej.

– Coś niecoś mam, ale w komputerze. Przekażę panu przy najbliższym spotkaniu. Muszę zdobyć lepszy mikroskop.

Nie rozumiałem, do czego potrzebny mu mikroskop, lecz nie obchodziło mnie to.

– Wyśle mi pan e-mailem. – Podałem mu adres poczty. – I niech pan nie zapomina o Mess, jest najważniejsza dla nas obu.

Rozłączyłem się.

– Czy możesz wywołać moją pocztę elektroniczną? Jest w... – zawahałem się.

– Spisie adresów – podsunął.

– Chyba tak.

Nadal miałem kłopoty z komputerami, to była moja słaba strona. I na tym właśnie mogłem prędzej czy później wpaść. Choćby taki program umożliwiający rozpoznawanie twarzy mógł się okazać grubą nieprzyjemnością. Spojrzałem na zalew e-maili, które nic mnie teraz nie obchodziły i nawet nie wiedziałem, kto i po co je przysłał, skupiając się na ostatniej wiadomości. Sądząc z adresu nadawcy, przysłał ją jakiś zapaśnik, ale w rzeczywistości e-mail nadszedł od Schnitzela i zawierał załącznik, który po kliknięciu rozpadł się na szereg dalszych ikon.

– Zdjęcia i teksty – z zadowoleniem stwierdził Derwisz, obserwujący ekran ponad moim ramieniem.

Nic na ten temat nie mówiłem, w końcu to jego komputer.

Na zdjęciach było siedmiu mężczyzn w wieku od trzydziestu pięciu do sześćdziesięciu pięciu lat, cztery nazwiska o hiszpańskim brzmieniu, jedno niemieckie, jedno angielskie, a jedno musiało pochodzić z Azji, lecz nie zdołałem przypisać go do konkretnego kraju.

– Dlaczego sprawiają wrażenie, że są w różnym wieku? – zapytał Derwisz. – Czy proces starzenia zostaje zatrzymany w momencie stania się wampirem?

– Zadajesz dużo pytań. Wszystko to są bardzo niebezpieczne wiadomości. Gdyby któryś z moich pobratymców dowiedział się, że ci o nich opowiedziałem, byłbyś natychmiast martwy. A razem z tobą twoja żona i córka, jak również grono osób znajomych. Po prostu dla pewności.

Kiwnął tylko głową.

– Kiedyś interesowałem się tym zagadnieniem – kontynuowałem.

– Nie pamiętam, kiedy stałem się wampirem. Chyba jako bardzo małe dziecko. Dorastałem normalnie, aż jakiś czas po osiągnięciu dojrzałości płciowej przestałem się starzeć. Spotkałem kiedyś młodego wampira, który niedawno uległ przemianie. Miał wtedy pięćdziesiąt pięć lat. W trzydzieści lat później wyglądał na czterdzieści pięć. Nie masz na to wpływu, stabilizuje ci się jakiś wiek dorosłego, ale raczej zupełnie przypadkowy.

Długo w nocy siedzieliśmy przed komputerem, czytając informacje o radzie starszych. Było tam mnóstwo zupełnie nieistotnych danych i tylko gdzieś tam coś użytecznego. Bardzo interesujące okazały się spostrzeżenia Schnitzela dotyczące ich stosunku do nowoczesnej techniki. Na przykład Herman Lipsky nie umiał prowadzić auta i bał się jeździć windą. Jose Herara nie cierpiał samolotów, a w swojej rezydencji obywatel się bez elektryczności i innych osiągnięć cywilizacyjnych. Carlos Masechuta był jedynym, który nie miał żadnej fobii odnośnie do osiągnięć techniki.

– Popatrz, tutaj są zaznaczone jakieś poprawki – powiedział nagle Derwisz. – Starał się coś usunąć w ostatniej chwili, ale nie wiedział, że poprawki są automatycznie rejestrowane.

Kliknął w coś dwukrotnie i na ekranie pojawiły się całe rozdziały.

– Herara potrafi inicjować błyskawiczne widzenie siłą woli, prawdopodobnie widzi pociski wystrzelone z broni palnej i może się przed nimi uchylić. Analiza przeprowadzonej przez Herarę likwidacji klanu narkotykowego Francisa Hensiani za pomocą błyskawicznego działania wykazuje, że takiemu działaniu towarzyszy ograniczona zdolność do koordynacji. Metamorfoza dotyczy tylko dużych skupisk mięśni? Albo działa według z góry przygotowanego programu motorycznego, który jednak nie daje pełnej koordynacji? – Derwisz czytał głośno z ekranu.

Pojawiły się znaki zapytania, a „błyskawiczne widzenie” napisane było inną czcionką.

– To jest dopiero ciekawe. – Wskazał na kolejny odzyskany tekst.

– Mathias Majer, wiek od trzystu do pięciuset lat. Jeszcze nie umie wywoływać błyskawicznego widzenia siłą woli, ale posiada doskonałą koordynację przez cały czas przyśpieszenia swych reakcji. To niezwykle! Ten stan potrafi utrzymać niezwykle długo, całe dziesiątki sekund. Jego zdolności odpowiadają wampirowi w przedziale wiekowym siedemset pięćdziesiąt – tysiąc lat – czytał. – Kto to jest ten Mathias Majer, nie ma tu o nim żadnej wzmianki. – Derwisz spojrzał na mnie pytająco.

– To ja, pod tym nazwiskiem zna mnie najwięcej pobratymców – oznajmiłem kwaśno. Schnittzel miał katalog wampirów, interesujące hobby.

– Lipsky zdołał przeżyć cały miesiąc zamurowany w krypcie bez jedzenia i wody, i to z sercem przebitym kołkiem brzoźowym? To niewiarygodne! – Derwisz czytał dalej.

– Cicho – syknąłem.

Na placyk pod domem zajechało auto, za nim drugie, trzecie i czwarte. Zgasilem światło i wyjrzałem przez okno. Cztery samochody bez włączonych świateł.

Tylko my dwaj znaleźliśmy adres plebanii. Oczywiście Derwisz mógł przekazać komuś informację poprzez komputer albo telefon, kiedy poszedł do toalety. Ale wyglądał na zdziwionego i zdezorientowanego. Nie udawał.

Samochody zatrzymały się, usłyszałem trzaskanie drzwiczek i odgłos kroków. Sięgnąłem po kataną, a pistolet i zapasowy magazynek podałem Derwiszowi.

– Schowaj się pod łóżko, gdyby usiłowali cię złapać, strzelaj. Pociski są wybuchowe, więc uważaj.

Zanim zdążył odpowiedzieć, pchnąłem okno i wyskoczyłem. Wylądowałem miękko i cicho na grządce kwiatów, które nasz gospodarz tak pieczołowicie pielęgnował.

Przywołałem nocne widzenie i szybkim krokiem ruszyłem wzdłuż ściany do narożnika, za którym leżał placyk. Stali obok naszego auta, w czarnych kombinezonach, w hełmach, na których widziałem kanciaste kształty noktowizorów. Byli to ludzie, co trochę upraszczało sytuację.

– Tablice z Pragi – usłyszałem kogoś, kto mówił po hiszpańsku. – Myślę, że to tamten dom, zaparkowali jak najbliżej. – Wskazał na kościół.

Mogłem niepostrzeżenie zniknąć, pozostawiając proboszcza i Derwisza ich losowi. Chybaby ich nie zabili. Nie zatrzymywałem się, szedłem naprzód jednostajnym tempem.

Jednego miałem już w zasięgu, odwrócił się we właściwej chwili, niedbale cięcie pod skraj kurtki, kontakt ciało na ciało z jego towarzyszem, odrzucenie go od siebie i cięcie z

góry. Odciąłem mu rękę. Nie poszło łatwo, ostrze musiało przewyciężyć opór materiału, z którego wykonany był jego kombinezon bojowy.

Trzeci starał się szybko unieść broń, ale w lewej ręce trzymał komórkę i to go spowolniło. Długi wypad przy ziemi bez możliwości powrotu, pchnięcie w udo. Tuż przy nim wyprostowałem się, przyłożyłem miecz do gardła i pociągnąłem. Jednocześnie przytrzymałem go przed sobą jak tarczę. W samą porę, martwe ciało zadrgało uderzone pociskami. Odgłos wystrzałów był bardzo cichy, musieli używać tłumików. Ruszyłem na niego, osłaniając się zabitym. Zdezorientowany strzelec nie zmienił pozycji i strzelał bez przerwy, aż miałem go w zasięgu.

– Granat! – krzyknął ktoś.

Puściłem trupa, odbiłem się i przeskoczyłem przez najbliższe stojące auto. Lecąc, zamknąłem oczy, wylądowałem z przewrotem przez ramię, ponad moją głowę wybuchła supernowa, jej wściekły blask widziałem nawet przez zaciśnięte powieki. Manewr zakończyłem, leżąc na plecach.

Odczekałem chwilę i rozejrzałem się. Zrobiło się jeszcze ciemniej niż przedtem, ale część nocnego widzenia mi została. To był granat świetlny. Na skurwysynach wokół mnie nie wywarł wrażenia, blask ich nie oślepił. Przewaga techniki. Samochód, obok którego leżałem, miał wysokie zawieszenie. Przeturlałem się w jego kierunku, w żwir zaczęły uderzać kule, ale ja byłem już ukryty pod autem. Blachy karoserii zadzwoniły pod gęstym ostrzałem, lecz ja, zamiast wytoczyć się z drugiej strony, popęzłem do przodu, gdzie widać było nogi jednego z napastników, stojącego przed maską.

Kilka pocisków przebiło blachę podwozia, przelatując tuż koło mnie, ogłuszająca kanonada nie ustawała. Nie miałem miejsca na zamach, na pchnięcie praktycznie też było go za mało. Odłożyłem miecz, przewróciłem się na plecy, zaparłem nogami o ramę podwozia. Błyskawicznie wysunąłem się spod auta, złapałem gościa za nogi i wciągnąłem się z powrotem. Uderzył o karoserię i o ziemię. Za pasem miał nóż, którym szybko poderżnąłem mu gardło.

Poczułem nęcący zapach krwi, ale nie było na to czasu.

– Jest pod autem, dalej tam siedzi – ryczał któryś z nich.

– Wciągnął tam Mariana!

– Srać na Mariana. Przynieś kaem, bo załatwi nas jeszcze więcej! Wy dwaj, odsunąć się!

Dlaczego mieli się odsunąć?

Obok samochodu wybuchł granat, ale zdążyłem osłonić się zabitym.

Eksplozja ogłuszyła mnie i oślepiła, po nogach tłukły fragmenty blach, odłamki dosięgły mojej piersi, przeszły przez kamizelkę kuloodporną zabitego na wylot i utkwiły w moim ciele, na szczęście niezbyt głęboko.

Kurewsko silny granat.

– Już jestem – wysapał jakiś głos.

Gdzie się podziewa to pieprzone Visio in Extremis, kiedy go naprawdę potrzebuję? Dupa, dupa, dupa! Nie wiedziałem, co robić, którądy zwiewać.

Metaliczny trzask ciężkiego mechanizmu, zjawiła się solidniejsza broń.

– Rozwalimy go razem z tą bryką, tak będzie najpewniej.

Jeszcze raz dupa. Plan dowódcy mógł być skuteczny.

Nadal na plecach uniosłem ramiona i zaparłem się o podwozie. Resory skrzypnęły, kiedy uniosło się o kilka centymetrów. Ta buda musiała ważyć ze dwie tony. Jeszcze raz naparłem, zdołałem wejść pod podwozie nogami, nateżyłem wszystkie siły i wywróciłem auto do tyłu.

Tego nie oczekiwali. Samochód przygniótł dwóch z nich, a ja już stałem na nogach, trzymając długą lufę ciężkiej broni automatycznej. Ciosem kolby w pierś powaliłem zaskoczonego strzelca, odwróciłem karabin, długa taśma z nabojami uderzyła mnie w biodro. Ktoś zaczął strzelać, kula trafiła mnie w bok i w nogę. Ale ja już naciskałem spust. Poczulem odrzut broni, usłyszałem huk serii i zobaczyłem wspaniały efekt mojej kanonady.

Starali się ukryć, uciekać, ale bez skutku, ich kamizelki kuloodporne zdały się na nic w starciu z wielkokalibrowym karabinem maszynowym. Deszcz żółtych mosiężnych łusek ustał nagle, lecz nikt się już nie ruszał, więc nie miało to większego znaczenia.

Cisza, jaka zapadła po gwałtownej palbie, aż dzwoniła w uszach.

Pora się stąd zabierać, przypuszczałem, że nie powinno być z tym problemów.

Drzwiczki najdalej stojącego samochodu otworzyły się i wysiadł z niego jeden człowiek. Sądząc po tym, jak zakotyssała się karoseria, musiał być bardzo ciężki. Cięższy nawet jak na swoje rozmiary.

Poruszał się powoli, jak maszyna. W ręce trzymał pałkę chyba dwukrotnie dłuższą i grubszą niż kij baseballowy. Właściwie wyglądał śmiesznie. Musiał widzieć, jak przewróciłem ciężki samochód, a przedtem zabiłem mieczem kilku jego kompanów, którzy nawet nie zdążyli zacząć się bronić.

Czekałem z kataną w pogotowiu.

Podszedł do mnie bez pośpiechu, zamachnął się jak wiejski głupek, z góry wiedziałem, gdzie chce uderzyć. Bolał mnie bok i noga, nie miałem ochoty zbytnio się

poruszać. Machnął, wyciągnąłem rękę, żeby zatrzymać pałkę, potem roztrzaskać ją na drobne kawałki, a następnie odciąć mu głowę czy rękę, albo i jedno, i drugie.

Visio in Extremis nie zadziało, więc widziałem trochę inaczej, ostrzej i dokładniej. Kontakt z jego bronią, palce zdumiewająco nagle pozbawione ciepła, choć ścisnąłem je z całych sił. Stali nie dam rady.

Ogromna masa wyłamująca nadgarstek, szybkość uderzenia przekraczająca wszystkie możliwe granice. W ostatniej chwili zrobiłem częściowy unik, ale mimo wszelkich starań nie mogłem zmienić kierunku ciosu ani o centymetr. Znalazłem się na ziemi z rozbitym ramieniem. Pałka znów wzniosła się do góry z niezwykłą szybkością, zdawałem sobie sprawę, że zachowałem się głupio. Następne uderzenie mnie dosięgnie. Rzuciłem się w bok, jednak zbyt wolno. Wydawało mi się, że złamał mi gołeń. Pomimo tego zerwałem się na nogi z szybkością rozwijającej się sprężyny i zadałem pchnięcie. Szybkie, dokładne i twarde. Lewą ręką odbił mój wypad. Bez trudu. Skoczyłem na niego, żeby zadać cięcie, odbił mnie ruchem bioder i znów zamierzył się pałką. Ledwie zdążyłem się usunąć, ale zahaczył mnie w szczękę, pewnie ją uszkodził. Kolejne uderzenie, uniosłem miecz, żeby się zasłonić, katana nie wytrzymała, lecz chociaż częściowo odbiła na bok jego druzgoczącą siłę. Powoli machnął z góry na dół, a gdy się cofałem, nagle dopadł mnie długim skokiem. Wyleciałem w powietrze tyłem, chyba trafiła mnie ta pieprzona pałka poderwana do góry, nie byłem tego pewny.

Upadłem, złamane kości ramienia wyszły na zewnątrz, kilka żeber odwrotnie, do środka. Już stał nade mną, nieludzko szybki i pewny siebie.

To był glyhen, tego samego rodzaju co ci dwaj w fabryce, tylko przystosowany do znacznie skuteczniejszego działania.

Spróbowałem się poruszyć. Nic z tego, czułem tylko mrowienie w mojej scu, gdzie powinno być ramię i noga, nerwy po prostu odmawiały posłuszeństwa. Chyba dostałem większe lanie, niż mi się wydawało.

Przez dwie czy trzy sekundy patrzył na mnie z góry, ale nie wygłosił żadnej mowy pogrzebowej. Zamierzył się do ostatecznego ciosu tak szybko, że straciłem pałkę z oczu. Jeszcze raz chciałem zmusić się do odbicia, przewrotu, jakiegoś uniku przed potworną bronią, która zamieni mnie w kupę mięsa i połamanych kości, lecz była to bezskuteczna próba.

Huknął strzał, właściwie dwa.

Stalowy drąg rąbnął w ziemię tuż obok mojej głowy, jakiś kamień uderzył mnie w twarz.

Glyhen odwracał się powoli. Po kolejnym strzale z korpusu wytrysnął mu krwawy gejzer. Padały następne strzały, po każdym z nich następowała niewielka eksplozja. Ten skurczygnat po prostu wybuchał. Ósma eksplozja zwała go w końcu z nóg.

Ostatnia, bo więcej nabojów nie było w magazynku, a nie przypuszczałem, żeby Derwisz zdołał szybko nabić powtórnie. Słyszałem, jak się zbliża, ale nie widziałem go, organizm nadal mnie nie słuchał.

– Wsadź mnie do auta i wynośmy się szybko. Za chwilę będzie tu policja albo patrol straży. Do wypożyczonego auta.

Był tak wystraszony tym, co zobaczył i czego sam dokonał, że nie zdobył się na jakikolwiek protest.

Gdy włókł mnie do samochodu, nadal nie czułem ciała, dzięki temu to nie bolało. Tylko trochę.

– Po pięciu kilometrach stań w jakimś zacisznym miejscu – syknąłem, kiedy dowlókł mnie aż na fotel.

Odzyskałem świadomość w chwili, w której silnik zamilkł. W ciemnościach nocy, rozświetlonych tylko blaskiem tablicy rozdzielczej i odbiciem reflektorów od otaczających nas drzew, zobaczyłem skurczoną sylwetkę Derwisza. Prawie mi go było żal.

– Musisz mi powstawić kości na swoje miejsca, wszystkie. Stawy też napraw, jak ci się uda najlepiej, regeneracja będzie wtedy mniej bolesna.

Oddychałem z wielkim trudem, złamane żebra czułem w głębi lewego płuca. Powątpiewałem, czy zdołam zregenerować tak poważne obrażenia, ale innej możliwości nie miałem.

Wyobrażenie tego, co mnie czeka, spowodowało, że aż jęknąłem. Tss. A przecież Derwisz nawet mnie jeszcze nie dotknął.

– Biorę się za to – powiedział drżącym głosem, opuścił oparcie fotela i pochylił się nade mną.

– Zaczynaj od ramienia.

Posłuchał i po chwili badawczego obmacywania spróbował nastawić staw barkowy.

Wydałem z siebie ryk, a właściwie jęk nieszczęśnika poddawanego torturom.

Derwisz odskoczył tak gwałtownie, że aż uderzył potylicą w dach.

– Nie dam rady. – Pokręcił głową.

Odważyłem się odpowiedzieć po dziesięciu sekundach.

– Musisz, inaczej nie przeżyję.

Na przemian traciłem i odzyskiwałem przytomność. Derwisz początkowo co chwila odbiegał wymiotować, ale wkrótce nie miał czym.

Nad ranem znów siedziałem w samochodzie obwiązany bandażami z apteczki i pasami oddartymi z naszego ubrania. Trzymały kości i stawy we właściwym położeniu.

– Zawieź mnie do domu – powiedziałem. – Później znikasz wraz z rodziną. To jest gra, w której przegrywam. Jak do tej pory.

Nie zaprotestowałem. Był tak samo blady jak ja. Ale twardszy. Ja bym chyba nie dokonał tego, co on. Przemógł się, żeby mi pomóc.

Przed wyjazdem na autostradę zatrzymaliśmy się przy sklepie mięsnym. Derwisz wykupił całe lepsze mięso, jakie mieli.

Łapczywie jadłem, wyrzucając ogryzione kości przez okno.

– Jak się masz? – zapytał, gdy mijaliśmy drogowskaz z napisem: „Praga 100 km”.

– Mam wielkie pragnienie, robi mi się niedobrze od mięsa, które zjadłem, ale poza tym jakoś ujdzie.

Był to czysty eufemizm, lecz po co było się uskarżać.

– Gorąco bucha z ciebie, aż do mnie dochodzi – mruknął i dalej zajmował się prowadzeniem.

Miałem nadzieję, że nie przekroczy jakichś przepisów. Nigdy się ich całkowicie nie nauczyłem, chyba dlatego, że nie chodziłem na kurs prawa jazdy, tylko przybrałem tożsamość człowieka, który chodził.

– Co będziesz teraz robił? – zapytał na pięćdziesiątym kilometrze.

Zaskoczony tym pytaniem, aż zamrugałem zaspanymi oczami.

Zdrzemnąłem się, nie straciłem przytomności, tylko po prostu spałem. A krew z ran przestała mi już ciec. Doskonale, oczywiście jak na moją sytuację.

– Spotkam się ze Schnittzelem i będzie musiał być bardzo przekonywający, żeby mi wyjaśnić, w jaki sposób nas odnaleźli. A potem się zobaczy.

O tym, że musiałem się napić, i to koniecznie, nic nie powiedziałem. Nie było potrzeby straszyć Derwisza jeszcze bardziej.

– Na twoim miejscu postarałbym się odnaleźć „Pamięć”.

Duże P wypowiedział bardzo starannie. Nie zrozumiałem, co ma na myśli, i chyba było to widać, bo kontynuował.

– No masz przecież swoją „Pamięć”, zapisy o ważnych sprawach, które w ciągu upływającego czasu mogły pójść w zapomnienie.

– To na nic – rzuciłem, ale nagle przestałem być tego pewny.

Wieczorem w czasie przeglądania książki natrafiłem na potencjalnie interesującą informację, jednak teraz nie mogłem sobie przypomnieć, czego dotyczyła.

– Tylko że ty masz ile? Trzysta, czterysta, pięćset lat?

Czterdziestolatek machnął pogardliwie ręką, a mnie nagle opanowała chęć urwania mu tej ręki i napicia się ciepłej krwi z tętnicy ramieniowej. Szybko się jednak opanowałem. Takie nagłe zachcianki i uczucie pogardy do ludzi staje się u wampirów coraz silniejsze w miarę upływu czasu. Może wiedzą nas nawet do zguby? Łowca nie powinien gardzić zdobyczą, w żadnym przypadku. A Derwisza już od dawna nie uważałem za zdobyczą. Bo gdyby tak było, to napiłbym się z niego podczas tej podróży. A on prawdopodobnie by tego nie przeżył.

– Taki sam problem mają stare wampiry. Siedemsetletnie czy tysiącletnie, a nawet więcej. Muszą go jakoś rozwiązywać, bo pozapominaliby istotnych spraw i nie daliby sobie rady w walce ze współplemieńcami.

Współplemieńcy, to zabrzmiało dziwnie. Niektórzy z nas mówili: bractwo, swoi, pobratymcy, a zwykłych ludzi nazywali zwierzyną. Ja sam używałem czasem słowa „bratankowie”. To, co powiedział

Derwisz, miało jednak sens. Powiniennem częściej przeglądać swoje zapiski i częściej je uzupełniać. Mnóstwo rzeczy, które miały miejsce, było tylko logicznym dalszym ciągiem dawnych wydarzeń. Na przykład tego, że wampiry ukrywają się w najświetniejszych zespołach muzycznych, mogłem sam się domyślić. Był czas, że pobratymcy rządili w prawie każdym cyrku wędrownym. To był najlepszy sposób na oddalenie się od zabitych. Wtedy jeszcze większość z nas zabijała. Ile takich ważnych rzeczy pozapominałem?

– Po upływie pięciuset lat zwykła księga papierowa przechowywana w bibliotece może się rozpaść – rozmyślałem na głos. – Ja już raz musiałem swoją przepisać. A jeszcze dawniej w ogóle nie było papieru. Kościoły jako skrytki są dobre tylko na pewien czas, powiedzmy, na pół wieku. Może trochę dłużej trwają klasztory, ale gdy w grę wchodzi ponad tysiąc lat, to kto wie? Musi być jakiś inny sposób.

– Więc naprawdę żyją wampiry pamiętające minione tysiąclecie? – powiedział nerwowo Derwisz, przy czym o mało co nie urwało nam się koło przez dziurę w jezdni.

– Uważaj na drogę – powiedziałem. – Żyją, sam spotkałem jednego, należał do rodu Przemysłodów i brał udział w wymordowaniu Sławnikowiców. Potem musiał uciekać, bo był zbyt okrutny dla jeńców. Nawet jak na tamte czasy.

Derwisz przez chwilę rozmyślał nad tą informacją.

– Czy wy też w jakiś sposób się rozwijacie? Czy kultywujecie stare tradycje?

Znów mnie podpuszczał i zmuszał do wykrętów. Dlaczego mielibyśmy się rozwijać i cokolwiek kultywować? Jakbyśmy byli barbarzyńcami. Opanowałem się i kiwnąłem głową.

– Gdybym się zachowywał tak jak większość wampirów za moich młodych lat, już dawno by mnie złapano. Prawie wszyscy, którzy zabijali zdobycz podczas pierwszej próby zaspokojenia żądzы krwi, nie dożyli dnia dzisiejszego. Musieliśmy się przystosować.

– Zdobycz staje się coraz silniejsza. – Pokiwał głową.

– Nonsens – sprzeciwiłem się. – Jesteśmy po prostu łowcami, zawsze szukamy najprostszej drogi do celu.

Dojeżdżaliśmy do Pragi.

– A jakby chowali księgi pamięci w najstarszych zabytkach? – wrócił do tematu Derwisz.

Pokręciłem tylko głową.

– Najstarsze zabytki zostały przekopane i dokładnie sprawdzone od góry do dołu i z powrotem. I nadal są badane. To by się nie udało. Zapewne co kilka wieków przenosili swoje zapisy z miejsca na miejsce. Tak jak kotka przenosi kocięta.

– Bo są dla nich tak samo cenne – domyślił się Derwisz.

– Oczywiście – potwierdziłem. – Zatrzymaj się przed moim domem, blisko wejścia, lepiej, żeby mnie nikt nie widział w takim stanie.

– Czy to dobry pomysł? – Spojrzał na mnie.

Zapaliło się czerwone światło, zahamował w ostatnim momencie.

– Już tam byli i wywrócili wszystko do góry nogami. Musieliby mnie uważać za kompletnego idiotę, gdyby nadal pilnowali tego mieszkania. Wiedzą, że mam ich więcej, to u nas powszechna praktyka – użyłem swego tradycyjnego dowodu.

W rzeczywistości nie chciałem ukrywać się w niezamieszkanym, opuszczonym lokalu bez wygod i wszystkiego tego, do czego byłem przyzwyczajony. To się opłacało w zamian za trochę ryzyka.

Ruszyliśmy spod świateł.

– Teraz musisz wyjechać na urlop z całą rodziną.

Sięgnąłem do schowka po zwitek banknotów, które odebrałem złotej młodzieży, oddzieliłem jedną trzecią dla siebie i podałem mu resztę.

– Przypomnij sobie, co widziałeś, i wyobraź sobie, co by z tobą zrobili, gdyby cię złapali – powiedziałem, kiedy się zawahał. – To samo zrobiliby z Peggy i twoją córką, jeśliby uważali, że to im pomoże.

To zdecydowało, niechętnie przyjął pieniądze i schował je do kieszeni marynarki.

– Samochód zostaw na Jerozolimskiej – podałem nazwę ulicy w pobliżu mojego adresu. – Kluczyki prześlij mi pocztą albo zostaw u siebie.

Już podjeżdżaliśmy pod budynek i Derwisz zwolnił. Rozglądałem się, ale nie spostrzegłem żadnych podejrzanych samochodów, wałęsających się glyhenów czy wampirów.

– Możesz stanąć. – Kiwnąłem głową.

Bez pożegnania wysiadłem z auta i dla pewności uchwyciłem się latarni ulicznej. Siedzieć a stać to była jednak spora różnica. Przez chwilę spoglądałem na odjeżdżającego Derwisza, potem zwróciłem wzrok w inną stronę. Wydawało mi się, że w wejściu do drugiej klatki schodowej widzę interesującą blondynkę, ale wzrok mnie mylił. Żadnej kobiety tam nie było, a już szczególnie pięknej.

Na miękkich nogach dowlokłem się na piętro. Drzwi były zamknięte, bez śladów uszkodzenia, jednak brak włosa, który przymocowałem do drzwi, ostrzegł mnie, że podczas mojej nieobecności ktoś wchodził do środka. Przyszli, przeszukali mieszkanie i odeszli, starając się, żebym się o tym nie dowiedział. Jeśli ktoś na mnie czekał wewnątrz, to już nie miało znaczenia, na dalszą ucieczkę brakowało mi po prostu sił.

Wszedłem do mieszkania ze złamaną kataną w ręce.

Porządek, czysto i pusto.

Prawdopodobnie czekali tu na mnie przez pewien czas i nie chcieli wzbudzić mojej czujności zaraz po wejściu, stąd ten porządek. Może zresztą nie chcieli mnie stresować.

Najchętniej położyłbym się do łóżka i nic nie robił, ale miałem sporo zajęć.

Wziąć prysznic, ogolić się i zamaskować widoczne ślady walki – sztyfcik korygujący, makijaż, puder i znów wyglądałem całkiem znośnie.

Krwawy befsztyk z lodówki, bez przypraw. Podczas jedzenia z trudem hamowałem żarłoczność.

Strój łowiecki – lekkie spodnie z kaszmiru, koszula z tak ciemnoczerwonego jedwabiu, że wydawała się czarna, skórzane buty z ukrytymi wzmocnieniami i specjalną podeszwą o dużym współczynniku tarcia, wyglądające mimo to jak eleganckie niskie kowbojki, choć może nieco mocniejsze.

Wszystko to zajęło mi dwie godziny i czułem się teraz jak po ukończeniu maratonu.

Włączyłem telewizję, żeby w mieszkaniu nie było tak cicho.

Miałem pragnienie. I ochotę na seks. W moim przypadku szło to ręką w rękę, teraz zdawałem sobie z tego sprawę bardziej niż przedtem.

Wyjąłem z szuflady jedną z kart telefonicznych, trzymany na wszelki wypadek, wyteżyłem pamięć i wybrałem numer.

– Cześć, tu Mathias. Jestem właśnie w Pradze, nie miałabyś chęci na kawę albo kolację w jakiejś przyjemnej restauracji?

Numer kojarzył mi się z konkretną twarzą i kilkoma istotnymi szczegółami.

– Cześć, nie odzywałeś się od dawna.

– No tak, dużo podróżuję, mówiłem ci.

– Dziś mi nie pasuje, ale gdybyś był tu jeszcze za tydzień?

Ukryłem rozczarowanie w głosie.

– Jasne, odezwę się po weekendzie, jeśli jeszcze będę. Trzymaj się – pożegnałem się miło.

Kolejny numer. W telewizji właśnie zachwalali ekstrawaganckie przedstawienie, które powinno być wydarzeniem praskiego sezonu teatralnego.

Inny numer, inna twarz, inny sposób bycia, zapach.

Namiętna i nieokiełznana, prawie aż za bardzo. Prowokująca.

– Cześć, tu Mathias. Właśnie jestem w Pradze. Czy nie chciałabyś zobaczyć... – powtórzyłem tytuł komedii, której reklama właśnie zniknęła z ekranu telewizora. – Lubisz przecież teatr, prawda?

– Nieżyły z ciebie łajdak, pół roku nie dajesz znaku życia i nagle zapraszasz mnie do teatru.

Pamiętała mnie; wszystkie lub prawie wszystkie mnie zapamiętują.

– Tak, to cały ja, dużo podróżuję, przecież wiesz.

Chwila wahania.

– Ale głodna do teatru nie pójdę.

– To ci w moim towarzystwie nie grozi, wiesz, jak chętnie jem.

– Mnóstwo innych rzeczy też robisz chętnie. – Zachichotała.

– Sama powiedziałaś, że jestem łajdak. Masz jakąś swoją ulubioną restaurację czy mnie pozostawiasz wybór?

– Gust masz dobry.

– Nie tylko w kwestii restauracji.

– Łajdak, i do tego bardzo pewny siebie.

Bawiła ją ta rozmowa, a to dobrze rokowało.

Ustaliliśmy czas i miejsce, zakończyli pogawędkę. Poczułem wielką ulgę. Wreszcie się napiję. Język miałem suchy, wargi lekko mi się lepiły, typowe oznaki braku świeżej krwi.

Jakbym całymi tygodniami czy miesiącami obywał się bez niej. Teraz nareszcie przestałem się denerwować.

Zamówiłem bilety przez telefon, nawet dali mi możliwość wyboru miejsc. Mimo, reklamy w telewizji. Zamówiłem łóżę. Z restauracją poszło gorzej, chociaż w kilku z nich byłem znany jako bardzo dobry gość. W końcu to też zakończyło się sukcesem.

Podczas tych wszystkich telefonów dopadła mnie taka słabość, że musiałem z trudem łapać oddech. Cholera, to nie był skutek odniesionych ran, tylko powtórka niezrozumiałych ataków, jakie mnie ostatnio męczyły. Myślałem, że już minęły. Tym bardziej że niesłychanie szybko wyzdrowiałem z ran, z których dawniej wylizywałem się całymi dniami. Teraz słabość i pragnienie znów powracały. Może było to spowodowane dużą ilością poważnych obrażeń, jakie odniosłem w ostatnich walkach?

Przez dziesięć minut walczyłem o oddech, czując nieprawidłowy rytm pracy serca i bardzo złe samopoczucie. Nagle wszystko wróciło do normy, poczułem męczący ból regenerującego się ciała i pragnienie prawie uniemożliwiające logiczne myślenie. Pragnieniu jednak nie chciałem się poddać za żadną cenę, bałem się zmienić w zwierzę.

Wysłałem jeszcze e-mail do swojego dostawcy mieczy. Prowadząc rozmowę w starym języku niemieckim, oświadczyłem mu, że odporność klingi była, łagodnie mówiąc, niezadowolająca. Taką korespondencję wiedliśmy już od stu pięćdziesięciu lat. Początkowo miał siedzibę w Solingen, a teraz w Japonii, na wyspie Kiusiu, i coś go łączyło z Japan Steel Works Ltd. Adres poczty elektronicznej przysłał mi wraz z dostawą ostatniego miecza, ale do tej pory korespondowaliśmy za pośrednictwem poczty konwencjonalnej. Nie należał do wampirzego bractwa, nigdy nie dowiedziałem się, kim był...

Nic więcej w mieszkaniu nie mogłem już zrobić, musiałem zaraz wyjść.

Zebrałem się w sobie, wstałem pomimo protestów nie całkiem jeszcze zregenerowanego stawu barkowego, nałożyłem dwurzędową marynarkę pasującą do koloru spodni i koszuli i wyszedłem. Po drodze wstąpiłem do perfumerii i nabyłem klasyczny Chanel 5. Używała go, kiedy ostatnio byliśmy razem. Po sześciu miesiącach byłoby miło poczuć znowu ten zapach, chociaż bukiet był dla mnie w tej chwili zbyt intensywny.

Na skrzyżowaniu ulic znów wydało mi się, że widzę młodą blondynkę. Teraz jednak wiedziałem, z czego się to bierze: Amelia, z którą się umówiłem, miała włosy blond – ostatnim razem. A ja po prostu nie mogłem się doczekać.

Taksówkę złapałem bez trudu i do restauracji wkroczyłem minutę przed czasem. Miałem zatem minimum kwadrans dla siebie. Zamówiłem wódkę. Niestety, mieli tylko finlandię. Życie jest czasem po prostu trudne.

* * *

Amelię zauważyłem natychmiast, gdy tylko weszła do restauracji, ale raczej po tym, jak się poruszała, niż jak wyglądała. Do swoich kasztanowych dziś włosów dobrała odpowiedni żakiecik, który sprawiał wrażenie potwornie drogiego, i sukienkę nieco dłuższą od tej, którą zapamiętałem. Doskonale wyglądała w tym zestawieniu. Naturalne blondynki w zasadzie powinny być kruche i delikatne, a jej nigdy nie udało się ukryć pewnej zmysłowości i żądzy.

Ona też dostrzegła mnie od razu i przechodząc przez salę, skupiła na sobie uwagę wszystkich obecnych mężczyzn. Właściwie prawie wszystkich, bo w kącie sali siedziała świeżo zakochana para i chłopak nawet jej nie zauważył.

Łatwo minęło nam pierwsze dziesięć minut, w czym wydatnie pomógł drink, którym wznieśliśmy toast za nas. Amelia to lubiła. Jak najwięcej najlepszego wina, szampana, koniaku, whisky, kawioru i wyrafinowanych potraw, oferowanych przez kuchnie całego świata. Od czasu, kiedy widziałem ją po raz ostatni, praktycznie się nie zmieniła, a jeśli już, to na lepsze.

Może jadała w lepszych restauracjach, miała lepszych masażyistów, trenerów, bardziej wymagających kochanków. Seks lubiła najbardziej, ponad dobre jedzenie czy swoje ulubione koktajle.

– To było naprawdę dobre – oceniła francuskie, śródziemnomorskie danie, które właśnie zajadaliśmy, i oblizwała koniuszki palców. Mocno wydeła wargi i zakończyła popis długim spojrzeniem na mnie.

Gość przy stoliku obok nas przerwał konwersację z towarzyszącą mu kobietą, zakrztusił się i uratował sytuację, kaszląc w serwetkę. Taka była Amelia. Działała na wszystkich mężczyzn tak samo. Na mnie też, ale miałem nadzieję, że będzie się trzymać w ryzach. Bo miałem pragnienie. Pragnienie. Tęskniłem do Amelii i jej krwi.

– Teraz jedziemy do teatru – zadysponowałem.

– Nigdy nie byłeś specjalnym miłośnikiem kultury, wolałeś raczej inne rzeczy – zaświergotała niewinnie.

– Mamy łóżę do dyspozycji – wyjaśniłem. – Proszę jeszcze o dwie butelki szampana na wynos – zwróciłem się do kelnera. – Wychodzimy.

* * *

W taksówce zachowywaliśmy się w miarę cywilizowanie i choć słowo „cywilizowanie” było na miejscu, to jednak miałem z tym sporo trudności. Była po prostu za blisko.

Czułem jej zapach, wyczuwałem pulsowanie jej krwi.

– Wiesz co, Bóg wie dlaczego myślałam, że już cię nie zobaczę – powiedziała nagle, kładąc mi dłoń na udzie.

– Ale dlaczego, na Boga? – zapytałem, pochylając się i wyciskając pocałunek na jej dekolcie.

Taksówkarz widoczny w lusterku wykrzywił twarz z rozbawieniem. Zobaczyłem to w odbiciu tylnej szyby. Tak słabym i w wielu miejscach załamany, że normalny człowiek niczego by nie dostrzegł.

Nacisk pomalowanych na czerwono paznokci na cienką tkaninę spodni zyskał na sile.

– Tak sobie pomyślałam.

Miała rację, instynkt podpowiadał jej właściwie. Przebudzała we mnie gorszą stronę mojej osobowości, niebezpieczne ego wampira z dawnych lat. Z tego właśnie powodu przerwałem nasze kontakty. Teraz odwołałem tę decyzję, bo nic innego mi nie pozostało.

Taksówkarz liczył na hojny napiwek i zatrzymał samochód pod znakiem zakazu postoju tuż przed wejściem do teatru. Nie zawiodłem go. Podziękował i nie darował sobie porozumiewawczego uśmiechu. Bileterka w znoszonym kostiumie na widok naszych biletów poprosiła koleżankę, żeby ją zastąpiła, a sama zaprowadziła nas do łoży. Podziękowałem jej bardzo uprzejmie, w tym przypadku to wystarczało. Amelia przyjrzała się fotelom i małemu stolikowi, na którym położyłem torebkę z dwoma butelkami.

– Stylowo – oceniła.

Brokat pokrywający fotele trochę wyblakł, ale w łoży nadał unosił się duch starodawnego luksusu.

– I jest stąd doskonały widok. – Pokazała, wychylając się z łoży.

Sukienka podjechała jej przy tym do góry, odsłaniając nogi w pończochach ze szwem. W tym momencie ozwało się dyskretne stukanie do drzwi.

Była to sprzedawczyni zakąsek, zapytała, czy nam czegoś nie potrzeba. Nie byłem pewny, czy takie usługi są w teatrze normalną procedurą, ale dla pewności kupiłem kawę i dwie ćwierćlitrowe buteleczki wina z plastikowymi kubeczkami.

Na sali pod nami powoli robiło się cicho. Amelia podała mi butelkę szampana.

– Otworzysz po cichu? – zapytała szeptem.

W panującym półmroku miała rozszerzone źrenice, oczy jej błyszczały, a kiedy podawała mi butelkę, palce drugiej ręki położyła na moich wargach.

W odpowiedzi tylko się skłoniłem.

Otworzyłem butelkę, szampan zaszumiał dystyngowanie. Nalałem do kubeczków. Kurtyna właśnie poszła w górę.

Amelia odwróciła się i wychyliła do przodu, aby lepiej widzieć, skraj sukienki znów odstąpił sporą część jej krągłości. Zbliżyłem się do niej, pochylilem, położyłem dłonie na biodrach i czekałem.

Nosiła pończochy z podwiązkami, koronkowe majtki, które w półmroku wydawały się czarne, ale dzięki lepszemu wzrokowi widziałem, że są czerwone. Jak krew. Przez chwilę się opierała, ale szybko zrezygnowała z oporu, ściągnęła kolana do siebie i pozwoliła mi je zdjąć.

Nie było to konieczne, ale tak wydawało się lepiej.

W chwili gdy na scenie aktorzy deklamowali pierwsze kwestie, cicho jęknęła. Przycisnąłem się do niej jeszcze mocniej, żeby dosięgnąć jej szyi.

Ostrożny, musisz być ostrożny, chodziło mi po głowie. Jakoś to szło, pozostawałem przy zdrowych zmysłach pomimo straszliwego pragnienia połączonego z żądzą.

Naraz wyprostowała się, odwróciła i wbiła mi w jądra czerwone paznokcie.

* * *

Mój wrzask zginął w burzy oklasków.

Ludzie klaskali bez przerwy. Powoli przychodziłem do siebie. Amelia leżała na stoliku z sukienką podkasaną do pasa, blada, z małą plamką na szyi.

Kurwa!

Jeszcze była ciepła i oddychała, płytko, powierzchownie, ale wargi miała już fioletowe. Ile mogłem wypić? Nie wiedziałem.

Do dupy z tym!

Kurwa!

Tego nie chciałem przeżywać. Nigdy. Za żadną cenę.

Jednym szarpnięciem zdarłem obicie z foteli, rozłożyłem je na podłodze i ułożyłem Amelię na tym prowizorycznym pościeliu. Podniosłem jej nogi i oparłem o ścianę, uniesione w górę ręce przywiązałem do krzesła chusteczkami do nosa.

Cała krew, jaka jej została, kierowała się prosto do mózgu.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem nagi, w wielu miejscach pogryziony i... męczy mnie pragnienie.

Puściłem sam do siebie kolejną serię przekleństw.

Miała grupę krwi AB+. Mogę to wyczuć.

Wyjąłem z jej torebki telefon, wybrałem numer pogotowia i zgłosiłem przypadek zranienia połączonego z dużym upływem krwi.

– Gdzie to jest, proszę powtórzyć adres – zażądała kobieta przyjmująca zgłoszenie.

Krótko powtórzyłem miejsce wydarzenia i rozłączyłem się.

Przyjadą za późno, jeśli w ogóle przyjadą, nie miałem złudzeń.

Na dobrą sprawę nie było to aż tak ważne. Amelia to tylko zdobycz, ale nie chciałem, żeby oprócz wampirów zaczęli mnie ścigać policjanci.

Ubrałem się, zbiegłem po schodach, po drodze zabrałem potrzebne rzeczy z apteczki i skrzynki z wyposażeniem elektryka i wszedłem na salę teatralną. Głęboko wciągnąłem powietrze i wyczułem narkomana i faceta z grupą krwi AB+. To musiał być mężczyzna, kobieta nie przeżyłaby obok mnie. Pragnienie.

Nie jestem dobry jako hipnotyzer, ale zawsze trochę to pomaga. Za to jestem szybki, nawet jak na wampira, i potrafię wmieszać się w tłum. Ludzie pogrążeni w wygodnych fotelach, obserwujący akcję sztuki nie widzieli mnie albo prawie nie widzieli. Kilka słów, uśmiech, uspokajające poklepanie i ucisk na wybrane węzły nerwowe. Po chwili dawca leżał na stole, a krew przeciekała z niego do Amelii za pomocą dwóch igieł i strzykawki.

Szło to bardzo powoli, ale pompki, niestety, nie miałem.

Na szczęście już nie bladła i oddychała równo. Dałem jej pić, nawet w śpiączce odruch połykania działał, co było w tym przypadku dobre.

Przyglądałem jej się z istną burzą myśli w głowie. Nie chciałem, żeby umarła, zależało mi na niej, tak jak na każdej kobiecie, której zabrałem krew. To dziwne, ale tak było naprawdę.

Z transu wyrwał mnie dźwięk syreny pogotowia ratunkowego. A więc lekarz zdążył. Nie spodziewałem się tego, ale dla Amelii było to bardzo szczęśliwe. A może i dla mnie też? Nie byłem niczego pewny, miałem uczucie, jakby w ostatnich chwilach moimi działaniami kierował ktoś inny.

Powycierałem koszulą wszystko, czego mogłem dotknąć, i zszedłem po schodach na dół. Oczywiście zostawiłem mnóstwo DNA, ale ciekaw byłem, jak współczesna kryminalistyka sobie z nim poradzi.

Prawie nie oddychając, zatrzymałem się w brudnym zaułku obok śpiącego bezdomnego. Słyszałem kołatanie własnego serca. Miałem pragnienie, a równocześnie byłem przestraszony. Dlaczego? Bywałem już wiele razy w gorszej sytuacji, nigdy jednak nie czułem się tak spanikowany. Niczego rozsądnego nie mogłem wymyślić jako wytłumaczenia takiego stanu rzeczy. Pewnie liczne rany, jakie odniosłem, musiały mnie wytrącić z równowagi. Mój mózg zapewne nie funkcjonował tak sprawnie jak przedtem. Znałem przypadki, w których ciężko poszkodowane wampiry przez całe lata dochodziły do normy.

Kupka szmat pod ścianą nagle ożyła.

– Co jest, koleś, coś ci się stało? – zapytał mnie.

– Mam pragnienie – odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

– Trochę mi zostało. – Podniósł plastikową butelkę w połowie zapełnioną jakąś niebieską cieczą.

– To by mi chyba nie smakowało, tak samo jak twoja krew – zbyłem go.

Zanim do niego dotarło, co miałem na myśli, już mnie nie było.

* * *

Wszystkie moje dotychczasowe działania przestały być ważne, przeżyłem je bez żadnej szkody. Ugaszę pragnienie i zacznę rozumować normalnie, to musiała być podstawa, na której opierałem swoje plany. Szedłem przez nocną Pragę, najciemniejszymi zaułkami, unikając głównych ulic. Ludzie na mój widok odwracali wzrok i szybko wymazywali mnie z pamięci. To jedna z zalet dużego miasta.

Miałem uczucie, że ktoś mnie śledzi. Mała, drobna blondynka o gęstej krwi, smakującej jak nektar. Była to niebezpieczna halucynacja, mógłbym za nią gonić aż do śmierci. Udało mi się jednak okiełznać wyobraźnię i iść dalej. W pamięci miałem jeszcze sporo kobiet mających słabość do takiego jak ja, do wampira. Ale nie zadowolilibym się pół litra krwi, którą mógłbym od nich uzyskać, a gdybym je zabił, zwróciłbym na siebie uwagę policji i całej okolicznej społeczności ludzkiej. Miałem straszne pragnienie i potrzebowałem dużo krwi.

Kilka kilometrów ciemnymi uliczkami.

Gdzie jest krew? W szpitalu, a właściwie w szpitalnej stacji transfuzji. Obok mnie przejechał tramwaj. Nie był to dogodny dla mnie numer, ale doszedłem do przystanku i oparłem się o słup latarni ulicznej. Po chwili ją rozbiłem, żeby nie świeciła mi na twarz.

– Pragnienie, ajajajaj – ryczała czwórka pijanych młodzików gramolących się z auta.

Stłumiłem chęć pogonienia za nimi. To byli mężczyźni, nie opłacało mi się.

W końcu przyjechał nocny tramwaj, wsiałem i pół godziny później stałem w półmroku pod szpitalem. Dobrze znałem to miejsce, kupowanie krwi prosto ze źródła było najprostsze. Ale teraz nie miałem czasu.

Znów odniosłem wrażenie, że ktoś depta mi po piętach, ale coraz mniej mnie to denerwowało. Podeszedłem do budynku, w którym ludzie oddawali krew, wiedziałem, że w chłodziarce znajdzie się kilka litrów. A jeśli będę miał szczęście, to nawet kilkanaście.

Wspiąłem się po fasadzie na piętro – i spadłem.

Wyraźnie nie byłem w formie.

Druga próba. Zanim straciłem punkt oparcia, znalazłem uchylone okno, kawałkiem drutu z breloka od kluczy podniosłem haczyk i wpadłem do środka. Wiedziałem, że nie wszyscy śpią, część ludzi miała dyżur, ale były to przeważnie bardzo zmęczone pielęgniarki, a ja nie zamierzałem im przeszkadzać.

Po chwili badania pomieszczeń przypomniałem sobie, że główna chłodziarka znajduje się w suterenie.

Ostrożnie zszedłem po schodach na dół. Trochę mnie zaskoczyło światło wydostające się spod ciężkich drzwi, oddzielających przestrzeń magazynową od reszty podziemia. Ale było mi wszystko jedno, potrzebowałem krwi.

Otworzyłem drzwi, owionął mnie umiarkowany chłód i zapach środków dezynfekcyjnych silniejszy niż w pozostałej części budynku.

Krew. Wiedziałem, że nie zapanuję nad sobą, że będę pił tak długo, jak zdołam, ryzykując śmiercionośne wymioty.

Kolejne drzwi, a za nimi aseptyczne pomieszczenie. Prawie jak sala operacyjna, tylko obłożona szafkami chłodniczymi na ścianach. Gładka ceramiczna posadzka odbijała oszczędne światło jarzeniówek na suficie.

Dotarłem do celu.

Nagle zauważyłem, że dzieli mnie od niego jeszcze jedna przeszkoda.

W samym końcu pomieszczenia stała pielęgniarka.

Zamrugalem, sądząc, że z wyczerpania zacząłem mieć problemy ze wzrokiem. Co o tej porze mogła tutaj robić pielęgniarka?

Patrzyła na mnie wielkimi oczami, przypominającymi oczy łani, spod czepka wysuwały jej się po obu stronach twarzy kosmyki blond włosów, koloru południowego słońca, policzki dopiero co pozbyły się dziecięcej pyzatości, delikatność nosa rekompensowały doskonale wykrojone usta.

Jeden guzik koszuli biało-niebieskiego uniformu miała rozpięty, pod koszulką rysowały się dziewczęce piersi, wydawało mi się, że spod wielokrotnie pranego materiału prześwituje koronka staniczka. Do określonej przepisami długości brakowało jej sukience więcej niż kilka centymetrów, bo kończyła się przed kolanami, dając dobry widok na nogi w gładkich pończochach. Przepisowe pantofelki na lekko podwyższonym obcasie podkreślały linię łydek i ich doskonale przejście w zaokrąglenie uda.

– Czy coś się panu stało? – zapytała.

W jej głosie brzmiała czysta naiwność, nie było w nim śladu strachu. Może miała szesnaście, może siedemnaście lat, a to znaczyło, że nie była jeszcze dyplomowaną pielęgniarką.

– Jestem tu na praktyce, ale chętnie zrobię dla pana, co potrzeba.

Podszedłem bliżej na krok, a w tym momencie usłyszałem cichy odgłos zatraskujących się drzwi. Ona nie musiała nic robić, o wszystko sam się zatroszczę. Pomału zbliżałem się do niej, z wymuszonym uśmiechem na twarzy, żeby nie zaczęła krzyczeć. Ale sprawiała wrażenie całkiem spokojnej. Złapię ją, zedrę z niej niebieską koszulę i białą sukienkę, podreę majteczki i wezmę ją na stojąco, opartą o zimną ściankę szafki chłodniczej. A potem nakłuję jej tętnicę i w końcu ugaszę straszne pragnienie jej pachnącą, pulsującą krwią. I zaspokoję ogromną żądzę seksu.

Stanąłem przy niej, poczułem jej zapach, patrzyłem w oczy i w dekolt.

Podniosłem rękę, wydawało mi się, że usłyszałem coś jakby metaliczny trzask, oddzielający to, co było, od tego, co nadejdzie. Ale nie dotknąłem jej. Wtedy nie zdołałbym się powstrzymać, a tego nie chciałem. Dawniej, kiedy byłem młodzieńcem trawionym pragnieniem seksu i krwi, robiłem rzeczy, których potem żałowałem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że będę żałował, teraz już tak, a poza tym przed kilkoma godzinami otrzymałem surową lekcję. Nie chciałem ujrzeć bezwładnego, pozbawionego życia ciała, coraz zimniejszego, pozbawionego możliwości obudzenia we mnie morderczych skłonności.

– Nie zabijam niewiniątek – wychrypiałem. – Jestem łowcą, nie rzeźnikiem.

– Co pan mówi? Nie rozumiem pana, czy źle się pan czuje?

Chcąc mi pomóc, wyciągnęła rękę. Cofnąłem się, jakby jej dotyk mógł mnie zabić. Ale to ją mógł zabić.

– Potrzebuję krwi i muszę ją wziąć, choćbyś się starała mi przeszkodzić.

Osunąłem się w kucki, oparty o ścianę.

Teraz miałem lepszy widok na jej nogi, co spowodowało, że zacząłem oddychać jeszcze szybciej. Ale podnieść się już nie mogłem, co uprościło sytuację.

– Potrzebuję krwi, muszę się napić. Otwórz jedną z tych szafek i daj mi to, co tam jest.

– Pan mówi od rzeczy, zawołam pomoc.

Uklękła przy mnie, jej zapach przybrał na sile.

– Ja ci nakazuję, a ty słuchasz, jasne? Podaj mi woreczek krwi, natychmiast – całą resztkę sił włożyłem w nadanie swemu głosowi rozkazującego tonu.

Tym razem się przestraszyła, skłoniła głowę na znak posłuszeństwa.

– Tak, panie.

Dała mi woreczek, otworzyłem go zębami i zacząłem pić. Z początku łąpczywie, aż się dusiłem, potem trochę się opanowałem.

Krew, której nie zdążyłem połknąć, kapała mi na ubranie i na posadzkę, tworząc dziwaczne wzory. Musiałem wyglądać okropnie, ale ona nie krzyczała, minę miała obojętną i niczego się nie bała.

– Czy pan jest wampirem? – ton pytający był ledwie zaznaczony.

Prawie mnie to zaskoczyło, w ostatnim stuleciu ludzie nie przyznawali się, że wierzą w istnienie wampirów.

Nawet Derwisz uwierzył w to dopiero po kilku latach.

– Mhm – przytaknąłem, odkładając pusty woreczek.

Nadal miałem niesprawne nogi, nie byłem w stanie się podnieść.

– Drugi woreczek podasz mi najwcześniej za dwadzieścia minut, nawet gdybym chciał wcześniej – powiedziałem. – Za dwadzieścia minut, bez względu na to, co będę przez ten czas mówił.

– Tak, panie.

– Dlaczego myślisz, że jestem wampirem?

– Pije pan krew – zauważyła pragmatycznie. – Czytałam o wampirach w wielu książkach, bardzo mi się podobały.

Prawie się zaczerwieniła.

Ciekawe, co to były za książki.

– Podaj mi drugi woreczek.

– Nie, powiedział pan, że dopiero za dwadzieścia minut.

Zrobiłem groźną minę, ale nie wywarło to na niej żadnego wrażenia, cały czas się uśmiechała.

– Sam pan tego chciał. Myślę, że jest pan chory, potrzebuje pan krwi, ale nie może pan wypić jej za dużo za jednym razem. A równocześnie tęskni pan za nią. To pewnie jakiś rodzaj uzależnienia, jak na przykład nikotynizm albo uzależnienie od narkotyków – objaśniała z poważną miną.

Gdybym mógł, zacząłbym wyć. O moich uzależnieniach pouczało mnie szesnastoletnie dziewczątko. Niestety, było mi niezbędne.

– Krew, podaj mi jeszcze krwi, na Boga, bo inaczej tu umrę.

– Za dwadzieścia minut, dokładnie jak mi pan przykazał.

– Podaj mi ją, bo jak nie, to cię zabiję.

– Nie może się pan ruszać – oznajmiła. – Jeszcze dwanaście minut.

Nie miało sensu się spierać.

– A co mi jeszcze możesz powiedzieć o wampirach? – zapytałem, żeby nie liczyć każdej sekundy.

Zaczęła cytować fragmenty jakichś książek, noszących tytuły: „Świt”, „Zmrok”, „Przekłeta” i podobne. To, co mówiła, nie miało większego sensu, ale teksty znała praktycznie na pamięć.

– A pan jest dobrym wampirem – powiedziała na zakończenie.

Spojrzała na zegarek i podała mi kolejny woreczek.

– Zamiast zabijać ludzi, chodzi pan po krew do szpitala. – Popatrzyła na mnie z podziwem. – Pomogę panu, proszę się nie bać.

Nie miałem zamiaru protestować.

Kiedy w jej towarzystwie wlokłem się do płotu ogradzającego teren szpitala, wyglądała naprawdę okropnie. Jej czyściutki, wykrochmalony uniform poplamiony był krwią, miała ją nawet na czepku i we włosach.

– Dzięki – pożegnałem ją.

Zamiast odpowiedzi pogładziła mnie po ręce i odwróciła się, bo zza rogu wynurzył się nocny stróż. Przesunąłem się w gęstszy cień.

– To tylko ja, proszę pana. Wysłałam się przejść i zobaczyłam tu jakiegoś kotka, chciałam mu się przyjrzeć.

Po stróżu łatwo było poznać, że jest rozzłoszczony obecnością kogoś, kto przeszkadza mu w spokojnym pełnieniu służby, ale kiedy ją usłyszał, natychmiast się uspokoił.

– Ach tak, panienko. Obawiałem się, że to ktoś obcy. Chętnie odprowadzę panią z powrotem do budynku.

Trzymał w ręce latarkę, ale jej nie zapalił. Gdyby tak zrobił, pewnie zawołałby policję, myśląc, że trafił na seryjną zabójczynię.

Prawie z żalem zostawiłem ją, żeby się sama uporała ze stróżem. Była trochę postrzelona, ale prześliczna i niezwykle pociągająca. Odeгнаłem tę myśl, w czym wydatnie pomógł mi płot, przez który musiałem przełazić. Trochę mi się ugięły kolana po zeskoku na drugą stronę, ale szybko ruszyłem do domu, bo do świtu brakowało nie więcej niż godzinę. Przy moim wyglądzie nie mogłem wziąć taksówki, a komunikacja miejska w ogóle nie wchodziła w rachubę. Na szczęście czułem się coraz lepiej, zapewne z powodu paru litrów krwi, które niosłem w plecionej torbie.

Po upływie około dziesięciu minut zadzwonił telefon. To był Derwisz.

– Powinieneś już być w samolocie – warknąłem. – Tak jak się umówiliśmy.

– Jasne, jasne – nie stracił dobrego humoru. – Moje dziewczyny już tam są, nawet im pomachałem na drogę. Super last minute z solidną zniżką. Bilet mam zarezerwowany na pojutrze, polecę do nich. Ale jednej sprawy nie mogłem tak zostawić, sam przyznasz.

Nie chciałem niczego przyznawać.

– No to przyjedź po mnie – oświadczyłem i przeczytałem z tabliczki nazwę ulicy, którą właśnie przechodziłem.

Dojazd nie zajął mu nawet dwudziestu minut, mojego wyglądu w ogóle nie skomentował. Z jakiegoś powodu był tak podniecony, że nawet nie zapalił papierosa.

Ruszył z piskiem opon, zanim zdążyłem zatrzasnąć drzwiczki.

– Mam to, zidentyfikowałem tego Brazylijczyka, to znaczy wampira, który kupił interesującą cię fabrykę.

– Kto to jest? – zapytałem wprost, żeby nie przedłużać sprawy.

Zamiast odpowiedzi podał mi dwie podobizny wykonane drukarką.

– Taa, to jeden i ten sam facet – potwierdziłem po starannym przyjrzeniu się. – Nawet jeśli próbował to ukryć.

– Jedna fotografia pochodzi z materiałów Schnitzela, drugą ściągnąłem, poszukując kupca – wyjaśnił.

Zrozumienie, o co chodzi, zajęło mi chwilę.

– To niemożliwe, nie ma sensu. – Pokręciłem głową.

– Musi mieć, to jest Carlos Masechuta, jeden z członków rady starszych Tizoca. – Zrobił zadowoloną minę, przejechał ostatni zakręt i zahamował przed domem, w którym było moje główne mieszkanie.

– Masz coś jeszcze? – zapytałem.

– Nie, ale skopiowałem dla ciebie wszystkie materiały, sam możesz się w nich rozpatrzeć. Teraz twoja kolej, znasz logikę wampirów, wiesz, jak rozumują, ja tego nie wiem. Szesnaście godzin bez przerwy siedziałem przy komputerze, muszę trochę odpocząć. Na razie, do wieczora. Wtedy powinieneś być w lepszej formie. Ja zresztą też.

Pomyślałem, że Derwisz znacznie przecenia moją zdolność do regeneracji. A jak na człowieka, był bardzo oblatany. Cóż robić, innego przyjaciela nie miałem. Przyjaciela! Dziwne. Drapieżnik nie może się przecież przyjaźnić ze zdobyczą. Ale na takie przemyślenia powinienem już dawno machnąć ręką.

W mieszkaniu wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, kiedy byłem w nim po raz ostatni. Wszystkie pułapki, jakie miały mnie informować o wizycie nieproszonych gości, były nietknięte.

Prysznic, woreczek krwi, pozostałe do lodówki, sprawdzić nastawienie jej termostatu i do łóżka. Już zasypiając, znów poczułem pragnienie, wypilem jeszcze dwa woreczki krwi i usnąłem ze świadomością, że nie zrobiłem między nimi przerwy i prawdopodobnie zwymiotuję, i to będzie wielki problem. Mnóstwo wampirów zapłaciło za to niedopatrzenie najwyższą cenę. Ale byłem tak zmęczony, że nie przejąłem się tym.

Obudziłem się wcześniej, niż się spodziewałem, nie było nawet południa. Z przyzwyczajenia poszedłem do lodówki, ale ze zdumieniem stwierdziłem, że nie czuję pragnienia, tylko wściekły głód.

Wyjąłem z szafy szare sportowe spodnie, elastyczny materiał nie krępował mi ruchów. Nie pozostała żadna porządna koszula, zadowolilem się więc trykotem z nowoczesnej tkaniny, w którym ani człowiek, ani wampir się nie spoci, a może robić, co mu się podoba. Do tego jednorzędowa marynarka ze stojącym kołnierzem i oczywiście moje specjalne buty. Te, w których przyszedłem, postawiłem w łazience, żeby później sprawdzić, czy żebra wzmacniające nie popękały, i żeby je wyczyścić. Przed wielu laty sam takie buty zaprojektowałem i wykonałem osobiście, ale później trafiłem na szewca, który pojął, o co mi chodzi, i potrafił je wykonać. Jego potomkowie do dziś szyją buty, mają własną firmę wytwarzającą obuwie na ekstremalne obciążenia, a ja kupuję od nich chyba najbardziej specjalne modele.

Trochę mnie denerwował brak broni oraz to, że nadal muszę posługiwać się taksówkami i komunikacją miejską. Dawniej mi to nie przeszkadzało, ale ostatnio często znajdowałem się w stanie uniemożliwiającym jazdę tramwajem. Ze schowka pod obluźowaną deską podłogi wyjąłem nóż, który dawno temu sam wykonałem, a po chwili wahania wydobylem z zamrażarki kartę American Express i schowałem ją do kieszeni. Jeszcze nie wiedziałem, co postanowię. Przy wybieraniu pieniędzy z banku można było zostać wysledzonym, toteż nauczyłem się ostrożności. Materiały od Derwisa włożyłem do skórzanej dyplomatki i wyszedłem z domu.

W przypadkowo wybranej restauracji, położonej w przyjemnym punkcie miasta, zamówiłem podwójny krwawy stek, szklaneczkę wódki i zacząłem patrzeć na świat z większym optymizmem, niż byłoby to wskazane. Wokół mnie przechodziło mnóstwo kobiet, godnych pożądania, aktywnych kobiet, ale, o dziwo, nie czułem na ich widok ani pragnienia, ani żądy seksu. Nie próbowałem dociekać przyczyn tego dziwnego stanu, w jakim się znajdowałem, i skupiłem uwagę na papierach od Derwisa.

Potwierdzały wszystko, o czym mi w skrócie opowiedział. Jeden ze starszych wchodzących w skład rady Tizoca spróbował zabić użytecznego ludzkiego sługę swego szefa.

Co więcej, chciał to zrobić dla własnej korzyści, chyba dlatego, że wyhodował glyheny o niezwykłych możliwościach, których Tizoc nie miał. Sądząc z tego, że cechował je własnym znakiem, zapewne uważał się za Wielkiego Mistrza. To oznaczało, że wkrótce rozpocznie walkę o władzę, rozpocznie krwawą i brutalną wojnę, w której zginie mnóstwo moich pobratymców. Oczywiście, jeśli się nie myliłem.

Wybrałem numer Schnitzela. Nie przypuszczałem, że mnie zdradził, mimo że niektóre rzeczy przede mną ukrył. Zawsze rozmawiałem z nim krótko, postanowiłem jeszcze raz przekonać się o jego uczciwości.

Telefon odebrał po dwóch sygnałach.

– To było fantastyczne, nadzwyczajne, niewiarygodne! – Schnitzel prawie krzyczał.

Nie rozumiałem, o czym mówi.

– O co chodzi? – przerwałem mu.

– No przecież o to, że zmasakrował pan interwencyjny oddział Masechuty. Carlosa Masechuty! Od czasu, jak mi pan zlecił sprawdzenie wszystkich członków rady, staram się ich śledzić. Oczywiście bardzo ostrożnie, żeby uniknąć kłopotów. Ale Carlos był wczoraj w tak kiepskim humorze, że zajrzałem do jego komputera. I znalazłem w nim wideo z tej bijatyki, w której zniszczył mu pan całe komando...

Pozwoliłem mu dalej paplać. Był tak podniecony, że nie od rzeczy byłoby pogadać z nim osobiście. Może zdradziłby mi jeszcze coś ciekawego.

– Chętnie porozmawiam o Carlosie. A jeśli pana to interesuje, to opowiem, jak przebiegła ta potyczka. Kiedy możemy się zobaczyć?

Prawie słyszałem, jak w głowie Schnitzela obracają się kółka jego wysoko kwalifikowanego mózgu.

– Praktycznie jestem teraz w drodze do kilku specjalistów, których usługi są mi potrzebne. Może około trzeciej? Gdzieś w centrum?

– „U Husy” – wybrałem lokal.

– Będę.

Dopiłem swoją wódkę, skinąłem na kelnera, żeby przyniósł mi następną. Carlos Masechuta. A glyhenów cechował stylizowanym H. To dziwne. Ale jak mnie wyśledził? To jeszcze dziwniejsze. Starąłem się przypomnieć sobie, kiedy ostatnio doszło do przewrotu w którymś z wielkich klanów. Wydawało mi się, że w Rosji na początku dwudziestego wieku, ale to była brutalna rebelia wampirów dręczonych głodem, właściwie wcale nie chodziło o to, kto będzie na szczycie władzy, ale po prostu o przeżycie.

Miałem dwie godziny i zastanawiałem się, jak najlepiej je wykorzystać. Może należałoby pomyśleć o uniezależnieniu się od płatnych środków transportu. Nie planowałem dalszych wyjazdów i samochodu właściwie nie potrzebowałem. Raczej czegoś zwrotniejszego.

* * *

Do kompleksu firm sprzedających motocykle kilku światowych wytwórni dotarłem w ciągu trzech kwadransów i jeszcze zdążyłem po drodze podjąć pieniądze z karty American Express. Wybrałem halę z napisem „Aprilia”. Podobała mi się ta nazwa.

Typek w skórzanych spodniach, z ramionami i muskulaturą świadczącymi o częstym korzystaniu z siłowni zmierzył mnie pogardliwym spojrzeniem i pozwolił oglądać wystawione na sprzedaż maszyny. Chyba mu się nie spodobałem, tylko nie wiedziałem dlaczego. Miałem się za przychylnego, sympatycznego, a co najważniejsze, w mojej kieszeni leżał gruby plik banknotów.

– Nie macie tu chyba zbyt wielu klientów, co? – zagadnąłem, kiedy znalazłem się pomiędzy motorami stojącymi pod czerwoną tablicą głoszącą, że są dostępne dla młodzieży od lat szesnastu.

– Całkiem sporo, i to dobrych – odpowiedział. – A pan szuka czegoś, na czym mógłby pan jeździć na ryby? – rzucił, krzywiąc się pogardliwie.

– Można i tak powiedzieć – przytaknąłem – ale wolałbym coś większego, żeby jeździć do gospody, tylko że tego panu pewnie szef nie pozwala sprzedawać, co nie?

– Na co ty sobie pozwalasz?! – wybuchnął.

– No, wygląda pan maksymalnie na te tutaj mopedy bez jaj.

Albo był za bardzo napakowany sterydami, albo uraziłem jego dumę. Skoczył na mnie całkiem żwawo, jak na człowieka. Wywinąłem się jego prawej ręce i uchwytowi, którym chciał mnie nadziać na kolano, i umiejętnym ciosem w bok uderzyłem go pod żebra.

Myślałem, że któreś mu pękło, ale kości chyba wytrzymały. Jednak ich właściciel bez jednego jęku runął na ziemię. Na ten widok z przeszklonego biura wybiegł jakiś człowiek w jasnym ubraniu i gestami zatrzymał innych pracowników, którzy biegli w naszą stronę.

– Proszę wybaczyć, proszę pana, doszło do nieporozumienia – wysapał, gdy tylko do mnie dotarł. – Mieliśmy tu kłopoty z nieproszonymi gośćmi, którzy odstraszały klientów. Daniel źle pana ocenił, zapomniał dziś okularów. – Sprzedawca starał się uprawdopodobnić swoje przeprosiny.

Nie wydawało mi się, żeby leżący na ziemi mięśniak używał okularów, ale dałem temu spokój.

– Nic się nie stało. – Posłałem mu swój najsympatyczniejszy uśmiech.

Była to prawda, gdyby ich więcej na mnie naskoczyło, lepiej bym to rozegrał.

– Chciałbym kupić u pana motocykl – przeszedłem do rzeczy.

– Ehm, jaki, proszę pana? – zapytał, podczas gdy dwóch pracowników starało się niepostrzeżenie usunąć bezwładnego kolegę. – Czy ma pan na myśli jakiś konkretny model? – przybrał profesjonalny ton, widząc, że nie jestem zdenerwowany.

– Tego właśnie jeszcze nie wiem. – Wzruszyłem ramionami, a jego uśmiech nieco przygasł.

– Musi być szybki, bardzo szybki – powiedziałem – i zwrotny. Ale na długie trasy nie będę nim jeździł, najdalej na peryferie miasta, albo i w centrum.

– Ach tak. Jak doświadczonym jest pan motocyklistą? Bo widzi pan, mamy tu naprawdę szeroki wybór maszyn, a niektóre z nich są – uśmiechnął się poufale – bardzo ostre. Odpowiednie dla kogoś, kto jest w połowie przynajmniej profesjonalistą.

Na motocyklu nie jechałem od pół wieku. Ostatnim razem pojeździłem sobie naprawdę porządnie, ale to był motocykl z przyczepką, mój pasażer trzymał w ręce karabin, a ja lugera.

– Stosownie do mojego wieku i stanu. – Uśmiechnąłem się.

Zaprowadził mnie do delikatnych, dwucylindrowych maszyn.

Były bardzo ładne, ale potrzebowałem czegoś o większej mocy.

Przeszedłem na drugą stronę hali wystawowej, gdzie stały mocniejsze motory, wcale niewyglądające na stateczne pojazdy, tylko na maszyny przeznaczone do ostrej jazdy.

– Ten mi się podoba.

– Jest bardzo piękny. To na pewno. Ale to tysiąc dwieście z bardzo silnym ciągiem, twardym zawieszeniem. Jeśli nie ma pan wystarczającego doświadczenia, nie polecałbym go. Jeśli pan nieostrożnie doda gazu, to znajdzie się na ziemi albo za trzy sekundy ma pan setkę na liczniku. A za siedem sekund już dwieście.

– To mi się podoba. – Wyszczrzyłem zęby.

– Jest bardzo drogi – spróbował ostatniego argumentu.

To był naprawdę dobry sprzedawca. Nie chciał sprzedać mi trumny. Gdybym był człowiekiem, pewnie bym na takiej maszynie nie jeździł, ale byłem wampirem z całkiem innym refleksem, kości miałem odporniejsze na złamanie, a i ze złamań potrafiłem się wylizać w kilka dni.

– Ile? – zapytałem.

– Trzysta trzydzieści pięć tysięcy.

– To dobra cena. Jeśli doda mi pan kask, a jazda w nim jest przecież obowiązkowa, to biorę. Płacę gotówką.

Sprzedawca wyglądał w pierwszej chwili na zaskoczonego i zdobył się tylko na przytaknięcie. Po chwili jednak na jego twarzy pojawił się przepisowy uśmiech doświadczonego handlowca.

– Dzień dobry, dziś wygląda pan znacznie lepiej.

Znałem ten głos.

Odwróciłem się powoli, nie mogłem zrozumieć, jakim cudem nie usłyszałem, że nadchodzi. Aż tak mnie motocykle nie zafascynowały. To była moja znajoma pielęgniarka praktykantka. Tym razem nie miała na sobie uniformu ani nie była umazana krwią. Sukienkę miała chyba jeszcze krótszą, buty do kostek na półwysokim obcasie, top odsłaniający dół brzucha, czarny pulower z serduszką i zieloną żabką. Wargi w dziennym świetle zdawały się jaśniejsze, ale tak samo wspaniale wykrojone.

– I znacznie lepiej się czuję – odpowiedziałem uprzejmie, opanowując zmieszanie.

Ucieszyłem się na jej widok, choć nie rozumiałem, skąd się tu wzięła.

– To niezwykle – powiedziała, podeszła do mnie i całkiem naturalnym gestem wzięła mnie za rękę.

Szef salonu sprzedaży popatrzył na mnie ze wzgardą, a po chwili w jego spojrzeniu pojawiła się zawiaść. Bardzo delikatnie zabrałem rękę z jej uścisku i zwróciłem się do niego, pozostając w roli mężczyzny, który dogaduje się z drugim mężczyzną w sprawie handlowej i nie chce, żeby mu w tym przeszkadzać.

– Sądzę, że przy tej cenie może pan dodać jeszcze damski kask.

Posłała mi czarujący uśmiech.

– Oczywiście, oczywiście – przytaknął szybko, już nie starając się namawiać mnie do czegokolwiek więcej.

W stoisku z wyposażeniem kupiłem kurtkę skórzaną, żeby dziewczyna nie zmarzła podczas jazdy, ale z krótką sukienką nie dało się nic zrobić. W ciągu niecałej godziny wszystkie formalności zostały załatwione i maszyna mogła już zwracać się do mnie per panie.

Spojrzałem na zegarek. Do spotkania ze Schnittzelem pozostało zaledwie dwadzieścia minut, akurat tyle, żeby zdążyć na czas.

Zdjąłem motor z widełek, ostrożnie wytoczyłem go przez szklane automatyczne drzwi na chodnik, a pielęgniarka posłusznie podreptała za mną, trzymając oba kaski.

Choć wydawało się to niemożliwe, w krótkiej sukience i kurtce motocyklowej wyglądała jeszcze bardziej seksownie niż poprzednio. Wolałem zbytnio się jej nie przyglądać.

Usiadłem na siodełku, podała mi kask, nałożyłem go, a wtedy jej blond włosy też zniknęły pod czarnym kompozytem.

– Jak się go odpala? – zapytałem sprzedawcę. – Nie ma startera?

– Kluczykiem i przyciskiem, tak jak auto – odpowiedział, a na jego twarzy znów pojawił się wyraz powątpiewania.

Zapuściłem silnik, maszyna zatrzęsała się, uspokoiła i po chwili już pracowała równym rytmem. W odróżnieniu od niemieckich R14, na których jeździłem, można było w niej wyczuć ogromną moc.

– Siadaj za mną – powiedziałem, ciekaw, czy dziewczyna posłucha.

Bez wahania wskoczyła na tylne siodełko, zawieszenie motocykla ledwie zauważyło jej wagę. Przycisnęła się do moich pleców i mocno objęła rękami. Bardzo powoli popuszczałem sprzęgła, dodając ostrożnie gazu. Motocykl ruszył, podnosząc przednie koło. Ujął gaz, przyhamował i po dwudziestu metrach jechaliśmy prawidłowo na dwóch kołach. Uff. Drugi bieg, zabawa powtórzyła się, ale tym razem zareagowałem szybciej.

Trzymała się mocno, co mnie ucieszyło, bo nie chciałem zbierać jej z jezdni. Z trzecim biegiem poszło bez problemu.

Wystarczyła chwila i wróciły stare nawyki, spróbowałem możliwości motocykla, śledząc limity jego szybkości. Wyglądało na to, że w ogóle ich nie ma, ale w warunkach podmiejskich nie mogłem tego stwierdzić z całą pewnością.

Na miejsce spotkania ze Schnittzelem dotarłem szybciej, niż się spodziewałem. Kawalek trotuaru dogodny do zaparkowania znalazłem nieco dalej, za skrzyżowaniem.

Wjechałem na chodnik, zahamowałem ostrzej, niż było to potrzebne, siła bezwładności przycisnęła pasażerkę do mnie, aż poczułem jej uda na biodrach. Poczekałem, aż zsiądzie, postawiłem motocykl na widełkach i zdjąłem kask. Zrobiła to samo i znowu zadziwił mnie jej dziewczęcy powab.

I naiwna niewinność. Czegoś takiego nie spotkałem od wieków.

– Jak mnie znalazłaś? – zadałem pierwsze, wcale nie najważniejsze pytanie, wskazując równocześnie kierunek, w którym pójdziemy.

– Zapomniał pan u nas tego – podała mi plastikową kartę z moim nazwiskiem, fotografią, adresem i podpisem.

Było na niej napisane, że wiara zabrania mi przyjmowania krwi od innych ludzi i dlatego nie zezwalam na wykonywanie transfuzji, biorąc odpowiedzialność za tę decyzję, oraz nie zezwalam na utrzymywanie mnie w stanie śpiączki za pomocą aparatury.

– U pana w domu powiedzieli mi, gdzie pan często jada, a pod restauracją spotkałam taksówkarza, który zawiózł pana do salonu sprzedaży motocykli.

Powiedziała to tak, jakby odszukanie mnie było rzeczą najprostszą w świecie. Z drugiej strony wiedziałem, że żaden mężczyzna, którego prosiła o pomoc, nie mógł jej odmówić.

Zapaliło się czerwone światło, samochody ruszyły, musieliśmy poczekać.

– Dlaczego pani przyszła?

Popatrzyła na mnie wielkimi oczami, kobieta z przechodzącej obok pary rzuciła mi zgorzone spojrzenie, jej towarzysz kiwnął głową na jej uwagę, lecz nie spuszczał oczu z mojej partnerki.

– No przecież oddać tę kartę, nie? – odpowiedziała, mrugając oczami.

Słumiłem jęk. Czy naprawdę mógł istnieć ktoś taki jak ona?

– A poza tym jest pan wampirem. To całkiem niezły powód, prawda?

Znów na mnie patrzyła, uśmiechała się, jakby nie było niczego niezwykłego w tym, że spotkała w szpitalu szalonego faceta wlewającego w siebie składowaną tam krew, ani w tym, że poszła do niego, bo jest po prostu interesujący.

Zapaliło się zielone, dotknąłem rękawa jej kurtki na znak, że możemy iść dalej, pojęła to jednak inaczej i wzięła mnie za rękę.

– Mam spotkanie z pewnym człowiekiem – wyjaśniałem po drodze. – Nie chciałbym, żeby nas zobaczył razem.

– Żeby o tym nikomu nie doniósł? – Zachichotała z jakiegoś powodu, lekko się przy tym czerwieniąc.

Nie miałem pojęcia, co sobie wyobrażała.

– Nie o to chodzi, to po prostu może być niebezpiecznie.

– Czy on pracuje dla jakiegoś nieprzyjaciela albo dla policji? – zapytała natychmiast.

– Skąd wiesz, że mam nieprzyjaciół? – zapytałem, otwierając drzwi do restauracji i przepuszczając ją przed sobą.

– Każdy wampir musi mieć nieprzyjaciół – oświadczyła z pewnością w głosie. – A pan był wycieńczony i umierał z pragnienia. Do takiego stanu na pewno nie doprowadził się pan dobrowolnie.

Miała rację. Jakimś sposobem doszła do takiego wniosku. A równocześnie w pewnych sytuacjach wydawała mi się jeszcze dzieckiem.

– Jak ci na imię? – zapytałem, zanim usiadła przy stoliku.

– Teresa, ale wszyscy zawsze mówili do mnie Tes.

– W porządku, Tes, ja jestem Mathias. Zamów sobie coś, a ja usiądę w pobliżu. Jak już pogadam z tym gościem i on sobie pójdzie, to do ciebie wrócę. Może być?

– Jasne – przytaknęła.

– I mów mi po imieniu, nie chcę uchodzić za twojego ojca.

– U wampirów wygląda to inaczej – zapewniła mnie.

Nie było dla mnie jasne, co ma na myśli, ale o nic już nie pytałem.

Usiadłem przy stoliku obok, zamówiłem wódkę i sok pomidorowy. Zacząłem się zastanawiać, jak poprowadzić rozmowę ze Schnittzelem.

Przyszedł dosłownie po chwili. Kiwnąłem na niego, żeby nie musiał mnie szukać. Zbliżył się wyraźnie zaganiany, z ogromną teczką pod pachą.

– Mam mało czasu – oznajmił – śpieszyłem się, żeby dotrzeć jak najwcześniej.

– Dowiedział się pan czegoś o Mess? – zacząłem prosto z mostu.

– Praktycznie niczego. – Pokręcił głową.

– Kiedy tylko padła jakaś wzmianka o jej klanie, wszyscy zachowywali się nadzwyczaj powściągliwie, nie zdołałem stwierdzić dlaczego. Wiem tylko, że w niedalekiej przeszłości Tizoc narodził się z nią. O czym mówili, tego nikt nie wie i nawet szeptem się o tym nie mówi. Podobno spotkali się osobiście.

To była bardzo ciekawa informacja. Wielcy Mistrzowie nie spotykają się bez ważnego powodu.

– A teraz co do tej bijatyki, obiecał pan opowiedzieć mi o niej więcej.

Nie czekając na odpowiedź, wyjął z teczki laptop, położył go na stoliku i otworzył. Ekran rozbłysnął prawie natychmiast.

– Mam wprawdzie nagranie wykonane kamerą automatyczną, zapewne z ich samochodu, ale tak chaotyczne, że nie mogę się w niczym zorientować.

– Jak się pan dostał do tego nagrania? I dowiedział, że próbowali mnie zabić? – zapytałem, wpatrując się w jego twarz.

Umiem rozeznaczyć nawet drobne detale ludzkiej mimiki, krótkie ruchy mięśni, mrugnięcie oczami. Są oczywiście zawodowi kłamcy, którzy mogą mnie wprowadzić w błąd, ale to już kwestia talentu i ćwiczeń.

– Nająłem agencję detektywistyczną, która dla mnie śledziła fabrykę. Chciałem wiedzieć, co to za jedni i do kogo należą. Po prostu bałem się i potrzebne mi były informacje.

– Jak dowiedzieli się o mnie?

Już się domyślałem, jednak błędem było wracać do starego mieszkania.

– Wynajęta przeze mnie agencja poinformowała mnie, że Carlos wynajął innych detektywów, którzy pilnowali pańskiego mieszkania. Zarówno z dystansu, jak i za pomocą elektroniki.

– Powinien mnie pan ostrzec – zwróciłem uwagę, obserwując jego reakcję.

– Za późno się o wszystkim dowiedziałem. Już było po ataku.

Kiwnąłem głową na znak, że przyjmuję to za dobrą monetę.

– Czy możemy porozmawiać o napaści na pana? – Schnitzel przeszedł do tego, co go najbardziej zajmowało.

– Jasne. – Wypiłem łyk wódki.

Postukał w klawisze i uruchomił wideo. Znów znalazłem się pośród gradu kul i wybuchów granatów. Niewiele brakowało, a zostałbym tam na wieki.

Schnitzel zaczął zadawać pytania, na które starałem się dokładnie odpowiadać, zastanawiając się, dlaczego tak bardzo go to interesuje. Usiłował uzyskać prawdziwy obraz tego, co się tam wydarzyło. Jak długo trwały poszczególne akcje, ile miałem czasu na kontrataki, dlaczego podejmowałem takie, a nie inne decyzje i co naprawdę zrobiłem.

– A więc błyskawiczne widzenie nie pojawiło się nawet na chwilę? – upewniał się.

– Nie – odpowiedziałem krótko. – Visio in Extremis wystawiło mnie do wiatru.

– Ale za to odrzucił pan nogami dwutonowy samochód. – Zapisał jakąś uwagę.

– Niezbyt daleko, raczej przetoczyłem go przez maskę – starałem się stonować jego podniecenie.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Wtórna struktura ruchowa musi być w pana ciele prawie kompletnie rozwinięta, bo przewyższył pan możliwości zasadniczych grup mięśni oraz aparatu kostnego. A kręgosłup musiał być poddany wielokrotnemu przeciążeniu ze względu na pozycję, w jakiej się pan znajdował.

Milczał przez chwilę, jakby się nad tym wszystkim zastanawiał.

– To, że pan przeżył, jest godne podziwu. Bez błyskawicznego widzenia, w czasie ekstremalnie trudnej akcji. – Pokręcił głową. – Ten pański wyczyn siłowy też się do tego da przyrównać.

Schnitzel w coraz mniejszym stopniu sprawiał na mnie wrażenie człowieka, który pozyskuje dla swojego pana współczesną technikę, jak to na początku określił.

Może mnie oszukiwał. Może powinienem bardziej mu pogrozić. Nie byłem jednak pewny, czy to by coś pomogło. Mógł przecież wymyślić jakąś maskującą historyjkę. Nie był

odważny, ale nie przeszkadzało mu to w niczym, nie był też kiepski w improwizowaniu, co początkowo zakładałem. I wszystko go interesowało.

– Jaka struktura wtórna? – zapytałem, ponieważ pamiętałem, co mi dawniej mówił.

Aż mu się oczy zaświeciły, to z pewnością był jego ulubiony temat.

– Podzieliłem błyskawiczne widzenie i błyskawiczną akcję na kilka faz. W obu przypadkach są to ultraszybkie nerwowo-mięśniowe reakcje na rozwój sytuacji.

Odchyliłem się nieco w fotelu, żeby nie przeszkadzać mu w wykładzie. Tes siedziała przy swoim stoliku i powoli popijała colę. Wyraźnie nie dostrzegała spojrzeń obecnych na sali mężczyzn i personelu restauracji.

– Najpierw dochodzi do rozwoju pewnych wtórnych tras, zdolnych do przenoszenia sygnałów o większej szybkości niż normalny impuls nerwowy, który polega na zmianie potencjału elektrycznego pomiędzy kationami potasu a anionami sodu i przebiega z szybkością około stu metrów na sekundę.

Czekałem spokojnie na dalszy ciąg.

– Potem dochodzi do wytworzenia połączenia, kiedy ta wtórna struktura będzie zdolna do uruchamiania mięśni. Z początku tylko największe grupy, ale z czasem zakres działania się powiększa. A na samym końcu dochodzi do powstania i stopniowego rozwoju kolejnej struktury wtórnej, tym razem obejmującej pozostałe mięśnie. Według mnie chodzi tu znowu o taki sam pseudokrystaliczny, chociaż zmodyfikowany twór jak w drugorzędnych nerwach peryferyjnych. A... – nagle zamilkł.

Niestety, nie dał się porwać wnie swego wykładu, na co miałem nadzieję.

– Panie Schnitzel – powiedziałem wolno – co pan właściwie robi dla Tizoca?

Nagle odwrócił ode mnie wzrok i zamiast mózgiem zaczął myśleć tym, co ma w spodniach. Domyśliłem się, że Tes stoi obok mnie. W ogóle jej nie słyszałem.

– Co pan właściwie robi? – powtórzyła aksamitnym altem kontrastującym z jej dziewczęcym wyglądem.

– Badam wampiry – wyrzucił z siebie.

– Strasznie się nudziłam, wybacz, że się wam wmieszałam do rozmowy. – Położyła mi rękę na ramieniu przepaszającym gestem.

Było to elektryzujące doznanie. Odetchnąłem głęboko.

Nawet stojąc, nie była dużo wyższa niż ja siedzący na krześle.

– Nie szkodzi, usiądź z nami – zaprosiłem ją.

Schnitzel nie spuszczał z niej oczu. Patrzył na nią wzrokiem głodnego węża, bezwiednie kilka razy połknął ślinę i oblizał wargi.

- A więc bada pan wampiry dla Tizoca? – zapytałem.
- Ehm? Tak powiedziałem? – Schnitzel niepewnie potrząsnął głową.
- Tak – potwierdziła Tes. – Ja też się interesuję wampirami.
- Wy we dwoje, aaa... – nie mógł dokończyć.
- Tak, Tes jest moją przyjaciółką i wie, kim jestem – potwierdziłem.

Znów z lekka się zaczerwieniła i przez chwilę nie wiedziała, gdzie podziąć oczy, ale nie zaprotestowała. To dobrze, nie była mi potrzebna żadna różnica zdań.

- Co właściwie pan w nas bada? – kontynuowałem pytania.

Jakby przypadkiem położyłem na stoliku nóż. Dobry nóż, wyszlifowałem go z pruskiego bagnetu i dałem do oprawy, żeby był dobrze wyważony. Świetnie się nadawał do rzucania.

– Mam go od dawna – powiedziałem. – Sam wiesz, do jakich wyczynów jestem zdolny.

Złapałem go za nadgarstki, zupełnie nie dostrzegł mojego ruchu, poczuł dopiero mój uścisk.

- Albo gramy czysto i ja dotrzymam słowa, albo nie i żywy stąd nie wyjdiesz.

Nie za bardzo w to uwierzył.

– Tu, przy stole, cię nie zabiję, narobiłbym sobie nieprzyjemności i miałbym kłopot z opuszczeniem lokalu, ale zrobię to w męskiej toalecie.

Teraz wierzył trochę bardziej.

– Nie będzie trudno cię tam zaprowadzić. A tym – wskazałem na nóż – cię poćwiartuję. Głowę będę musiał odciąć. – Wzruszyłem ramionami. – Wszystko, co z ciebie zostanie, wsadzę do zbiorników na wodę. W czterech zmieści się cały człowiek. Pewnie, że będzie z tym sporo roboty, ale dam radę.

Teraz uwierzył bez zastrzeżeń.

Zdawałem sobie sprawę, że Tes słyszała moje pogroźki. Mrugnąłem do niej, ale nie zauważyła tego, nie spuszczała wzroku ze Schnitzela.

- Co pan bada w wampirach? – powtórzyła pytanie.

Wyraźnie ją to fascynowało.

- Nie pozwolicie mi ściemniać, prawda? – spróbował.

– Nie – odpowiedziała za mnie. – Poutyka pana do spłuczek, słyszał pan, co powiedział. Widziałam, jak robił jeszcze gorsze rzeczy – powiedziała tonem pełnym podziwu, opierając na chwilę głowę na moim ramieniu.

Musiała być jeszcze mniej normalna, niż mi się przedtem wydawało, a najgorsze było to, że jej zachowanie bardzo mi się podobało.

– Ech, to brzmi dość groźnie – zdobył się na odpowiedź.

Teraz już nie wątpił w prawdziwość moich słów.

– Tylko się nie irytujcie ani nie złościście – zaczął ostrożnie. – Tizoc chce, żebym mu wyjaśnił, co czyni wampiry tak silnymi, szybkimi i trudnymi do zniszczenia. Chce, żebym odkrył, jak najłatwiej je zabijać.

W pierwszym momencie naprawdę się rozżłościłem. Oto zdobycz, choćby na rozkaz jednego z nas, usiłuje dowiedzieć się, jak nas najłatwiej zniszczyć, jak zabić łowcę! Przypomniałem sobie jednak, że to nic nowego, że w czasach, kiedy naturalny osąd ludzi nie został zaciemniony przez rozwój wiedzy i cywilizacji, szukano nas, a gdy znaleziono, niszczone bez litości. Niektóre metody były po prostu śmieszne, na przykład wiara w skuteczność drewnianych kołków – stal zawsze zadziała lepiej, ale porządnego ognia nie przeżyje żaden wampir. Przebite serce osobnika liczącego ponad sto lat zablizni się. Ale rozgniecione drewnianym kołkiem już nie. Właściwie to nie była taka głupia metoda.

– Mówiłem panu, nie ma się o co denerwować – uspokajał mnie Schnitzel.

Machnąłem tylko ręką.

Wezwałem kelnera, zamówiłem drugą wódkę i spojrzałem pytająco na Tes.

Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Chyba colę?

– Silver Fizz dla panienki – zamówiłem. – No i tę colę.

– Ja poproszę o piwo – zadysponował Schnitzel, zdając sobie sprawę, że nasza rozmowa jeszcze potrwa.

Podczas tego uświadomiłem sobie, co mnie rozżłościło. Należymy do gatunku, który żyje długo, a jeśli umiera, to nienaturalną śmiercią. Nigdy nie słyszałem o żadnym wampirze, który umarł ze starości. Nigdy też nie zajmowałem się zagadnieniem, jak nas najłatwiej zabić, możliwość dowiedzenia się tego miałem ukrytą głęboko w zakamarkach podświadomości. Co by się stało, gdyby ktoś wpadł na pomysł, jak nas pozbawić długowieczności? Wiedziałem oczywiście, że jeśli utnę wampirowi głowę albo posiekam go na kawałki czy w jakiś inny sposób masywnie go poranię, to nie przeżyje. Trafienie w głowę z wielkokalibrowego karabinu wywoła taki sam skutek.

– I co pan ustalił? – zapytałem, pociągając łyk wódki.

Kiepska fińska wódka w porównaniu z gorzałką pędzoną z pszenicy pośród ogromnych ukraińskich zasiewów smakowała jak arszenik. Ale już do niej przywykłem. Od czasu jak zabili Borysa, nikt mi już nie przysyłał ukraińskiej wódki.

– O pasożycie, który robi z was wampiry, już wspominałem, prawda?

– Albo o czymś żyjącym z nami w symbiozie – przypomniałem mu.

– Dokładnie tak – przytaknął i napił się piwa. – Otóż ten symbiotyczny pasożyt stopniowo modyfikuje ludzkie mięśnie, żeby były zdolne do większych obciążeń fizycznych pod względem siły i szybkości, ale również transformuje nerwy peryferyjne. Ten pasożyt różni się od wszystkiego, z czym się dotąd spotkałem albo o czym mogłem przeczytać. Oprócz zmian w DNA organizmu nosiciela działa jeszcze na zupełnie innym poziomie metabolizmu. Nie rozumiem tego działania i nawet nie jestem pewny, czy chodzi tu o biologię, jaką obecnie znamy. A już kompletnie nie domyślam się, gdzie i w jaki sposób przechowywany jest jego własny program życiowy, jego informacja dziedziczenia. Jedyne, co wiem, to opis i lokalizacja przejawów jego działania.

– I właśnie dlatego wampiry są takie wspaniałe – oznajmiła Tes.

– Otóż to, panienko. – Schnitzel popatrzył na nią i stracił wątek wykładu.

– A co można uznać za rezultat tych badań? – wróciłem do tematu. – Nie zapominajmy, że kilku swojaków już zabiłem, więc powiedz mi coś nowego, interesującego, bo mogę dojść do wniosku, że znów chcesz coś przede mną ukryć, a wtedy... – zawiesiłem głos.

Tes spojrzała na mnie z dumą, jakbym był jej narzędziem, a ona była zadowolona z mojego działania.

– Symbiont... – zaczął nieco nerwowo Schnitzel.

Tym razem nie użył słowa „pasożyt”.

–...symbiont jakimś nieznanym sposobem jest w stanie ograniczyć wpływ fatalnych urazów na centralny system nerwowy, przyspiesza zdolności regeneracyjne organizmu i nie zawaham się powiedzieć, że zwiększa je do poziomu, który współczesna wiedza określiłaby jako niemożliwy.

Też bym tak powiedział. W jednym z pojedynków uciąłem przeciwnikowi obie ręce. Nazywał się chyba Jacques Heldebrant, czy jakoś podobnie. Kiedy spotkałem go kilka lat później, miał je obie na swoich miejscach, chociaż lewa nie była jeszcze w pełni sprawna.

– A gdzie teraz ukrywa się nasze życie? Co powoduje definitywną śmierć wampira? – zapytałem wprost.

Gdyby mi odpowiedział, że tylko ogień, nie pozwoliłbym mu odejść.

– Zniszczenie kręgosłupa w większym zakresie niż w przypadku człowieka. Złamania kręgów z przemieszczeniem o sześćdziesiąt stopni połączone z przerwaniem rdzenia pachecznego, rozłączenie kręgów na dziesiątki milimetrów, nic takiego nie zabije starego wampira.

Zastanowiłem się, jak doszedł do takich wniosków.

Na przykład skąd wziął te sześćdziesiąt stopni. Widocznie w podziemnych laboratoriach Tizoca sprawdzał, ile wampir może wytrzymać. Tes jakby nieco zbladła.

– A więc co nas zabije? – zapytałem.

– Przerwany kręgosłup z oddaleniem złamanych końców na odległość ponad sześćdziesiąt dwa milimetry. Młodszych z was zabije nawet ciężkie poranienie, którego działanie symbiontu nie zdoła skompensować.

– A ścięcie? – podsunąłem myśl. – Ścięcie prastarego wampira?

– To istota sprawy – odparł Schnitzel natychmiast – albo dokładniej, nie ma żadnego udokumentowanego przypadku, w którym wampir kiedykolwiek przeżyłby ścięcie – ujął nieco kategoryczności swemu oświadczeniu.

– Skąd pan to wszystko wie? – zapragnąłem wiedzieć.

– Z historycznych zapisów będących w posiadaniu Wielkiego Mistrza Tizoca – odrzekł ostrożnie.

A więc miał do dyspozycji jedno z najlepszych źródeł informacji, jakie istniało. Wierzyłem w to, co mówi, i nawet gdyby osobiście torturował wampiry, nie zabiłbym go z tego powodu. Wpadł w szpony Tizoca, a przecież bardziej odrażające typy niż on wyprawiały o wiele gorsze rzeczy, żeby zadowolić swojego pana.

– Co pan stwierdził w kwestii regeneracji? – wypytywałem dalej.

– Jak dotąd niewiele. – Wzruszył ramionami. – Mam strasznie mało czasu na badania. Wiem tylko, że za waszą niezwykłą zdolność wracania do zdrowia odpowiedzialna jest ekstremalna lokalizacja procesów leczniczych, kombinowana ze spowolnieniem, prawie zatrzymaniem efektów degradacyjnych w obrębie ran czy innych uszkodzeń ciała. Ale jak do tego dochodzi... – Wzruszył ramionami.

Chwilę potrwało, zanim przyswoiłem sobie te informacje. Z jednej strony rana nie gnije i niewiele krwawi, z drugiej łatwo się goi.

– Nadal mam jednak wrażenie, że jeszcze coś wchodzi w rachubę, jakieś biochemiczne oddziaływanie na procesy metaboliczne, niewystępujące w organizmach ludzkich.

Znów pomyślałem, ile wampirów skończyło na jego stole badawczym, zanim dowiedział się tego wszystkiego. Ale nic nie powiedziałem. Nie chciałem go więcej straszyc. I tak zdawał sobie sprawę, w jak nieprzyjemnej sytuacji się znajduje.

Kelner znów podszedł do naszego stolika, Schnitzel zamówił jeszcze jedno piwo.

– Mówiłem panu, że jak na wampira w pańskim wieku, ma pan nadzwyczajne zdolności – powiedział zamyślony.

Milczałem. Tes obserwowała go, rękę miała opartą o krawędź stolika blisko mnie, czułem ciepło jej ciała.

Czułem bardziej intensywnie, niż bym sobie tego życzył, co mnie jeszcze bardziej zbijało z tropu.

– Szybkość reagowania systemu nerwowego na bodźce zewnętrzne rośnie wraz z wiekiem wampira. Spowodowane to jest zmieniającym się oddziaływaniem pasożyta-symbionta. Równocześnie rośnie zdolność do rozwijania ekstremalnie dużej siły. Teoretycznie może to doprowadzić do sytuacji, w której wampir będzie zdolny do ogromnych przyspieszeń, a to jest przecież ekwiwalent siły.

– Popatrzył na mnie, jakbym nie pojmował, że w wyniku tego prawdopodobne jest samouszkodzenie organizmu.

– To jakby sytuacja, w której pancernik klasy Bismarck prowadziłby ogień z głównych dział kalibru trzysta osiemdziesiąt milimetrów i podmuch jego własnych salw spowodowałby uszkodzenia na pokładzie? – podsunąłem porównanie.

– Można tak to opisać – przyznał z niechęcią i przyjrzał mi się.

Zważywszy na to, że mogłem go zabić w bardzo krótkim czasie, wykazywał wobec mnie dziwnie niewiele respektu i często traktował mnie tak, jak wykładowca traktuje ucznia.

– Teoretycznie wampir może machnąć ręką tak szybko, że przeciążenie uszkodzi ścięgna, mięśnie, kości... – nie zrezygnował z dokładniejszego wyjaśnienia.

– Czy nie jest możliwe, że ścięgna, mięśnie i kości są odporniejsze na uszkodzenia niż ludzkie?

– Na pewno tak – potwierdził – ale obcy, który przyszedł do laboratorium...

A więc miejsce, w którym mnie torturowano, było jego laboratorium.

–...wyprowadził cios, który zabił Krawcooka, w taki sposób, żeby go trafić w możliwie najkrótszym czasie. I wcale nie uderzył z maksymalną siłą. Tuż przed kontaktem z ciałem Krawcooka wyraźnie przyhamował rękę. Jakby zdał sobie sprawę, że coś mu się może stać.

Schnitzel przestał mi się przyglądać i popadł w głęboką zadumę.

– Ale – chwycił drugi oddech – jeśli założyć, że był świadomy tego ryzyka, to mogę z charakterystyki tego ruchu odczytać odporność jego ciała.

Nic na to nie odpowiedziałem. Dobrze pamiętałem, jak nieznajomy jednym uderzeniem przebił brzuch, wnętrzności i dostał się do kręgosłupa zabijaki, który mnie pobił, bez problemu. I do tego jeszcze wyraźnie spowolnił cios? To już chyba fantasmagorie szalonego naukowca.

– Co zrobimy z Carlosem Masechutą? – zmienił temat Schnitzel.

– Jeżeli dowie się, że go śledzę, jestem martwy. Zorganizuje to tak, żeby Tizoc go nie podejrzewał. A nawet jeśli tak, to on jest starym wampirem, a ja tylko człowiekiem.

Trochę się zdziwiłem, że Schnitzel nie podniósł tej kwestii wcześniej. Przez chwilę sprawiał wrażenie zmartwionego, prawie przestraszonego, ale szybko się opanował, przybierając znów maskę uczonego analityka. Starszy wampir z jakiegoś powodu nastawał na jego życie, a w większości przypadków życie człowieka nie miało większego znaczenia niż skrawek papieru toaletowego, i to używany. Wiedział o tym, a jednak pozostawał opanowany i rozgrywał ze mną jakąś własną grę. Na pewno go nie doceniłem.

– Chce mnie zabić, pana też próbował załatwić – zauważył naukowiec. – Nie porzuci tego zamiaru. Jeśli zawiadomi Wielkiego Mistrza, że my dwaj się spotykamy, moja pozycja mi nie pomoże, jestem martwy. A pańska sytuacja pogorszy się, bo straci pan sojusznika.

A on straci możliwość zainfekowania się symbiotycznym pasożytem, który uratuje go przed zupełnym paraliżem, a następnie śmiercią.

– Musimy zaatakować wcześniej niż Carlos – odpowiedziałem. – Pierwsza runda będzie należała do mnie, druga do pana.

– Chce pan, żebym go oskarżył, że za plecami Mistrza buduje prywatną armię? – podchwycił natychmiast.

Ten plan miał chyba już wcześniej przemyślany.

– Właśnie. Ale dopiero wtedy, kiedy dam panu znać. Ma pan jego numer?

– Kogo? Carlosa? – z początku nie zrozumiał.

– Kogoś innego. – Wykrzywiłem twarz.

Sięgnął do kieszeni, wyjął mały bloczek i szybko napisał kilka cyfr. Jakby się przy tym skurczył, wyraźnie wolałby znajdować się gdzie indziej.

Wyjąłem telefon, wybrałem numer i zacząłem liczyć sygnały.

– Słucham – odezwał się po angielsku z wyraźnym akcentem.

Nie ma nic lepszego niż technika. Przed stu laty musiałbym się do niego przedrzeć przez gromadę goryli, a teraz wystarczyło zatelefonować.

– Hic est Mathias* – przedstawiłem się po łacinie.

* Tu Mathias.

– Quid vis?* – odrzekł również po łacinie.

* Czego chcesz?

Język dawnych ludzi wykształconych, język starych wampirów. Pracowicie się go uczyłem, chcąc czytać stare teksty, w nadziei, że dowiem się czegoś o swoim pochodzeniu. Ale wszystko to były bzdury.

– Chcę się z panem spotkać – powiedziałem.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

Mówił czysto, łaciną Cyncerona, z dykcją, której mogłem mu tylko pozazdrościć.

– Ponieważ jestem w posiadaniu wypisów z katastru nieruchomości wskazujących na pana własność, jedną z fabryk, fotografii tej fabryki oraz fotografii z miejsca likwidacji pańskiego komanda. Wystarczająco dużo, żeby się to nie spodobało Tizocowi.

Milczał.

– Chyba że mu pan to wszystko wytłumaczy – udało mi się przybrać rozbawiony ton głosu, choć nie czułem rozbawienia.

Milczał.

– Chcę się z panem spotkać sam na sam. Za godzinę, w miejscu publicznym.

– Godzina to krótko – wreszcie zareagował.

– Godzina to wystarczająco długo – nie zgodziłem się. – Jest pan starym wampirem, nie musi pan nikogo prosić o pozwolenie.

– Dobrze, za godzinę w restauracji „Czarno-Czerwona Siódemka”, na Jecnej.

Był tu dopiero od kilku tygodni, a miasto poznał już dobrze. Nie słyszałem o takim lokalu, ale wiedziałem, że na tę ulicę zdążę nawet pieszo.

– Ustalono – potwierdziłem i rozłączyłem się.

– Jeżeli nie dogadam się z Carlosem, wtedy nadejdzie pańska kolej. Musi go pan oskarżyć pierwszy – zwróciłem się do Schnitzela.

Przyglądał mi się z niedowierzaniem.

– To stary wampir, bardzo stary – przypomniał mi. – Jego możliwości będą znaczne i prawdopodobnie nader zaskakujące.

– Im starsze wampiry, tym silniejsze, prawda? – Tes odezwała się po raz pierwszy od dłuższego czasu, łapiąc mnie za rękaw.

Przemiała.

– Tak, pasożyt miał więcej czasu, żeby zmienić organizm, który początkowo był przecież ludzki – wyjaśnił Schnitzel.

Znów wrócił do pasożyta, jakbyśmy byli tylko zmienionymi ludźmi. Moim zdaniem, plół bzdury.

– Wszędzie tak samo o tym piszą – powiedziała.

– Jeśli się z nim nie dogadam, wtedy kolej na pana – zmieniłem temat.

– Rozumiem. – Schnitzel porzucił dalsze rozważania. – Mój zapas wolnego czasu już się wyczerpał. Muszę iść, żeby mieć jakieś wyniki dzisiejszych działań.

– Odezwę się – zapewniłem go.

A może już nie będę miał po temu okazji, pomyślałem, ale tę uwagę zostawiłem dla siebie.

Miałem dwie możliwości. Albo nie zważać na to, że chcąc nie chcąc wmieszałem się w sprawę pomiędzy Wielkim Mistrzem a starszymi wampirami, i stawić temu czoła, albo podkulić ogon pod siebie i uciec. Gdyby Tizoc wystąpił przeciwko mnie tylko dlatego, że zdecydował się włączyć Czechy do swojej strefy wpływów, dopuściłbym drugi wariant. Ale on interesował się moją osobą z powodów, których nie rozumiałem, mających coś wspólnego z Messaliną. Prastare wampiry niełatwo dają się odwieść od zamysłów. W innych cywilizowanych rejonach szybko by mnie wykryli, a ja nie miałem zamiaru wegetować w dżungli albo w śmierdzących slumsach. Chciałem pozostać tutaj w wygodnej, wolnomyślniej Europie, gdzie ostrożny wampir, taki jak ja, mógł żyć w stosunkowo spokojnych i wygodnych warunkach. A to oznaczało grę o wysoką stawkę, nawet gdy się miało słabe karty. I to ja byłem tą słabą kartą w wysokiej grze.

Podczas tych moich rozmyślań Schnitzel cichcem się wyniósł.

* * *

– Czy to dobry pomysł? – zapytała Tes, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się. Była taka młoda, taka śliczna, tak pociągająca, że aż się skręcałem w środku. Na szczęście miałem bardzo ważne sprawy do załatwienia, przede wszystkim troskę o zachowanie własnego karku, co nie było rzeczą prostą.

– Już się zdecydowałem, kotku. Jestem dość dobry, tego możesz być pewna.

– Ale on jest starszy, o wiele starszy od ciebie, nie? – powiedziała z powątpiewaniem w głosie, jakby jej na mnie zależało.

Ach.

– Trochę tak, ale ja żyję w trudniejszych warunkach niż on. A to też ma swoje znaczenie.

To nie była prawda. Carlos mógł być dwukrotnie, trzykrotnie nawet starszy ode mnie. A starsze wampiry nie zapominają niczego, czego się nauczyły. W przeciwnym razie już dawno by zginęły.

– Potrzebna mi pomoc, odszukasz jednego z moich przyjaciół i... – zawahałem się – wystarasz się o trochę krwi. Może będzie mi potrzebna.

– Dobrze. – Uśmiechnęła się.

Już pokonała chwilową słabość i znów stałem się bohaterem, rycerzem godnym podziwu.

Oczywiście nie byłem żadnym rycerzem, chciałem po prostu przeżyć, a najbardziej pragnąłem się dostać pod jej krótką sukienkę. Tak mocno, że aż czułem pulsowanie krwi w skroniach i gdzie indziej.

Ze zdziwieniem odkryłem, że do jej krwi już zbytnio nie tęsknię. Jakbym był normalny.

Wsiadłem na motor i wybrałem numer Derwisza.

– Kiedy wyjeżdżasz?

Przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– A, chodzi ci o to, kiedy lecę do Peggy – zrozumiał. – Jutro o ósmej rano.

– Czy możesz coś jeszcze dla mnie zrobić?

Zgodził się skwapliwie.

– Przyjdzie do ciebie moja koleżanka. Będzie potrzebowała pomocy w uzyskaniu krwi. Oraz transportu i miejsca do ukrycia. Pomożesz jej?

– Jasne.

– Bądź pod telefonem, proszę.

Rozłączyłem się.

Zawiozłem Tes na właściwy przystanek, częściowo po to, żeby się upewnić, że nikt nas nie śledzi, a częściowo, żeby w drodze do Derwisza nie musiała się przesiadać i nie zabłądziła. Nie wiedziałem, jak się z nią pożegnać. A przecież byłem mistrzem w tej dziedzinie, z doświadczeniem sięgającym setek lat. Sama to na szczęście załatwiła, cmoknęła mnie w policzek i poszła.

Tym lepiej.

Przed spotkaniem z Carlosem chciałem jeszcze odwiedzić kilka sklepów. Miałem na to czterdzieści minut.

* * *

Trzy minuty przed umówioną porą wchodziłem do restauracji z wystrojem wnętrza utrzymanym w kolorach czarnym, czerwonym i stalowym. Plastik, tanie tkaniny, niczego takiego nie było, ten lokal hołdował stylowi starych czasów z domieszką współczesnej dekadencji. Usiadłem, kask położyłem obok siebie na stoliku, jakby zapasową głowę, skórzaną kurtkę rozpiąłem tylko na kilka centymetrów, żeby nie było widać tego, co mam pod spodem. Przypomniałem sobie, że nie dałem Tes żadnych pieniędzy. Pewnie i bez nich sobie poradzi, może poprosi kontrolera, żeby ją odprowadził do samego Derwisza. Każdy chłop by to dla niej zrobił. Poczuję nagłą zazdrość, więc aby jej nie ulegać, rozejrzałem się dookoła.

Dziwne, że nie zaprowadzono mnie do stolika, ale już śpieszył do mnie kelner we fraku. Koszulę miał z ciemnoczerwonego jedwabiu w miejsce zwykle spotykanej białej. To dość szczególne.

– Oczekuję towarzystwa. Na razie tylko Bloody Mary – zadysponowałem.

– Świetny wybór, proszę pana. – Błysnął siekaczami koloru wypolerowanej kości słoniowej, godnymi drapieznika.

Wybrałem numer Derwisza.

– Moja kumpelka już u ciebie jest?

– Jeszcze nie.

– Czy możesz sprawdzić, kto jest właścicielem lokalu „Czarno-Czerwona Siódemka”?

– Na poczekaniu się nie da, cuda trwają u mnie do trzech dni – mruknął.

Wydał mi się nieco zmęczony. Naprawdę potrzebował urlopu.

Czekałem spokojnie, po drugiej stronie sali barman przygotowywał mojego drinka.

– Właścicielem lokalu, o który pytasz, jest pan Carlos Masechuta, tak jak i fabryki w Karlinie – usłyszałem w telefonie głos Derwisza.

Ależ ze mnie idiota, sam wlałem prosto do jaskini Carlosa. Z tego wynikało, że postanowił urządzić się w mieście na stałe, nie oglądając się na swego szefa.

– Masz z tym jakiś kłopot? – zapytał Derwisz.

W tym momencie usłyszałem dzwonek do drzwi jego mieszkania.

– Nie – odpowiedziałem krótko. – Idź otworzyć. A tej krwi raczej więcej niż mniej. Bądź wobec niej grzeczny.

Mój partner właśnie nadchodził, nawet nie starał się udawać, że przychodzi z ulicy, wynurzył się skądś z zaplecza restauracji.

Pięćdziesięciolatek w świetnej formie, który spędza więcej czasu na rowerze albo na nartach niż w biurze. Wampiry w wieku około tysiąca lat są bardzo szczupłe, przypomniało mi się. On jednak nie był szczupły. Zapewne brakowało mu jeszcze trochę do tysiąca, może

całe sto lat. Nie bałem się go, a jeśli, to tylko trochę. Pomyślałem, że popełniłem zbyt wiele błędów, żeby wykaraskać się z tego, zachowując całą skórę.

– Jesteś pan jak wrzód na dupie – powiedział zamiast powitania.

– Wyobrażałem sobie pana w lepszej postaci, jako starego wampira, nie jako parodię sportowca – odpląciłem mu pięknym za nadobne. – W dodatku ze słownictwem prostaka z ulicy.

Zacisnął zęby i usiadł. Wyglądało na to, że poczuł się dotknięty.

– A gdzie pański personel, nie będzie brał udziału? – zapytałem pogardliwym tonem.

– Takiemu frajerowi jak pan mogę osobiście udzielić lekcji.

– No, to już uprzejmiej, jak przystało na wampira w pańskim wieku.

– Oderwę panu dupę i wepchnę ją aż do żołądka – syknął.

– Marny ten lokal, zamówiłem drinka, a wciąż go nie dostaję.

Wyglądał jak rzeźba, siedział bez ruchu, z oczami jak zamrożone kawałki lodu i niewzruszoną twarzą.

Obserwował mnie.

Nie dał się sprowokować zwyczajnymi docinkami, ale na niektóre uwagi reagował z energią porównywalną do sporego ładunku TNT.

– Widzę, że postanowił pan zainstalować się w mieście na stałe. Nawet mnie pan o to nie zapytał.

– Kto by się pytał gnojaka?

Żuki gnojaki są doprawdy godne podziwu, potrafią toczyć całkiem dużą kulę. Nie zważają na to, że toczą gnój.

– Odchody to bardziej pańska specjalność niż moja. Jak to się stało, że zdecydował się pan przestać lizać tyłek Tizocowi? Już panu nie pachnie?

Tym razem eksplodował. Coś mnie uderzyło w pierś, poczułem, jak ból rozchodzi się coraz szerzej. Krzesło przewróciło się, a ja, wariacko koziołkując, zatrzymałem się aż pod ścianą.

Nawet nie dostrzegłem ruchu jego ramienia.

Podszedł do mnie bez pośpiechu, jakby był pewny, że straciłem zdolność obrony. Miał rację, ale na szczęście dla mnie miało to być tylko tymczasowe.

Problemem starych wampirów jest to, że zapominają o technice, o tym wszystkim, co ludzie wymyślili. Uratowała mnie kamizelka kuloodporna, uzupełniona warstwą chroniącą

przed pchnięciem bronią kłującą i wyłożona płytkami ceramicznymi³ dla podwyższenia ochrony przed przestrzeleniem. Chociaż one też były popękane.

Pięść, którą mnie uderzył, przedstawiała sobą nieciekawą widok. Kupa rozdartych mięśni i odłamków kości. Nie wyglądało jednak na to, żeby mu ten stan rzeczy zbytnio przeszkadzał.

Potrzebne mi było Visio in Extremis, ale nadal widziałem normalnie, mogłem polegać tylko na refleksie wyostrzonym przez całe życie.

– Pan żyje – stwierdził ze zdumieniem.

Leżałem na podłodze z głową zwróconą w jego stronę, stanowiącą wspaniały cel. Już wiedziałem, że wzmianka o Tizocu jest właściwym sposobem doprowadzenia go do szału.

– Sługa Tizoca nie zdoła mnie zabić.

Skupiłem się na tym, żeby ruch moich złączonych rąk, w których trzymałem nóż, rozpoczął się wraz z sylabą „słu”. Skupiłem się również na tym, aby zaatakować tak szybko, jak tylko zdołam, Oczywiście trafił mnie kopniakiem w głowę, aż odleciałem w dzikich przewrotach i odzyskałem przytomność dopiero po uderzeniu w ścianę. Ale Carlos już nie atakował, rycząc z bólu i wściekłości, usiłował wyciągnąć z goleni nóż, który przeszedł między kośćmi na wylot. Usłyszałem hałas zbiegającego się personelu, pole widzenia stopniowo mi się poszerzało, w miarę jak mózg przychodził do siebie po wstrząsie, poprzedni ból w piersi mieszał się z nowym.

Pracowników lokalu nie musiałem się obawiać, teraz to była osobista sprawa Carlosa, z którego zrobiłem idiotę.

Ucichł, a ja zdołałem wstać. A więc jeden do jednego. Oparłem się o ścianę, żeby pewniej stać na nogach. No, powiedzmy, że takie słabsze j eden do jednego.

Coś stuknęło o podłogę, okazało się, że to moje przednie zęby. Znajoma dentystka sobie zarobi.

Kolejny grzechot na podłodze, to kamizelka rozpadła się definitywnie.

Carlos, kulejąc, ostrożnie podszedł do mnie, twarz miał wykrzywioną grymasem bólu, ale to było wszystko. Liczyłem na więcej.

– Nieczysta sztuczka – ocenił.

Odpowiedziałbym mu, gdybym był w stanie mówić.

³ Przed wystawieniem się na ostrzał z broni palnej albo przed walką z wampirem polecam dokładne zapoznanie się z charakterystyką posiadanej kamizelki kuloodpornej (wraz z tabelkami balistycznymi) oraz gwarancją. Reklamacji martwych zazwyczaj się nie rozpatruje (uwaga autora).

Uderzył prawym hakiem. Nie na tyle silnym, żeby mnie zwalić z nóg, ale wystarczającym na ponowne zamroczenie. Spróbowałem ot tak, pro forma oddać mu cios i udało mi się w pełni.

Chociaż efekt był taki, jakbym tłukł w pień dębu.

– Ty bękarcie! – zawył z wściekłością.

Tym razem widziałem jego pięść, ale dlatego, że zrobił wyrok, a zamach, jaki wziął, był obszerny, zaczął się od biodra. Przeczuwałem, którądy poprowadzi cios.

Mogłoby to być niezłym trikiem filmowym. Nagle znalazłem się o kilka metrów dalej, na stole z przygotowanymi zimnymi przekąskami, na suficie nade mną widniała krwawa smuga. Wyraźnie się od niego odbiłem. Jakimś niewiarygodnym trafem głowa nadal trzymała się karku.

Wspaniała akcja. Wydawało się, że za chwilę umrę.

Carlos zbliżał się powoli, ostrożnymi krokami. Zacząłem macać w poszukiwaniu jakiejś broni, trafiłem na miskę z czymś miękkim i zimnym, sądząc po zapachu, był to pasztet. Rzuciłem tym w niego. Jeszcze raz, a potem miotałem sałatką, kluseczkami i różnymi innymi rzeczami.

Nie uchylał się, po pierwszym trafieniu stanął i z niedowierzaniem przyglądał się, jak zmieniam go w postać z komedii slapstickowej.

– Tizocowi też służysz jako tarcza strzelnicza? – wreszcie udało mi się przemówić.

W jednej chwili był przy mnie. Raczej przez przypadek wywinąłem się tęgiemu kopniakowi, którym rozwalił stół na kawałki. Jakimś cudem udało mi się wstać, resztki stołu oddzielały nas od siebie.

Jeden cios, drugi, też go trafiłem, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Przed jego hakiem uchyliłem się zaledwie na milimetry, ale nie ochroniłem nosa, w który zawadził mnie łokciem. Rotacji uzyskanej podczas uniku użyłem do kopnięcia z wysokości, ale jeszcze w powietrzu trafił mnie oburącz z mocą stuczterdziestomilimetrowego móżdżka z 1918 roku. Znowu znalazłem się pod ścianą.

Znowu się na mnie rzucił, widziałem go tylko jako niewyraźny kontur. Próbowałem, leżąc, kopnąć go w krocze, zablokował mnie, ale nie zdołał złapać nogi. Odtoczyłem się w porę, zamiast moich kości zdruzgotał tylko podłogę.

Znowu staliśmy naprzeciw siebie.

Skrócił dystans, nogami wyrył w parkiecie głębokie rysy. Nie zdołałem zupełnie uniknąć jego ciosów, ale ocierały się tylko o mnie, rysując skórę i obijając mięśnie.

Cofałem się, wokół nas zalegały połamane krzesła, coraz trudniej było utrzymać się na nogach.

Jednak stale się cofając, przegram z kretesem.

Udało mi się uniknąć kolejnego uderzenia i równocześnie skrócić dystans. Złapałem go za potylicę i z całą siłą pociągnąłem jego głowę w dół, naprzeciw mojemu kolanu.

Do cholery, przecież dałem radę przewrócić auto, no nie?

Prawie mi się udało, ale już pochylony chwycił mnie za boki i ściągnął na dół.

Ugryzłem go w coś, lecz nie wiedziałem w co.

Zawył i kopniakiem odrzucił mnie od siebie.

Zanim znów mnie dopadł, użyłem większości dostępnych przedmiotów jako pocisków. Bez rezultatu.

Teraz nie wyglądał już tak elegancko jak przedtem. Krwawa bruzda na czole sięgała kości, twarz przypominała nocną zmore, dzieło chirurga plastycznego opłacanego stosownie do wyniku jego starań.

– Wyglądasz obrzydliwie – stwierdziłem.

Ostatnie minuty pozbawiły mnie resztki sił i już nie byłem zdolny do dalszej walki. Stałem nieruchomo, serce pracowało jak silnik dużej ciężarówki, krew waliła w tętnice, aż robiło mi się gorąco.

– Powinieneś być martwy.

Miał rację. Sam się dziwiłem, że tak długo stawiałem opór staremu wampirowi. Zabijaka Tizoca zwyciężył mnie o wiele łatwiej.

– Zabiję cię.

Dlaczego nie.

Sięgnął pod podarty smoking, przegapiłem moment dogodny do ataku, z ukrytej pochwy wyjął nóż kukri i szybkim ruchem przechodzącym w łuk zaatakował moją szyję.

Ciężki nóż nieco go spowolnił, na jego twarzy pojawił się wyraz wysiłku, mięśnie się uwypukliły. Odchyliłem się z szybkością, o jaką sam siebie nie podejrzewałem, złapałem go za nadgarstek ręki, w której trzymał broń, i bez specjalnego wysiłku, zmieniając kierunek jego ruchu, złamałem ją w przegubie.

Ból go nie powstrzymał, wykonał wyrok i zamierzał uderzyć mnie pięścią drugiej ręki. Tej rozbitej o moją kamizelkę. Udało mi się ją złapać, ale był tak silny, że obawiałem się o całość swoich kości i ścięgien. Zamiast się siłować, wykonałem obrót całym korpusem,

wykręciłem się w biodrach i pociągnąłem mu rękę do przodu. Przeleciał obok mnie z szybkością shinkansenu⁴ i wylądował wbity głową w ścianę wykonaną z pustaków ytong.

Złapałem oddech, ciało zasygnalizowało, że jeszcze przez chwilę będzie mi posłuszne.

Podszedłem do Carlosa, wyciągnąłem nóż wbity w ścianę tuż przy nim. Jak na razie nie starał się wyrwać z objęć ytongu. Wokół nas zebrał się personel restauracji, sześciu elegancko ubranych mężczyzn w czerwonych jedwabnych koszulach. W rękach nie trzymali ani ściereczek, ani szklanek, tylko nieprzyjemnie wyglądające kindżały, maczety, łańcuchy z kolczastymi kulami. Najwyraźniej Carlos pozostawiał wybór broni swoim pracownikom. Nie ma nic lepszego ponad wolność i demokrację.

Złapałem go, wyrwałem jego głowę z muru i przyłożyłem zakrzywione ostrze do gardła.

– Odwołaj ich albo z Panem Bogiem – pozwoliłem mu wybrać.

Z powodu wybitych zębów sepleniałem, nie byłem więc pewny, czy mnie rozumie, zresztą mógł nie mieć pełnej świadomości po takim uderzeniu w ścianę.

– Na miejsca, zamknąć lokal – rozkazał z zamkniętymi oczami.

No proszę, o tym nie pomyślałem.

Trzymałem ostrze oparte o jego szyję, ale pozwoliłem mu stać prosto.

– Nie rozumiem, jak to możliwe, że nie jesteś martwy – powiedział. – Powinienem cię rozedrzeć na sztuki gołymi rękami.

Też tego nie rozumiałem i tylko wzruszyłem ramionami.

– Wrodzony talent. Znów masz możliwość wyboru. Albo porozmawiamy spokojnie, albo zabiję cię na miejscu.

Może to być błąd, za chwilę to on mógł mnie zabić, ale potrzebne mi były informacje, bez nich nie miałem szans na przeżycie.

– A co potem, jak już porozmawiamy? Dlaczego miałbym pozostawić cię przy życiu?

Już nie wierzył, że mnie tak łatwo zmiażdży, i wcale nie dlatego, że trzymałem mu nóż na gardle. Miałem uczucie, jakbym patrzył na to oczami kogoś niezaangażowanego. Oto wampir trzymający Carlosa pod nożem myśli, że zwyciężyłby go po raz drugi, i to uczucie po prostu z niego emanuje. Wszyscy obecni zdawali sobie z tego sprawę. Nie miałem jednak czasu dziwić się temu czy nad tym rozmyślać. Odzyskałem równowagę ducha.

– Schnitzel doniesie na ciebie Tizocowi. A pierwszy donosiciel ma przewagę – wyjaśniłem.

⁴ Nazwa bardzo szybkiej kolei japońskiej na trasie Tokio – Osaka, wybudowanej przed olimpiadą w 1964 roku (przyp. tłum.).

Rozważał to, wciąż jeszcze ciężko i szybko oddychał.

– No więc pogadamy, skoro tak ci na tym zależy – przytaknął.

Odsunąłem kukri na bok i podszedłem do jedyne go stolika, jaki pozostał cały.

– Zamówiłem drinka – huknąłem przez ramię.

Zwaliłem się na krzesło, nie będąc pewny, czy Carlos nie rzuci się na mnie.

Zamiast tego doczekałem się swojego drinka, podanego z profesjonalną uprzejmością, a jako dodatek kelner przyniósł na srebrnej tacy dwa półlitrowe woreczki krwi. Carlos usadowił się naprzeciw mnie z taką dozą elegancji, jakby przed chwilą nie został pobity, jeden woreczek wziął sobie i natychmiast zaczął pić. Poczulem silny głód. Pragnienie oczywiście też, ale nie tak duże, jakiego oczekiwałem po walce. Sprawdziłem językiem dziury po wybitych zębach i wyczułem zarodki nowych.

Zdziwiło mnie to, dawniej musiałbym na nie czekać tygodniami, a nawet miesiącami.

Najpierw sięgnąłem po alkohol. Pałący ból w zębodołach był prawie odświeżający, dawał mi pewność, że jeszcze żyję.

Carlos patrzył na mnie, na szklanekę w mojej ręce, na woreczek z krwią.

Wyglądał tak, jakbym go znowu uderzył. A ja naprawdę nie miałem aż tak wielkiego pragnienia. Sam byłem tym zaskoczony.

– Za plecami swego szefa tworzy pan własną armię – zasepleniłem. Przez chwilę poćwiczyłem językiem i mogłem kontynuować z nieco lepszą artykulacją. – Kupuje pan nieruchomości, instaluje się tutaj na stałe.

Każdy Wielki Mistrz staje się bardzo czujny w przypadku takiego zachowania. Oznacza ono, że zainteresowany chce się usamodzielnąć, a to na ogół pociąga za sobą zabójstwo Wielkiego Mistrza i likwidację jego klanu, w razie niepowodzenia natomiast długą i krwawą wojnę o sukcesję.

– Tizoc zwariował – odpowiedział krótko.

Wszystkie stare wampiry wydawały mi się wariatami. Tym bardziej prastare. Czekałem, co jeszcze powie.

– Ten jego sługa zajmuje się badaniami nad tym, jak nas najłatwiej zabijać, usiłuje ustalić, z czego czerpiemy naszą siłę.

– Wasze glyheny też wcale nie są zwyczajne – zauważyłem.

– Ano nie są. – Uśmiechnął się z dumą. – Ale ja wytwarzam je sposobem tradycyjnym, z własnej krwi i z krwi innych wampirów. Tizoc natomiast usiłuje wykorzystywać współczesną technikę i za jej pomocą podporządkować sobie pozostałe klany.

Nie widziałem specjalnej różnicy w tym, że jeden wampir próbuje się przebić na szczyt przy pomocy glyhenów, a drugi używa innego sposobu.

Carlos tymczasem mówił dalej.

– Tylko że Tizoc nie chce rządzić jedynie wampirami, ale i ludźmi. Za pomocą własnych środków, wiedzy, techniki, ustroju społecznego. A to jest złe, bardzo złe.

Oczywiście złe głównie dla Tizoca. Ten staruch naprawdę zwariował. Mógłby się bawić w króla jakiejś zapomnianej wioski, zagubionej gdzieś w pralesie, ale we współczesnej dobie to było wszystko. Czasy tyranii absolutnej bezpowrotnie minęły i gdyby wampir zbyt mocno mącił wodę, spotkałby go pech. W większości przypadków zajęliby się nim pobratymcy, żeby ludzie nie dowiedzieli się o naszym istnieniu.

– To jest złe, zniszczy nas wszystkich – powtórzył Carlos. – Już raz tak było, o mało co wtedy nie powymieraliśmy. – Potrząsnął głową.

Przez chwilę wydawał się nieobecny i pogrążony w rozpamiętywaniu przeszłości, zainteresowało mnie to bardziej niż jego słowa.

– Co konkretnie ma pan na myśli? – zapytałem.

– Nie wiem – przyznał. – Przypominam sobie tylko niektóre rzeczy i to niewyraźnie. Kiedyś pamiętałem wszystko dokładnie, teraz już nie. Jeśli jednak nie powstrzymamy Tizoca, będzie to oznaczało nasz koniec. Mam na myśli wszystkie wampiry. Tego jestem pewny.

– Czy nie byłoby prościej zatroszczyć się o siebie, a nie brać na barki ciężar ochrony pozostałych? – podesunąłem.

Personel lokalu przez cały czas likwidował skutki walki, dziurawą ścianę zakryli, wieszając na niej duży obraz.

– Nasz gatunek niezbyt wysoko ceni altruizm – dodałem.

Dopiłem drinka. Prawidłowa ilość soli i pieprzu, tabasco w sam raz, dobra wódka, nie żadna namiastka.

Właściwie to był całkiem niezły lokal.

– To sprawa osobista – oświadczył Carlos. – Jestem starszy, niż można sądzić z mojego wyglądu. Dobijam do szesnastu stuleci, ale kilkaset lat zmarnowałem jako żyjąca ruina.

Wampiry nigdy dobrowolnie nie przyznają się do swego wieku, to zbyt drażliwy temat. Szesnaście stuleci? Słuchałem z wyęźoną uwagą.

– Około dziewięćsetnego roku przebywałem pośród Majów jako kapłan. Byłem wtedy jeszcze młody, ale już miałem swój klan, a w cywilizacji, w której regularnie miały miejsce krwawe rytuały, nie zaznawaliśmy biedy. Żyłem w spokojnym dobrobycie. Podczas jednej z

podróży służbowych spostrzegłem ludzi szykujących się do spalenia człowieka. Jako wysokiej rangi kapłan miałem prawo sprawowania sądów, więc zainteresowało mnie, co takiego zrobił. Powiedzieli mi, że to wampir, wysysał z ludzi krew. Za to chcieli go spalić. Popełniłem błąd i uratowałem go. Uratowałem Tizoca.

Carlos sprawiał wrażenie, jakby wydobywał wspomnienia z bardzo głębokiej przeszłości i każdy sukces zdumiewał go i sprawiał mu radość. Fakt, że dzielił się nimi ze mną, najwyraźniej nic go nie obchodził.

– Pięćdziesiąt lat później poszczuła na mnie moich własnych podwładnych. Sam nie mogłem nic zdziałać, bo był gołowąsem, ale starsze wampiry wzięły mnie w niewolę.

Jego twarz przypominała teraz rzeźbę w granicie.

– Nie mogłem zrozumieć, jak tego dokonał, w jaki sposób ich namówił. Moi byli wasale oznajmili mi, że mnie zgładzą. Chciałem wiedzieć dlaczego. W końcu mi powiedzieli. Tizoc obiecał im lepsze życie bez ukrywania się i ostrożności. Obiecał, że razem z nim będą władać ludźmi, staną się dla nich nowymi bogami.

– I jak się to skończyło? – zapytałem, chociaż jasne było, że żaden happy end nie nastąpił.

Poszukałem wzrokiem kelnera i dałem mu znak, że chcę jeszcze jednego drinka.

– Pięciu mnie trzymało, za ręce, za nogi i za włosy. Szósty ściał mi głowę. Kamiennym toporem o półkolistym ostrzu, toporzysko wyłożone było jadeitem.

Niektórych szczegółów nie można wymazać z pamięci.

– I w ten sposób Tizoc został władcą i spełnił swoje obietnice – dokończyłem⁵.

Przyniesiono mój drink, a do tego jedzenie, którego zresztą nie zamawiałem. To samo dostał Carlos. Solidny stek T-bone. Personel był wyćwiczony, dobrze wiedział, czego trzeba wampirowi po walce, żeby odzyskał siły.

Jedliśmy w milczeniu, dość łąpczywie. Porcje były duże, dwa, może nawet trzy razy większe od przeciętnych, i trochę potrało, zanim się z nimi uporaliśmy.

W końcu odsunąłem talerz i tyknąłem ze swojej szklanki.

Carlos też skończył i wygodniej rozsiadł się na krześle. Też chętnie bym się oparł, ale cholernie bolały mnie plecy.

⁵ Tizoc i jego poplecznicy naprawdę stali się bogami na ziemi – krwawymi bogami. W następstwie tego bardzo szybko, około 900 roku naszej ery, zniknęła cywilizacja Majów. Hipotezy klimatologów dotyczące tego okresu są błędne. Susza, jaka wtedy zapanowała, była dla rozwiniętego rolnictwa Majów, z jego wydajnym systemem nawadniającym, do opanowania (przyp. autora).

– Czy mogę otworzyć ten lokal? – zapytał. – Jak załatwię swoje sprawy z Tizokiem, wyprowadzę się gdzie indziej. Respektuję pańskie prawa do tego terytorium. Będę potrzebował tylko kilku miesięcy na ustabilizowanie się sytuacji w Meksyku. Wtedy tam wrócę. Ale legalne przedsiębiorstwo ułatwiałoby mi mnóstwo spraw.

Gdyby mnie zabił, dostałby całą Pragę, a nawet całą Republikę Czeską. Ale nie zdołał tego dokonać.

– No pewnie, zamknięty lokal jest podejrzany, a do tego nie przynosi zysków – zgodziłem się.

Nie dostrzegłem rozkazu, którym poinstruował personel, ale wkrótce do sali weszli pierwsi goście. Powinien płacić mi procent od obrotów, ale zostawiłem to, mając do załatwienia ważniejsze sprawy.

– Jak to się stało, że pan przeżył? – zapytałem, widząc, że nie kontynuuje opowieści.

Przeżył ścięcie głowy? To niewyobrażalne.

– Zdradzili mnie, ale nadal szanowali. Nie zanieśli mojej głowy Tizocowi, ułożyli ją w trumnie na swoim miejscu tak, że wyglądałem jak za życia, i pogrzebali mnie w dżungli. Dowiedziałem się tego znacznie później. Chociaż domyślałem się, że tak to musiało przebiegać.

Zanim podjął opowieść, miałem prawie pustą szklanekę.

– Nie pamiętam, kiedy się ocknąłem. Mam przebłyski dopiero z późniejszego okresu, kiedy jak bezmyślne zwierzę błąkałem się po dżungli, gołymi rękami zabijając jaguary, anakondy i ludzi. Na początku zabijałem wszystko, na co natrafiłem. Kiedy odkryłem wioskę zagubioną w dżungli, trzymałem się w jej pobliżu, dopóki żył ostatni człowiek. Polowanie na ludzi było łatwiejsze niż na zwierzęta. Ich krew też była lepsza od zwierzęcej. Powoli wracała mi umiejętność myślenia i zacząłem rozumieć, że z masakry nic dobrego dla mnie nie wyniknie. Dzięki szczęściu umknąłem dwóm zorganizowanym obławom. Każda kolejna mogłaby być dla mnie ostatnią. Zacząłem szukać większych skupisk ludzi i żywić się ostrożniej. Ale to nie wystarczało, za każdym razem prędzej czy później zaczynali na mnie polować. Nie wiem, jak długo to trwało, nadal bardziej polegałem na instynkcie niż na pracy mózgu. Może to były dziesiątki lat, może sto, a może sto pięćdziesiąt. Zmieniałem teren działania, na przemian to uciekałem w góry, to wracałem na niziny.

Odwróciłem szklanekę do góry dnem. A więc po długiej śpiączce, czy raczej po śmierci, bo czymże jest człowiek, a nawet wampir z odciętą głową – tylko trupem, głowa mu przyrosła, a on ożył. Niewiarygodne. Mógł wprawdzie kłamać, ale po co miałby to robić?

– Powoli, na razie częściowo zaczęły wracać wspomnienia i byłem w stanie myśleć jaśniej. Gdzieś około roku tysiąc dwusetnego powróciłem między ludzi. Było ciężko, z trudem pozbywałem się niektórych zwierzęcych nawyków, na przykład panicznie bałem się ognia. Kiedy w okolicy pojawili się pierwsi zdobywcy azteccy, poznałem między nimi jednego z moich dawnych podwładnych. Musiałem być ostrożny, nie całkiem byłem jeszcze sobą, nie dałbym rady żadnemu staremu wampirowi. Ale przyłapałem go, zadałem szereg pytań i otrzymałem zadowalające odpowiedzi.

Stary wampir uśmiechnął się okrutnym uśmiechem.

Nie chciałem wiedzieć dlaczego.

– Tizoca wyszedłem jakieś sto lat później. Założył dynastię azteckich generałów, w której funkcja przechodziła z ojca na syna, oczywiście przekazywał ją sam sobie i stopniowo eskalował ilość corocznych ofiar, przez co wywoływał coraz nowe wojny. Nie mogło się to dobrze skończyć. Kiedy przybył Cortez, kraj był wyczerpany, zburzony.

– Więc już od pięciuset lat pracuje pan dla niego? – zapytałem. – Nie tak wyobrażam sobie zemstę.

– Jego klan jest bardzo silny, a Tizoc nie ufa nikomu, kogo nie zna od dawna. Pół wieku trwało, zanim dostałem się do rady starszych. Przez ten czas uporałem się z następstwami mego starego zranienia. Dziś mogę już zmierzyć się z którymkolwiek starym wampirem. Ale nie chcę zrobić tego szybko. Będzie cierpiał długo, jak ja w dżungli.

– Więc opowieści o ochronie pozostałych wampirów to były tylko słowa?

Carlos pokręcił głową.

– Nie, nie były. Właśnie dlatego postanowiłem przyspieszyć działania. On znów szykuje się do powtórzenia starych błędów, chce rządzić ludźmi. A w dzisiejszym świecie nie jest to możliwe. Zrzeknę się zemsty, jeśli tylko uda mi się go powstrzymać.

Carlos miał rację. Tizoc lub inny prastary bękart byli w stanie pozabijać na placu boju tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy ludzi, ale już w pierwszej wojnie światowej zginęło ich mnóstwo. A co mówić o inteligentnych rakietach, które same wyszukują cele. Pięćdziesiąt kilogramów CL-20⁶ z całą pewnością zabije nawet najodporniejszego wampira. Gdyby ludzie się o nas dowiedzieli, to z ich rentgenami, tomografami, analizą genetyczną i innymi osiągnięciami techniki i wiedzy wygubiliby nas bardzo szybko.

⁶ Heksanirroheksaazowurtzytan, w skrócie HNIW, materiał wybuchowy zsyntetyzowany w 1987 roku, jeden z najsilniejszych środków burzących używanych w przemyśle i działaniach wojennych. Stare wampiry w pewnej mierze są w stanie znieść eksplozję TNT, ze względu na stosunkowo niewielką wartość fali uderzeniowej i szybkość jej rozprzestrzeniania się. (przyp, autora).

– Jesteśmy łowcami, a nasza siła polega na tym, że pozostajemy niewidzialni – Carlos wypowiedział na głos moje myśli.

Przytaknąłem.

Kawałek układanki trafił na swoje miejsce, teraz wiedziałem, dlaczego Carlos chciał zgładzić Schnitzzela. Ale mój problem nadal nie doczekał się rozwiązania.

– Dlaczego Tizoc myśli, że wiem, gdzie jest Messalina? Nigdy nie miałem wiele wspólnego z Wielkimi Mistrzami – przeszedłem do tego, co dla mnie było najważniejsze.

– Pomógł jej pan w ucieczce, a tego wampir nie robi ot, tak sobie.

– Ja? – nie zrozumiałem.

Carlos przyglądał mi się w zamyśleniu.

– No tak, w ucieczce z tego nocnego klubu – wyjaśnił.

Wreszcie zrozumiałem, ale przez chwilę siedziałem bez słowa z otwartą gębą. A więc Kristie była naprawdę Messalina. Dziewczyna, którą poderwałem przy barze i z powodu której stoczyłem bój z całym komandem glyhenów. Była Wielką Mistrzynią klanu. A potem poszedłem z nią do łóżka. A to znaczyło, że tak naprawdę jej nie poderwałem. Musiała natychmiast poznać, że jestem wampirem. A ja tego po niej nie poznałem. Była silniejsza ode mnie i z tą bandą mogła uporać się sama.

Logika tego wydarzenia była trochę kulawa.

– Czego Tizoc od niej chce? – zapytałem ostrożnie.

Nie miałem zamiaru wykrzykiwać, że spędziłem upojną noc z wampirzycą, o której krążą legendy i którą zbiegiem okoliczności interesuje się jego Wielki Mistrz, jeden z najmocniejszych przywódców klanów.

– Nie wiem. – Carlos wzruszył ramionami. – Nie zwierza się nikomu, nawet radzie starszych.

Zamiast rozwiązania zagadki wszystko się jeszcze bardziej zamotało.

– Dlaczego oznakowywał pan glyheny cechą stylizowanego H? – przypomniałem sobie.

– Wydaje mi się, że to był mój stary znak Wielkiego Mistrza. Tak myślę – przyznał.

Mogłem w to uwierzyć. Przypomniała mi się jedna z uwag Derwisza, dotycząca mojej „Pamięci”: „Jak przechować ważne wspomnienia naprawdę starych wampirów?”.

– Ma pan już ponad połowę drugiego tysiąclecia – zacząłem.

– Tak, obiektywnie rzecz biorąc tak, ale mój rzeczywisty żywot zaczął się przed niecałymi ośmiuset laty. I wciąż w połowie jestem kaleką, w walce z prawdziwym prastarym wampirem nie miałbym szans.

Z tym trudno mi się było zgodzić, pierwszy cios, którym zniszczył bardzo odporną kamizelkę, był nadzwyczaj podobny do tego, jaki zadał mi stary wampir przesłuchujący mnie w sprawie Messaliny w laboratorium Schnitzela. Jednak nie zdecydowałem się na kwestionowanie jego wypowiedzi.

– Gdzie przechowuje pan swoją pamięć? – zapytałem wprost.

Nie było to pytanie, które jeden wampir powinien zadawać drugiemu, ale pokonałem go w pojedynku i teraz w jakiś sposób mnie szanował. Nie przypuszczałem jednak, że mi odpowie.

– Jestem właścicielem kilku starych zamków i innych zabytków.

Nie tak sławnych, żeby się nimi interesowali archeolodzy, ale wystarczająco starych, żeby można było schować w nich moje zapiski. Trochę umieszczam też w zapisach elektronicznych i w kryptografii. To raczej na krótką metę.

Schnitzel mówił, że Carlos nie ma problemów ze współczesną techniką, co jest dość niezwykle w przypadku starego wampira.

– Musiałem się nauczyć prawie wszystkiego, żeby przeżyć – powiedział, jakby czytał w moich myślach. – A zrozumienie i użycie ludzkiej techniki już mi wielokrotnie pomogło.

To miało sens, sam usiłowałem dotrzymać kroku ludzkim osiągnięciom i nie tracić z nimi kontaktu. Carlos był w tej dziedzinie o klasę lepszy.

– A Tizoc? – zapytałem. – Co się dzieje z jego pamięcią?

– Miejsce ukrycia pamięci jest najgłębszą tajemnicą każdego starego wampira – odparł, patrząc mi badawczo w oczy. – Z tego powodu dochodzi nawet do zabójstw.

Miał rację. Przez chwilę zastanawiałem się, czy dyskusja nie zmierza w ślepą uliczkę.

– Czy nie miałby pan ochoty zajrzeć do jego pamięci, wspomnień ciągnących się przez wszystkie te wieki, których pan nie pamięta? – drażyłem temat dalej.

– Oczywiście mógłbym zapełnić białe plamy ze swej przeszłości – przytaknął.

– Tylko nie wiemy, gdzie się ta pamięć znajduje. – Wzruszyłem ramionami.

Carlos milczał przez chwilę, obserwując mnie uważnie.

– Przywiózł ją tu, do Europy – wyjął po krótkim wahaniu. – Wiem też, że oprócz mojej pozyskał również pamięć minimum dwóch innych Wielkich Mistrzów.

To była bardzo interesująca wiadomość. Europa, będąca drugim po Australii najmniejszym kontynentem, jest jednak zbyt duża, żeby zacząć szukać na ślepo.

– I nawet przypadkiem nie dowiedział się pan, gdzie ją ukrył.

Nie zaznaczyłem tonu pytającego w tym zdaniu.

– Wiem gdzie.

Wstrzymałem oddech.

– Kupił nieruchomość w Rosji i tam ją schował. Starał się to zataić, ale takiej operacji nie zdołał przede mną ukryć. Kontroluję przecież jego ludzkie służki.

Zdecydowana pozytywna odpowiedź zaskoczyła mnie. Carlos rozmawiał ze mną jak równy z równym.

– Ale dlaczego w Rosji? Kupił Kreml czy Mauzoleum? To chyba jedyne budowle, którym w następnym stuleciu nie grozi rozbiórka.

– Kupił starą elektrownię atomową, wyłączoną z eksploatacji ze względów ekologicznych. Tanio. Zobowiązał się, że przez wyznaczony czas będzie ją utrzymywał w stanie niezagrażającym środowisku. Gdyby ten pomysł skonsultował ze mną, jeszcze by mu zapłacili.

Z tego wynikało, że Tizoc był bardziej nowoczesny, niż to sobie wyobrażałem.

– Skąd pan wie, że pamięć ukrył właśnie tam?

– A po co kupowałby coś tak niepotrzebnego i ogromnego?

– Kiedy to było?

– Dziesięć lat temu.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Ze starszych wampirów chyba już nikt. Wiedzą o tym jego ludzcy słudzy i glyheny, ale z nimi się nie kontaktuję. No i Schnittzel. To człowiek bardzo inteligentny, pozbawiony skrupułów i niebezpieczny.

Rozumiałem, dlaczego wampirom wydawał się pozbawiony skrupułów. Szukał sposobu, jakim można by nas jak najłatwiej zabić. A robił to dla innego wampira. Prawie można by się z tego uśmieć.

– Myślę, że powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia – zakończyłem rozmowę. – W jaki sposób będziemy utrzymywać kontakt?

– Może przez ten lokal? – zaproponował.

– I przez telefon, jeśli się da – dopełniłem. – Potrzebne mi są informacje o tej elektrowni. Kto jej pilnuje, ilu ich jest, jak są uzbrojeni, po prostu wszystko, co się da.

Carlos pomyślał przez chwilę.

– Pojedzie pan się tam rozejrzeć? – zapytał.

W jego słowach można było wyczuć pożądlivość, takich emocji nie widziałem na jego twarzy nawet podczas walki.

– Być może, czy chciałby pan się wybrać ze mną?

Trochę niepokoił mnie barman i dwaj kręcący się po sali kelnerzy. Były to glyheny i ich słuch mógł osiągać poziom właściwy dla psa czy nawet nietoperza. Ale z drugiej strony nie słyszałem o przypadku, kiedy glyhen zdradził swego pana.

– Nie chcę – odpowiedział po krótkim wahaniu. – Gdyby ktoś mnie tam zobaczył, oznaczałoby to mój koniec.

Wstałem od stołu, szło mi ciężko, ale przypuszczałem, że będzie gorzej. Znów byłem głodny, miałem też umiarkowane pragnienie, a w dziąsłach wyczuwałem czubki wyrzynających się siekaczy.

– Co z procentami z użytkowania lokalu na pańskim terytorium? – zapytał.

Nie mogłem się zorientować, czy ironizuje, czy mówi poważnie.

Zwyciężyłem go, ale gdyby rzuciły się na mnie jego glyheny, dysponujące umiejętnościami daleko wykraczającymi poza standardowe ramy, nie miałbym żadnych szans. Co najwyżej na ucieczkę.

– Jedzenie i krew, żeby ugasić pragnienie, zawsze gdy przyjdę – odparłem.

– Jest pan nieoczekiwanie wielkoduszny.

– Nie potrzebuję zaplecza – powiedziałem – a miejsce, w którym będę mógł się najeść i napić, jest na pewno przydatne.

– Słyszeliście. – Spojrzał na kelnera i barmana, którzy nas obserwowali.

Obaj przytaknęli.

– No to ustalone – potwierdził nasze porozumienie.

* * *

Wyszedłem na ulicę, zastanawiając się, czy w dość mizernej kondycji fizycznej zdołam kierować motocyklem. Zapewne nie, ale nie zamierzałem zostawić go tutaj. Włożyłem kask, zapuściłem silnik, wrzuciłem jedynekę i bardzo ostrożnie popuszczałem sprzęgło.

Na tej maszynie ostrożność nie dawała pożądanego efektu. Wszystkie moje niedawno zrośnięte kości zaprotestowały, lecz utrzymałem się na siodełku, wyminąwszy przechodniów i śmieciarkę. Nie ma nic lepszego od moich umiejętności jeździeckich. Poszło mi nadspodziewanie dobrze i po niecałych trzydziestu minutach zahamowałem przed rezydencją Derwisa. W rzeczywistości było to mieszkanie w czynszówce z lat trzydziestych, ale on zawsze mówił o nim „rezydencja”.

Wyłączyłem motor i pozwoliłem sobie pogrzać się przez chwilę ciepłem emanującym z masywnego czterocylindrowca. Po walce, którą stale czułem w kościach, i uciążliwym

kluczeniu w gęstym ruchu ulicznym musiałem zebrać siły. Siedziałem, głęboko oddychając, słuchając pracy komórek swego ciała i w ten sposób odpoczywając.

Stara kobieta wyprowadziła na spacer miniaturowego pieska, oboje kuśtykali w zadziwiająco zgodnym rytmie; pośród ukwieconych krzewów chował się chłopak z dziewczyną, jeszcze dzieci, ale oboje dzielnie popalali jednego papierosa. Pod znakiem zakazu postoju zatrzymało się czarne, luksusowe auto, jednak zaraz odjechało i zaparkowało pomiędzy niebieskim dostawczakiem a wozem sportowym, który swoje najlepsze lata miał już dawno za sobą. Jeszcze raz głęboko odetchnąłem – miło uświadomić sobie, że nadal jest się wśród żywych.

Ostrożnie zsiadłem ze swego stuipięćdziesięciokonnego motoru, postawiłem go na widełkach i sięgnąłem do paska pod brodą, żeby zdjąć kask. Na postoju było w nim za ciepło.

Z czarnej limuzyny wysiadło trzech mężczyzn, wszyscy w ubraniach kupowanych u tego samego krawca. Od razu poznałem, że to wampiry, ale przyjrzałem im się jeszcze raz. To rzeczywiście były wampiry. Każdy z nich miał podręczną teczkę, a w niej prawdopodobnie broń, a może jeszcze coś innego. Wszyscy ruszyli prosto do wejścia na klatkę schodową, w której znajdowało się mieszkanie Derwisza.

Mógł to być przypadek, ale bardzo mało prawdopodobny.

Poszedłem za nimi, lecz w połowie drogi uświadomiłem sobie, że poza krótkim nożem nie mam żadnego użytecznego narzędzia. Rozsądnie byłoby zostawić ich w spokoju. Zabiliby Derwisza, zabiliby Tes. No i co z tego, oboje są tylko ludźmi. Lepiej byłoby skradać się za nimi i w momencie, kiedy będą zajmować się Derwiszem i Tes, a nią na pewno będą się zajmować, wpaść na nich znieca.

Ale takie rozwiązanie nie podobało mi się. Dlaczego myślałem, że będą się nimi zajmować? To tylko intuicja, wyglądali na takich.

Szli szybko, długimi, płynnymi krokami drapieżców. Jak starzy mogli być? Jakimi dysponowali możliwościami? Przyśpieszyłem, żeby dopaść ich w porę. Na pewno byli w lepszej kondycji niż ja. Świeże rany nadal mnie bolały.

Weszli do środka, w chwili gdy przechodzili do holu, otworzyłem drzwi. Ostatni z idących zauważył mnie. Chyba nie spodobało mu się, że mają za sobą kogoś w motocyklowym kasku na głowie. Odwrócił się i ruszył mi naprzeciw, nic nie mówiąc pozostałym. Wyćwiczonym ruchem wydobyl coś z rękawa, nasadził na rękę – był to kastet. Widzicie go, entuzjastę zabawczek. Nie chciał uderzyć mnie gołą ręką, zamierzał więc rozbić kask.

Nie zadawał sobie trudu z żadnym przygotowaniem ataku. Uderzył z marszu, dokładnie tak, jak przewidywałem. Zareagowałem z wyprzedzeniem i dzięki temu okazaliśmy się jednakowo szybcy. Jego uzbrojona pięść prześliznęła się po kevlarze, a on otrzymał silny cios w szczękę. Nie zadowolilem się pojedynczym uderzeniem, poprawiłem krótkim hakiem z lewej i uderzeniem łokciem. Ból go spowolnił, ból spowalnia każdego. Zanim zdążył się odsunąć, ściągnąłem mu głowę w dół i wałnąłem kolanem w twarz. Oswobodził się, rozrywając mój chwyt, ale kiedy się wyprostowywał, uderzyłem go bykiem, głową w kasku, a na dodatek klapnąłem go stulonymi dłońmi w uszy.

Runął na posadzkę. Nie zajmowałem się nim więcej, bo nawet te trzy czy cztery sekundy, jakie potrwało nasze starcie, mogły być zbyt długą zwłoką.

Trochę mnie zaniepokoiło, że nie zadziałało błyskawiczne widzenie ani coś podobnego, co pomagało mi w walce z Carlosem. „Trochę” to delikatnie powiedziane.

Wbiegłem na trzecie piętro, drzwi mieszkania Derwisza były otwarte, zamek wywalony. Dyskretni na pewno nie byli. To w końcu moje terytorium.

Przebiegłem przez mały korytarzyk do living roomu. Ostrzyżony na jeża wampir trzymał Derwisza jedną ręką za ramię, palcem naciskając na kość policzkową. Derwisz stał na palcach, starając się zmniejszyć siłę nacisku. Drugiego, gładko ulizanego, widziałem z profilu. Gapił się na Tes z miną kota szykującego się do zabawy z myszą. Ona wyglądała zaledwie na zaciekawioną, nie przejawiając żadnych oznak strachu. Może nie powinno mnie to dziwić. Usłyszał, jak nadszedłem, odwrócił się z zaskakującą szybkością, domyśliłem się, jaki cios będzie mi chciał zadać. Bez namysłu podniosłem ręce na wysokość głowy. Jego prawa wystrzeliła tak szybko, że praktycznie nie miałem szansy świadomie zareagować, zdecydował instynkt. Odbiłem jego cios uderzeniem w łokieć i wałnąłem go drugą ręką w miejsce łączenia się szyi z tułowiem. Był bardzo szybki, ale jego własny ruch wraz z moim wsparciem spowodował, że mimowolnie odwrócił się w prawo, praktycznie plecami do mnie. Dostałem jeszcze łokciem pod żebro, ale ustałem na nogach. Zanim zdążył znów się odwrócić, złapałem go w pónelzona, a jak się okazało, siły pozostało mi jeszcze dość. Kręgosłup szyjny mego przeciwnika skapitulował w chwili, kiedy ostatni z bandy stwierdził, że będzie musiał zmierzyć się ze mną osobiście, i puścił Derwisza.

Odrzuciłem martwego, ale przedtem sięgnąłem mu pod marynarkę, bo coś uciskało mnie w brzuch.

– Kimkolwiek byś był, popełniłeś błąd – powiedział napastnik miękką angielszczyzną.

Rozkraczył się, żeby uzyskać lepszą stabilizację i możliwość natychmiastowego skoku. Wyraźnie miał doświadczenie w walce ze swoim rodzajem. Błysk w jego oku zdradził mi, że właśnie aktywowało mu się Visio in Extremis.

Wycelowałem w niego małą metalową kuszę, którą znalazłem u zabitego. Nacisnąłem spust, broń targnęła się, strzałka wystrzeliła i nagle zobaczyłem ją w jego ręce.

Wystrzeliłem drugą, ale i tę złapał.

Trzeciej już nie było.

– Do dupy z tym – powiedziałem ze znużeniem, lecz w tym momencie wampir bezwładnie osunął się na podłogę i leżał bez ruchu.

Zdjąłem wreszcie kask, bo było mi za gorąco. Szyba przednia była zadrapana w dwóch miejscach, nie miałem pojęcia, kiedy to nastąpiło.

– Co to było? Co mu zrobiłeś? – pytał Derwisz, pocierając obolałe ramię.

Jak na człowieka, który właśnie uniknął bolesnej lekcji, a później pewnej śmierci, zachowywał się całkiem spokojnie.

– Zabiłem go zaklęciem – odparłem, rozglądając się za czymś, co mogło pełnić rolę więzów.

– No, raczej te strzałki były zatrute, co nie? – odezwała się Tes, wskazując na dłonie wampira, tak jedna, jak i druga były zadraśnięte złapanymi strzałkami.

Zadrażnienia wciąż krwawiły, co świadczyło, że jej przypuszczenie było słuszne.

– Masz gdzieś porządne stalowe kajdanki? Albo powróż? Najlepiej linę z tworzywa. Byle szybko – krzyknąłem do Derwisza.

Po chwili podał mi solidny kłęb mocnego sznura. Można było upleść z niego mocną sieć, ale ja obydwóm wampirom związałem ramiona z nogami. Złamany kręgosłup był rękojmią niedostateczną. Nie cackałem się z nimi, lina wrzynąła się głęboko w mięśnie, aż pokazała się krew, kostki i napiętki ściągnąłem tak mocno, że ścięgna wystąpiły pod skórą napięte jak struny. Zraniony strzałkami nie ocknął się wprawdzie, ale nie umierał, nadal ciężko, urywanie oddychał.

– Może to trucizna z jakiejś jadowitej żaby? – głośno myślała Tes.

Czego to tych pielęgniarek teraz nie uczą. A może wyczytała o tym w książkach o wampirach? Zauważyła słusznie, jadowite żaby bywały oczywiście w użyciu, ale znacznie lepiej było pozyskiwać tetrodo-toksynę z ryb. Najczęściej robiono to, wykorzystując czterozębne. Ten jad działający na system nerwowy zabijał młode wampiry, starsze czynił niepełnosprawnymi, co na dłuższy czas pozbawiało je zdolności bojowych. Nawet prastarym dawał radę, ale tylko wtedy, gdy dawka była bardzo duża.

Szybko przeszukałem intruzów, ale nie znalazłem żadnej broni. Niestety. Zaopatrzyłem się więc w kij baseballowy, który Derwisz miał w domu.

Zbiegłem na dół. Miałem szczęście. Nikt przez cały ten czas nie wszedł do holu, a wampir, z którym starłem się na początku, prawie przyszedł do siebie i próbował poprawić wygląd swego oblicza. Był jeszcze daleki od dobrej formy, nawet mnie nie zauważył.

– Pójdiesz ze mną na górę – rozkazałem.

Wytrzeszczył na mnie oczy. Przedtem widział mnie w kasku. Moment, w którym uświadomił sobie, kim jestem, nie uszedł mojej uwadze. Szturchnąłem go kijem w brzuch, jak najmocniej potrafiłem. Zgiął się wpół, to było mocne uderzenie.

Znacznie więcej niż samym tylko dobrym słowem można uzyskać dobrym słowem i kijem baseballowym.

Zarzuciłem go sobie na ramię i zaniósłem do mieszkania Derwisza. Położyłem obok kompanów i związałem.

– To może ich zabić – powiedział Derwisz, wskazując na zaciśnięte więzy. – Przerwanie ukrwienia kończyn spowoduje gangrenę.

– Takie przypadłości nam nie grożą. – Pokręciłem głową. – Gdybym słabo zaciśnął sznury, już by byli wolni. Zresztą z tych więzów też się prędzej czy później wydostaną.

– Ale jednak... – Derwisz potrząsnął głową.

Tes przyglądała nam się w milczeniu.

– Do cholery! – nerwy mi puściły. – Opamiętaj się! Jesteś człowiekiem, a to są wampiry, dla nich jesteś tylko potrawą, zdobyczą, rozumiesz? Wy zjadacie kurczaki albo chodzicie do lasu ustrzelić jakąś dziczyznę, a my łowimy ludzi. Nie mamy żadnych zagród ani klatek, w których hodowalibyśmy bydło na mięso. Jesteśmy myśliwymi, drapieżnikami, tak jak wilki, niedźwiedzie, tygrysy i Bóg wie co jeszcze. Co się tak nimi, cholera przejmujesz!

– Dinozaury – wtrąciła się Tes. – Czytałam o nich, to były największe i najsilniejsze drapieżniki, jakie widział świat. Wampiry to takie właśnie dinozaury. – Spojrzała na mnie z podziwem.

Postawiłem oczy w ślup. Gdyby w tej swojej krótkiej sukience i rozpiętej kurtce, z gołym brzuchem nie wyglądała tak seksownie, zwymyślałbym ją i kazał trzymać język za zębami. A tak to ja trzymałem gębę zamkniętą.

Zachichotała.

Takie głupawe chichotanie całkiem do niej pasowało.

Krótko ostrzyżony wampir ocknął się. Wiedziałem, że nas słyszy, chociaż nie otwierał oczu.

– Jesteś kompletnie zdumiały – zacząłem nową porcję wyjaśnień dla Derwisza. – Przyszli po ciebie, żeby w ten sposób dostać mnie. Jeśli cię dopadną, jesteś martwy. Nawet gdybyś im powiedział wszystko, co wiesz, i tak by cię zabili. Żeby nie mieć kłopotów z policją i społeczeństwem ludzkim, bardzo dobrze umiemy ukrywać trupy. Więc pamiętaj, jeśli cię złapią, jesteś martwy.

Kiwał głową, ale wiedziałem, że nie jest przekonany.

Tes uśmiechnęła się, jakby wpadła na jakiś pomysł, zeszła z kanapy, ostrożnie podniosła jedną ze strzałek i ukucnęła przy wampirze.

– Halo, proszę pana – szturchnęła go palcem – nie śpi pan?

Nie zareagował.

– Ciekawe, czy na tej strzałce została jeszcze trucizna. I czy jest pan na nią tak samo odporny jak kolega. Oddycha trochę lepiej.

Wampir nadal udawał, że śpi.

– Skrobnę pana tą strzałką. Wygląda pan na starszego niż tamten, więc powinien pan to wytrzymać. Im starszy wampir, tym silniejszy.

Wygląd wampira niewiele ma wspólnego z jego rzeczywistym wiekiem, ale nic nie powiedziałem.

– Tak. – Dotknęła jego nadgarstka.

Otworzył oczy.

– Niech pani tego nie robi – poprosił po czesku z obcym akcentem.

Wydawało mi się, że na jego twarzy pojawił się wyraz strachu.

– No to niech pan powie, co chcieliście z nami zrobić. Ale prawdę. Mój kolega... – spojrzała na mnie nieco zaczerwieniona – mój kolega zawsze poznaje, kiedy ktoś kłamie. Ale mnie nie bawi zabijanie wampirów, nawet tych niedobrych.

Jej logika była godna podziwu. Jednak ostrzyżony daleki był od jej podziwiania.

– Otrzymałem rozkaz, wypełniałem tylko rozkazy.

Wszyscy zawsze wypełniają tylko rozkazy. Wydawane przez nie wiadomo kogo. Kto pożąda władzy, wierzy w jakąś ideę czy w coś innego. Skrzywiłem się z niesmakiem.

– Mieliśmy was złapać, przesłuchać i dowiedzieć się, gdzie jest Mathias Kurplov.

Ciekawe zniekształcenie mojego nazwiska. Imię zgodne z używanym obecnie, nazwisko sprzed stu lat.

– A co potem? – zapytała z uśmiechem.

– Potem mieliśmy was użyć do tego, żeby sam oddał się w nasze ręce.

– Nie jestem idiotą. To tylko ludzie – warknąłem.

– Mieliśmy spróbować.

– A potem?

Dociekliwość Tes można było porównać do niekończących się pytań zadawanych przez dzieci.

– Potem mieliśmy was zabić. Ale bezboleśnie, przysięgam!

Tes popatrzyła na niego, na strzałkę i po chwili położyła ją na podłodze tuż przy jego boku. Usiłował odsunąć się od niej, ale mu się to nie udało.

– Myślę, że na samym końcu skłamał – oceniła.

Byłem tego pewny.

– Ładnie tu sobie mieszkasz razem z Peggy. – Rozejrzałem się po pokoju. – Gdybyśmy ich zabili, zaśmierdzieliby się i nigdy byś tego nie umył i nie wywietrzył. No i nie wiadomo, jak pozbyć się trupów. Zostawimy ich tu związanych. Dziesięć do piętnastu dni wytrzymają, do tego czasu na pewno się wyswobodzą. A jeśli nie, to później ich stąd zabierzemy w inne miejsce.

– Chyba żartujesz. – Derwiz wytrzeszczył oczy. – Umrą z pragnienia!

– To wampiry! – zwróciła mu uwagę Tes. – Wytrzymują o wiele więcej niż ludzie, prawda? – Popatrzyła na mnie.

– Zamieszkamy w hotelu i pomyślimy, co dalej robić – zdecydowałem.

Kłopot z jeńcami uważałem za załatwiony.

Nagle zabrzmiał dzwonek domofonu, komuś nie chciało się wspinać na górę, chociaż drzwi były otwarte. Czekałem w milczeniu. Przy trzecim dzwonku Derwiz podniósł słuchawkę.

– Tak? – powiedział niepewnie.

– Tu służba kurierska. Szukam pana Mathiasa Majera. Czy przypadkiem nie jest u pana?

– Bardzo dziwna służba kurierska. Nieprzyjemnie dobrze poinformowana. Wezwij go na górę – szepnąłem.

– Schowaj się na schodach piętro wyżej – poleciłem Tes.

– A ty musisz zostać, wie przecież, że jesteś tutaj – zwróciłem się do Derwisza.

Z niezbyt przyjemnym uczuciem stanąłem przed wyłamanymi drzwiami i czekałem. Winda nie ruszyła, co jeszcze bardziej mnie zaniepokoiło. Nie zaszkodziłoby więcej broni, jakiegokolwiek broni, pomyślałem. Jeśli wyjdę z tego wszystkiego cało, nigdzie się nie ruszę

bez porządnej spluwy i bez szczoteczki do zębów. Nagle przypomniałem sobie, że jakiś czas temu dałem Derwiszowi swój rewolwer, a on miał go trzymać przy sobie. Ale już na schodach słychać było lekkie kroki. Zbliżały się szybko, przebyte piętra nie ujęły im tempa.

Może powinienem wziąć przynajmniej tę kuszę. Dlaczego rozsądne pomysły przychodzą mi do głowy zbyt późno?

Pojawił się szczupły młodzik w stroju kolarza i kamizelce kuriera, na ramieniu dźwigał rower, a na plecach płaską, ale obszerną torbę transportową.

– Zabrałem rower ze sobą. Mam do niego zamknięcie, ale w dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo.

A na poleceniu mam napisane: „do rąk własnych” – powiedział na powitanie.

– No tak – odparłem z dużą przytomnością umysłu.

– Ma pan jakiś dokument? Jakikolwiek. Mam pańską fotografię, ale chciałbym uzyskać pewność.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem plastikową kartę zabraniającą transfuzji krwi i innych zabiegów medycznych. Fotografia na niej była stosunkowo wierna.

– Fajnie, to pan – ucieszył się, oddał mi kartę i zapisał coś w małym notesiku, który trzymał w bocznej kieszeni, przymocowany na sznureczku. To chyba nie był notesik, tylko jakaś zabawka elektroniczna.

– Tu mi pan jeszcze podpisze i przesyłka jest pańska. – Wyciągnął z plecaka tubus długi na metr dwadzieścia.

Podpisałem się na wyświetlaczu.

– Dokumenty dostawy otrzyma pan pocztą elektroniczną, w razie potrzeby podrzucimy również wersję papierową – poinformował mnie.

– Może mi pan pokazać tę fotografię? – poprosiłem. – Tę, według której mnie pan poznał.

Nie wiedziałem, o co chodzi, ale ten chłopak nie był wampirem, tylko sympatycznym rowerzystą ze zdrowymi nogami i płucami.

– Jasne. Jest dość szczególna. Gdzie była zrobiona?

Otworzył elektroniczny bloczek, jedną połówkę tworzył ekran, a drugą klawiatura. Za chwilę zobaczyłem swoją podobiznę.

To nie była fotografia, tylko dagerotyp, przedstawiał mnie ubranego w spodnie jeździeckie, z rewolwerem u pasa. Opierałem się na długiej strzelbie myśliwskiej, a przez ramię miałem przełożony miecz. Kataną.

– Nie wiem – odpowiedziałem zgodnie z prawdą. – Za nic nie zdołam sobie przypomnieć.

– To nic. – Pożegnał się i zniknął tak samo szybko, jak się pojawił.

Wróciłem do mieszkania zamyślony.

– Powinieneś wezwać ślusarza – poradziłem Derwiszowi. – Nie możemy zostawić otwartego mieszkania ze względu na jeńców.

Położyłem przesyłkę na stole.

– Co to jest? – zapytała ciekawie Tes.

– Nie wiem, niczego nie zamawiałem.

Odwinąłem zewnętrzne opakowanie z folii, pokrytej mocnym papierem pakowym, i wydobyłem tubus, wykonany prawdopodobnie z odpornej masy plastycznej albo z bambusa. W miejscu łączenia jego dwóch części przylepiona była kartka papieru. Ręcznie wyrabianego, mocnego papieru, błękitnawego koloru.

Ostrożnie ją rozłożyłem.

Drogi Przyjacielu – zaczynał się tekst pisany ręcznie, gotykiem, w starym języku niemieckim.

Czytałem dalej.

...myślę, że po Tych latach, a równocześnie po tych latach, mogę się tak do Pana zwrócić. Niedawno zostałem poproszony o przeprowadzenie analizy ułamka miecza. Miałem za zadanie stwierdzić, jak to możliwe, że klinga jest – czy może była – takiej jakości. Zbiegiem okoliczności, który właściwie nim nie był, w bardzo krótkim odstępie czasu otrzymałem Pański list, gdzie uskarżał się Pan, że broń, jaką dostarczyłem, nie spełniała Pana oczekiwań.

Z żalem muszę stwierdzić, że nawet najlepsze klingi nie są przeznaczone do bezpośredniego krycia cięć zadawanych kijem, maczugą lub na przykład żelaznym drągiem. Ale o tym na pewno Pan wie. Chciałbym jeszcze dodać ciekawą informację – miecz, który miałem zbadać, był moim wyrobem, zbiegiem okoliczności był to jeden z mieczy, jakie dostarczyłem Panu.

Ze względu na to, że oczekuje Pana niebezpieczny, ale równocześnie bez wątpienia interesujący okres, pozwoliłem sobie z własnej inicjatywy podarować Panu parę mieczy w wygodnym opakowaniu. Pragnę zwrócić uwagę, że klingi nie są wykonane ze stali, ale z materiału całkowicie jej dorównującemu, dałbym głowę, że ją nawet przewyższa.

Nie wiem, czy będą odpowiednie do pojedynków z ludźmi albo z szeregowymi przedstawicielami Pańskiego gatunku, ale najlepiej sam Pan oceni ich przydatność w najtrudniejszych momentach.

Mam nadzieję, że nadal będę otrzymywał od Pana zamówienia, i życzę dużo szczęścia w nadchodzącym czasie.

*Z pozdrowieniem
Pański przyjaciel i dłużnik.*

Podpisu nie było. Odłożyłem list na stół i otworzyłem tubus. Z piankowego wypełniacza wystawały rękojeści, obydwie nieco dłuższe od powszechnie spotykanych, takie jakie lubiłem, pokryte skórą z rai. W miejscu łączenia z klingą znajdowała się żłobkowana poprzeczka. Ująłem jedną rękojeść i ostrożnie za nią pociągnąłem. Klinga wysuwała się z wypełniacza z cichym szelestem. Miecz, nieco dłuższy niż klasyczna katana, w dawnych czasach przeznaczony dla kawalerii. *Nodachi*. Trochę zmodernizowany, ale nie mogłem poznać w jaki sposób. Od razu jednak spostrzegłem, że jest lekki, zadziwiająco lekki, właśnie dlatego, że nie był wykonany ze stali. Wydobyłem z tubusu drugą broń. Była w podobnym stylu, nawet z żebrzem wzdłuż klingi. *Tachi*. Obydwa miecze miały gardy, raczej niewielkie, bez ozdób i dziurkowane, celem zmniejszenia ciężaru.

Machnąłem mieczem w powietrzu, nie odezwał się żaden świst. Dopiero ten ruch w pełni uświadomił mi jego wyjątkową lekkość. Śmiercionośna skuteczność tego miecza nie polegała na jego wadze, ale na szybkości. Doskonała broń do walki z wampirami i ich sługami.

– Są piękne – oceniła ze znanstwem Tes. – I pasują do ciebie – dodała.

Ach tak.

– Wiesz, kto to pisał? – Derwiz pomachał listem, który przed chwilą przeczytał.

– Nie. – Pokręciłem głową, nadal przyglądając się broni.

Matowoszary materiał nieodbijający światła, chłodniejszy w dotyku niż metal.

– Musiałeś go znać. Musiałeś mu w jakiś sposób pomóc. I to bardzo skutecznie.

– Nie pamiętam. Dostarcza mi miecze i tyle. Ale nie przypominam sobie, kim jest.

Pomagałem wielu ludziom.

– Pomagałeś? – zareagował natychmiast Derwiz.

– Po to, żeby oni pomogli mnie. Chociaż jestem wampirem i mogę dużo wytrzymać, to jednak nie wszystko – sprostowałem.

Miałem nadzieję, że zrozumiał.

W tubusie były jeszcze rzemienie do przytroczenia mieczy, zacząłem je nakładać.

– Co robisz? – zapytał Derwiz.

– *Koszi ate*, zawiązuje pendant, żebym mógł nosić broń ostrzem do dołu – mruknąłem w odpowiedzi.

– *Koszt ate?* Kto cię tego nauczył? Co to znaczy?

Odwróciłem się do niego.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, to było bardzo dawno temu.

Derwisz mnie irytował. Żyłem chwilą, ponieważ nic innego mi nie pozostawało, o ile chciałem przeżyć. Dlatego zapomniałem mnóstwa innych rzeczy. Miecze, list, to wszystko miało oczywiście związek z moją przeszłością. Ale nie byłem w stanie przypomnieć sobie tej przeszłości. W księdze pamięci pomiędzy rokiem 1810 a 1860 nie było ani jednego zapisu. Ta fotografia, a właściwie dagerotyp, wywołała we mnie pewne wspomnienia, ale nie miałem teraz czasu zastanawiać się nad nimi.

– Jak to nie wiesz? – wybuchnął Derwisz. – Powinieneś pamiętać takie ważne wydarzenia!

Wyprostowałem się, pochwy znalazły się we właściwym położeniu. Nie pamiętałem, kto, gdzie i kiedy mnie tego nauczył, ale ten stary japoński styl troczenia broni, tak praktyczny w boju, miałem po prostu we krwi.

– Urodziłem się podczas wojny trzydziestoletniej – syknąłem wściekle. – I zapomniałem o wiele więcej rzeczy, niż ty dotychczas przeżyłeś.

Język zamienił mi się w kawał stali, zęby w pilniki.

– Jeśli będziesz mnie niepotrzebnie denerwował, to w ogóle się z tego gówna nie wygrzebiemy i będę musiał cię zabić. Wiedzą, kim jesteś, wiedzą, że się znamy, i jesteś dla nich kluczem do mnie – wykrzykiwałem. – A jeśli znajdą Peggy, użyją jej jako zakładniczki i...

– Zrobiłem ruch oznaczający podrzynanie gardła. – Po tych wszystkich ciągach, jakich doznałem, straciłem zdolność błyskawicznego widzenia, a więc pierwsze starcie z wampirami Tizoca oznacza dla mnie to samo. – Znów przejechałem kantem dłoni po gardle. – Więc przynajmniej pozwól mi się przygotować, do cholery!

Ledwo to powiedziałem, a już zacząłem odczuwać wstyd z powodu swojego wybuchu. Zupełnie puściły mi nerwy. I to przed człowiekiem, zdobyczą!

– No to jak załatwiłeś tych trzech, jeżeli nie za pomocą swoich wampirskich superumiejętności? – nie rezygnował Derwisz, choć wydawał się nieco wystraszony.

Chyba jednak odpowiednio do sytuacji, czyli mocno wystraszony.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Z natury rzeczy mam trochę lepszy refleks niż ty, można powiedzieć, że wyćwiczony, jak przystało na zawodowego boksera, poza tym

kiedyś sporo trenowałem. Z ludźmi – sprecyzowałem. – Wszystko to z powodu terytorialnych sporów i pojedynków z wampirami. Twój przeciwnik może być naprawdę szybki, szybszy od ciebie, ale jeśli trafnie odgadniesz jego zamiary, jeśli poruszasz się dokładnie, oszczędnie, to możesz skompensować jego przewagę. Częściowo skompensować. W ten sposób ich zwyciężyłem, tak mi się przynajmniej wydaje.

Nie brzmiało to zbyt zachęcająco, ale taka była prawda.

– Musimy się stąd wynosić, jesteśmy tu za długo. Ślusarza zamówimy po drodze – oznajmiłem.

Derwiz nie protestował, nadal wyglądał na zbitego z tropu.

Kiedy jechaliśmy metrem i tłok zbliżył nas ku sobie, szepnąłem mu do ucha:

– Przepraszam za ten wybuch.

Usłyszał mnie i od razu humor mu się poprawił.

Może to błąd, bo jeśli go złapią, będzie martwy. A razem z nim może to spotkać Peggy i Klarę. Tak miała na imię ich córka, przypomniałem sobie naraz.

Wszyscy zginą, jeśli Tizoc zechce użyć ich przeciwko mnie. Z tym nie można było nic zrobić.

* * *

Motocykl zostawiłem w garażu podziemnym i wyjechaliśmy zmienić atmosferę. Zamieszkaliśmy w całkiem przyzwoitym hotelu, położonym nie całkiem na peryferiach, za to z licznymi drogami ucieczki. Jedyne mankament stanowił fakt, że największy apartament, jaki pozostawał do dyspozycji, miał tylko dwa pokoje. Samo określenie „apartament” było zwodnicze. Toaleta wspólna z łazienką, garderoba, pokój z biurkiem, łóżkiem i telewizorem, w drugim pokoju podwójne łóżko i drzwi na balkon. Krzesła zaledwie dwa.

Jakoś się usadowiliśmy i milczeliśmy, popatrując po sobie. Żeby nie było tak nieprzyjemnie, cicho włączyłem telewizor. Jak zwykle w ostatnim czasie, mowa była głównie o spotkaniu członków rozszerzonej Rady G8 i o jego wpływie na losy świata. Pradze przyniesie to katastrofę komunikacyjną, co stało się już jasne dla każdego, i wszelki komentarz publicystyczny był do tego zupełnie zbędny.

– Niczego ze sobą nie zabraliśmy – zauważył praktycznie Derwiz, co uchroniło mnie od skonstatowania, że nie wiem, co dalej robić.

W wyniku swoich przedsięwzięć nie odniosłem żadnych sukcesów, a Tizoc coraz silniej deptał mi po piętach. Co więcej, stałem się w połowie niesprawny i nie byłem zdolny stawić czoła jakiemukolwiek doświadczonemu wampirowi.

– Teraz pójdziemy kupić sobie kilka potrzebnych rzeczy i spotkamy się w restauracji na dole. Zjemy razem kolację – zdecydowałem po namyśle.

Gdyby nie to, że zniknęliśmy im z oczu, nie pozwoliłbym, żeby opuścili pokój, a i tak pewnie nie ocaliłbym im życia.

– To brzmi rozsądnie – zgodził się Derwisz.

– Mam mało pieniędzy – zauważyła Tes.

Sięgnąłem pod kurtkę motocyklową, wyjąłem zwitek banknotów, oddzieliłem mniejszą część, podzieliłem na dwie połowy i wręczyłem im po jednej.

– Mam kartę. – Derwisz poklepał się po kieszeni.

– Chcesz, żeby nas wysledzili na jej podstawie? Tizoc nie jest pomniejszym wampirem, jak na przykład ja, ma do dyspozycji mnóstwo możliwości – przypomniałem mu. Wziąłem pod pachę tubus z mieczami i ruszyłem ku drzwiom. Nie miałem więcej zamiaru poruszać się bez broni.

Z hotelu wyszliśmy razem. Tes trzymała się pomiędzy nami i wyglądała na bardzo zadowoloną. Poszliśmy do pasażu handlowego, który widzieliśmy, jadąc tramwajem. Tam się rozdzieliliśmy. Nie potrzebowałem niczyjego towarzystwa, chciałem być sam.

Przechodziłem pomiędzy regałami wypełnionymi różnymi towarami, z nawyku przyglądałem się robiącym zakupy kobietom, typując potencjalną zdobycz. Czułem się nadal kiepsko, nawet nie miałem pragnienia. Zdałem sobie sprawę, że nie zapytałem Tes, czy udało jej się zgromadzić jakiś zapas krwi.

W dziale z męską konfekcją znalazłem płaszcz, który na mnie pasował i był dostatecznie długi, żeby ukryć pod nim obydwie miecze. Z mieczami przygotowanymi do szybkiego wydobycia poczułem się znacznie lepiej. Płacąc w kasie, uświadomiłem sobie, że wiem, co zrobić. Pojadę do Rosji popatrzeć na pamięć Tizoca. Mógłbym się dowiedzieć, dlaczego tak mu zależy na Messalinie.

Kupiłem jeszcze kilka drobiazgów i poszedłem do mieszczącej się w pasażu restauracji na piwo i kieliszek wódki. Przy barze spotkałem Derwisza. Obaj wzięliśmy po pilznerze dwunastce, ja do tego zamówiłem wódkę, a on whisky.

– Jak bardzo człowiek jest uzależniony od przedmiotów – pokręcił głową – aż trudno w to uwierzyć.

Sądząc z wymowy, nie była to jego pierwsza kolejka.

– Wszystko już kupiłeś? – zapytałem.

Wskazał na igelitową torbę na podłodze i na laptop na barze.

– Dałeś mi całkiem sporo pieniędzy. – Wzruszył ramionami. – Bez niego czuję się jak nagi.

– Tak jak ja bez miecza – przytaknąłem.

– Co zamierzasz robić? – zapytał.

Powiedziałem mu.

– Myślisz, że to rozsądne?

Pokręciłem tylko głową.

– Ale nic lepszego nie przychodzi mi na myśl.

– Cieszę się, że Peggy i Klara są daleko – powiedział w zamyśleniu i jednym haustem wychylił resztę piwa. – Bardzo daleko.

Dla takich wampirów jak Tizoc odległość nie jest przeszkodą. Wyślą klanowego zabijakę albo posłusznego glyhena, czasem wystarczy jakiś miejscowy najemnik. Głośno tego nie powiedziałem, bo niczego by to nie zmieniło, a jemu popsułoby nastrój.

– No tak. – Pokiwałem głową.

– Co to za dziewczyna? – zapytał.

– Tes? – w pierwszej chwili nie zorientowałem się, o kim mówi.

– Tak. Chodzisz z nią? Działa na ciebie?

Zlikwidowałem połowę szklanki, zyskując tym sposobem nieco czasu.

– Bo widzę, że ci się podoba – dodał.

– Jestem pies na kobiety, podoba mi się mnóstwo dziewczyn – odparłem.

Derwisz pokiwał głową.

Barman postawił przed nim kolejne piwo, dałem mu znak, że proszę o drugą wódkę.

– Ale ona może mieć szesnaście, siedemnaście, góra osiemnaście lat. – Potrząsnąłem głową. – To dla mnie za mało. Gdybym coś z nią zaczął, wypadłoby to kiepsko, jestem tego pewny.

To wyobrażenie spowodowało, że niecierpliwie oczekiwałem swojej wódki.

– Góra siedemnaście – ocenił Derwisz – ale nie zakładałbym się o to. Ciekawe, że rodzicom nie przeszkadza, kiedy tak się z tobą włóczy.

Nie pomyślałem o tym i musiałem przyznać mu rację. Chociaż w ten sposób stracę to, czego mógłbym z Tes dokonać. Przynajmniej jeden kłopot z głowy. A właściwie dwa.

Dopiłem drinka, zapłaciliśmy i wyszliśmy z centrum handlowego. Dojrzeliliśmy Tes, której jeden mężczyzna otwierał właśnie drzwiczki taksówki, a drugi pakował do wnętrza auta mnóstwo paczuszek i toreb. Obaj prześcigali się w gorliwości. Jeden miał około pięćdziesiątki, a drugi nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Umie sobie radzić z chłopami – ocenił Derwisz. – Ty lepiej uważaj.

– Kobiety to moje życie – odparłem.

Pewnie nie wiedział, że to była prawda w dosłownym znaczeniu, lecz nie zastanawiałem się nad tym.

Do hotelu wróciliśmy piechotą, Tes czekała na nas w pokoju, zadowolona, z rozjaśnionymi oczami. Część paczuszek przeznaczona była dla nas. Szczoteczki do zębów i bieliznę osobistą, które kupiliśmy sobie sami, uzupełniła nieoczekiwanie praktycznym ubraniem i kilkoma kosmetykami. Zauważyłem, że dla mnie wybrała lepsze niż dla Derwisza. Może przez przypadek.

Oglądałem jej zakupy, a Derwisz ożywił komputer i podłączył do Internetu. Miałem z tym zawsze sporo roboty, przeskakiwanie z jednej ikony na drugą, sporo nieudanych prób, ale dla niego było to jak druga natura.

– Dalej szukasz? – rzuciłem przez ramię.

– Tak. Szukam związków z ludźmi i organizacjami zajmującymi się syntetyczną krwią, składowaniem krwi i handlem krwią. Głównie tymi, którzy działają już dłużej niż trzydzieści lat albo mają powiązania z organizacjami starszymi niż sto lat. Gdybym miał więcej czasu i środków technicznych, zająłbym się również tymi, którzy zajmują się zacieraniem identyfikacji, fałszowaniem paszportów, dokumentów tożsamości i podobnymi sprawami.

Pomyślałem, że Carlos miał rację. Jeśli wypadniemy z legend, z historyjek zawartych w durnych książkach dla nastolatków i ludzie przekonają się, że istniejemy naprawdę, to będzie nasz koniec. Tizoc i jemu podobni być może zdołaliby przeżyć przez jakiś czas, ale ja i inne zwyczajne wampiry na pewno nie.

– Idę się umyć i przebrać – oznajmiła Tes i z paczką ubrań, która mnie wystarczyłaby na tydzień, oraz z torbą kosmetyków wielkości plecaka poszła do łazienki.

– Jasne – przytaknałem, spoglądając za nią. Ta sukienka była doprawdy taka krótka, a za to jej nogi takie długie.

Nieźle będzie, jak się przebierze.

– Jak daleko jest do Puchmajerowska? – zwróciłem się do Derwisza.

Sprawał wrażenie, jakby mnie nie słyszał, ale po chwili zapytał:

– Puchmajerowsko na Ukrainie czy w Rosji? Innych nie znalazłem.

– Tam, gdzie stoi albo stała elektrownia atomowa.

– Dwa tysiące dwieście dwadzieścia osiem kilometrów – odpowiedział. – Szacowany czas jazdy czterdzieści jeden godzin. To w Rosji.

Zacząłem myśleć, co wezmę ze sobą na drogę. Oczywiście miecze, gotówkę, broń podręczną – pistolet albo obrzyna, co zależało od tego, jak dokonywane są odprawy na granicach. Rosja, jak mi się wydawało, nadal nie należała do Unii Europejskiej. No i potrzebne by były jakieś naboje.

– Pójdę po papierosy, może przynieść ci piwo? – zapytał Derwisz, wstając i przeciągając się.

Pokręciłem głową.

– Czy mogę zajrzeć do swojej poczty?

– Niczego mi nie zamykaj, otwórz swoje własne okno – ostrzegł mnie, podsuwając mi laptop.

Niczego nie zamykaj, co on miał na myśli? Zostawiłem jego bieżące programy w spokoju, uruchomiłem własny i kliknąłem na swoją pocztę. Starannie przejrzałem wszystkie e-maile, o które nie prosiłem, aż pomiędzy nimi natrafiłem na jeden godny uwagi.

Napisany był w kiepskiej łacinie, w podpisie figurował Snorri Sturlursson.

– *Szanowny Panie* – zacząłem powoli sylabizować. – *Wielki Mistrz Tizoc Ah Puch⁷ zaprosił mnie na konwent, który ma się odbyć w Pradze na początku przyszłego miesiąca. O ile wiem, Praga znajduje się w granicach Pańskiego terytorium, chciałbym więc z góry poinformować o mojej wizycie. Przypuszczam, że Wielki Mistrz zadba o wszystkie formalności, ale nie chciałbym stworzyć jakiegoś powodu do nieporozumienia między nami.*

Ten mieszkaniec północy był bardzo uprzejmy, chętnie bym go zaprosił do Czech na urlop. Kłopot w tym, że nie wiedziałem, że szykuje się tu jakiś konwent silnych wampirów. Ciekawe, jak oni tam sobie radzą z piciem na północy, gdzie jest tak mało ludzi, że zniknięcie każdego z nich rodzi spore problemy. Muszą chyba mieć doskonale opracowaną taktykę łowiecką.

Zajrzałem do kalendarza i po krótkim namyśle zaprosiłem go na drinka na szóstą wieczorem w pierwszy poniedziałek przyszłego miesiąca. Stare wampiry są konserwatystami, wątpiłem, czy zaczynaliby jakiegokolwiek działania w piątek i kontynuowali je podczas weekendu.

Inne e-maile nie były interesujące, odsunąłem laptop z powrotem na swoje miejsce i usadowiłem się wygodnie, żeby przemyśleć drogę do Rosji, a może się przy tym nieco

⁷ Ah Puch (czyt. Ach Pucz) w dawnym języku Majów znaczy dosłownie „bezcielesny”. Jest to jedno z imion, którymi Majowie tytułowali swego boga śmierci (przyp. autora).

zdrzemnąć. W zasadzie na jedno wychodziło, bo jeżeli wampir znajdzie się w naprawdę wielkich opałach, to całe planowanie i tak na nic.

Przysypiałem z lekka, kiedy trzasnęły drzwi, ale nie od pokoju, tylko od łazienki. Wyszła z niej Tes, z włosami lśniącymi od resztek wilgoci. Oprócz jedwabnej koszulki, bardzo prześwitującej, ubrała się tylko w obłoczek delikatnych perfum. Nie była umalowana, ale pomimo to na tle jej młodej, niewinnej twarzy wyraźnie odcinały się pełne, doskonale ukształtowane wargi. Zmusiłem się, żeby nie patrzeć na jej nogi, a szczególnie tam, gdzie wewnętrzne linie ud zbiegały się w kształt klina.

– Nie jest tu szczególnie ciepło, powinnaś coś na siebie nałożyć – spróbowałem nadać swojej uwadze ton ironiczny, jednak wyszło z tego tylko jakieś dziwne skrzeczenie.

– Zimno mi, smutno, a babcia będzie się martwić. Dziś piątek, powinnam do niej przyjechać z internatu.

Stała przede mną i sam nie wiedziałem, gdzie podziąć oczy, a przede wszystkim nie wiedziałem, co dalej robić. Właściwie wiedziałem – posadzić ją na kolanach i przytulić najpierw przez tę cienką koszulkę, a potem już bez niej.

Na szczęście trzasnęły drzwi wejściowe i wszedł Derwisz, zatrzymując się za progiem jak wryty.

– Masz może telefon? Tes musi zadzwonić do babci. Nie chciałbym, żeby cokolwiek łączyło ją z moją osobą.

Odwróciła się do niego, z zadowoleniem stwierdziłem, że jej widok zrobił na Derwiszu wrażenie.

– No pe-pewnie – odpowiedział, podając jej aparat.

Przez chwilę przyglądaliśmy się, jak świergocze do telefonu. Wyglądało na to, że bardzo kocha swoją babcię, a ona w zamian jest dla niej ogromnie tolerancyjna. Rozłączyła się, z uśmiechem oddała Derwiszowi aparat i wyszła do drugiego pokoju.

Nocna koszulka była wprawdzie dłuższa od sukienki, ale właściwie było to jedno i to samo.

– Tam są dwa łóżka, a tu jedno – zwrócił mi uwagę Derwisz. – Nie będę spał na podłodze.

– To się załatwi. – Machnąłem ręką, zapadłem głębiej w fotel i otworzyłem puszkę piwa, które przyniósł, choć go o to nie prosiłem. Nie była zresztą jedyna.

Wróciłem do rozmyślań nad swoją podróżą. Najlepiej byłoby pojechać jakimś obdrapanym dostawczakiem. Ale do początku miesiąca pozostawał niecały tydzień, było więc na to zbyt mało czasu. A zatem samolot i wynajęte na miejscu auto. Z powrotem tak samo.

– W jaki sposób cię znaleźli? – zagadnąłem Derwisza.

– Stwierdzili, że masz współnika i kto nim jest, potem ustalili, gdzie mieszkam, wszystko dokładnie tak, jak się obawiałeś – rzekł po krótkim namyśle. – Mają dostęp do wiarygodnych źródeł policyjnych, bankowych, zapewne również administracyjnych, a ponadto pracuje dla nich kilku dobrych specjalistów.

To oznaczało, że dysponują wielką siłą, zdolną do działania w oparciu o ludzką infrastrukturę, i używają jej do planowania bieżących zadań. Ja niczego podobnego nie miałem.

Nie chciałem zamawiać biletu lotniczego na swoje nazwisko. Miałem wprawdzie do dyspozycji inne tożsamości, ale wznowienie ich i ożywienie było zadaniem wymagającym czasu.

– Możesz mi wydrukować mapę z wytyczoną drogą do Puchmajerowska? – poprosiłem Derwisza. – Najlepiej kilka wariantów, może nie pojedę głównymi drogami.

– Jasne. Masz jeszcze jakieś wolne pieniądze?

Przytaknąłem.

Przez chwilę poszukiwał czegoś na ekranie, a potem wziął telefon i wybrał jakiś numer.

– Potrzebna mi nawigacja. Z natychmiastowym doręczeniem. Zdaję sobie sprawę z jej ceny. Ale wy przecież świadczyte takie usługi... oczywiście. Potrzebuję nawigacji... – Pochylił się nad ekranem.

–...motocyklowej – wpadłem mu w słowo.

Nie byłem pewny, czy stanowi to jakąś różnicę, ale lepiej mieć pewność.

– Dokładniej, motocyklowej nawigacji – poprawił się, kilka razy nacisnął jakieś klawisze i przeczytał z ekranu nazwę składającą się z szeregu cyfr.

– Zestaw na jaki motocykl? – zapytał mnie.

– Jeszcze nie wiem – odpowiedziałem.

– Zestaw uniwersalny – powiedział do telefonu.

Rozłączył się.

– Będzie cię to kosztowało o pięć tysięcy więcej, niż gdybyś kupował w sklepie.

Nic nie powiedziałem, bo nie wiedziałem, o jaki sklep chodzi.

W dwie godziny później miałem nawigację i mapę drogową Ukrainy plus dokładne mapy turystyczne Rosji obejmujące obszar Puchmajerowska.

Kiedy minęła północ, ze zmęczenia piekły mnie oczy, to znaczy piekłyby, gdybym nie był wampirem. Derwiz z jednakowym skupieniem poświęcał się nadal wyszukiwaniu czegoś w sieci, nawet nie pytałem czego.

O Tes przypomniałem sobie, kiedy nagle stanęła przede mną. Była trochę rozczochrana, a oczy miała jeszcze zaspane.

– Miałam straszne sny – szepnęła, usiadła mi na kolanach, pokręciła się i przytuliła do mnie.

Ta nocna koszulka była naprawdę cienka, a jej ciało wyjątkowo ciepłe. A do tego miękkie, gładkie i...

Derwiz natychmiast zareagował na sytuację. Popatrzył na mnie, spakował laptop, zabrał telefon, zgasił lampę i pobiegł do łóżka.

– Ten pokój jest mój – oznajmił, zamykając za sobą drzwi.

Zostałem ze śpiącą Tes na kolanach, w półmroku anonimowego pokoju hotelowego. Przekręciła się, zmieniając pozycję na wygodniejszą, skraj koszulki podjechał wyżej, odsłaniając uda i dolną część tyłeczka. Była ciepła i pachnąca, czułem każdy centymetr kwadratowy jej ciała, który się ze mną stykał. Wbiłem wzrok w sufit i próbowałem myśleć o czymś innym.

Nad ranem, tuż przed świtem, pojawił się Derwiz. Wyszedł do toalety, wypił za dużo piwa przed spaniem.

Kiedy zobaczył mnie siedzącego w fotelu ze śpiącą Tes na kolanach, zatrzymał się i wytrzeszczył oczy.

– Dziwne!

Nie miałem nic do powiedzenia. Od setek lat nie przydarzyło mi się nie wiedzieć, co można w samotności robić z dziewczyną.

Zanim Derwiz się wysikał, zaniósłem Tes do łóżka, ułożyłem wygodnie i przez chwilę przypatrywałem się jej. Była po prostu cudowna. Tyle że nie dla mnie, nawet gdybym jej wściekle pożądał. Nie wytrzymałem jednak i pocałowałem ją w usta. Leciutko. Tak lekko, jak tylko zdołałem. Pachniały malinami.

Niechętnie odszedłem od łóżka i zobaczyłem Derwisza opartego o futrynę drzwi. Nie wiedziałem, od jak dawna mnie obserwował.

– Milcz – szepnąłem, zanim zdążył otworzyć usta.

Słyszając moje ostrzeżenie, pokręcił tylko głową, wszedł do swojej sypialni i zaczął zbierać części garderoby.

– Zakochałeś się – w końcu nie wytrzymał milczenia, wracając do pierwszego pokoju z paczką papierosów i laptopem.

Usłyszałem jego zapalniczkę i pisk włączanego komputera. Jeszcze przez moment przyglądałem się Tes, a potem pozwoliłem jej spać dalej.

– To bez sensu – powiedziałem, siadając z powrotem w fotelu.

Wypuścił z ust kółko dymu, milczał, tylko jego palce stukały w klawiaturę w rytmie godnym fanatyka komputerowego.

– Potrzebuję od ciebie jeszcze jednej rzeczy – zacząłem.

– Jakiej? – zapytał, nie przestając stukać.

– Zawieziesz Tes do babci, ukryjesz się i poczekaasz, aż wrócę. To potrwa sześć dni, może tydzień.

O ile oczywiście wrócę. Takiej alternatywy nie mogłem pominąć, bo wydawała się całkiem prawdopodobna.

– Jeśli się nie zjawię, wyjedziesz z Czech na stałe. Razem z rodziną. To nie jest rozkaz – dodałem szybciej, niż zdążył zareagować – tylko dobra rada. Tizoc chce się zainstalować w Europie, a może i w Pradze. Powinieneś zejść mu z drogi.

Widziałem, że się waha.

– To twoje życie. – Wzruszyłem ramionami i zamilkłem.

* * *

O siódmej rano w płaszczu i z mieczami u pasa wyszedłem na obchód. Brakowało mi czasu. Powiniennem załatwić kilka spraw, a do tego niezbędne były pieniądze. Nie chciałem tracić czasu na bankowe sejfy czy skrytki, na sprzedaż obrazów, które miałem zdeponowane w trezorach, na sprzedaż antyków, złota w sztabach lub diamentów. Przypuszczałem, że w ciągu dwóch, trzech miesięcy mogłem zebrać około stu, może stu pięćdziesięciu milionów koron. Niestety, śpieszyło mi się.

Było wprawdzie wcześniej, ale wiedziałem, że zorganizowana przestępczość nigdy nie śpi. I bardzo dobrze.

Poszedłem do baru niedaleko centrum, w którym regularnie spotykali się alfonsi, żeby tym znajdującym się na wyższych szczeblach przestępczej hierarchii oddać należny procent za użytkowanie ulic.

Niektóre knajpy nie zmieniają się od dziesiątków lat. Mogą być trochę lepiej wyposażone, ale personel oraz sposób, w jaki patrzy na gościa, jakim się wyraża albo jak przelicza pieniądze, zawsze zdradzi prawdę. Po prostu spelunka odzwierciedlająca ciemną stronę ludzkiej egzystencji.

Ten lokal był najgorszego gatunku, nic mu nie pomogło wyłożenie ścian sztucznym marmurem i dyskretne oświetlenie. Wszedłem, starając się nie wzbudzać większego zainteresowania. Wprawdzie mnie nie znali, ale według ich oceny nie przedstawiałem żadnego zagrożenia.

Przy stole, nieco za filarem, siedzieli dwóch chłopaków wiodących leniwą konwersację, przy barze czekały trzy kobiety, należące do jednego z nich. Nie wiedziałem, do którego, ale sposób ich zarobkowania był jasny.

Bez wahania ruszyłem ku dyskutującym alfonsom, przysiadłem się do nich – w ostatniej chwili przesunąłem się na skraj krzesła – noszenie miecza u pasa wymaga wyćwiczenia.

– Spadaj – powiedział do mnie grubszy.

– Czego tu szukasz? – zapytał drugi, bezzębny.

Doświadczenie nauczyło go ostrożności, jednak wizytę u dentysty odkładał zbyt długo.

– Pieniądzy. – Wykrzywiłem twarz w namiastce uśmiechu.

Obaj mieli niezbyt europejskie rysy twarzy, przypuszczałem, że pochodzą gdzieś spoza Kaukazu.

– Przyszedłem, żeby wam, skośnookim głupkom, opróżnić kieszenie – sprecyzowałem.

Stawianie na rasizm w większości przypadków się sprawdza.

Złapałem dłoń z jataganem, zanim jeszcze wystrzeliła do przodu, i poprowadziłem ją tak, żeby ostrze przybiło przedramię drugiego mężczyzny do stołu. Zanim zdążył ryknąć, wetknąłem mu do ust zrolowaną gazetę i pacnięciem pod brodę zmusiłem do zagryzienia na niej zębów. Właściciel jataganu był tak skonsternowany tym, co się stało, że siedział nieruchomo. Wystarczyło walnąć jego głową o blat.

Został z głową na stole, filiżankę kawy powoli obciekała strużka szybko ciemniejącej krwi.

– Damy, dziś macie wolne. – Machnąłem ręką na dziewczyny.

Dwie z nich przestraszone szukały telefonów, a trzecia, mądrzejsza, uciekała.

– A ty nie zadzwonisz do nikogo? – zwróciłem się do barmana.

Nie szykowałem się do tego, stwierdziłem więc, że nie doceniłem lokalu. Wzywał ochronę ukrytym przyciskiem.

Przeszukałem obu sutenerów, odebrałem im dwa kolejne noże, czy raczej sztylety o podejrzanym wyglądzie, oraz pistolet. Białą broń położyłem na barze. Barman nie odezwał się ani słowem, stał pod ścianą i nerwowo zerkał na drzwi.

Ustawiłem się tak, żeby ktoś, kto będzie schodził do wnętrza po pięciu stromych schodkach, zobaczył mnie dopiero wtedy, kiedy obejrzy się przez prawe ramię.

Po pięciu minutach wypełnionych pojękiwaniem, klątwami i ciężkimi oddechami otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna w szytej na miarę marynarce, która jednak nie zdołała zakryć zbyt wielu kilogramów jej właściciela.

– Co się dzieje? – rzucił w kierunku barmana.

W momencie, kiedy zareagował na gest barmana i odwrócił się do mnie, strzeliłem mu w brzuch z browninga kalibru 6,23. Strzelałem przez kilka złożonych razem serwetek. Niewielki pistolet wypadł mu z dłoni, ale nie wypalił.

Ten, który chodzi do baru o wpół do dziewiątej rano, sam naraża się na uszczerbek na zdrowiu. Z tym chyba każdy by się zgodził.

Barman poszarzał na twarzy, wciąż nie wiedziałem, gdzie jest przycisk alarmowy. Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia.

Facet w marynarce jęczał i zwijał się na podłodze, ale nie hałasował tak bardzo, żebym musiał go uciszać. Jego widok przyniósł pozytywny efekt, bo alfonsi za stołem uświadomili sobie, że mogło być z nimi znacznie gorzej.

Nie chciałem żadnej dalszej strzelaniny, zbliżyłem się więc do schodków. W sam czas. Rozległ się tupot kroków w krótkim korytarzyku, pośpieszny i znamionujący wściekłość. Było ich trzech. Pierwszym dwóm podciąłem nogi, pozwalając im się potłuc przy upadku, trzeci był ostrożniejszy, niż przypuszczałem, i wymierzył we mnie pistolet. Stary model z klasycznym bezpiecznikiem, którego już nie zdążył przesunąć. Wyrwałem mu broń z ręki i cisnąłem go na kompanów.

– Zatelefonujcie do szefa, że przejąłem kontrolę nad jego terytorium – nakazałem im.

Nie uwierzyli mi, mając nadzieję, że pomoże im ukryta broń, jaką mieli w zanadrzu.

Wkrótce przekonali się o swojej pomyłce, ale kosztowało ich to rozbity nos, złamany kciuk i zerwane więzadła stawu barkowego, które będą się goić bardzo długo. Jak dotąd nie użyłem miecza, w takim przypadku na zarobek mógłby liczyć tylko grabarz, a nie lekarze.

Gang był rozbudowany bardziej, niż przypuszczałem, a właściwie dwa gangi, których interesy się tutaj krzyżowały, jak się zorientowałem, lecz po kolejnej półgodzinie nic się już w barze nie ruszało, zapełniali go nowi jęczący mężczyźni. Brakowało serwetek, z których

barman na moje polecenie sporządzał improwizowane opatrunki. Ale w wyniku moich usiłowań zdobyłem w końcu numer telefonu drani znajdujących się na szczycie piramidy.

O dziesiątej przed lokalem zatrzymał się czarny mercedes, z którego wysiadł zasepiony mężczyzna w eleganckim ubraniu. Nie był sam, jak żądałem, ale z osobistym strażnikiem, co jednak nie stanowiło wielkiego problemu. On też nie potrafił chodzić po schodach, łatwo więc go dostałem, tak samo jak po paru chwilach jego konkurenta, i wkrótce miałem obydwóch szefów potencjalnie wrogich gangów pod kontrolą.

Usiadłem przy stole i przybrałem minę stosowną do negocjacji handlowych.

– Potrzebuję pieniędzy i w tym celu przywołałem panów tutaj.

– Zwariowałaś pan – wybuchnął młodszy z nich.

Był ubrany dokładnie tak, jak widziałem w jakimś modnym żurnalu, i miał wyraźne problemy z opanowaniem się.

Obciąłem mu mały palec u ręki, którą opierał na stole.

Zawył, złapał się za skaleczone miejsce, ale po chwili zamilkł i przyglądał mi się z nienawiścią.

Jego partner, o dobre dziesięć lat starszy, z brzuszkiem dobrze zamaskowanym szytą na miarę marynarką klasycznego kroju, nie poruszył nawet brwiami.

– To od dłuższego czasu jest już moje miasto, tylko jak dotąd zaniedbywałem pobierania opłat. To się właśnie zmieniło. Potrzebuję po milionie od każdego z was.

– Skórę z ciebie żywcem zedrę! – ryknął młodszy, zrywając się z krzesła. Posadziłem go na miejsce z taką siłą, że aż stłukł sobie kość ogonową.

Na ludzi nadal siły mi wystarczało.

– Jeszcze jedno takie nieuprzejme zachowanie i zabiję pana – oznajmiłem mu.

– Milion, a co potem? Jaką mamy gwarancję, że nas pan wypuści? – włączył się do rozmowy starszy.

Gwarancja? Nawet nie rozumiałem, o co pyta.

– Żadnej gwarancji nie ma – wyjaśniłem. – Kiedy będzie mi potrzebny następny milion, dam panom znać. To wszystko. Żeby dostać pieniądze i tak muszę panów wypuścić.

– Pan jest wariatem – oznajmił z nagłą pewnością siebie, której nie powinien już mieć.

Złapałem go za kark i przycisnąłem do siebie. Stłumionym trzaskom wystrzałów towarzyszyły błyski ognia z otworu wentylacyjnego nad barem. W rytm tych wystrzałów drgała moja żywa tarcza. Przestała dopiero po ustaniu ognia.

Wyrwałem zza pasa nóż do rzucania i cisnąłem go w otwór, z którego padły strzały. Chrapliwy jęk przekonał mnie, że rzut był celny.

– No więc jak? – zwróciłem się do młodszego capo.

Jeszcze przez sekundę czy dwie wyglądał na zdezorientowanego i zszokowanego, ale jakimś cudem szybko przyszedł do siebie.

– Będzie pan miał ten swój milion – zgodził się.

– Dwa. Zapłaci pan również za kolegę – wskazałem na zabitego – jego terytorium może pan przejąć jako podarunek. Opłaty będą pobierał tylko od pana.

Gotówkę otrzymałem za niecałe dwadzieścia minut, w różnych banknotach. Wszystkie były banderolowane. Pomimo że robienie interesów z przestępcami jest uciążliwe i męczące, zarobiłem dwa miliony w przeciągu niecałych trzech godzin. Zadowolający wynik.

Ponieważ w dobrych hotelach przestano serwować śniadania, swoich pieniędzy miałem już tylko kilkaset tysięcy. Połowę zarobku wysłałem przez kuriera Derwiszowi do hotelu. Chciałem mu w ten sposób ułatwić ewentualną ucieczkę z kraju. Sprzedałem swój motocykl i za dopłatą niecałego ćwierć miliona kupiłem nowy.

Ekstremalnie godne zaufania sześciocyldrowe BMW z napędem na wał kardanowy i pełnym komfortem, jakiego człowiek czy wampir może potrzebować podczas dalekiej jazdy. Za godzinę doskonała kolorystyka motocykla zniknęła pod warstwą podkładowej farby antykorozyjnej, którą nałożyłem. Ktoś musiałby być niezłym znawcą, żeby w nieciekawie wyglądającej maszynie rozpoznać motocykl za ponad pół miliona.

Kiedy zegar wydzwaniał południe, wyjechałem z Pragi, mając przed sobą około dwa i pół tysiąca kilometrów dystansu do pokonania.

Jedną z wygod, jakie miała ta ciężka maszyna o mocy przekraczającej moc większości samochodów rodzinnych, było zintegrowane sterowanie telefonem komórkowym. Zasilanym z akumulatora motocykla. Jadąc, zadzwoniłem do Derwisza.

– Wszystko w porządku – słyszałem jego głos na tle warkotu silnika. – Wypożyczyłem auto i wiozę Tes do babci.

– Przesyłka dotarła?

– Tak, zostanie u mnie, będzie na ciebie czekała.

No to w porządku. Dodałem gazu i wyprzedziłem ciężarówkę szykującą się do zjechania na pas szybkiego ruchu. Później znów zwolniłem, nie zależało mi na kłopotach z policją.

– Tes chce z tobą mówić.

Przypomniało mi się, jak przyjemnie było trzymać ją w objęciach praktycznie naga. Rozmowa przez telefon okazała się o wiele prostsza.

– Cześć – usłyszałem.

– Cześć – odpowiedziałem.

W jej głosie nie było ani śladu podniecenia, ciekawości czy jakiegokolwiek zdziwienia.

– Jedziesz po pamięć wampira – stwierdziła.

– No tak. Jeśli się nie dowiem, o co chodzi, to prędzej czy później mnie złapią. Derwisz zawiezie cię do domu babci. Jak wszystko załatwię, przyjadę do ciebie i...

Nie dokończyłem. Co miałem powiedzieć po tym „i”...? Coś o randce w kinie? O zaproszeniu na kawę, o pogawędce na temat książek, które przeczytała? Chciałem tylko jej samej i myśl o tym spowodowała, że zamiast sto trzydzieści zacząłem jechać sto sześćdziesiąt.

Silnik warczał jednostajnie, powietrze opływało mnie z umiarkowanym szelestem. Ująłem gazu.

–...i pójdziemy na kawę, do kina, i opowiem ci, jak to wszystko się odbyło – wybrnąłem z kłopotu.

– To by było naprawdę super – zgodziła się z entuzjazmem.

Szczerze mówiąc, nie wierzyłem jej za bardzo.

– Ci, którzy pilnują pamięci, na pewno będą bardzo niebezpieczni. Bądź ostrożny.

Uśmiechnąłem się bezwiednie.

– Wiem, że władasz mieczem najlepiej ze wszystkich, ale na twoim miejscu nie polegałabym tylko na nim. Widziałam wiele razy w telewizji i myślę, że jakiś karabin na pewno by ci się przydał. A jeszcze lepiej karabin maszynowy, bo strzela długo i szybko.

Nie ma nic lepszego niż rady od znawcy zagadnienia.

– Nie bój się, będę uważał. Trzymaj się. – Rozłączyłem się.

Wiedziałem, że już do niej nie zadzwonię ani jej więcej nie zobaczę. Tak postanowiłem, chociaż samego mnie to zaskoczyło. Kocham kobiety, bardzo je kocham, ale te doświadczone, zmysłowe, które wiedzą, czego chcą. Daję im to, czego pragną, a nawet trochę więcej, w zamian coś niecoś im zabieram. Ku obustronnemu zadowoleniu, przynajmniej w większości przypadków.

Po ujechaniu stu kilometrów zadzwoniłem do Schnitzela. Chciałem się dowiedzieć, co nowego. Oznajmił, że nic, ale obiecał, że postara się zebrać jakieś informacje o planowanym przez Tizoca spotkaniu.

Przed Bratysławą odezwał się Carlos.

Użytkowanie telefonu podczas jazdy było naprawdę dużym udogodnieniem. Niemcy umieli dbać o szczegóły, i to od jakichś osiemdziesięciu, dziewięćdziesięciu lat, przynajmniej według mojej oceny.

– Jest pan w drodze – stwierdził.

– Tak. Nic mi pan nie powiedział, że Tizoc szykuje wielki konwent wampirów – wypaliłem wprost.

Przez chwilę zapadła cisza.

– O niczym takim nie wiem.

Prawdopodobnie kłamał, ale nic nie powiedziałem, nie było potrzeby. To on telefonował do mnie, ciekaw byłem, co ma do powiedzenia.

– Chyba wiem, kto będzie pilnował pamięci Tizoca. Dokumenty dla nich przygotowywała legalna kancelaria prawnicza, prowadzona przez ludzi. Musiałem być bardzo ostrożny, żeby się tego dowiedzieć.

– I kto to jest? – popędziłem go, uciekając przed czerwoną mazdą, która zupełnie zignorowała obecność motocykla na lewym pasie. Może powinienem obłamać mu lusterko, pomyślałem, ale miałem inne sprawy na głowie. Jeśli spotkam tego kierowcę na stacji benzynowej, udzielę mu lekcji właściwego zachowania.

– Glyheny.

To mnie zaskoczyło.

– W tworzeniu glyhenów zawsze byłem dobry, również dawniej, przed... – zawahał się – przed tym, jak mnie ścięli – powiedział w końcu. – I myślę, że wraz z moją pamięcią Tizoc poznał moje sekrety. Te glyheny mogą być bardzo dobre, lepsze, niż pan przypuszcza. Spoczywa w nich część jego mocy. Utrzymuje je w ścisłym ukryciu.

Dodałem gazu i jechałem z szybkością pomiędzy sto sześćdziesiąt a sto siedemdziesiąt, autostrada zrobiła się kręta i pokonywałem jeden zakręt po drugim. Miałem pieniądze na ewentualne mandaty, to co mi szkodziło?

– Wie pan o nich jeszcze coś więcej? – zapytałem. – Na przykład w jakim są wieku?

Zdolności i skuteczność działania glyhenów wzrastają z latami, chociaż nie dożywają ich tyłu, co wampiry.

– Nie wiem, jeżeli się dowiem, zadzwonię do pana. Ale moje postępy są ograniczone okolicznościami. Tych strażników jest trzydziestu dziewięciu – dodał – wizy były załatwiane dla takiej właśnie liczby ludzi.

Trzydzieści dziewięć to ładna liczba, trzy razy po trzynastu.

Słowacko-ukraińską granicę przekroczyłem bez problemów. Na odprawie przeoczyli tubus z mieczami, zaś zapakowaną w igelitowy worek strzelbę po krótkim namyśle zakopałem w lesie pod drzewem.

Po szóstej po południu przejeżdżałem już o wiele gorszymi drogami Ukrainy. Koła musiały pokonywać mnóstwo dziur, a przy tym cały czas miałem oczy na szypułkach, żeby przy szybkości stu, stu dwudziestu kilometrów na godzinę nie wpaść do jakiejś rozpadliny głębszej od innych. W pewnej chwili z przeciwnego kierunku nadjechał samochód policyjny, dla pewności przyśpieszyłem nieco, na wypadek gdyby zdecydowali się pojechać za mną. Szeroko rozpościerająca się równina z niewielką ilością świateł wokół mnie spowodowała, że poczułem dawną swobodę wolnej przestrzeni łowieckiej, a równocześnie przypomniała mi się obawa, że zdobyczy nie będzie w zasięgu, co oznaczało głód. Ta obawa skrywała się w wampirach bardzo głęboko, mając źródło w najdawniejszej przeszłości. Musiałem walczyć z chęcią zatrzymania się i sprawdzenia, czy w termotorbie pod siodełkiem nadal tkwią cztery plastikowe woreczki z krwią. Mój żelazny zapas.

Przez Kijów przejechałem nad ranem, zatankowałem po raz czwarty, najadłem się po raz pierwszy, przeciągnąłem, zajrzałem do toalety i pojechałem dalej. Dzięki lepszej jakości dróg w okolicy głównego miasta mogłem zwiększyć tempo jazdy. Utrzymywałem szybkość w granicach stu dziesięciu kilometrów na godzinę, nie marudziłem, za to przepisy drogowe systematycznie ignorowałem.

Cały dzień upłynął mi jak w transie, warkot motoru i świst wiatru, przerywane tylko przystankami na coraz gorszych stacjach benzynowych. To był zupełnie inny świat. Nie znałem go i nawet nie chciałem znać. Komfort ludzkiej cywilizacji ceniłem bardzo wysoko. Za nic nie chciałbym czołgać się w dżungli i całymi dniami, a może i tygodniami czyhać na zdobycz.

Na granicy ukraińsko-rosyjskiej znalazłem się przed północą. Zaspany pogranicznik wytrzeszczył na mnie zmęczone oczy. Pokazałem mu paszport, do którego włożyłem sto dolarów. Popatrzył na mnie, na banknot, znów na mnie, sięgnął po pieczętkę i za moment jechałem już dalej.

Ksenonowy reflektor mojego motocykla wydobywał z ciemności popękana powierzchnię autostrady pierwszej klasy. Musiałem zwolnić do dziewięćdziesięciu, ale mimo to aż do następnego przystanku nikt mnie nie wyprzedził. Inna rzecz, że przez cały czas napotkałem tylko trzy samochody.

Zatankowałem na stacji benzynowej należącej do firmy międzynarodowej, wziąłem prysznic, zmieniłem bieliznę osobistą i koszulkę, a zużyte łachy wyrzuciłem do kosza.

Zjadłem obfite śniadanie, kupiłem miejscowe mapy, żeby porównać je z mapą wyrysowaną przez nawigację. Na wszelki wypadek zabrałem ze sobą dwa pięciolitrowe kanistry z benzyną. Z tym zapasem mogłem bez kłopotu dojechać do Puchmajerowska i wrócić na tę samą stację bez uzupełniania paliwa. Jako wyraz uczynności firmy za niemałą opłatą dostałem szklaneczkę wódki. No cóż, co kraj, to obyczaj. Ale wódka była naprawdę dobra. Popijałem ją powoli wraz z drugą kawą i czytałem z wyświetlacza telefonu informacje o elektrowni przysłane przez Derwisza. Początkowo myślałem, że Tizoc kupił nieużywaną połowę elektrowni. I to była prawda. Jednak zaskoczyło mnie, że druga połowa, trzy bloki reaktorowe, znajduje się o trzydzieści kilometrów dalej. Cała sprawa zaczęła wyglądać prościej. Miał odstrasżającą ciekawskich nieruchomości, do której mało kto zaglądał. Przez kolejne sto lat dalej nie będą tam zaglądać. Dla wampira to była inwestycja marzeń.

Po stu kilometrach wyjechałem na zdecydowanie lepszą drogę, która prowadziła do Puchmajerowska, a biorąc pod uwagę, że na przestrzeni sześćdziesięciu kilometrów przebiegała tylko przez dwie małe wioski, niewątpliwie została wybudowana na potrzeby elektrowni. Pomału zaczęła się sypać, ale betonowa powierzchnia była i tak znacznie lepsza niż wszystkie drogi, jakie napotkałem po przekroczeniu granicy.

Dziesięć kilometrów przed celem wyłączyłem reflektor, zwolniłem i pozwoliłem silnikowi pracować na wolnych obrotach. Kiedy nawigacja pokazała kilometr do celu, zatrzymałem się.

Zanim zabrałem się do dzieła, postanowiłem się rozejrzeć, rozeznać w okolicy, zbadać miejsce, w którym się znalazłem. Przedemną ciemną równiną stykała się z rozgwieżdżonym horyzontem, poza sobą widziałem w oddali światła małej wioski. Od dawna już nie byłem w takim miejscu. Tu setki ludzi nie tłoczyły się na jednym kilometrze kwadratowym. Kierunek wyznaczały tylko ciemne zarysy wież chłodniczych, przesłaniających gwiazdy. Pachniało humusem, trawą i lasem, a nie benzyną, stalą i betonem. Prowadząc motocykl, szedłem wzdłuż drogi, od której odbijało się światło księżyca, tak że sprawiała wrażenie rzeki. Nic nie widziałem w wysokiej trawie, ale grunt był zupełnie równy.

Po przejściu kilkuset metrów zatrzymałem się na widok słupka stojącego na skraju drogi. Po co go tam ustawiono? Odczyłem motocykl z jezdni, sprawdziłem jakość pobocza. W terenie podmokłym, bagiennym tak ciężkiej maszyny nawet ja nie dałbym rady zatoczyć z powrotem na drogę. Na szczęście jezdnia zbudowana była na suchym, twardym stepie. Wprowadziłem motocykl do lekkiego zagłębienia, przykryłem długimi trawami i zostawiłem. Podeszedłem do słupka, opadłem na czworaki i zacząłem obmacywać przestrzeń przed sobą. Tak nisko nad ziemią pośród gęstej trawy zawodził nawet mój nadzwyczajny wzrok.

W chwili, w której mijałem słupek, zawadziłem palcem wskazującym o naciągnięty drut – system ostrzegawczy. Ostrożnie go obmacałem, system był wyraźnie bardzo prymitywny. Naciągnięcie bądź przerwanie drutu ostrzegłoby tych, którzy go zainstalowali.

Oczekiwałem czegoś nowocześniejszego, co trudno byłoby odkryć, ale z drugiej strony sam używałem nowoczesnych urządzeń tylko pod presją konieczności, a glyheny były pod tym względem jeszcze bardziej konserwatywne ode mnie. Na dobrą sprawę nie można było nauczyć ich niczego nowego, odróżniającego się od tego, do czego przywykli w swoim poprzednim życiu. Można było im to nakazać, ale jeśli nie stał nad nimi człowiek z batem, a raczej wampir z batem, natychmiast wracali do tego, co było dla nich naturalne.

Jeśli jako pułapki używali drutu, a nie na przykład zatrutej strzałki czy walących się drzew, to nie powinni być aż tak starymi, niebezpiecznymi glyhenami.

Przekroczyłem drut i ostrożnie poszedłem dalej, pilnie wypatrując kolejnych słupków. Przy najmniejszym podejrzeniu opadałem na czworaki i badałem drogę przed sobą, macając rękami. Znalazłem jeszcze trzy, przy czym ostatni z nich służył jako zabezpieczenie dla trzech następnych, oddalonych o około pół metra. Bez zawadzenia o któryś z nich nie dałoby się przejść nawet nadzwyczajnym zbiegiem okoliczności.

Z ciemności wyłonił się zarys muru z grubego betonu, oświetlonego w niewielu miejscach słabymi lampami, osadzonymi na żelaznych grotach wystających ponad jego górną powierzchnię.

Okolica sprawiała bardzo nieprzyjemne wrażenie. Trudno było uwierzyć, że to zwyczajny obiekt przemysłowy, a nie katownia, ciężkie więzienie albo obóz koncentracyjny. Skromne oświetlenie wystarczało dla moich oczu, zmieniłem więc kierunek i zacząłem posuwać się wzdłuż muru. Po kwadransie skradania się znalazłem miejsce, w którym kępa młodych brzoźek ułatwiała dostanie się do wewnątrz, zapewniając równocześnie jakieś maskowanie.

Głęboko wciągnąłem powietrze. Poczułem kilka zapachów związanych z działalnością przemysłową – benzyny, olejów i rozmaitych substancji chemicznych, których nie zidentyfikowałem.

Przykurczony, drobnymi krokami zbliżałem się do brzoźowego gaiku. Czułem się mocno niepewnie, coś za łatwo mi szło. Usłyszałem trzask stycznika włączającego reflektory, zanim zdążyły się zapalić.

Już trzymałem oczy zamknięte, w prawej ręce ścisnąłem rękojeść miecza, w lewej granat ręczny, blask reflektorów halogenowych przenikał nawet przez zaciśnięte powieki.

Ostatnim obrazem, jaki zarejestrował mój mózg przed zamknięciem oczu, był stojący przede mną półokrąg mocno zbudowanych mężczyzn w uniformach, których krój coś mi przypominał. Każdy z nich trzymał w ręce broń automatyczną. Niektórzy mieli po dwie sztuki. Kanciasty kształt starego MP40 przypominałem sobie od razu. Nienadzwyczajna szybkostrzelność, niezbyt skuteczne pociski, ale bardzo celny. Doświadczeni użytkownicy potrafili strzelać z niego ogniem pojedynczym i trafiać raz za razem. Z odległości, jaka dzieliła mnie od napastników, mogli strzelić mi w oko, traktując celny strzał jak dziesiątkę na tarczy strzelniczej. Metaliczne skrzypnięcie. Stare bramy, nawet dobrze konserwowane, zawsze skrzypią, chociaż czasem ludzkie ucho nie jest w stanie tego wychwycić.

Popędziłem skokami, moment upadku granatu zarejestrowałem jako ciche plop. Wystrzały na odwrót, ich grzmot wprost rozrywał uszy.

Jedna kula mnie trafiła, na szczęście nieszkodliwie. Strzelanina ucichła, kiedy wpadłem pomiędzy nich. Powaliłem strzelca, którego wybrałem na cel ataku, i w przewrocie narzuciłem go na siebie. Dzięki dozie szczęścia upadłem na plecy, a on znalazł się na mnie. Znowu zaczęli strzelać, ale ich kompan stanowił naprawdę skuteczną tarczę. Albo pociski okazały się zbyt słabe.

Prask.

Wybuch granatu zmienił sytuację na moją korzyść.

Porwałem się na nogi i ruszyłem takim biegiem, że chyba mógłbym wyprzedzić nawet odłamki granatu, choć w rzeczywistości jednak mi się to nie udało.

Cały mój wysiłek poszedł na marne, kiedy dobiegłem do muru. Odbiłem się i zawisnąłem uczepony rękami górnej krawędzi. Szczęściem nie było na nim odłamków szkła, jak to jest czasem praktykowane.

Wspiąłem się na pięciometrowy mur i ukucnąłem na jego szczycie. Wybuch granatu uszkodził kilka reflektorów, ale nadal pozostało dostatecznie dużo światła. Ochrona zakładu właśnie zbiegała się na miejsce akcji. Miałem nadzieję, że co najmniej połowę z nich zabije wybuch granatu, lecz na ziemi leżał tylko jeden martwy ochroniarz. Carlos miał rację, byli naprawdę lepsi niż zwykle glyheny. I czujniejsi. Jak udało im się tak szybko mnie wykryć?

Nadal miałem drugi granat, a dopóki znajdowali się razem, stanowili cel, dla którego warto było go poświęcić. Odbezpieczyłem, poczekałem dwie sekundy i rzuciłem. Zeskoczyłem na drugą stronę muru, tam eksplozja zabrzmiała nieco ciszej.

Ponieważ nie udało mi się przeniknąć do wnętrza niepostrzeżenie, musiałem zmienić plan. Pierwotnie brzmiał on: „Niezauważenie do środka i niezauważenie z powrotem”, a teraz: „Zabić wszystkich i dopiero wtedy zrobić swoje”.

Pierwszy plan był łatwiejszy.

Przestrzeń poza murem rozciągała się we wszystkie strony. Gdzieś w oddali dostrzegłem zarysy ogromnych wież chłodniczych, nieco bliżej znajdowały się jakieś budynki, których przeznaczenia nie mogłem odgadnąć. Po chwili wyróżniłem trzy wyraźnie wyższe od pozostałych. W nich mieściły się reflektory. Tizoc i jemu podobni zawsze lubują się w monumentalności. Pamięć schował albo w którejś z wież, albo w halach z reaktorami. Wiedziałem, że skrywają się pod opancerzonym przykryciem. Plus dla nich.

Ostrzegł mnie hałas kamyczka turlającego się po schodach. Ktoś nadchodził. Nie czekając, przyklęknałem i z całej siły ciąłem mieczem poziomo nad ziemią. Trafiłem, ale nie udało mi się odciąć nogi, jak zamierzałem. Ostrze uwięzło w czymś przypominającym drewno dębowe. Barczysty cień pochylił się nade mną, niewidoczny przedtem papieros rozżarzył się przy długim pociągnięciu, oświetlając czarną lufę broni.

Glyhen był ubrany w mundur gestapo. Kopnąłem w lufę, jedną nogą w nią trafiłem, a drugą walnąłem napastnika pod brodę. Mógłbym przysiąc, że usłyszałem odgłos łamanego łyka. Nie miałem, niestety, piły łańcuchowej, tylko miecz. Pchnąłem gościa w krocze i solidnie pociągnąłem. Puścił broń, a razem z nią upadło na ziemię coś innego. Nie robiłem sobie nadziei, że taka drobnostka może go powstrzymać. Złapałem pistolet i nacisnąłem spust w momencie, gdy jego ogromne pięści znalazły drogę do mojej czaszki. Przystałem strzelać dopiero po zużyciu połowy naboju.

Uff. Rzeczywiście twarde te glyheny. Wziąłem miecz i wstałem, moja głowa, trawiona bolesnym łomotem wewnątrz, powoli wracała do normy.

Stary MP40 nie należał do najcichszych i nie usłyszałem nadjeżdżającego motocykla z przyczepką. Odgłosu serii z tego karabinu maszynowego nie mogłem pomylić z żadnym innym. Kiedyś taki właśnie MG 13 o mało mnie nie zabił. Wydawało mi się, że widzę pociski lecące szerokim wachlarzem, ale nie zdołałem im umknąć. Jeden trafił w udo, przechodząc na wylot, drugi zatrzymał się na żebrach, pewnie wadliwy ładunek prochowy, trzeci ledwie musnął skroń, jednak krew zaczęła obficie wyciekać.

Pozostałem przy życiu i tylko to się liczyło. Długim, szalonym skokiem, który w pojedynku z pobratymcem kosztowałby mnie życie, wskoczyłem na przyczepkę, wściekle ciąłem mieczem. No!

Naraz coś z wielką siłą walnęło mnie między łopatki. Upadłem na rozbity motocykl, odrzuciła mnie wstecz kula ognia i pojąłem, że to było trafienie z pancerfausta.

Zasrani naziści, dobrze wyszkoleni, tak jak dawniej.

Przyszedłem do siebie przywiązany do stalowego filara podpierającego strop przestronnej hali. Na stalowej podłodze stało kilku umundurowanych mężczyzn. Ubranych między innymi w mundury Wehrmachtu i eleganckie czarne uniformy oficerów gestapo. Wszyscy patrzyli tylko na mnie. Sprawdziłem pewność więzów, ale szybko z tego zrezygnowałem. Te skurwysyny po prostu przynitowały mnie do filara. Dopiero wtedy poczułem ból.

– No i co, wampirku? – wyszczerzył zęby gestapowiec w randze standartenführera.

– Wampirku? – powtórzyłem, choć mówienie przychodziło mi z trudnością.

Efekt wspólnego oddziaływania trafień i nitów kumulował się, miałem wrażenie, że niedługo umrę.

– Jak by się to spodobało twojemu panu, że do kogoś jego rodzaju mówisz „wampirku”? Ty, niewolnik?

Zainkasowałem za to uderzenie drewnianym kijem zakończonym dużą nakrętką.

– Kto cię przysłał? – zapytał Standartenführer, ale upiórka już sobie darował.

Rozejrzałem się po obecnych. Był wśród nich najwyższy rangą. Naliczyłem dwudziestu siedmiu glyhenów, więcej niż dziewięciu nie zabiłem, a to znaczyło, że trzech znajduje się poza halą.

Dość kiepski wynik.

Może ich po prostu nie doceniłem. Rzeczywiście byli doskonale przygotowani i zorganizowani, można powiedzieć, że należeli do ekstraklasy.

Uderzył mnie tak szybko, że nawet tego nie dostrzegłem. Zapłaciłem za to krótką utratą przytomności i naruszoną kością policzkową.

– Więc kto cię przysłał, ty parszywy Żydzie!

Dyskryminacja rasowa nadal istniała we współczesnym świecie, ale Żydzi nie odgrywali już w niej głównej roli. Pozostały mu poglądy z okresu, kiedy był jeszcze człowiekiem.

– Nikt, przyszedłem zapoznać się z pamięcią Tizoca.

– Trzeba go zabić, jest niebezpieczny – oznajmił jeden z nich, stojący na lewo ode mnie.

Też był umundurowany i o ile mogłem dostrzec zakrwawionymi oczami, służył przedtem w artylerii.

– Może kiedyś był niebezpieczny – syknął gestapowiec. – Ale zanim umrze, dostanie porządną nauczkę.

Znowu mnie uderzył. Tym razem dostrzegłem nadchodzący cios i uchyliłem głowę, zdarł mi tylko skórę z twarzy, ale zabolalo. Tak jak cała reszta. W lewej ręce miałem dwa nity, a w prawej trzy. Wszystkie omijały kości, zapewne po to, żeby odłamki kostne nie przebiły tętnic i żył, żebym się nie wykrwawił.

– Zabijmy go, jest twardy, niczego się od niego nie dowiemy – usłyszałem czyjś głos, ale zalany krwią oczami nie mogłem dostrzec, kto mówi.

– *Nein, nein, nein* – gestapowiec przeszedł na ojczysty język. – Dostanie nauczkę. Umiem udzielać takich lekcji, o których nie zapominają nawet ci, którzy tylko się im przyglądają. Setki, tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi nigdy mnie nie zapomnieli! – Roześmiał się nagle. – Rozpalcie wielki piec, dziś przypomnimy sobie dawne czasy! – rozkazał. – Kiedy w piecach paliliśmy żydłakami.

Tizoc umiał dobierać sobie sługi, to prawda.

– Nazywam się Kohn – powiedziałem. – Samuel Kohn. Tak jak wszystko, co kiedyś robiłeś, spaprałeś też swój genotyp. Teraz pilnujesz śmietnika, jaki stworzyli ci, których chciałeś zniszczyć, i jesteś tylko zasranym niewolnikiem wampira.

Ledwie skończyłem mówić, znów mnie uderzył. A potem znowu i znowu. Widziałem wszystkie te ciosy, chociaż był nieludzko szybki. Odwracałem głowę, tak że nie rozbił mi czaszki, tylko zdierał płaty skóry i strzępy mięśni.

– To wszystko, co umiesz? Ty zasrany nazisto! – ryknąłem, gdy tylko złapałem oddech.

Nie posiadałem się z wściekłości, przyszpilony do stalowego filara, praktycznie nie zdawałem sobie sprawy z tego, co robię.

– Wrzucę cię do gazu, osobiście! – zawył. – Do palącego się gazu.

Złapał mnie i z bezwzględnością, do której nie byłbym zdolny, oderwał mnie od filara i trzymał za korpus, jakby chciał mnie rozedrzeć na połowy.

Lewa ręka zwisała mi bezwładnie, ale prawa była sprawna.

Skrzywiłem się z zadowoleniem.

Wyprostowałem środkowy palec i wbiłem mu go w ucho aż do oporu. Nawet sztylet nie posłużyłby mi lepiej.

Przyjrzałem się pozostałym, którzy dopiero teraz uświadamiali sobie, co się stało.

Padłem na podłogę, wyrwałem standartenfuhrerowi lugera z kabury. Strzeliłem trzy razy i dwoma pociskami trafiłem go w oko.

Dokładność to nie są żadne czary.

Potem strzelałem błyskawicznie, dopóki miałem do kogo. Glyheny dysponowały większą siłą ognia, ale nagły zwrot sytuacji wyraźnie je zaskoczył, poza tym zapewne obawiali się trafić swego dowódcę.

Poranione ręce bolały mnie wprawdzie, lecz dałem radę pokonać ból. Ale chodzić nie mogłem, nie zdołałem poruszyć nogami, zupełnie ich nie czułem, jakby nie znajdowały się na swoim miejscu. Jednak okazało się, że były, bo kiedy pochyliłem głowę, zobaczyłem czubki butów.

Przypomniałem sobie, że w plecy uderzył mnie pocisk z pancerfausta, to on zrobił ze mnie kalekę. Byłem oszołomiony wyczerpaniem i bólem, wszystko dochodziło do mnie jak przez mgłę. Wiedziałem, że to koniec, zrezygnowałem z dalszego oporu, zamknąłem oczy i czekałem na kogoś z glyhenów, najodważniejszego albo najmniej ograniczonego, czasem to na jedno wychodziło, który ze mną skończy. Lecz nagle gestapowiec się poruszył. Albo miał mózg o niesłychanej odporności, choć ślad, jaki został na moim palcu, o tym nie świadczył, albo do kariery wroga Żydów potrzebna mu była tylko niewielka część szarych komórek, niezbędnych w procesie myślenia. To drugie wydało mi się bardziej prawdopodobne.

– Ma pan tu gdzieś zapas krwi? – zapytałem.

Glyheny tak samo jak wampiry potrzebują krwi, chociaż nie tak często i w znacznie mniejszych ilościach.

– Tak – wychrypiał.

– To niech pan mnie tam poniesie, a ja panu pomogę.

– A potem będziemy zabijali Żydów, Rusków i innych podludzi? – upewniał się na wpół przytomny.

– Oczywiście – zapewniłem. – Jak za starych, dobrych czasów.

Pełznął po podłodze niczym pancernik, a ja wisiałem na nim niczym pluskwa. Trzykrotnie usłyszałem kroki zbliżających się glyhenów, ale Standartenführer też je słyszał i z jakichś powodów uznał, że oznaczają niebezpieczeństwo. Za każdym razem nieruchomiał, więc zlewaliśmy się z cieniami w półmroku zalegającym przestrzeń wokół budynku.

Po godzinie dopełzliśmy do małego domku stojącego na trawiastym placu pomiędzy ogromnymi budynkami z betonu. Drzwi były zamknięte, klamka znajdowała się wysoko, a ja od dolnej części kręgosłupa czułem tylko chłód. Nie wiedziałem, z jakiej przyczyny, ale zdawałem sobie jasno sprawę, że ten chłód przynosi śmierć. A właśnie teraz chciałem żyć, tak mocno jak nigdy dotąd.

Drzwi były drewniane, dotykając ich, doszedłem do wniosku, że muszą być masywne.

Złożyłem palce lewej ręki w kształt dzioba i mocnym uderzeniem wbiłem je w dębowe deski. To samo zrobiłem drugą ręką. Można było ciszej wspinać się do klamki, ale tak było łatwiej. Gdzieś w oddali trwała strzelanina, co zagłuszało odgłos moich usiłowań. W chwili kiedy znalazłem się wewnątrz, oświetlił mnie delikatny różowawy blask padający ze środka.

Jakby to była WODA życia. Prawie martwy glyhen ruszył na drzwi jak czołg, ledwie zdążyłem się go ucześcić. Dowlóknął mnie aż do wnętrza domku.

Różowe światło pochodziło od zwyczajnych żarówek, świecących zza specjalnie zainstalowanych osłon i żyrandoli napełnionych czerwoną cieczą. Krew powinna popsuć się w ciepłe wydzielanym przez żarówki i zacząć gnić, ale stary gestapowiec włóknął się nieustępliwie ku jednej z takich prześwietlonych kul, a mnie nie pozostało nic innego, jak trzymać się go z całej siły. Doczołgał się, wyciągnął rękę, zdjął szklane naczynie z podstawy będącej częścią lampy i zaczął pić.

Przyglądałem mu się bacznie, obserwowałem ruchy mięśni szyjnych, wyraz twarzy, rękę trzymającą naczynie. Dobrze mu to robiło, dodawało sił, wskrzeszenie pochodzące ze śmierci. Jednym ruchem wyrwałem mu kulę z ręki. Zerwał się prawie na kolana, zamachnąwszy się na mnie energicznie solidnym ramieniem. Nie widział jednak dobrze i tylko odepchnął mnie na bok. Połowa zawartości naczynia wylała się, ale reszta została. Bez wahania przytknąłem ciepły pojemnik do ust i zacząłem połykać jego zawartość. Nawet nie poczułem smaku, tak łapczywie piłem. Dopiero kiedy wypilem wszystko, stwierdziłem, że ma trochę mało wspólnego z krwią i zawiera sporo domieszek.

Pomimo to mnie również zrobiła dobrze, przede wszystkim częściowo ugasiła coraz większe pragnienie.

Leżeliśmy naprzeciw siebie, siły mi wracały, ale i oczy gestapowca odzyskiwały rozumny wyraz. Ta ciecz sporządzona na bazie krwi była specjalnym eliksirem. Wysoko wydajnym, wygodnym w użyciu, bardzo dobry środek na odbudowę poturbowanego ciała. Niestety, moim nogom, a raczej uszkodzonemu kręgosłupowi, raczej nie pomagał.

– Ty zasrany żydłaku, teraz ci pokażę – zachrypiał. – Potańcuję z tobą, jak to robiłem z innymi.

Wypuściłem z rąk puste naczynie, podłoga pomiędzy nami pokryła się kawałkami rozbitego szkła o różnej wielkości.

– To mnie nie zatrzyma, łajdaku. – Pokręcił głową.

Z każdą sekundą nabierał sił, jakby mu je pompowali pod dużym ciśnieniem.

– Jak na Aryjczyka, masz zbyt ciemne włosy – zmieniłem temat. – Czy wiesz, że wasz Führer miał w sobie naszą krew?

– Ty zasrana żydowska świni! – zawył i rzucił się na mnie, nie zwracając uwagi na zalegające podłogę szkło.

Złapał mnie za szyję, nie zdołałem się przed tym obronić. Jego dłonie były trzykrotnie większe od moich, o strukturze przypominającej drewno dębowe, a oprócz tego miał sprawne nogi, na których mógł się oprzeć. Dla obrony miałem tylko dwa ostre kawałki szkła, które trzymałem w dłoniach. Jego uścisk był duszący, szybko zaczęło mi się ściemniać przed oczami, a kręgi szyjne zaczęły trzeszczeć. Walczyłem, ale nie było łatwo przeciąć twardą, jakby pancerną skórę, godną hipopotama.

Patrzyliśmy sobie w oczy, zacząłem widzieć coraz gorzej, jeszcze jedna desperacka próba obrony, jego triumfalny uśmiech na widok mojego słabnącego oporu.

Straciłem resztkę sił i gdyby mnie nie trzymał w uścisku, upadłbym na podłogę. Nagle rzeczywiście padłem twarzą na potrzaskane szkło. Ból pomógł mi przyjść do siebie, otworzyłem oczy i okazało się, że znowu widzę, wprawdzie niewyraźnie, ale jednak widzę. Były gestapowiec leżał w szybko rozlewającej się kałuży krwi, z przeciętym gardłem, z którego już tylko leniwie bulgotało.

Zlizywałem tę brudną glyheńską krew wprost z podłogi, nie bacząc na zalegające kawałki szkła, które kaleczyły mi język. Potem przyciągnąłem go do siebie i wyssałem resztkę, jaka jeszcze została w tętnicy. Ogarnięty głodowym szaleństwem gołymi rękami rozerwałem mu pierś i wypilem to, co pozostało w jego sercu. Dopiero potem byłem zdolny choć w części rozsądnie pomyśleć.

Krwi wystarczyło mi na tyle, że znów poczułem, że mam nogi i że zaczynają mnie słuchać. Nie całkiem jeszcze, ale wystarczająco, żebym z wielkim trudem wstał i wziął sobie następną bańkę oświetloną żarówką. Wyglądało na to, że to nie tylko pomysł szalonego gestapowskiego glyhena, ale że zapasowa krew musi być ogrzewana, żeby nadawała się do użytku. Jej działanie przewyższało wszystko, czego dotąd próbowałem.

Po trzeciej wypitej kuli, kiedy brzuch miałem wzdęty i naprężony jak bęben, aż poczułem gorąco. Z mojego ubrania, wciąż jeszcze wilgotnego od rosy, unosiła się para. Znów kręciło mi się w głowie, ale tym razem inaczej, jak po szklaneczce wódki wypitej po bardzo długim okresie abstynencji. Usiadłem na stole, zaciemnione okno odbijało obraz błyszczącej powierzchni barku znajdującego się za mną. Dzięki temu mogłem widzieć swoje plecy lub raczej to, co z nich zostało. Najnowocześniejsza kamizelka kuloodporna zatrzymała większą część eksplozji starego pocisku, ale to, co przez nią przeszło, wypaliło mięśnie aż do

kręgosłupa, który porządnie potłukło. Poprzez szarą mgłę unoszącą się z rany widziałem, jak zarasta masą mięśniową, popękane kręgi goją się w szybkim tempie. Widok był doprawdy nierzeczywisty.

Nagle poczułem głód, tak silny, że byłem gotów zabijać. Popatrzyłem na martwego glyhena – przedstawiał jakieś sto kilogramów pożywnej masy, chociaż wątpliwej jakości. Opamiętałem się i podszedłem do lodówki zawierającej w sobie zamrażarkę. Była ogromna, sięgała aż do stropu. Otworzyłem ją – była pełna mięsa. Wysokiej jakości mięsa wołowego. Zacząłem się nim zajadać. Brzuch mnie rozboleł, ale wiedziałem, że wciąż potrzebuję jedzenia. Kiedy poczułem, że jestem tak pełny, że mogę zwymiotować, zrobiłem przerwę i uważnie rozejrzałem się po pomieszczeniu. Oprócz różowych świateł ogrzewających osobliwe koktajle, którymi żywił się ich właściciel, na ścianach znajdowało się dużo czarno-białych fotografii przedstawiających mężczyzn w mundurach ss, często na tle obozu koncentracyjnego, a oprócz nich jakieś medale, dystynkcje wojskowe i broń. Była stara, z okresu drugiej wojny światowej, ale dobrze utrzymana i naoliwiona. Z kawałkiem surowego mięsa w ręce obszedłem ściany, zabrałem dwa kaemy, kilka magazynków i jakieś drobiazgi. Jedzenie i trawienie takiej ilości mięsa wyczerpało mnie do tego stopnia, że ledwie trzymałem się na nogach.

W końcu przywlokłem krzesło, postawiłem przed lodówką, usiadłem, broń położyłem obok siebie w zasięgu ręki, na kolanach ułożyłem granaty, włożyłem ze stękanem kamizelkę kuloodporną, którą znalazłem powieszoną na poręczy krzesła.

Zastanawiałem się, kiedy ktoś przyjdzie zobaczyć, co się tu dzieje. Glyheny nie były żadnymi wyskrobkami, wprost przeciwnie. Zaskoczyłem ich, a oni nie mieli ochoty na bezsensowną śmierć. Kiedy stwierdzą, że ukryłem się tutaj, zrobią ze mną porządek. Jakby los chciał mi przyznać rację, w drzwiach pojawił się doskonały, wręcz wzorcowy Aryjczyk. Liczne blizny na twarzy świadczyły o tym, że jest to model już po okresie gwarancyjnym.

Trzymał swój automat w ręce, a ja miałem palec wskazujący zaledwie trzy centymetry od spustu swojego MP40. Wystrzeliliśmy w tym samym momencie, ale on był przyzwyczajony do swojej broni i wsadził mi pół magazynka w pierś. Wszystkie trafienia mieściły się na powierzchni, którą mogłaby przykryć mała damska dłoń.

Moja seria natomiast podziurawiła go od górnej części ud aż do głowy. Tylko że w odróżnieniu ode mnie nie miał na sobie kamizelki kuloodpornej.

Dobrze ulokowana seria upuściła mu trochę pary, zachwiał się, ale utrzymał na nogach, a opuszczoną na chwilę rękę dzierżącą broń znów podniósł do góry, chcąc

wycelować we mnie jeszcze raz. Poprawiłem ułożenie kaemu i lekko nacisnąłem spust, trafiłem go w twarz, na poziomie oczu, i to wreszcie posłało go na podłogę.

Rzeczywiście paskudnie odporne potwory. Nienaturalnie.

Naszą głośną wymianę ognia usłyszeli zapewne wszyscy.

Zamiast komend nakazujących atak lub huku wystrzałów usłyszałem dzwonek telefonu, po chwili zorientowałem się, że to mój. Jak przetrwał całą tę strzelaninę? Nie kupowałem przecież żadnego kuloodpornego modelu. Wyjąłem go z kieszeni i włączyłem odbiór.

– Słyszysz mnie pan? – odezwał się nerwowy głos Schnitzela.

W tej chwili nikt nie strzelał, więc słyszałem go całkiem dobrze, chociaż po jego stronie odzywało się jakieś rytmiczne huczenie.

– Mój szef otrzymał wiadomość, że ktoś napadł na jego tajne miejsce, to, w którym schował pamięć. Wiem, że pan się nią interesuje, więc pod żadnym pozorem nie powinien pan wtykać tam nosa. Skierował na miejsce posiłki!

– Dzięki za informację – odpowiedziałem krótko i rozłączyłem się.

Nie ma to jak dobre zgranie w czasie.

Po trafieniu pancerfaustem i zainkasowaniu serii w pierś słuch wracał mi w szybkim tempie. Słyszałem, jak wokół domku gromadzi się grupa napastników.

Działali szybko, cicho, wykazywali duże doświadczenie, byli w stanie zlikwidować jakiegokolwiek specjalne komando – nie byli ludźmi, lecz glyhenami. Popatrzyłem z żalem na moją broń – jak mogą ułatwić mi pracę, jeśli nie mają takiej skuteczności, jakiej by wampir potrzebował?

Wyskoczyłem przez okno wcześniej, niż zrozumiałem, że to jedyne wyjście. Opadłem na ziemię lekko jak jesienny liść i leżałem nieruchomo. Nie zauważyli mojej ucieczki z domku. Czekałem z twarzą przyciśniętą do suchej ziemi i nie odważyłem się nawet drgnąć. Zbliżali się. Jeden znajdował się na trzeciej godzinie, licząc ode mnie, w odległości siedmiu, ośmiu kroków, drugi dziesięciu, siedmiu, sześciu. Wstrzymałem oddech, walcząc z chęcią podniesienia głowy i rozejrzenia się.

Przeszli obok mnie, byłem już na zewnątrz ich kordonu. Powoli, niezwykle powoli odkleiliśmy się od ziemi i spojrzeliśmy za siebie. Otoczyli domek i zalegli, żeby w przypadku ognia krzyżowego nie postrzelać się wzajemnie. Jeden z nich ruszył ku drzwiom. Posuwał się ostrożnie, używając wszystkich dostępnych miejsc do ukrycia się, aż w końcu do nich dotarł. Nie uprzedzał pozostałych, że wchodzi do wnętrza, byli na to zbyt dobrze zgrani. Zniknął mi z oczu, zacząłem odliczanie, odbezpieczony granat w ręce oczekiwał na rzut. Sekunda.

– *Hier ist niemand!*⁸

Dwie i pół sekundy. Machnąłem ręką jak najmocniej potrafiłem i puściłem się biegiem.

Nie trafiłem w okno, ale nie miało to znaczenia, granat przebił cienką ściankę i wybuchł wewnątrz. Eksplozja spotęgowana wybuchającą zmagazynowaną tam amunicją skutecznie zabezpieczała mi tyły.

Tego w środku na pewno unieszkodliwiłem.

Miejsce, w którym trafili mnie z pancerfausta, znalazłem po krótkiej chwili. Obawiałem się, że wybuch mógł uszkodzić miecze, ale na szczęście nic im się nie stało, oba były w porządku, tak jak i pochwy. Stara, dobra, poczciwa stal.

Zaraz... To nie była przecież stal, jak mi napisał Sigfried.

Sigfried? Imię wynurzyło się z przeszłości, lecz nie towarzyszyły mu żadne wspomnienia. Nie szkodzi. Przyczałem się pod pnem jarzębiny, pośród wysokiej trawy, po omacku przywiązałem do pasa pendanty mieczy i przez pewien czas czekałem bez ruchu.

Panowała podejrzana cisza. Czuję zapach trawy, słyszałem żuki szeleszczące pod nogami, nieruchome powietrze poruszały tylko przelatujące ćmy. Elektrownia była ogromna, nie przypuszczałem, że aż tak rozległa.

Zostało jeszcze, jak oszacowałem, dwadzieścia, może dwadzieścia pięć glyhenów, a zanim ich zabiję, mogą dojechać posiłki Tizoca. To nie było mi do niczego potrzebne.

Ciekawe, skąd się wzięła moja pewność siebie? Czy w ogóle byłem zdolny do tego, żeby ich zabić? Nie wydawało mi się, ale postanowiłem nad tym nie rozmyślać. Ważniejsza była inna sprawa: Gdzie może być pamięć Tizoca na tak rozległej przestrzeni? W końcu po nią tu przyjechałem. Znowu wróciłem myślami do elektrowni i stwierdziłem, że nie wiem o niej nic a nic. Większość moich zainteresowań w okresie ostatnich lat sprowadzała się do wiedzy o broni, prawie i obyczajach szybko się zmieniającego społeczeństwa, więc na takie marginalne sprawy jak elektrownie jądrowe nie miałem ani czasu, ani chęci, a ponadto brakowało mi rozeznania w temacie.

Wyjąłem telefon, bateria miała już tylko jedną kreskę. Cholera. Niektóre urządzenia ludzie powinni jeszcze ulepszyć.

Derwisz odebrał prawie natychmiast.

– Wszystko w porządku? – zapytałem.

– Jasne – odpowiedział aż za szybko, ale nie miałem czasu na żadne wypytywanie.

⁸ Nikogo tutaj nie ma! (niem.)

- Co jest najważniejszą częścią elektrowni jądrowej?
- Reaktor – odpowiedział bez wahania.
- Czyli pamięć na pewno tam będzie – zgodziłem się i rozłączyłem.

Tizoc był starym wampirem, a one zawsze stawiały na to, co aktualnie uważano za istotne. Gdyby kupił sobie Egipt, zamieszkałby w piramidzie Cheopsa.

Zapomniałem jednak spytać Derwisza, jak znaleźć reaktor. Oprócz ogromnych wież widziałem jeszcze jedną bardzo wysoką budowlę. Zacznę od niej, a potem zobaczymy.

Opuściłem cieniste schronienie pod jarzębiną i poszedłem ku ciemnemu budynkowi. Żwir chrząścił mi pod nogami, źdźbła trawy szeleściły, powietrze przyjemnie chłodziło, bo nadal odczuwałem gorąco w całym ciele. I wciąż miałem pragnienie.

Palącego się papierosa usłyszałem wcześniej, niż go zobaczyłem, a razem z nim glyhena, który go palił. Skierowałem się ku niemu, na razie jeszcze mnie nie spostrzegł. Obnażone miecze trzymałem w obu rękach, uświadomiłem sobie, że zależy mi na życiu.

Poruszył się i wtedy mnie dostrzegł. Jego broń obróciła się w moim kierunku, zdążył nawet nacisnąć spust. Kula otarła się o mój bok, ciąłem z góry, broń wraz z przedramieniem upadła na ziemię, a on przez chwilę przyglądał mi się bez ruchu. Wyglądało na to, że nie zamierza umierać. Wbiłem mu katanę w podbrzusze i pociągnąłem ostrze do góry.

– Pozdrów tam wszystkich w piekle – poleciłem mu, opuściłem klingę i pozwoliłem mu upaść.

Ogromna stalowa brama budynku otworzyła się, drugi glyhen wyjrzał, chcąc sprawdzić, co się dzieje. Nie popełniłem błędu, zaczynając poszukiwania właśnie stąd. Pilnowali tutaj szczególnie dokładnie. Pamięć Tizoca nie mogła być daleko.

Dostrzegł mnie zbyt wcześnie, miał takie doświadczenie z bronią, że nacisnął spust, zanim zdołałem odskoczyć. Ale nic mi się nie stało, bo nastąpił niewypał. Z wściekłością odrzucił zaciętą broń i skądś wyciągnął duży nóż. W następnym momencie runął na ziemię z przeciętym gardłem, z głośnym bulgotem wypływającej z niego krwi.

Wszedłem do wnętrza. Na końcu długiego korytarza, tak szerokiego, że mogłyby nim przejechać obok siebie dwie lokomotywy, świeciła słaba żarówka. W pobliżu nie wyczuwałem nikogo więcej. Za niektórymi drzwiami w bocznych ścianach na pewno będą strażnicy, byłem tego pewny.

Podłoga była wykonana z metalu i w półmroku mogłem rozpoznać stalowe tory, służące do przejazdu jakiegoś ciężkiego urządzenia.

Jeżeli chcą mnie zabić, to teraz mają idealną okazję, pomyślałem w połowie drogi transportowym korytarzem. Jakby ktoś usłyszał moją myśl, bo nagle otworzyły się jedne z

pancernych drzwi osadzonych w ścianie. Poprzednich dwóch napastników rejestrowałem tylko jako sylwetki, tego jednak widziałem dokładnie. Doskonale dopasowany mundur, błyszczące buty z cholewami, podwójne zygzakowate S na mundurze. Trzymał dwa pistolety maszynowe i dostrzegłszy mnie, wykrzywił twarz w jakimś ohydny grymasie. Uniósł broń i wytrzeszczył oczy na widok półmetrowej długości klingi, jaka sterczała z jego piersi. Zanim zdążył się zorientować, co się stało, już wyrwałem miecz z jego ciała i kopniakiem posłałem go tam, skąd przyszedł.

Trzy do zera w dość krótkim meczu, ale szło łatwo, a to przecież mogło się zmienić.

Wszedłem do pomieszczenia i od razu znalazłem się pod ostrzałem. Spodobało mi się to, co tam zobaczyłem. Korytarze, wnęki, różne zakamarki i istny labirynt rurociągów najróżniejszych średnic. Tam ich ulubione zabawki nie będą specjalnie użyteczne. Poczekałem, aż strzelanina przycichnie, skoczyłem do wnętrza. Przeleciałem w powietrzu jakieś pięć do siedmiu metrów, prześliznąłem się przez szparę w półotwartych drzwiach, grubych jak pancerz okrętu liniowego, i zjechałem pod ogromny wspornik, na którym oparta była rura o średnicy starego dębu. Kule krzeszały iskry na stalowej podłodze, blisko moich nóg, ale żadna mnie nie trafiła.

Nie zatrzymałem się, zmieniłem tylko kierunek ruchu i po żelaznej drabince wspiąłem się do góry, aż do stropu, pod którym mógł się schować blok mieszkalny z prefabrykatów. Z góry uzyskałem dobry przegląd sytuacji. Rurociągi i przymocowane do nich pozornie chaotycznie wielkie zbiorniki okręzały betonowy środek sali. W stropie było mnóstwo otworów prowadzących do dobrze oświetlonej hali ponad nami. Była chyba jeszcze większa niż ta, w której się znajdowałem. Sprawiała wrażenie katedry wzniesionej dla jakiegoś technicznego boga.

Zeskoczyłem na dół, zanim zdążyli mnie wypatrzeć.

Dla złagodzenia upadku użyłem glyhena na kładce dziesięć metrów pode mną. Wypuścił broń z ręki i leżał nieruchomo. Do pasa miał przytroczone trzy granaty. Miecze to miecze, ale granaty również poważam. Odbezpieczałem jeden po drugim i rzucałem tam, gdzie skrywała się reszta glyhenów. Odłamki świszczały w powietrzu, a ja pędziłem za nimi.

Cięcie od biodra do ramienia, pchnięcie w szyję, unik przed gotującym się do ataku porucznikiem, cięcie w krocze i miłosierne pchnięcie w szyję.

Zatrzymałem się na widok wyłaniającego się z płataniny rur gestapowca z pyskiem jak z plakatu werbunkowego i pistoletem w ręce. Skoczyłem na niego, nie spuszczać oczu z broni. Dotykałem podłogi tylko jedną podeszwą. Wycelował, na moment przed naciśnięciem spustu odskoczyłem na metr w bok, przy następnym tak samo. Trafił mnie w ramię, ale wtedy

już przy nim byłem i pchnięciem z natychmiastowym poderwaniem ostrza do góry rozplątałem mu pierś. Przez chwilę boleśnie łapałem oddech, ale po pierwszym ataku ból nie był już tak groźny.

– Skończmy to, skurwysynu – warknął po niemiecku następny gestapowiec.

Ten wyciągnął wnioski z losu, jaki spotkał jego poprzednika, i postanowił nie polegać na broni palnej.

W ręce trzymał elegancką szablę.

Dlaczego nie? Ruszył na mnie, w jego lewej ręce pojawił się sztylet.

Puściłem miecz, podniosłem leżący na podłodze pistolet, strzeliłem trzykrotnie, wypuściłem broń z ręki, złapałem miecz powoli padający na podłogę i odbiłem się do piruetu. Pociski nie powstrzymały glyhena, raczej go rozjuszyły. Z wytrzeszczonymi oczami przeleciał obok mnie z szybkością pociągu ekspresowego, szabla musnęła mi pierś. Ten wyraz pozostał mu już na zawsze, ściałem go wprost z obrotu i użyłem rotacji do odbicia się od filara oraz błyskawicznego przemieszczenia pod ogromny zbiornik znajdujący się w pobliżu. Pociski zadzwoniły po stalowej podłodze tuż za mną, odgadłem, że strzela ich co najmniej pięciu.

Dogodne dla mnie było, że dowiedziałem się w ten sposób, gdzie się ukrywali.

W końcu wpadłem na pomysł, żeby zgasić światło, co wspaniale uprościłoby sprawę. Z zabawy w berka zrobiłaby się zabawa w chowanego, a w tej grze jestem naprawdę dobry.

Ostatni.

Odetchnąłem z ulgą, ale zadowolenie z dobrze wykonanej pracy popsuł mi odgłos lądującego śmigłowca. Nie jestem znawcą w tej materii, lecz odgłos wskazywał na bardzo duży śmigłowiec.

Spojrzałem w dół, glyhen, któremu przed chwilą odciąłem górną połowę głowy, miał przy sobie pancerfausta. Nadal ścisnął go w rękach. Schowałem miecze do pochew, podniosłem starą, ale wciąż sprawną broń i wyszedłem przed budynek.

Helikopter stał już na ziemi i był jeszcze większy, niż sobie wyobrażałem. Lecz zabawa toczyła się w Rosji, a tu wszystko było ogromne.

Silniki ucichły, jednak wirniki nadal się obracały, już tylko siłą bezwładności, ich świst stawał się coraz słabszy. W obłym kadłubie pojawił się ciemny otwór, z którego zaczęli wyskakiwać mężczyźni w ciemnych kombinezonach, z bronią w rękach. Sądząc po sposobie poruszania się, były to wampiry. Młode wampiry.

Oparłem pancerfausta na ramieniu, lecz naraz coś mi przyszło do głowy i złapałem za telefon.

– Schnitzel? Jeśli siedzi pan w helikopterze, to ma pan trzy sekundy na ucieczkę. Inaczej zamieni się pan w skwarę.

Dwadzieścia dwa, trzydzieści dwa, czterdzieści dwa.

Trzy sekundy. Około.

Z ciemnego otworu wyskoczyła niezgrabna postać i przedarła się przez krąg niczego nierozumiejących wampirów. Szybko zniknęła w ciemności.

Schowałem telefon do kieszeni, sprawdziłem, czy mam za sobą dość miejsca na płomień wylotowy broni, odwróciłem się w kierunku śmigłowca, oceniłem odległość, ustawiłem celownik, wykorzystując dawne doświadczenie, i nacisnąłem prosty blaszany spust. Bardziej przez przypadek niż skutkiem moich umiejętności trafiłem prosto w otwarte drzwi desantowe. W ciągu jednej dziesiątej sekundy maszyna zamieniła się w kulę ognia, a ja puściłem się biegiem, żeby dobić tych, którzy przeżyli.

Ale to okazało się zbędne, eksplozja i płonące paliwo lotnicze wykonały za mnie całą robotę.

Odnalazłem Schnitzela, czarnego od sadzy, skurzonego obok betonowego fundamentu zdmuchniętej przez eksplozję rudery.

– Spokojnie! – huknąłem na niego, kiedy spanikowany usiłował mnie odepchnąć. – Nie zabiję pana!

– Ostrzegałem przecież! Ostrzegałem, nie powinno tu pana być! – zaklinał się.

– A co pan tu robi? – zapytałem, popychając go z powrotem ku budynkowi, w którym uporałem się z glyhenami. Rosja jest wprawdzie wielka, ale zniszczenie śmigłowca mogłoby się komuś nie spodobać, a to znaczyło, że nie miałem zbyt dużo czasu.

– Ochrona meldowała, że napastnik miał nadzwyczajne zdolności, i Tizoc wysłał mnie wraz z oddziałem, żeby sprawdził, co to za jeden – wyjaśniał Schnitzel, idąc obok mnie.

Za pomocą skalpela i piły chirurgicznej, co do tego nie miałem wątpliwości. Ale nic nie powiedziałem.

Moc starych wampirów ograniczona jest tym, że nie ufają nikomu ze swego gatunku i dlatego często powierzają sprawy rękom słabych, ludzkich sług.

– Idziemy popatrzeć na pamięć Tizoca. Chyba wymyśli pan, gdzie powinniśmy jej szukać? – oznajmiłem.

Nie przejawiał większego entuzjazmu, ale też nie protestował. Wróciłem do ogromnego pomieszczenia pełnego rur, w którym rozprawiłem się z glyhenami. Zapaliłem światło i nareszcie mogłem spokojnie się rozejrzeć. Pamięć mogła być ukryta w którymś ze stalowych zbiorników ciśnieniowych. Ale żaden z nich niczym się nie wyróżniał w

porównaniu z innymi, więc wydało mi się to mało prawdopodobne. Pewności jednak nie było, jeden miał wysokość czteropiętrowego domu. Była do niego przyczepiona wielka tablica z napisem: IYPIOBOI. Nie miałem pojęcia, co to mogło oznaczać. Przeszliśmy przez gąszcz korytarzy z pancernymi drzwiami, na szczęście pootwieranymi, i wyszliśmy na schody wiodące w górę. Przypuszczałem, że zaprowadzą nas do olbrzymiej hali nad nami. Jeśli nie znajdę w niej niczego interesującego, to przynajmniej przez otwory w podłodze będę miał stamtąd dobry widok na halę z rurociągami.

Górna hala była jeszcze większa, niż sobie wyobrażałem, zarówno w pionie, jak i w poziomie. Stalowa podłoga pomalowana różnymi kolorami błyszczała w świetle sporadycznie rozmieszczonych reflektorów. Po dokładnym przyjrzeniu się zauważyłem dwa wzniesienia podłogi, jakby dwie wyspy na szarej powierzchni. Wysoko nad nimi sterczało ramię ruchomego dźwigu, wytarty napis cyrylicą głosił: „Nośność 2.50 ton”.

– Hala reaktora – powiedział Schnittzel nerwowo.

Podszedłem do bliższego podwyższenia, w ogromnej przestrzeni moje kroki rozlegały się nieprzyjemnie głośno. Co będzie, jeśli się pomyliłem, jeśli pozostawiłem kogoś przy życiu albo jeśli gdzieś w zasadzce siedzi przyczajony jeszcze jeden oddział?

Wejście na schody zagradzał zardzewiały łańcuszek, na którym wisiała tabliczka z piktogramem oznaczającym promieniowanie. Odpiąłem łańcuszek i zawiesiłem z boku. Schnittzel aż zsiniał na ten widok.

– Nie powinniśmy się tu zatrzymywać, a już szczególnie wchodzić na górę. Tu może występować szczątkowe promieniowanie.

– Już pan testował wampiry na odporność przeciw promieniowaniu? – zapytałem i wszedłem na pierwszy schodek.

– Nie, jeszcze nie – szepnął – ale większa dawka będzie śmiertelna również dla pana. Promieniowania nie widać ani nie słyhać – starał się mnie powstrzymać.

Wzruszyłem ramionami.

– Im szybciej się temu przyjrzymy, tym lepiej dla nas.

Nieco dalej, na podstawie drugiego dźwigu, wisiało coś, co przypominało pokrywę gigantycznego garnka, tak wielkiego, że spokojnie zmieściłby się w nim autobus. Opancerzonego garnka. Wydawało mi się, że ta pokrywa świetnie pasuje do górnej części podwyższenia, ku której się właśnie wspinaliśmy po niedawno pomalowanych schodach.

– Dalej nie pójde, nie mam nawet dozymetru – biadolił Schnittzel.

– Ten reaktor jest otwarty!

Musiałem go popychać przed sobą.

Całe szczęście, że reaktor był otwarty, sam bym tej pokrywy nie podniósł.

W końcu weszliśmy na górę, na zaskakująco rozległą galeryjkę wokół ciemnego otworu o średnicy około pięciu metrów. Nachyliłem się nad stalowym walcem, ale niczego nie zobaczyłem, panowała w nim kompletna ciemność. Z wnętrza wydostawał się za to jakiś odór, nieprzypominający niczego, co znałem.

Na balustradzie znajdowało się kilka reflektorów halogenowych skierowanych do góry. Oderwałem jeden z nich, zwracając uwagę, żeby nie uszkodzić kabla. Po chwili znalazłem również włącznik.

Skierowałem reflektor w dół, snop światła odbił się od opalizującej, jakby nie wiadomo dlaczego pofalowanej powierzchni. Po chwili zrozumiałem, że to, na co patrzę, nie jest wodą, tylko bardzo mocno stężałą galaretą. Nadal nie rozumiałem, co widzę. Dopiero po upływie kilku minut mózg połączył obraz z rzeczywistością, pojąłem, że to były ludzkie ciała. Nie zdołałem ich policzyć. Może było ich dziesięć, może dwadzieścia? A może i więcej.

– To ma być pamięć Tizoca? – zapytałem sam siebie z niedowierzaniem. – Albo jakaś idiotyczna spizarnia?

Za żadne skarby świata nie napiłbym się z ludzi wsadzonych do tej obrzydliwej marynaty.

– Jako spizarnia służy mu Medyczne Towarzystwo Współpracy Europejskiej – odpowiedział bez namysłu Schnitzel. – Prowadzi handel krwią, więc dysponuje najlepszymi metodami przechowywania i najdogodniejszymi powierzchniami magazynowymi.

A więc to nie spizarnia.

Z daleka dobiegło ostre, metaliczne stuknięcie, obaj znieruchomieliśmy. Nienaturalna galareta nadal nieprzyjemnie połyskiwała, nic więcej się nie działo.

Odgłos wywołany został jedynie przez naturalne, spowodowane zmianami temperatury ruchy stalowej konstrukcji.

Chyba.

Sięgnąłem po telefon, przy czym odwróciłem się i pochwa miecza stuknęła w balustradę. Schnitzel podskoczył nerwowo.

– Nie wpadnij tam – poradziłem mu.

Na wyświetlaczu nadal widniała jedna kreska określająca poziom baterii.

Wybrałem numer Carlosa.

– To nierozsądne telefonować do mnie tutaj. Mogą mnie podsłuchiwać.

– Prześlę panu kilka fotografii. Prosto na ten pana telefon. Może być?

– Pewnie – przytaknął.

– Nie musi pan nawet zawieszać połączenia, pokażę panu, jak to zrobić – zaproponował Schnitzel. – Może pan również posłać wideo.

Każdy umiał obchodzić się z elektroniką lepiej ode mnie, czyli od starego wampira. Muszę coś zrobić w tej sprawie.

Wziąłem od Schnitzela zaprogramowany telefon i zacząłem nagrywać nasze znalezisko. On tymczasem świecił w głąb walca.

Przez dziesięć sekund panowała cisza.

– To moja pamięć – rozległ się naraz częściowo zduszony okrzyk.

– Już sobie przypomniałem! Zabrał mi ją, przywłaszczył sobie moją pamięć!

Carlos zaczął naraz pleść piąte przez dziesiąte, mieszał języki, niektóre z nich prawdopodobnie były już od wieków zapomniane.

– W jaki sposób stworzył pan tę małą podręczną bibliotekę? – zapytałem sarkastycznie.

Głościczek zamilkł.

Już myślałem, że nie odpowie, ale w końcu się odezwał:

– Znalazłem ją. W grobowcu śpiącej wampirzycy – powiedział. – W nieprzystępnym pralesie, dziś to miejsce znajduje się w Gwatemali.

W głosie Carlosa pojawiła się nuta wspomnień, jakby wracał do pradawnej przeszłości.

– Głęboko pod ziemią, w jaskini przekształconej w podziemną salę, zamkniętej i zasypanej z zewnątrz. Razem z królową wampirów znajdowało się tam mnóstwo martwych ludzi, którzy wybudowali to miejsce wiecznego spoczynku.

– Śpiącej? Jak to? – właśnie sobie uświadomiłem, co Carlos powiedział.

– Dałbym wszystko, żeby odzyskać swoją pamięć! – nieobecny głosem mówił ze słuchawki.

– Czy ta stara wampirzyca też miała ze sobą reaktor? – przyszło mi do głowy.

Wyrwało go to ze wspomnień. Prawie słyszałem, jak intensywnie myśli.

– Nie, tam były kotły. Mnóstwo wielkich miedzianych kotłów.

Schnitzel słyszał jego odpowiedź.

Ze zgrozą, ale połączoną z podziwem i jakby respektem popatrzył znów do dołu.

– Może w ten sposób powstały wyobrażenia o piekle, o grzesznikach gotujących się w kotłach przez całe wieki.

Mnie też wydało się to dość przerażające.

– Jak się tej pamięci używa? – wróciłem do spraw praktycznych.

– To pamięć wampira, zastanów się, chłopie!

– Słucham? – odpowiedziałem chłodno.

– Przepraszam – szybko się opamiętał. – Może moglibyśmy później dogadać się co do tymczasowego wspólnego użytkowania? – zmienił ton.

– Przypuszczam, że się dogadamy. – Nie wyklócałem się, bo właściwie było mi wszystko jedno.

Musiałem uporać się ze swoim problemem, a nie zajmować się grą o wysoką stawkę prowadzoną przez stare wampiry.

– Dziękuję za informację. Już pan wie, gdzie się znajduje pamięć. Spotkamy się później – zakończyłem rozmowę.

Teraz musiałem dostać się blisko powierzchni. Rozejrzałem się. O ile Tizoc używał swojej pamięci, to musiał być do tego przygotowany. Po krótkim poszukiwaniu znalazłem nowoczesną drabinkę sznurową oraz miejsce, w którym łatwo można było ją przywiązać.

– Potrzebuję trochę pańskiej krwi – zwróciłem się do Schnitzela.

– Nie! – Zbladł gwałtownie i próbował uciekać.

Złapałem go, zanim zdążył skrócić kark, spadając z wysokości.

– Trochę krwi, decylitr, może pół litra – uspokajałem go, ale to zbyt nie pomogło.

Wyjąłem miecz i ciąłem go w przedramię. Schnitzel skamieniał ze zgrozy i razem ze mną obserwował rubinowe krople wpadające w głąb reaktora. Ciekaw byłem, ile krwi będzie potrzebne. Wystarczyło jej w rzeczywistości tylko kilka mililitrów. Natychmiast po kontakcie z krwią gęsta galareta zaczęła stawać się ciekłą.

– Niech pan zejdzie na dół i poczeka na mnie – nakazałem Schnitzelowi.

Mogło mu przecież coś odbić i przeciąłby sznury drabinki, a wtedy nie miałbym się jak wydostać. Kiwnął głową z ulgą, że nie zamierzam go zabić, pomieszaną ze strachem przed zejściem na dół.

Poczekalem, aż zlezie o kilka szczebli, i podążyłem za nim.

Z bliska zapach był o wiele intensywniejszy, w jakimś sensie zwierzęcy, aż się od niego wywracało w żołądku. Ale równocześnie kryło się w nim coś przyciągającego, jakaś esencja życia. Schnitzel zszedł z drabinki i stanął na stalowej płycie przyspawanej do ściany reaktora. Błyszczała wilgocią, znajdowała się praktycznie na równi z powierzchnią galarety, która szybko przechodziła w ciecz. Wydawało się, że powoli, leniwie się porusza. Ostrożnie

stanąłem obok Schnitzela. Odezwało się lepkie mlaśnięcie, które jeszcze przez chwilę rezonowało pomiędzy walcowymi ścianami reaktora.

– Niedobrze mi, zaraz zemdleję – oznajmił naukowiec.

Twarz miał bladą, na czole perlił mu się pot, a na szyi pulsowała tętnica. Wyglądało na to, że opary z tej szczególnej galarety są szkodliwe dla ludzi.

Nie miałem ochoty wynosić go na plecach.

Wskazałem na drabinkę. Jeśli chciałby się mnie pozbyć, będzie miał po temu idealną okazję.

Ale teraz nie zamierzałem opuścić tego miejsca za żadną cenę. Byłem wprost zafascynowany, nie mogłem się doczekać, kiedy dowiem się więcej.

Zostałem sam, ukucnąłem i obserwowałem ludzi zanurzonych w cieczy. To nie ciecz się poruszała, tylko oni. Czasem drgnęli, poruszyli ręką czy nogą, czasem wyginali się w krzyżu, jakby ich dręczyły złe sny. Zmory nocne. Jeśli tworzyli pamięć Tizoca, a właściwie jeszcze dodatkowo Carlosa i kogoś dalszego, nie dziwota, że męczyły ich zmory. Piekło w tak czystej postaci, jakiej nikt nigdy sobie nie wyobrażał.

Ale ja byłem wampirem, a oni tylko ludźmi, mogło mnie nie obchodzić, co tam sobie czuli. To ludzie, tak, ale jakoś nie byłem tego faktu zupełnie pewny, nie wiedziałem dlaczego. Pomimo że należałem do rodu wampirów, to miejsce fascynowało mnie i równocześnie napawało strachem.

Skupiłem uwagę na jednym z zanurzonych w cieczy.

Wszyscy byli nadzy, mężczyźni i kobiety w różnym wieku i różnej kondycji fizycznej, nie sprawiali wrażenia, jakby przebywanie w dziwnej galarecie szczególnie im nie służyło. Na twarzy pewnego młodego mężczyzny zauważyłem blizny, jakie kiedyś z upodobaniem robili sobie wzajemnie niemieccy studenci w klubach szermierczych. Tuż obok niego dostrzegłem długowłosą blondynę z dużymi, pełnymi piersiami. Na ramieniu miała wytatuowaną lilię. Znak był mi kiedyś znany, ale już zapomniałem, co oznaczał. Kolejny człowiek był ogromnym, muskularnym mulatem z blizną ciągnącą się przez pierś.

Pod ścianą znajdował się drobny Indianin, którego kruczoczarne włosy błyszcząły metalicznie w świetle reflektora. Indian było tam więcej, często ozdobionych rytualnymi bliznami. Pochyliłem głowę ku samej powierzchni, chcąc zanurzyć w zbiorniku twarz. Prawie uległem tej zachciance. Rozchodzący się ze zbiornika zapach musiał mieć doprawdy hipnotyczny wpływ i działał również na mnie. Ale kiedy uświadomiłem sobie, na czym polega niebezpieczeństwo, łatwiej było mu się przeciwstawić.

Przepatrywałem czystą teraz ciecz, ludzie unosili się w niej warstwami, wyglądało na to, że najstarsi są najgłębiej. Jednak nadal spali, a ja nie wiedziałem, jak ich obudzić. Jeszcze więcej krwi? Nie wydawało mi się to prawdopodobne.

– Hej, obudź się który! – huknąłem.

Miałem uczucie, że powieki najbliższych poruszyły się na dźwięk mojego głosu, ale to było wszystko. Spróbowałem jeszcze raz i znowu nic. Musiał w tym być jakiś fortel, prosty podstęp. Pamięć powinna być dla właściciela dostępna bez większych trudnień. Do otwierania książki i czytania żaden klucz nie jest potrzebny.

Mężczyzna o przeciętnej, okrągłej twarzy, ze zwieszonymi ramionami obracał się powoli, ukazując przy tym numer wytatuowany na przedramieniu. Takie mieli członkowie Gestapo albo SS, przypomniałem sobie niejasno.

– *Steh auf, du Mistkerl. Ich habe ein paar Fragen!*⁹ – szczeptałem po niemiecku.

W pierwszym momencie myślałem, że nic się nie dzieje, ale naraz otworzył oczy, a razem z nim student z bliznami na twarzy. Patrzyli na mnie pustymi, wyczekującymi oczami.

– Jak się nazywasz? – zapytałem gestapowca.

– Konrad Horsten, Obersturmführer ss, strażnicze komando obozu koncentracyjnego Treblinka – odpowiedział bez wahania.

– Jak się tu dostałeś?

Tym razem zawahał się.

– Losowaliśmy. Dostaliśmy propozycję od pewnego mężczyzny. Nazywał się Johan Tizoc von Ditrich. Obiecał, że pomoże nam uciec przed nadciągającymi ruskimi. Mieliśmy wylosować jednego z nas do zadania specjalnego. Wyciągnąłem krótką zapałkę i teraz jestem tu.

Mówił to bez emocji i bez złości, jakby mu było wszystko jedno. I chyba było.

– A ty skąd jesteś? – zapytałem studenta.

Widać było, że źle mnie rozumie.

– Skąd pochodzę? – odpowiedział w dziewiętnastowiecznym języku niemieckim, którego już dawno nie używałem, chociaż rozumiałem, aczkolwiek nie bez trudności.

– Zapytaj go. – Kiwnąłem na Horstena.

Nastąpiła szybka wymiana zdań po niemiecku. Ci dwaj nie mieli najmniejszych problemów z porozumieniem.

⁹ Wstawaj, gnojku! Mam do ciebie kilka pytań! (niem.)

Za chwilę otrzymałem od Horstena odpowiedź na swoje pytanie i zacząłem rozumieć, jak działa pamięć Tizoca. Był to łańcuch utworzony z ogniów, z których każde mogło komunikować się z dwoma sąsiednimi. Genialnie proste i bardzo wygodne dla właściciela.

– Jak daleko sięga ta pamięć? – zapytałem Horstena.

Namyślał się przez chwilę.

– Nie rozumiem, o co pytasz – odpowiedział w końcu.

– Kto z was jest najstarszy? Zapytaj Wilhelma, on zapyta następnego i kiedy okaże się, kto jest najstarszy, niech mi się ukaże.

– Teraz rozumiem.

Przyglądałem się, jak pytanie wędruje poprzez różne języki, przez stulecia, a nawet kontynenty. Później w górnej warstwie nastął spokój, albo zlekceważyli moje pytanie, albo pytania przeniosły się do głębszych warstw.

Czekałem w milczeniu, w zupełnej ciszy, obserwując opalizującą powierzchnię.

Po dłuższym czasie powierzchnia wzburzyła się tak silnie jak nigdy dotąd, zaczęli wpływać ludzie, których w ogóle wcześniej nie było widać, niektórzy mieli ostro spiłowane zęby, innych ozdabiały blizny, zdeformowane małżowiny uszne lub przekłute nosy. Nie domyślałem się, z jakiego okresu pochodzili, ale jedno było oczywiste – byli nieznani współczesnej historii. Ani czarni, ani biali, raczej coś pośredniego, jednak w niczym nie przypominali współczesnych mieszkańców Ziemi.

A potem, jako końcowe ogniwo łańcucha, dłuższego, niż potrafiłem sobie wyobrazić, wynurzył się człowiek o grubo ciosanych rysach twarzy, z wielkim nosem, wydatnym wałem nadczołowym i niezwykle skośnym czołem. Całe jego ciało świadczyło o sile i odporności, od masywnych, węzłowatych palców poprzez długie, muskularne ramiona aż do szerokich pleców i bioder.

Patrzyłem na niego, nie wierząc własnym oczom. Na początku pamięci Tizoca znajdował się nie człowiek, tylko neandertalczyk.

Trudno mi było przyjąć to do wiadomości.

Odpowiedź wędrująca poprzez ogniwa łańcucha dotarła w końcu do Horstena.

– Ja jestem najstarszy. Nazywam się Człowiek. Mój lud władał Ziemią przez całe wieki, zanim pojawiły się słabe, miękkie, dwunogie zwierzęta, mnożące się jak króliki – przetłumaczył.

Poprawiłem nieco swoją pozycję, uważając, żeby czubki butów nie wystawały poza krawędź płyty.

Przed zadaniem następnego pytania zrobiłem krótką przerwę. Musiałem dowiedzieć się mnóstwa rzeczy, a czasu nie było zbyt wiele. Dobrze o tym wiedziałem.

* * *

– Halo! Zbliża się nowe komando! Główny zespół Tizoca! – z zadumy wyrwał mnie krzyk śmiertelnie przerażonego Schnitzela.

Uświadomiłem sobie, że na zewnątrz musi już świtać. Pierwsza warstwa pamięci różniła się teraz znacznie od początkowej, pływający ludzie po każdym moim pytaniu przegrupowywali się celem udzielenia mi odpowiedzi, tak żebym przy tym widział, od kogo ona pochodzi. Najchętniej wypytywałbym dalej, ale Schnitzel zaczął panikować.

– Śpijcie! – poleciłem.

Powierzchnia zafalowała, w miarę jak moje polecenie docierało coraz głębiej, ludzie zamykali oczy i stopniowo się zanurzali.

Może powinienem wrzucić pomiędzy nich wiązkę granatów albo zalać wszystko napalmem i zapalić, ale nie miałem na to czasu, a co więcej, nie chciałem tego robić. Zniszczyć coś takiego?

– Nadlatuje drugi helikopter! – przywitał mnie Schnitzel, podskakując z emocji na osłonie reaktora.

– Na zewnątrz – rozkazałem mu.

Tizoc miał stanowczo za dużo helikopterów. Zastrany Wielki Mistrz.

Na zewnątrz wymierzyłem Schnitzelowi policzek i zanim się uspokoił, przywiązałem go drutem do stalowej konstrukcji i uderzyłem kilka razy, tak żeby zbyt dobrze nie wyglądał. Tak naprawdę nie zrobiłem mu krzywdy, przynajmniej z mojego punktu widzenia.

– Co pan robi? – wrzeszczał, plując krwią z przygryzionego języka.

– A jak pan myślisz, że mam panu pomóc przeżyć? – rzuciłem ze złością przez ramię.
– Złapałem pana, związałem, przesłuchiwałem, stracił pan przytomność i nic nie pamięta. Ale niech pan mówi prawdę, jak pan szczęśliwie uciekł z helikoptera i wszystko inne. W swoim własnym interesie, wycieczkę do reaktora może pan sobie darować. Odezwę się za jakiś czas.

Może tak, może nie, tę myśl zostawiłem dla siebie.

– Dobrze, to ma sens – stęknął z ulgą – a już myślałem, że pan zwariował.

Jak dotąd nie, ale niewiele brakowało. Teraz jednak musiałem zrobić porządek z kolejnym żołdactwem. Raz się udało, może uda się i drugi. W ciągu piętnastu sekund dobiegłem do kwatery dowódcy obrony elektrowni i zabrałem stamtąd kolejnego panczerfausta.

Minutę później kryłem się w trawie w pobliżu bramy wjazdowej. Helikopter zobaczyłem jako małą kropkę na horyzoncie, która w ciągu kilkadziesiąt sekund zmieniała się w garbatą sylwetkę maszyny bojowej. Była całkiem inna niż ta, którą przyleciały poprzednio wampiry. Nie znałem się na śmigłowcach, ale ten latający czołg świadczył o tym, że został stworzony do niszczenia. To znowu mi przypomniało, że w dzisiejszym świecie wampiry mogą być tylko skrytymi nocnymi łowcami.

Błaszana rura na moim ramieniu należała do tych, które w kwietniu 1945 roku zabierałem Niemcom starającym się przebić na Zachód. Można było z niej wystrzelić kilkakrotnie, a przy odrobinie szczęścia nawet na odległość ćwierć kilometra. Nie musiałem trafić w otwarte drzwi jak poprzednio, wystarczyłoby tę bestię porządnie uszkodzić.

Helikopter zwolnił i pilot zmienił kierunek lotu, jakby chciał się rozejrzeć po okolicy. Stale jednak pozostawał poza zasięgiem skutecznego strzału. Nagle kamień tuż obok mnie rozpadł się na kawałeczki, które obsypały mi twarz. Celny strzał z unoszącej się w powietrzu maszyny, z odległości pół kilometra. Odkryli człowieka kryjącego się w trawie. Cholera! Po głowie chodziły mi wszystkie doświadczenia, jakie zebrałem w ciągu długiego życia. Tym razem jednak miałem przeciw sobie nie wampiry ani glyheny, lecz ludzi dysponujących najnowocześniejszą techniką i umiejących się nią posługiwać. Na moje nieszczęście zatrudnionych przez prastarego, krwawego wampira.

Leżałem w trawie wciśnięty w miękką ziemię, tak płasko, jak się tylko dało. Słyszałem kolejne pociski, ale nie zdołałem zobaczyć, gdzie padają.

Helikopter jeszcze na dobre nie dotknął ziemi, a już posypały się z niego niewyraźne sylwetki w kombinezonach maskujących, z bronią w rękach. Walczyłem w różnych wojnach, przeżyłem jeszcze więcej prywatnych konfliktów, w których brało udział kilkadziesiąt lub kilkaset osób. Sądząc po tym, jak napastnicy rozstawiali się w terenie, byli profesjonalistami. A to, w jaki sposób ubezpieczał ich śmigłowiec, świadczyło, że dobrze wiedzieli, na kogo polują. I tak z drapieżnika stałem się zwierzyną łowną. Szale wagi poruszyły się, moja poszła do góry. Jeśli pozwolę im się przygotować – nie mam szans. Wiedzą, kim jestem, czego mogę dokonać, prawdopodobnie zlikwidowali już kilku moich ziomków. Wyglądało na to, że Tizoc nie jest tak skostniały, jak przypuszczałem.

Doskonale pamiętałem, gdzie schowałem motocykl, a w konkurencji czołgania się pobitem wszystkie rekordy świata. Zapewne nie dałby mi rady sam Jesse Owens, albo właściwie Usain Bolt, bo to on był teraz najszybszym sprinterem świata. Ludzkim oczywiście.

Wetknąłem kluczyk do stacyjki i zapuściłem silnik, dobrze, że nie miał nożnego rozrusznika. Motor zapalił, mimo że maszyna leżała na boku. Z tymi gaźnikowymi, starego typu, tak się nie dało, pamiętałem dobrze.

Uniosłem pancerfausta, wystrzeliłem łagodnym łukiem w górę, spopielając trawę za sobą, po pięciu sekundach wystrzeliłem powtórnie. Zanim odrzucona broń zdążyła spaść na trawę, siedziałem już na swoim ciężkim BMW, a przednie koło unosiło się do góry pod wpływem przyspieszenia. Kask, który nałożyłem bardziej celem maskowania niż bezpieczeństwa, sam usadowił się na głowie we właściwym położeniu. Jedyna droga ucieczki wiodła poprzez ich formację. Niestety.

Ile czasu zajmie mi przejechanie czterystu metrów, żeby znaleźć się pomiędzy nimi, kiedy nie będą mogli strzelać, aby nie razić się wzajemnie? O ile w ogóle obejdzie ich, że mogą powystrzelać swoich.

Podskoków na nierównościach, których nie dało się ominąć ze względu na błyskawicznie przyrastającą szybkość, nie potrafiło zamortyzować nawet doskonałe niemieckie zawieszenie. Wkrótce drgawki zmieniły się jednak w równy szum na szosie. Dodałem gazu i ciężki motocykl znów wspiał się na tylnym kole jak narowista kobyła. Strzałka prędkościomierza pobiegła ku górnym wartościom w zawrotnym tempie, wskaźnik obrotów wzrastał i opadał w miarę zmian biegów. Silnik z początku warczał, a potem tylko ryczał jak walcząca o życie bestia. Spostrzegłem wycelowane w moim kierunku dwie lufy, ale żadna nie wystrzeliła. Śmigłowiec poderwał się i zawrócił w powietrzu, zauważyłem działko obrotowe. Potem zniknął z pola widzenia. Gaz do oporu, wzrok wbity przed siebie, więcej nic nie mogłem zrobić.

Krótką serią podziurawiła powierzchnię drogi trochę przede mną, zanim zdążyłem zareagować, przemknąłem przez chmurę pyłu. Zaraz potem nadleciały dwie rakiety, eksplodując po obu stronach drogi. Jechałem tak szybko, że wyrzucone w powietrze kawały gliny i kamienie nie zdołały mnie doścignąć.

Przy tej szybkości droga okazała się nierówna, więc motocykl wymagał przy prowadzeniu tyle samo uwagi co nieposłuszny koń. Rzuciłem okiem na prędkościomierz. Dwieście czterdzieści. Teraz strzałka posuwała się wolniej, w lusterku widziałem, jak śmigłowiec nabiera szybkości. Na razie oddalałem się od niego. Na razie.

Tylko że jechałem na motocyklu i musiałem poruszać się po krętej drodze, a on mógł skracać sobie odległość, lecąc prosto. Nie wiedziałem, jaką rzeczywistą prędkość może rozwinąć.

Blisko za tylnym kołem pojawiła się naraz ściana ognia, na szczęście zdołałem przed nią umknąć. Zrozumiałem, że wystrzelili rakietę i znów chybili. Tym razem o kilka metrów.

Zacząłem pojmować, że nie mam szans. Wprawdzie byli to tylko ludzie, ale mieli do dyspozycji tę cholerną technikę, której nigdy nie opanowałem.

Ja miałem tylko bardzo wyostrzone reakcje, sporą siłę i trzystuletnie doświadczenie. Ale i tak nie przepchnąłbym ciężkiego traktora, a trafienia ze starej, dobrej PTRD-41¹⁰ na pewno bym nie przeżył.

Ścisnąłem motocykl udami, żeby mieć nad nim lepszą kontrolę, i przekręciłem manetkę gazu do oporu.

Amortyzatory jęknęły, przez nierówności rosyjskiej szosy przeleciałem ledwo, ledwo, nawet stuknąłem przeziernikiem kasku w tablicę przyrządów.

Prędkościomierz pokazywał dwieście sześćdziesiąt i strzałka już się nie ruszała. W tym momencie usłyszałem w słuchawkach dźwięk wywołania telefonu. Czy telefonowałem do kogoś, czy może niechcący wybrałem jakiś zakodowany numer? Jaki?

Szybkość była zawrotna, ale sygnał słyszałem wyraźnie. Śmigłowiec widziany w lusterku trzymał się w tej samej odległości.

No, może trochę się zwiększała, nie wiedziałem, czy mam być optymistą, czy raczej pesymistą.

– Mathias, co się dzieje? – usłyszałem głos Derwisza.

Miał w sobie nutę zaskoczenia i jakby przewiny.

Zdradził mnie?

Możliwe, ale nie wydawało się to prawdopodobne.

Zwięźle i dokładnie, na ile mi to umożliwiały okoliczności, opisałem mu sytuację.

– Jaki to helikopter? – zapytał z zainteresowaniem.

Droga nagle niespodziewanie zakręciła, musiałem mocno pochylić motocykl i trzymać go w tej pozycji dłużej, niż było mi to miłe. Moi prześladowcy też dali się zaskoczyć, zareagowali z opóźnieniem i dzięki temu nie odrobili do mnie zbyt wiele dystansu.

Nagła eksplozja. Przysięgłbym, że trafili w beton tuż obok tylnego koła. Samoczynnie wskoczyło mi błyskawiczne widzenie i stwierdziłem, że rakietę minęła mnie o dobre trzydzieści metrów.

Dobre i to.

¹⁰ Rosyjska przeciwczołgowa armata zaprojektowana w 1931 roku przez Diegtiarowa, w 1941 roku do uzbrojenia wprowadzono pocisk z wolframowym rdzeniem. Użyteczna przeciw wozom pancernym i czołgom niemieckim starszej generacji. Jednostrzałowa, łatwa w obsłudze (przyp. autora).

Zacząłem opisywać Derwiszowi olbrzyma widzianego w lusterku.

– Mi 14, no może Mi 35 – prawie krzyknął, kiedy stwierdził, że wie, co mnie goni.

Bez dalszego wypytywania zabrał się za wyczytywanie danych technicznych. Wbiłem wzrok w betonową wstęgę przed sobą, wypatrując nierówności z dostatecznym wyprzedzeniem, żeby udało się je ominąć.

– Szybkość maksymalna trzysta, trzysta dziesięć – z zalewu informacji wydobyłem to, co najważniejsze. – Zasięg taktyczny sto sześćdziesiąt kilometrów.

Ulżyło mi, ucieknę im, mam pełny bak.

– Maksymalny zasięg przy prędkości przelotowej siedemset trzydzieści do dziewięćset trzydzieści kilometrów.

Cholera, co wobec tego oznacza zasięg taktyczny, jeśli mogą na jednym tankowaniu przelecieć prawie tysiąc kilometrów? Jestem załwatwiony, ja na pewno nie ujadę więcej niż trzysta kilometrów.

Derwisz milczał, jakby rozumiał, co to oznacza wobec faktu, że mój motocykl miał zaledwie dwudziestopięciolitrowy zbiornik.

– Jakoś mnie nie dogania, chociaż jadę nie więcej niż dwieście sześćdziesiąt – wycodziłem przez zęby.

Kolejne pół kilometra dało mi do zrozumienia, że dwieście sześćdziesiąt to też za dużo. Pęknięcia betonu razem z nierównościami powierzchni rozchwiały BMW tak, że aż mi trzeszczały kości i sam nie wiedziałem, jakim cudem utrzymałem się na siodełku.

– Nie wiem. Może mają kiepskie paliwo, może zatkane filtry albo silniki tuż przed remontem – snuł przypuszczenia Derwisz. – Albo wylecieli z niepełnymi zbiornikami. Lecąc z maksymalną szybkością, zużywaliby o wiele więcej paliwa, więc może masz szansę.

– Rzuć okiem na mapę, gdzie droga ma dużo zakrętów, bo tam mogą mnie dogonić – poprosiłem.

– Zaraz zobaczę.

Nawet poprzez stłumiony kaskiem świst wiatru usłyszałem odgłos zapalnego papierosa.

– Masz przed sobą siedemset kilometrów praktycznie zupełnie prostej drogi. Na granicy Rosji i Ukrainy szosa zacznie się trochę wić. Tam mogą cię dogonić bez problemów.

Znacznie wcześniej, znacznie wcześniej, pomyślałem, przecież będę musiał zatankować.

Odniosłem wrażenie, że helikopter bardziej pochylił nos i zaczyna mnie doganiać. Skuliłem się, chowając za wiatrochronem, wcisnąłem jak najgłębiej. Wskazówka

szybkościomierza poszła do góry o pięć, siedem kilometrów na godzinę, obrotomierz doszedł do krawędzi czerwonego pola.

Pięć długich minut wypełnionych świstem wiatru, rykiem silnika i wibracjami przenikającymi do szpiku kości. Całkowicie koncentrowałem uwagę na drodze. Najechanie na kamień albo zabitego zająca oznaczało wyrzucenie jak z katapulty i koniec w postaci krwawego ochłapu mięsa. Oszczędziłoby to amunicji gościom z helikoptera.

Taka koncentracja nie uchodzi na sucho, zacząłem odczuwać zmęczenie. Nie odpuszczałem jednak, bo w każdej sekundzie przejeżdżałem siedemdziesiąt cztery metry. Kiedy z naprzeciwka pojawiło się jakieś auto, w ciągu pięciu uderzeń serca zmieniło się w rozmazaną plamę i zniknęło z pola widzenia. Kolejne auto, tym razem jadące w tym samym kierunku co ja. Nieznacznym ruchem kierownicy i balansem ciałem skierowałem ciężki motocykl na podwójną linię oddzielającą pasy ruchu. Kierowca dostrzegł mnie w ostatniej chwili i usiłował się usunąć. Minałem go o kilkadziesiąt centymetrów. Ciśnienie powstałe przy tak ciasnej mijance o mały włos zdmuchnęłoby mnie z siodełka. Jakby nie było tego dość, po obu stronach drogi poleciały w górę kawały gliny i betonu, kiedy pociski wielkokalibrowego karabinu maszynowego dziurawiły jezdnię. Nie mogłem zrobić nic innego, tylko trzymać gaz odkręcony do oporu. Oprócz kilku brzęknięć blach nie zauważyłem żadnych efektów strzelaniny. Horyzont był teraz wyżej niż przed chwilą, zrozumiałem, że jadę pod górę. Dobra okazja, żeby znów spróbowali mnie trafić.

Nie zmarnowali jej. Niedaleko przede mną wybuch rozerwał beton dokładnie pośrodku pasa. Hamulce do oporu. Poczułem, jak elektronika kompensuje brak równowagi spowodowany siłą bezwładności. Teraz wychylić się na bok, w momencie najostrzejszego zakrętu dodać gazu, żeby amortyzatory nie odbiły i przednie koło nie podskoczyło, tracąc kontakt z jezdnią. Widziałem stalową raketę wbijającą się w beton o szerokość dłoni od przedniego koła, które straciło jednak kontakt z nawierzchnią i unosiło się. Na moment ująłem gaz i znowu jechałem na obu kołach.

Kolejna rakietka minęła mnie tak blisko, że prawie poczułem żar gazów tryskających z jej napędu. A potem jeszcze jedna. Teraz nie celowali we mnie, ale nieco przede mną, wrywając w betonie dziury, w które powinienem wpaść. Znowu pełny gaz, forsowany silnik zaryczał, pokonywałem ostatnie setki metrów dzielące mnie od przeszkody. Zgarbiłem się, ścisnąłem mocno kierownicę, stanąłem na podnózkach, uginając ręce i nogi jak skaczący pająk, który szykuje się do ataku na zdobycz.

Musiałem unieść z ziemi ten ciężki motor, mając do dyspozycji gaz i własne osiemdziesiąt kilogramów masy. Ujmowałem stopniowo gazu, ostatnie metry pokonywałem

coraz wolniej, wreszcie wlokłem się jak ślimak. Gwałtowny wyprost kolan, odbicie tak silne, że obawiałem się, czy nie urwę podnóżków. Motocykl opadł w dół, a ja na odwrót, wznosiłem się do góry. Ręce i nogi napięły się, a w chwili, kiedy były już wyprostowane na całą długość, ścisnąłem z całej siły motocykl nogami. Kierownica naddała się nieco, ale wytrzymała, kości nóg trzeszczały z wysiłku. Znowu dałem pełny gaz, pod przednim kołem mignęła krawędź rozbitego betonu.

Bezwładność ruchu pionowego mojego ciała razem z reakcją amortyzatorów spowodowały, że ciężka maszyna nie spadła, ale przez chwilę wznosiła się w górę.

Lecieliśmy w powietrzu, ja i motocykl, złączeni ze sobą, lekko przechylając się w lewo. Zbliżał się przeciwległy koniec dziury, teraz już opadaliśmy. Nic nie można było z tym zrobić. Kości zostały rzucone.

Lądowanie.

W ułamku sekundy świat znowu przyspieszył. Przez około dwieście metrów opanowywałem podskakujący motocykl, ale udało się i ruszyłem dalej.

– Jesteś tam? – usłyszałem Derwisza.

Mówił do mnie już od jakiegoś czasu.

– No, jak na razie tak. Właśnie zagrałem jak Bivoj.

– Jak Bivoj? – nie zrozumiał.

– No jak ten koleś, który wskoczył z koniem do Wełtawy.

– Jak Horymir?

– Na jedno wychodzi.

Utrzymywałem teraz szybkość około dwustu, więcej nie było potrzeby. Chłopaki z helikoptera po ostatnim niepowodzeniu zniknęli z horyzontu, ale nie przypuszczałem, żeby odpuścili na dobre. Raczej musieli zatankować i znów puścić się za mną w pogoń.

– Jak daleko do stacji benzynowej?

– Sto kilometrów. To Shell.

– Dasz radę załatwić mi natychmiastowe tankowanie?

– Jak? Co im mam za to obiecać?

– Nie wiem. Dasz radę?

– Tak.

* * *

No i dał radę. Trzy kilometry przed stacją benzynową oczekiwał na mnie wóz z błyskającym kogutem, pas dojazdowy był opróżniony, tak jak i lewa pompa. Nalali mi do

pełna, klepnęli w plecy przy aplauzie dziesiątków oczekujących w kolejce i pogałem dalej. Ale i ta krótka zwłoka wystarczyła, żeby znów pojawiła się czarna kropka na niebie.

– Co im powiedziałeś? – zapytałem, dając znowu pełny gaz.

– Że ścigasz się z bojowym helikopterem, kto będzie pierwszy na granicy. Że to taki pojedynek zorganizowany przez Red Bulla, nagrywany przez satelity Google. Wieczorem będą mogli obejrzyć to sobie w telewizji.

To naprawdę było dobre.

Dalej już nie rozmawiałem, bo ruch na drodze zgęstniał i wyprzedzanie aut jadących setką nie należało do łatwych. A tych z przeciwka nawet nie liczyłem.

Nagle znowu zapaliła się lampka rezerwy paliwa.

– Tankowanie przygotowane – meldował Derwisz. – Do stacji pięćdziesiąt kilometrów.

– Skąd wiedziałeś, że muszę tankować?

Dwa wyprzedzające się auta wyminąłem środkiem. Wydało mi się to najbezpieczniejsze.

– Wiem, jaki masz motor, wiem, jak szybko jedziesz, i połączyłem się z jakimiś Ruskami, którzy za pomocą kamer obserwują w Internecie twoich prześladowców. Policja, jak sądzę, nic o nich do tej pory nie wie. Na YouTube mamy już niezłą oglądalność.

Mamy? Przecież tylko ja nadstawiam karku!

Drugie tankowanie przebiegło równie gładko jak pierwsze, tylko ludzi było więcej. Przygrywała muzyka rockowa, a wielu z nich nagrywało mnie kamerami wideo. Wszystko trwało nie więcej niż trzydzieści sekund, a pomimo to śmigłowiec wyraźnie się przybliżył. Wiedziałem, że do rosyjskiej granicy nie jest już daleko, a za nią będą mnie mieli jak na dłoni.

Kiedy szybkościomierz wskazywał około dwustu sześćdziesięciu, wywołałem Derwisza.

– Czy za granicą są jakieś lasy?

– Nie – odpowiedział po chwili.

– A coś innego, gdzie mógłbym się schować?

– Tam jest tylko step.

Podczas rozmowy zauważyłem, że nie zwracam już takiej bacznej uwagi na drogę, a mimo to jadę tak samo dobrze, a może nawet lepiej niż poprzednio. Przyzwyczailem się, kalkulowałem z centymetrową dokładnością, a moja zdolność spostrzegania i reagowania zwiększyła się stosownie do potrzeb. Chociaż nie było to całkowite *Visio in Extremis*.

Dwieście kilometrów minęło jak z bicza trząśł, spostrzegłem kilka samochodów policyjnych, jeden z nich starał się mnie gonić. Nie miałem pojęcia, jak długo mogło ich to bawić. Ruch gęstniał, trzymałem się podwójnej linii rozgraniczającej pasy ruchu. Kiedy minąłem miasto znajdujące się o kilka kilometrów w bok od drogi, miałem praktycznie całą szosę dla siebie.

– Lokalna stacja benzynowa dziesięć kilometrów przed tobą, z niej do granicy jeszcze dwadzieścia kilometrów – oznajmił Derwisz.

Przyszło mi do głowy, że straciłem dobrą okazję, żeby uciec przed śmiercią. Minąłem to miasto, a przecież mógłbym się w nim ukryć. Niestety, nie pomyślałem o tym, zajęty prowadzeniem motocykla.

– No i dobrze, będę improwizował.

Lokalna stacja benzynowa oznaczała budynek z prefabrykatów obłożony ścianką z blachy falistej i dwie sfatygowane pompy. Na jednej był napis „benzyna” a na drugiej „paliwo do diesli”. Oprócz poobtłukiwanego jeepa stał tam zakurzony motocykl o kształcie tak futurystycznym, że wyglądał jak rekwizyt teatralny.

Z rudery wyszedł jakiś chłopina, duże ręce wytarł o skórzane spodnie i podszedł do motocykla. Rzucił na mnie badawcze spojrzenie. Ludzie to zwierzęta stadne: piwosz przyjaźni się z piwoszem, futbolista z futbolistą, a motocyklista z motocyklistą. Ten jednak się nie przyjaźnił. Wlałem benzynę do zbiornika, wystarczyła chwila i był pełny.

– Szybka maszyna? – zapytałem łamanym rosyjskim.

– No, najszybsza. Hyabusa.

Nigdy o takiej nie słyszałem.

– Ten twój motocykl jest dość paskudnie pomalowany – stwierdził. – Sześciocylindrowe BMW?

– No – przytaknałem.

Czas uciekał, ale czułem, że nie powinienem się śpieszyć. Ten gość był szczególny. Nie mógł mieć więcej niż trzydzieści, trzydzieści pięć lat, a oczy starego człowieka.

On też musiał już słyszeć huk silników helikoptera bojowego.

– Ta kraina nie służy niemieckiej technice – powiedział.

– Nie mam zamiaru zostawać tu zbyt długo, właśnie wracam do siebie.

Podszedł do swojego motocykla, wyglądało na to, że szuka czegoś pod siodełkiem.

Może broni? Dlaczego właściwie miałby szukać broni?

– Coś ty za jeden? – Odwrócił się do mnie.

W lewej ręce trzymał kask i zakrywał nim dłoń prawej.

– Uciekam – oświadczyłem, ulegając pokusie, i odwróciłem się, żeby sprawdzić, jak daleko są moi prześladowcy. Czy może jak blisko?

Już można było rozróżnić wąski kontur maszyny bojowej, najeżonej lufami broni i antenami systemów radarowych.

Moja odpowiedź wyraźnie go nie zadowoliła.

– Jestem wampirem – uzupełniłem.

Większość ludzi zaczynała się w tym momencie śmiać albo mniej lub bardziej ostentacyjnie pukać się w czoło.

– Wiem – odpowiedział ten dziwak. – Poznaję was. Kilku już zabiłem. W Afganistanie, w Birmie. Zjeżdżacie się tam, gdzie leje się krew. Gdzie panuje chaos i można zabijać, bo nikt o nic nie pyta.

– To możliwe. Wszędzie można spotkać wampiry tego typu. A te młode są przekonane, że bez zabijania nie da się żyć.

Stał blisko, może bym zdążył, nawet jeśli był przygotowany. Nawet bez błyskawicznego widzenia, które ostatnio żyło własnym życiem i pojawiało się według własnego uznania, niezależnie od mojej sytuacji.

– Nie zdążysz. – Pokręcił głową. – Ten pistolet – pokazał mi – ma spust martwego człowieka. Bardzo czuły spust. Wystarczy, że nacisk drgnie, a on wystrzeli. A nie jest naładowany zwyczajnymi pociskami, możesz mi wierzyć.

Wzruszyłem ramionami. Sytuacja nie była korzystna, ale będę musiał zaryzykować. Zawsze znajdują się ludzie, którzy wierzą w wampiry, boją się ich i starają się zabijać.

Pomysłowi, szybcy, sprytni ludzie. Dzięki takim ludziom życie jest bardziej interesujące.

– Kto cię goni? – zapytał. – Wampiry?

Już wiedziałem, jak to zrobić. Byłaby to szansa jeden na jeden.

– Nie, ludzie pracujący dla jednego z nas. Bardzo starego i mocnego. – Skrzywiłem się.

W momencie, kiedy chciałem na niego skoczyć, opuścił rękę.

– Weź moją maszynę – zaproponował – jedzie trzysta, a jeśli naciśniesz ten czerwony guzik, to jeszcze więcej. Wyłączy elektroniczną blokadę prędkości, którą zamontowały strachliwe żółtki.

Nie wahałem się ani chwili, złapałem kluczyki, które mi rzucił, dałem mu swoje i zasiadłem, a właściwie wcisnąłem się na siodło umieszczone w aerodynamicznie ukształtowanej obudowie.

– Jeśli zobaczą tu ten motocykl, to zrównają stację z ziemią – ostrzegłem go.

– Jasne – przytaknął spokojnie.

Helikopter wchodził już w zasięg skutecznego ostrzału.

– Wańka! Otwieraj schron i włącz! – ryknął i wbiegł do rudery. – Zabierz jakąś wódkę!

Jego głos zagłuszyło hurkotanie silnika hyabusa, bo tak się nazywał ten dziwny motocykl. Dodałem gazu i wystrzeliłem ze stacji. Obroty przyrastały dwa razy szybciej niż w BMW, więc w chwili, kiedy dopiero wrzucałem piąty bieg, miałem już na szybkościomierzu poprzednią prędkość maksymalną.

Poprzez wycie silnika słyszałem tylko niewyraźny odgłos wystrzałów i huk eksplozji. W lusterku zobaczyłem olbrzymią kulę ognia i pióropusz ciemnego dymu. Ze stacji nie zostało nic i jakiś czas upłynie, zanim pogorzelsko wypali się i ostygnie. Miałem nadzieję, że chłopaki zabrali dosyć wódki.

Ten motocykl był zupełnie inną maszyną niż BMW. Dziki, z silnikiem błyskawicznie wchodzącym na wysokie obroty i podwoziem tak twardym, że jezdnię umykającą pod kołami czułem każdym fragmentem ciała. Trzymałem gaz, znów przygotowany na wielką prędkość, wpatrując się w drogę na ćwierć kilometra przed sobą. Dzięki poprzednim, długim godzinom doświadczenia kalkulowałem co do centymetra, wyczuwałem każdy kilogram masy maszyny, a w razie konieczności potrafiłem stworzyć razem z nią jedną całość i natychmiast przechylić się tak, żeby środek ciężkości znalazł się we właściwym położeniu.

Odległość od śmigłowca wzrastała, ale wiedziałem, że wystarczy, aby ruch zgęstniał albo jakość jezdni uległa pogorszeniu, i będę ich miał za plecami. Prędkość przestała nagle przyrastać, spojrzałem na tablicę przyrządów, szybkościomierz wskazywał trzysta. Musiałem zjechać na krawędź jezdni, bo przy tej szybkości nawet łagodny zakręt wyrzucał na zewnątrz.

Prosta, ale prędkości nie przybywało. Przypomniałem sobie o czerwonym guziku, ominałem niewielką plamę, która mogła być przejechanym królikiem, i nacisnąłem guzik. Strzałka prędkościomierza ruszyła naprzód, wskazówka obrotomierza zaczęła zbliżać się do czerwonego pola.

To dopiero była jazda, musiałem przestawić reakcje na wyższy poziom. Dawniej uważałbym to za wejście w stan błyskawicznego widzenia. Teraz nie i nawet mnie to specjalnie nie wyczerpywało.

Wiedziałem, że granice nie są szczególnie strzeżone, wszak kiedy jechałem w odwrotną stronę, wszystkie szlabany były podniesione. Nie mogłem jednak zbytnio na tym polegać, więc tuż przed przejściem granicznym przyhamowałem.

Na szczęście nikt ode mnie niczego nie chciał. Ledwie zniknąłem pogranicznikom z oczu, jak znów dodałem gazu.

– Nie przelecieli nad granicą – poinformował mnie Derwisz przez telefon. – Wylądowali. To prywatny helikopter i może latać tylko nad Rosją, a nad Ukrainą już nie.

– Mam nadzieję – odpowiedziałem i zmniejszyłem prędkość, bo ruch wzmógł się znacznie.

– Podglądam ciekawskich, którzy się na nich gapią i zaraz wrzucają to na net – oznajmił Derwisz. – Na miejsce lądowania przyjechało kilka samochodów. Wsiadają do nich jacyś kolesie.

– Jakie to samochody i jak są szybkie? – zainteresowałem się.

– Jedną chwilę.

Wyprzedził mnie wóz na cywilnych numerach, nieprzyjemnie zajechał mi drogę, aż musiałem ostro przyhamować, za tylną szybą auta rozbłysnął napis: „Stop Policja”.

Czy Tizoc mógł ich mieć w swojej służbie? Mógł, ale nie wydało mi się to prawdopodobne. Upłynęło za mało czasu, żeby dotarli na miejsce. Popatrzyłem na szybkościomierz. Przekroczyłem dozwoloną prędkość tylko o pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Czy dlatego mnie zatrzymywali? Odkręciłem gaz, wykonałem ostry objazd i wyskoczyłem przed nich. Zanim usłyszałem syrenę, w lusterku dostrzegłem auto policyjne jako mały samochodzik. Ta maszyna potrafiła unieść przednie koło nawet na piątym biegu. Od czasu starych, pocziwych Rii, używanych przez Wehrmacht, technika zrobiła naprawdę wielkie postępy. Ale z drugiej strony do tej superszybkiej bestii nie można było zamontować przyczepy, nie mówiąc już o karabinie maszynowym.

– Volkswagen phaeton, porsche panamera, maserati quattroporte – wyliczał mi Derwisz modele samochodów. – Mówi ci to coś?

Gdybym właśnie nie zmuszał przedniego koła do kontaktu z jezdnią, pokręciłbym głową, a tak tylko coś odmruknąłem.

– Same luksusowe wozy sportowe z silnikami o dużej mocy – oznajmił mi Derwisz.

– Przynajmniej będzie draka – rzuciłem krótko.

Jazda dwieście na godzinę po kiepskiej drodze wijącej się jak wąż wymagała dużej ostrożności.

* * *

Draka rzeczywiście była. Dwukrotnie przejeżdżałem przez blokady policyjne, którymi starano się mnie zatrzymać, a w pewnym momencie miałem za plecami pięć samochodów. Trzy policyjne i dwa wampirskie. Na szczęście chłopcy przecenili swoje umiejętności i kiedy

już musiałem myśleć o tankowaniu, wypadli z drogi i zniszczyli piękny zagajnik. Potem szło już dobrze, aż do granicy ze Słowacją, gdzie przyczepił się do mnie czarny wóz sportowy, płaski jak pluskwa, i chociaż robiłem, co się dało, nie mogłem strząsnąć go z ogona. Jego kierowca naprawdę umiał jeździć, a ja po ponad dwóch tysiącach kilometrów za kierownicą zaczynałem odczuwać zmęczenie. A kiedy już na swoim terytorium wjechałem na D1, wystartował za mną granatowy Volkswagen z błyskającym kogutem na dachu. Właśnie wtedy telefon zasygnalizował, że kończy się bateria.

– Gdzie cię znajduję? – huknąłem do Derwisza i bez entuzjazmu dodałem gazu.

Bolało mnie całe ciało i wydawało mi się, że motocykl też zaczyna mieć już dość.

Szybkość znowu wzrosła ponad dwusetkę, policjanci jednak twardo się mnie trzymali. Przemknąłem obok ciężarówki jadącej jakieś sto dziesięć, wyprzedziłem czerwone auto z płóciennym dachem, prowadzone przez kobietę w twarzowej czapeczce, a stróżę porządku zrobili to samo.

Bez wampirzych zdolności ich poczynania graniczyły z hazardem. Ale musiałem przyznać, że nerwy mieli stalowe.

Odcinek drogi wykonanej z płyt betonowych zatrzęsł moimi kośćmi, chcąc nie chcąc musiałem zwolnić i zaczęli mnie dochodzić. Przede mną jedna duża ciężarówka powoli wyprzedzała drugą, przemknąłem przez szczelinę pomiędzy nimi i popędziłem dalej. Zanim zniknąłem za zakrętem, dostrzegłem kulę ognia blokującą ruch.

Spiesz się powoli, przypomniało mi się stare porzekadło.

* * *

Za Beranovem zjechałem z drogi na odpoczynek, rozgrzany motocykl oparłem o kamienny słupek i dalej poszedłem piechotą. Już od dłuższego czasu nie widziałem upartego prześladowcy ze Słowacji, ale nie wierzyłem, że udało mi się go pozbyć na dobre. Zaniepokoiła mnie jego niezwykła cierpliwość. To był naprawdę profesjonalista.

Teraz miałem przed sobą około stu kilometrów na przełaj przez pola i lasy. Narzuciłem sobie tempo uciekającego jelenia i pewien czas potrwało, zanim do niego przywykłem. Nie biegałem w taki sposób już od kilkudziesięciu lat, a żeby utrzymywać szybkość w trudnym terenie, potrzebna było określona technika. Po półgodzinie szło mi już całkiem dobrze, ale właśnie wtedy dopadł mnie wściekły głąd.

Byłem w lesie, wystarczyło rozejrzeć się albo wietrzyć.

Po kolejnych pięciu kilometrach odnalazłem stado łań.

Wpadłem pomiędzy nie równocześnie z hukiem wystrzału. Okazało się, że w pobliżu na stanowisku strzeleckim zasadził się myśliwy, którego nie dostrzegłem. Nie szkodzi, nic

złego się nie stało. Zastrzelone zwierzę zostawiłem w spokoju i zabiłem inne. Zanim strzelec podszedł bliżej, miałem już łanię rozciętą i jadłem jeszcze dymiące kawałki mięsa. Facet w stroju maskującym, ze strzelbą w ręce wybałuszył na mnie oczy, fałszywie zinterpretował mój przyjacielski gest i rzucił się do ucieczki. Być może dlatego, że w dłoni nadal dzierżyłem miecz.

Nasyciłem się i wtedy przyszło pragnienie, co prawda dość umiarkowane, tak że dało się wytrzymać. Pobiegłem dalej z tą samą szybkością do miejsca, w którym stał dom, a w nim oczekiwał mnie Derwisz.

Znalazłem je prędzej, niż się spodziewałem, raczej przez przypadek niż w wyniku celowych poszukiwań.

Na odludziu, w płytkiej dolince, obok niewielkiego stawu rybnego, stał budynek, sprawiający wrażenie starodawnego, ale w dobrym stanie, okna były nowe, ogródek ktoś utrzymywał we wzorowym porządku.

Stanąłem przed furtką. Ponieważ płotu nie było, zdawała się zupełnie nie na miejscu, ale ktoś postarał się, żeby pomalować ją ciemnozieloną farbą. Rozglądałem się, czekając, aż się wysapie, czułem, jak po długim biegu bije ze mnie gorąco. Nie byłem całkiem pewny, czy trafiłem na właściwe miejsce, a nie chciałem zbytnio zwracać na siebie uwagi. Spróbowałem zadzwonić, ale telefon był definitywnie martwy, więc nie pozostało mi nic innego, jak nacisnąć dzwonek. Wyglądał na nowoczesny, nie zauważyłem żadnych wychodzących z niego przewodów. Zadzwoniłem i czekałem na efekt.

Oddychałem już normalnie, ale nadal przypominałem przegrzany motor. Co dziwne, w ogóle się nie spociłem.

To też było nowością.

Drzwi się otworzyły, pojawił się w nich Derwisz ubrany w kombinezon roboczy i koszulę w kratę, a nie w swoje ulubione workowate spodnie. Sprawiał wrażenie bardziej zmęczonego niż kiedykolwiek przedtem.

– Cześć, czekałem na ciebie. Radio mówiło, że niebezpieczny pirat drogowy zniknął, pozostawiając po sobie tylko motocykl. Rozbiły się przez ciebie trzy policyjne passaty.

– Bardzo mi przykro. – Wzruszyłem ramionami.

Nagle poczułem się strasznie zmęczony, a pragnienie znacznie się nasiliło.

– Zaprosisz mnie do środka?

Zamiast odpowiedzi odsunął się od drzwi, umożliwiając mi przejście. Miał przy tym trochę niepewną minę.

– Ładnie tu u ciebie – pochwaliłem.

Umiem docenić dzieło dobrego rzemieślnika.

– Kupiłem stary dom w kompletnej ruinie, kiedyś chcemy się tu przeprowadzić, razem z Peggy. Kiedy będziemy na emeryturze.

Przez korytarz i hol wszedłem do kuchni połączonej z jadalnią, gdzie za solidnym drewnianym stołem siedziała Tes. Tym razem nie miała na sobie sukni, tylko dżinsy, buty turystyczne i męską koszulę z zawiniętymi rękawami, rozpiętą pod szyją. W dłoniach kołysała kubek z kakao. Męskie ubranie tylko podkreślało jej dziewczęcy wygląd. Wyglądała wspaniale, aż mnie coś ukłuło wewnątrz i kilka razy połknąłem ślinę. Musiałem się zmusić, żeby oderwać od niej wzrok.

– Co ona tu robi? – rzuciłem do Derwisza, bardziej szorstko, niż zamierzałem.

– Chciałam na ciebie poczekać, upewnić się, że z tobą wszystko w porządku – powiedziała z urażoną miną.

– Dałbyś radę jej czegoś zabronić? – wtrącił się Derwisz.

– Muszę się napić. – Dałem spokój temu tematowi, sadowiąc się na krześle.

Tes wstała i podeszła do lodówki. Dżinsy były damskiego kroju, przyglądałem się, jak opinają jej biodra i uda. Napotkałem przy tym spojrzenie Derwisza.

– To stare robocze ciuchy Peggy – wyjaśnił, jakby właśnie to interesowało mnie najbardziej.

Tes wyjęła z lodówki termotorbę, a z niej woreczek krwi. Niełatwo tak składować krew, żeby nadawała się do użytku. Nie może przemarznąć ani za bardzo się ogrzać, ale ona zdołała utrzymać ją w dobrym stanie mimo ograniczonych środków, jakie miała do dyspozycji.

Derwisz odwrócił wzrok, żeby nie widzieć, jak piję krew, a Tes przeciwnie, obserwowała mnie z zainteresowaniem.

Zbyt mnie rozkojarzyła, patrzyłem raczej na krew i blat starego stołu niż na nią.

– Dowiedziałeś się czegoś? – zapytał Derwisz. Usłyszałem, że otwiera piwo, a po nim drugie.

Bardzo dobrze, wypiję z przyjemnością.

– Tak, i to więcej, niż miałem ochotę – mruknąłem, sięgając po butelkę.

Zimny napój tylko we mnie zaszumiał, a potem stwierdziłem, że na zewnątrz jest ciemno, a ja leżę na lawie przykryty kocem i mam zdjęte buty.

Derwisz siedział przy komputerze, a Tes na krześle obok, jakby mnie pilnowała.

Obserwowała, oceniała...

– Praktycznie klapnąłeś w okamgnieniu, prawie walnąłeś głową w stół – wyjaśnił Derwisz. – Nie ciągnąłem cię do łóżka, tylko przykryłem tutaj, w kuchni. Zjesz coś? Wprawdzie jest wpół do dwunastej, ale myślę, że nie dbasz szczególnie o zasady zdrowego żywienia.

– Męczyły cię koszmary i mówiłeś przez sen – poinformowała mnie Tes, zdejmując mi z czoła mokrą chusteczkę. – Zdaje się, że po łacinie.

– Co mówiłem? – Aż się poderwałem.

– Nie wiem, po łacinie znam tylko nazwy niektórych chorób i lekarstw.

Ulżyło mi.

– Idź trochę odpocząć, jutro czeka nas ciężki dzień. – Pogładziłem ją po ręce.

Nie powinienem był tego robić, każde jej dotknięcie działało na mnie jak szok elektryczny. Popatrzyła na mnie, kiwnęła posłusznie głową, a wstając z krzesła, pochyliła się lekko, co pozwoliło mi zajrzeć w dekolt.

Gdyby nie było Derwisza, nie pozwoliłbym jej odejść i wziąłbym ją wprost na kuchennym stole. Zaciąłem zęby i przyglądałem się, jak wchodzi po schodach na poddasze.

– Mogę się tu gdzieś umyć? – zapytałem.

Olej na patelni zaczął właśnie skwierczeć.

– Wejście z korytarza, ale nie wiem, czy będzie ciepła woda.

Wróciłem akurat na gotową jajecznicę z cebulą i słoniną. Oceniając proporcje, można było to nazwać słoniną z jajkami. Oprócz jedzenia Derwisz postawił na stole butelkę śliwowicy.

O nic mnie nie pytał, ale wiedziałem, że aż go skręca z ciekawości. Brał udział w tych wydarzeniach przez cały czas i bez niego niechybnie by mnie dostali. Byłem mu dłużny kilka odpowiedzi, chociaż był tylko człowiekiem.

– Wiem, dlaczego Tizoc chce mnie dopaść – zacząłem od rzeczy najprostszej. – Myśli, że wiem, gdzie jest Messalina, i za moim pośrednictwem chce się do niej dostać.

– Messalina to ta stara wampirzyca – upewnił się.

– Tak, ta ze zszarganą reputacją.

– Ale o tym z grubsza wiedziałeś już wcześniej – zauważył.

Wychyliłem zawartość musztardówki. Palinka była mocna, mocniejsza niż kupowana w sklepach.

– Tak – zgodziłem się. – Ale nie wiedziałem, że kiedyś naprawdę się z nią spotkałem. To było w nocnym klubie. Odeszliśmy stamtąd razem, poderwałem ją.

Albo ona mnie, co chyba było bliższe prawdy, ale nie podobała mi się ta wersja, więc ją przemilczałem.

– Ciekawe. A z jakiego powodu Tizoc chce odszukać tę Messaline?

Obaj mówiliśmy pomiędzy kolejnymi kęsami, jedzenie smakowało wspaniale.

– Można powiedzieć, że chce ją pojąć za żonę – powiedziałem bardzo formalnie.

Derwiz nagle zrozumiał.

– I to dlatego cię prześladowa, że przyprawiłeś mu rogi?

Pokręciłem głową.

– Nie wie, że z nią spałem, ale może z czasem przyjdzie mu to do głowy. Wszystko razem jest trochę bardziej skomplikowane.

Przypomniałem sobie odpowiedzi, jakie uzyskałem od pamięci Tizoca.

– Czy wiesz, jak rodzą się wampiry?

– No pewno. Gryziecie kogoś i zarażacie tym swoim pasożytem.

– Mam na myśli wampiry już od narodzenia. – Zatrzymałem go. – Związek wampira z kobietą albo wampirzycy z mężczyzną jest zawsze niepłodny. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Do niedawna myślałem, że nawet z połączenia wampira z wampirzycą nie może urodzić się dziecko. Ale okazuje się, że jest inaczej. Ludzka kobieta może zajść w ciążę raz w ciągu miesiąca księżycowego, a wampirzyca raz w całym życiu, o ile jest dostatecznie długa. To nic pewnego, ale z tego, czego się dowiedziałem, musi być bardzo stara, starsza niż tysiąc lat. A jej ciąża trwa długo, więc większą jej część spędza w głębokim śnie, w okresie głównego rozwoju płodu. Podczas snu jest praktycznie bezbronna.

Derwiz przez chwilę rozmyślał nad tymi informacjami.

– Właściwie dlaczego taka wampirzyca chciałaby zajść w ciążę?

Pokiwałem tylko głową. Też zadawałem sobie to pytanie.

– A co ty o tym myślisz? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Kiedy kobieta ma owulację, odczuwa większą ochotę na seks i inaczej wybiera partnera – odpowiedział.

– Jak to inaczej? – zapytałem.

– No, nie musi to być bogacz, chodzi o to, żeby był zdrowy i silny. Dziecko może wychować inny partner. Nawet chuderławy, chorowity główny księgowy w dużej firmie.

Prawie mnie to dotknęło. Ale tylko prawie.

– A co z tego wynika dla wampirów?

– Taka kobieta wampir, kiedy przyjdzie jej czas, po prostu chce zajść w ciążę, bez względu na to, ile by ją to miało kosztować.

Derwisz doskonale umiał kompilować strzępy faktów.

– Tak to mniej więcej wygląda – potwierdziłem. – Ale w rzeczywistości jest to jeszcze silniejszy przymus, bo jeśli nie znajdzie sobie żadnego wampira, umrze.

Nie zdołałem wydobyć z zakamarków pamięci, dlaczego tak się dzieje.

– Dlaczego Tizoc właśnie teraz na ciebie poluje? – Derwisz wrócił do początku rozmowy, dolewając nam śliwownicy.

Zegarowe kukułki ogłosiły dwunastą i znów zapanowała cisza. Tak błoga i spokojna, jakby na zewnątrz nie szykowano się do działań mogących przywieść wszystkich ludzi i wszystkie wampiry do zagłady.

– Jeśli wampir kocha się z wampirzycą i poczną dziecko, dojdzie do obustronnej wymiany materiału genetycznego, nie tak jak u ludzi.

Derwisz na szczęście nie zrobił żadnej dowcipnej uwagi i bardzo dobrze. Trochę mnie to nadal wprawiało w zakłopotanie.

– Rozumiesz, chodzi o pasożyta przekształcającego nas w wampiry.

Patrzył na mnie wyczekująco.

– Otrzymałem bezpośrednie trafienie z pancerfausta, przynitowali mnie do stalowego filara, o wielu pociskach z karabinu maszynowego nie wspominając. Wszystko to przeżyłem i powróciłem do nadnaturalnej szybkości. Teraz już na pewno mogę świadomie przywoływać Visio in Extremis, a nie miałem jeszcze okazji wypróbować, jak daleko sięgają moje możliwości co do szybkości i siły.

Derwisz ziewnął przeciągle, ale oczy miał nadal uważne.

– Tak to jest z wampirzymi dziewczynami, które chcą mieć potomka, jedno wielkie uganianie się za partnerem.

– Myślę, że ta informacja nie jest powszechnie znana, to raczej ściśle strzeżona tajemnica, o której wiedzą tylko nieliczni na całym świecie.

– Tajemnice waszych kobiet? – zauważył.

– Może niektórych z nich tak, a może niektóre po prostu przypominają sobie o tych zasadach, kiedy zechcą zająć w ciążę, może budzi się w nich pamięć genetyczna albo zaczynają się kierować instynktem. – Wzruszyłem ramionami.

Messalina umknęła Tizocowi w ostatniej chwili, jakby zrozumiała, co ją czeka, a mając ograniczone możliwości dalszego wymigiwania się, wybrała właśnie mnie.

Nie było to szczególnie wzniósłe uczucie, ale noc spędzona z nią należała do tych, których się nie zapomina, chociaż obudziła we mnie ciemną stronę jaźni.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, Derwisz popatrzył na szklanekę śliwownicy, ale ja pokręciłem tylko głową. Oczekiwał mnie długi dzień, chociaż równie dobrze mógł okazać się bardzo krótki i ostatni.

– To nie wszystko – odgadł.

– Tizoc organizuje w Pradze konwent wampirów – poinformowałem go.

Fakt, że robił to bez mojej wiedzy i zapytania o pozwolenie, które zgodnie z zasadami powinien uzyskać, był wprawdzie nieprzyjemny, ale oznaczał, że z jego punktu widzenia zamieniłem się już w chodzącego trupa. Niepokoił mnie poza tym cel zwoływanego konwentu. Czy chciał w jakiś sposób uzyskać władzę nad pozostałymi Wielkimi Mistrzami? Nie wydawało mi się to możliwe. Ryzyko związane z taką próbą było olbrzymie, a co mogłoby mu przynieść oprócz dobrego samopoczucia? Praktycznie nic.

Mój telefon nadal był nieczynny, ponieważ jeszcze go nie naładowałem, chociaż zbliżała się druga w nocy. Do Carlosa mogłem zatelefonować dopiero rano. A Schnittzel miał chyba co innego na głowie, niż przesyłać mi informacje o rozwoju sytuacji.

– Jutro będę jeszcze raz potrzebował twojej pomocy, ale zaraz potem wyjedziesz. Idę na całość i naprawdę nie wiem, jak się to wszystko skończy.

Miałem na myśli, że wątpię, czy uda mi się przeżyć, ale nie chciałem o tym mówić wprost.

– No to dogadane – zgodził się. – W czym będę mógł ci pomóc?

– Muszę załadować i przetransportować broń. Na wszelki wypadek.

– Masz gdzieś tajny skład? – zainteresował się.

– Tak jakby. Jakiś czas temu zgromadziłem niewielką rezerwę, w czterdziestym piątym roku – wyjaśniłem.

Wyjechaliśmy bardzo wcześnie samochodem Derwisza, ja obok kierowcy, Tes na tylnym siedzeniu. Kiedy już będę miał broń, odwiozę Derwisza na lotnisko, a Tes wsadzę do pociągu, żeby pojechała do babci. I będzie dobrze.

Radio jeszcze nie ogłosiło dziewiątej, a my byliśmy już niedaleko od właściwego miejsca. Skrytek miałem oczywiście więcej, ale postanowiłem nie angażować w to Derwisza, tylko wskazywałem mu drogę do najbliższej.

– Zapytamy tutaj o jakieś auto. – Wskazałem na tablicę z nazwą miejscowości.

– Czemu to nie wystarczy?

– Potrzebuję niewielkiej ciężarówki albo pojemnego dostawczaka.

Wzruszył z rezygnacją ramionami.

Mogłem uniknąć tej roboty i zaufać swoim mieczom. Ale skoro już się zdecydowałem, lepiej było doprowadzić rzecz do końca.

Umiem załatwiać interesy z ludźmi, bez tej umiejętności nie udałoby mi się przeżyć.

Po półgodzinie wiedziałem już, że tutaj nie kupię samochodu, ale że w położonej obok wiosce niejaki Pepa Doubrava miał na sprzedaż poobtłukiwanego transita.

Wolałbym coś innego, lecz miałem niewiele czasu.

Doubravę znaleźliśmy po kolejnej godzinie i w końcu kupiłem od niego nie transita, ale odrapaną Tatrę 02.

– Myślisz, że to pudło w ogóle ruszy? – zapytał podejrzliwie Derwisz, kiedy już wpakowaliśmy się do kabiny i po dłuższym męczeniu rozrusznika silnik wreszcie zaskoczył.

– Tu nie ma żadnej elektroniki – wyjaśniłem. – To przez nią straciłem kontakt z techniką, a pudła takie jak to naprawiałem już wielokrotnie.

Tyle że niechętnie.

Na wyboistej drodze leśnej auto kołysało się niemiłosiernie, a Tes siedząca na skrzynce narzędziowej wetkniętej pomiędzy siedzenia kiwała się w obie strony. Nie miała się czego przytrzymać. W końcu przytuliła się do mnie, trzymając się mojego łokcia. Wprawdzie z tego powodu prowadziło mi się nieco gorzej, ale w sumie bardzo to nie przeszkadzało.

W końcu dotarliśmy na miejsce, które wydało mi się właściwe. Nie byłem tego do końca pewny, bo po siedemdziesięciu latach las zmienił się nie do poznania. Ale odnalazłem porośnięty mchem głaz wystający nieco z ziemi. Wtedy nie był zagrzebany i miał wysokość dorosłego człowieka.

Odmierzyłem czterdzieści uczciwych kroków w kierunku na północ i znalazłem się u podstawy solidnego świerka. Pod koniec wojny w ogóle go tu nie było.

– To tutaj, tak z półtora metra pod ziemią, no może dwa i pół, biorąc pod uwagę, jak się przez ten czas zmienił teren.

– To chyba będziemy kopać cały dzień – mruknął ponuro Derwisz.

Wyciągnąłem rękę po kilof i łopatę, którą niósł.

Jedną z umiejętności wampirów jest to, że kopią naprawdę szybko, jeśli muszą.

W pół godziny później, po złamaniu dwóch trzonków od łopat i jednego od kilofa, odkryłem wszystkie skrzynie, wystarczyło podważyć wieka. Przez lata drewno straciło kolor i nieco twardości, ale ponieważ zawiąłem je w płachty brezentowe, trzymało się niezłe. Solidny materiał Wehrmachtu. Wyważyłem pokrywy i odsłoniłem czystą powierzchnię płachty w kolorze khaki. Pod nią znajdowały się kolejne, wszystkie starannie obwiązane

sznurem. Dopiero pod piątą warstwą leżała zakonserwowana broń. Nie wiedziałem, kiedy będzie mi potrzebna, i dlatego zrobiłem to porządnie.

– Przecież tego jest tu kilka ton! – wykrzyknął Derwisz z podnieceniem, kiedy wyciągnąłem dwie pierwsze skrzynie, spod których wyłoniły się następne.

Najtrudniej było wynieść je z dołu o osypujących się ścianach, ale jakoś dałem sobie z tym radę.

– Raczej cetnarów – poprawiłem go. – No, może tona, tona i pół, ale nasze auto z powodzeniem to przewiezie.

Nie minęły nawet dwie godziny, jak wyjeżdżaliśmy z lasu.

* * *

Zjedliśmy obiad w przydrożnej gospodzie, a wtedy uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem brudny. Tes i Derwisz wyglądali o niebo lepiej, ponieważ nie kopali.

Derwisz położył na stole laptop i coś w nim oglądał.

– Bilet na samolot, zamów sobie bilet – przypomniałem mu. – Nie chcę cię tu dłużej widzieć.

Kiwnął głową z niezadowoleniem, ale nie zaprotestował.

W radiu skończyła się piosenka i zastąpił ją spiker informujący o zamkniętych ulicach i innych ograniczeniach w ruchu, jakie powoduje w Pradze konferencja członków Rady G8 i przyjazd zaproszonych gości.

Derwisz oderwał wzrok od ekranu.

– Masz auto pełne pistoletów, karabinów, kaemów i Bóg wie czego jeszcze. Czy myślisz, że mądrze wieźć to wszystko do Pragi? W mieście policjantów jak mrówek będzie i któryś z nich na pewno zajrzy ci do wozu.

Zakląłem paskudnie, a potem wykonałem przeproszający gest w kierunku Tes.

– Mogliśmy zaoszczędzić sobie trudu – stwierdziłem na koniec.

– To ty machałeś łopata. – Derwisz wzruszył ramionami. – Ja mam bilet lotniczy na dziś wieczór.

– Powinno pójść gładko. A ciebie później odwiozę na dworzec, pojedziesz do babci – powiedziałem do Tes.

Spojrzała na mnie jak wierny pies i z rezygnacją wzruszyła ramionami. W jej absolutnym posłuszeństwie i respektowaniu moich nakazów było coś, co zmuszało mnie do myślenia o gorącej skórze, szeleście jedwabiu i podobnych sprawach. Wysyłanie jej do babci było największą głupotą, jaką mogłem wymyślić, ale... nie chciałem komplikować sobie życia bardziej, niż było to konieczne.

– Zostawię auto na jakimś parkingu strzeżonym na peryferiach, wezmę tylko to, co może być niezbędne, i odwiozę osobowym. Resztę zabiorę, gdy się skończy ten bałagan w Pradze – zdecydowałem.

Już na trzydzieści kilometrów przed końcem trasy D1 zauważyłem pierwszy wzmocniony patrol policji, a później co pięć, siedem kilometrów następne. Derwisz próbował zwalczyć stres, paląc papierosy, a ja starałem się nie odczuwać nieprzyjemnego mrowienia we wnętrzościach. Tes bardziej się zajmowała tuleniem do mnie, niż przejmowała perspektywą zatrzymania przez policję. Z tego powodu opadał ze mnie pewien rodzaj napięcia, ale inny za to rósł.

W taksówce na lotnisko, gdzie chciałem się upewnić, że Derwisz otrzyma zabukowany bilet, przypomniałem sobie o sprawnym już telefonie oraz o Carlosie ze Schnitzelem.

Najpierw wybrałem numer Schnitzela.

Przyjął połączenie, ale głos miał zdyszany i nerwowy, jakby Bóg wie co się wydarzyło.

– Nie mogę rozmawiać – zachrypiał. – Szef był strasznie wściekły, że pan uciekł. Zadzwoń później, teraz jest tu wielki bałagan, mnóstwo obcych wampirów.

A więc konwent zaczął się rozkręcać.

– Niech pan się dowie, po co przyjechali i jakie Tizoc ma plany.

– Dobrze. – Rozłączył się.

Taksówkarz rzucił mi krótkie spojrzenie, a siedzący obok niego Derwisz odwrócił się i spojrzał na mnie pytająco.

– Niczego się nie dowiedziałem, ale tobie powinno już być wszystko jedno. Za dwanaście, trzynaście godzin będziesz razem z Peggy popijał margaritę na jakiejś plaży.

Wyglądał tak, jakby mu się ta perspektywa nie podobała.

Przejechaliśmy przez Kulatak i skierowaliśmy się na Ruzyne.

Spróbowałem połączyć się z Carlosem.

– Dobrze, że się pan odezwał – powiedział pierwszy. – Zamknijcie te drzwi i nie przeszkadzajcie! – ryknął na kogoś.

Nie był marnym ludzkim sługą, w klanowej hierarchii stał bardzo wysoko i nie musiał wszystkiego się obawiać jak Schnitzel.

– Wie pan, co ten skurwysyn szykuje?! – krzyczał swoją kiepską angielszczyzną.

Pod nazwą „skurwysyna” miał prawdopodobnie na myśli swojego szefa, Wielkiego Mistrza Tizoca.

– Zorganizował wielki konwent? – spróbowałem go popędzić.

– To nie jest najważniejsze, musimy go powstrzymać!

Musiałem go zabić, ani mniej, ani więcej. Powstrzymywanie go nie wchodziło w rachubę.

– Mam wszystkie jego plany, nie rozumiem, jak tego nie zauważyłem. Pokażę je panu. Taksówka wjeżdżała właśnie na terminal.

– Jestem na lotnisku – poinformowałem go. – Planuję opuścić Pragę na kilka dni i trochę odpocząć – blefowałem, żeby popędzić go jeszcze bardziej.

– Nie może pan tego zrobić, bo będzie za późno!

Derwisz zapłacił taksówkarzowi, wysiadłem z auta z telefonem przy uchu. Wiedziałem, że w brudnym ubraniu kopacza nie pasuję tutaj, wyróżniam się w tłumie. Dla wampira takiego jak ja nie było to dobre. Na szczęście większość uwagi ściągała na siebie Tes, a na mnie nikt drugi raz nie spojrzał.

– Dobrze – powiedziałem z pozorną rezygnacją. – Jestem w restauracji lotniskowej, poczekam na pana pół godziny.

Derwisz zainteresował się moją rozmową, odgadł, że zaszło coś nieoczekiwanego.

– To już ciebie nie dotyczy – odpowiedziałem na jego pytania.

– Usiądę przy stoliku obok, w końcu muszę gdzieś poczekać. Zwrócę też uwagę na Tes, żeby jej nikt nie nagabywał.

– To by było świetnie, tu jest mnóstwo ludzi, trochę się boję – oświadczyła.

Wybrałem stolik z dobrym widokiem na wszystkich ludzi śpieszących do stanowisk odprawy biletowej, a później do kontroli celnej i paszportowej. Tes i Derwisz usiedli blisko mnie. Sączyłem piwo i zastanawiałem się, jak sobie z tym wszystkim poradzić.

Tizoc zwołał konwent.

Cokolwiek miał na celu, mnie to już nie dotyczyło.

Schowam się do jakiejś nory, poczekam, aż minie całe to zamieszanie, a potem postaram się go zabić. O ile w międzyczasie nie wywącha mnie któryś z jego ludzi. Jestem tak szybki, uzdolniony i w ogóle, jak mówiłem Derwiszowi, że powinno mi się udać. Musiałem jednak zapewnić sobie pomoc Schnitzzela, a może i Carlosa. Powinienem wysłuchać Carlosa i wyciągnąć z niego potrzebne informacje.

Przy drugim piwie przestałem myśleć o Tizocu i zacząłem obserwować Tes, jak się odchyła w krześle, jak podnosi szklaneczkę i jak przy połykaniu uwypuklają jej się zarysy kości policzkowych. Od czasu do czasu odwracała głowę i wtedy widziałem jej profil.

Ta mała dziewczyna załaziła mi za skórę, ale małe, młode dziewczyny zawsze wychodziły mi bokiem, a więc powinienem trzymać na wodzy swoje zapędy.

Carlos pojawił się w nienagannym stroju z płaszczem przerzuconym przez ramię, jakby właśnie wyszedł z jakiejś konferencji. Wydał mi się tylko trochę bardziej rozczochrany niż poprzednio.

Powitał mnie uprzejmym ukłonem, usiadł, poczekał, aż kelner go obsłuży, i dopiero wtedy położył na stoliku dyplomatkę.

– Mam tu wszystko – powiedział. – Teksty umów, każda przygotowana dla konkretnej osoby. Doskonale to utajnił.

– Propozycje dla Wielkich Mistrzów? – odgąłem.

Carlos spojrzał na mnie takim wzrokiem, że przez chwilę wyczuwałem stulecia, które się w nim skrywały.

– To są oferty dla ludzkich przywódców, dla polityków – powiedział dobitnie. – Ich ostatecznym rezultatem będzie przejęcie władzy przez wampiry. Nie od razu, ale za jakiś czas. Temu musimy zapobiec za wszelką cenę.

– Dlaczego? – zapytałem, chociaż znałem odpowiedź.

Carlos patrzył na mnie w milczeniu.

– Nie wiem. – Pokręcił w końcu głową i nagle wydał mi się o wiele bardziej zmęczony niż wtedy, kiedy przyszedł. – Ale jestem pewny, że musimy, bo inaczej nastąpi koniec – dodał.

Milczałem, nie mając ochoty przyznać mu racji. A miał ją. Wszystkiego dowiedziałem się od neandertalczyka znajdującego się na początku pamięci, sięgającej trzydziestu tysięcy lat. Wampiry koegzystowały od bardzo dawna z ludźmi, czy też ich praprzodkami, i rozwijały się razem z nimi. Niektóre z pradawnych przodków współczesnych wampirów wpadły na wspaniały pomysł, że nie warto tylko łowić ludzi oraz żyć w ciągłym strachu przed ich odwetem, który z biegiem czasu stawał się coraz skuteczniejszy. O wiele lepiej było nimi rządzić.

Nie umiałem wyobrazić sobie, jak to wyglądało w czasach, kiedy Europę zamieszkiwało kilkaset klanów neandertalskich myśliwych i niewielka garstka wampirów. Musieliśmy być ostrożni, musieliśmy oszczędzać zdobycz, nie zwracać na siebie uwagi i nie wzbudzać podejrzeń. Ale niejeden wampir zdecydował się rządzić plemieniem, a potem kolejnymi. Tylko że władza nad innymi stworami, czy to ludźmi, czy neandertalczykami, budzi w nas krwawe bestie. Potem nie łowimy dlatego, że musimy; łowimy dla zabawy i dla samej żądzy zabijania.

Kiedy później neandertalczyki napotkali człowieka współczesnego, przybył z Afryki, pozostały z nich tylko cienie, żałosne resztki zdziesiątkowane przez moich przodków, neandertalskie wampiry.

– Pan wie, dlaczego musimy się temu przeciwstawić, prawda? – odgadł Carlos.

Przytaknąłem.

Przez to, że nasi przodkowie wybili neandertalczyków, sami skazali się na zagładę. Wyglądali inaczej niż nowy lud, licznie przybyły z południa, nie mogli więc na nim pasożytować. Wraz z końcem ludzkich neandertalczyków nadszedł kres neandertalskich wampirów. Ale zanim do tego doszło, przed niecałymi trzydziestoma tysiącami lat jakaś wampirzyca zaszła w ciążę i w ukrytej jaskini wydała na świat dziecko, które wyglądało inaczej niż ona sama albo jego ojciec, dziecko podobne do współczesnego człowieka homo sapiens sapiens.

To rozwój skokowy, nie powolna ewolucja. Matka zdołała świadomie i nieświadomie wpłynąć na budowę fizyczną, uzdolnienia i własności nowego wampira. Tego także dowiedziałem się podczas długiej nocy w Puchmajerowsku.

– Jeśli zaczniemy rządzić ludźmi, doprowadzimy do ich zguby, a w ten sposób zgubimy i siebie – podsumowałem.

– Co z tym zrobimy? – Carlos przeszedł do spraw praktycznych.

– Zaznajomię się z materiałami, które pan przyniósł, i potem ustalimy, co dalej – zaproponowałem.

– No tak, ale nie mamy zbyt wiele czasu, sam się pan przekona. – Przyniósł walizeczkę ku mnie.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że pod płaszczem miał ukrytą broń. Mimo że wyszedłem zwycięsko z naszego pojedynku, nie powinienem lekceważyć takiego przeciwnika.

Otworzyłem walizeczkę i zacząłem przeglądać jej zawartość. Były to w większości umowy, czy raczej porozumienia zawarte na czas nieokreślony. Fotokopie wskazywały, że oryginały mają gwarantować wiarygodność, trwałość i nienaruszalność zapisów. Ich szata graficzna przypominała stare płótna malarskie skrzyżowane ze współczesnymi banknotami.

– Co to jest? – dopytywał się Derwisz.

– Zbladłeś – powiedziała Tes, kładąc mi dłoń na przedramieniu.

– Jestem wampirem – odpowiedziałem, ale w miejsce uśmiechu wykonałem tylko jakiś grymas.

Podsunałem jeden plik w stronę Derwisza.

Umowa była napisana w dwóch językach, w starej łacinie i po angielsku. Opiewała na nazwisko premiera Włoch. Formalnym, prawniczym językiem zapewniała mu dożywotnie władanie nad środkową i południową Italią, a jego samego wraz z członkami rodziny czyniła niepodległym arystokratą bez żadnych zobowiązań. Ponadto zaręczała im długowieczność graniczącą z nieśmiertelnością, jak również pomoc w kwestii objęcia nieograniczonej władzy nad poddanymi.

Krótko mówiąc, brzmiało to jak szaleństwo, ale napisane w ceremonialnej łacinie sprawiało groźne wrażenie.

– Co to za numery? – nie mógł zrozumieć Derwisz. – Przecież nie mogą tego traktować poważnie.

– Tutaj jest umowa przygotowana dla prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, która przydziela mu w prywatne władanie terytorium Kalifornii, a ponadto obszar o powierzchni trzystu tysięcy kilometrów kwadratowych w sąsiedztwie, jaki sobie wybierze. Kolejne pięćset tysięcy kilometrów kwadratowych może zgodnie z umową rozdzielić pomiędzy swoich wasali. Z reszty terytorium Stanów Zjednoczonych, którym będzie dziedzicznie zarządzał, odprowadzi dziesięcinę w postaci krwi i majątku.

– Twoi pobratymcy zwariowali, przecież do tego paktu nie przystąpi żaden z polityków! My nawet nie wierzymy w istnienie wampirów!

Przyglądałem się Derwiszowi. Zacząłby się śmiać, gdyby te papiery nie sprawiały wrażenia tak dopracowanych i wiarygodnych. Gdyby i w nim nie kiełkowało ziarno przestachu i grozy. Wyobraźnię miał wystarczającą, żeby zrozumieć, dokąd by to prowadziło.

Niestety, nie mogłem tego potraktować jak kiepskiego dowcipu.

– Popatrz jeszcze na to. – Podałem mu kolejny plik.

– *Dla podkreślenia naszej dobrej woli i chęci współpracy z Panem oświadczamy, że dzięki naszemu wpływowi jest Pan wyleczony z choroby nowotworowej i objawów będących jej następstwem. W załączeniu wyniki Pańskich ostatnich badań lekarskich – przeczytał to najważniejsze zdanie z pierwszej kartki.*

Pod nią znajdowała się kompletna dokumentacja medyczna. Byłem pewny, że jest prawdziwa, Tizoc nie potrzebował fałszować takich dokumentów.

– Amerykański prezydent miał raka? Nic o tym nie wiedziałem – Derwisz starał się odrzucić kolejny dowód.

Wzruszyłem ramionami. To przecież należało do najpilniej strzeżonych tajemnic.

– Bardzo przekonująca demonstracja możliwości – oceniłem.

Jak na zawołanie zapalił się jeden z dużych naściennych ekranów, informując podróżnych, że prezydent Stanów Zjednoczonych wraz ze swą ochroną nieoczekiwanie odwiedził jeden z praskich szpitali i z powodu lekkiej niedyspozycji poddał się badaniu prewencyjnemu.

– No? – Spojrzałem na Derwisza.

– To absurd. Wszyscy będą to uważali za wyskok bandy szaleńców – odparł.

– A co będzie, jeśli ta banda szaleńców przedrze się przez kordon ochrony aż do głównej sali obrad, pokazując wszystkim, że wampiry naprawdę istnieją, a ich możliwości są takie, jakie są? – zauważyłem.

W tym celu nawet najlepsi podrzynacze gardeł w służbie Tizoca musieliby współpracować z kimś z zewnątrz, szczególnie jeżeli chciał utrzymać ofertę w sekrecie.

Derwisz milczał, niepewność i strach rosły w nim.

– Świat szybko by się zmienił. Tizoc już się nauczył, nie chce rządzić przemocą, woli pociągać za sznurki. Rozpoczyna od korumpowania śmietanki.

– Chce, żeby ludzie rządzili w jego imieniu innymi, a jemu płacili daninę z krwi – powiedział, patrząc na mnie prawie nienawistnie.

Podsumował to brutalniej niż ja, ale równocześnie bardziej elegancko.

– Co robimy?

– Ty polecisz do Peggy – osadziłem go. – I nie musisz się bać. Gdyby nawet Tizocowi się powiodło, to zmiany będą wymagały dłuższego czasu. Już nie doczekasz realnego zagrożenia.

– A moja córka?

Na to nic nie mogłem odpowiedzieć.

– Pomogę ci, zrobię wszystko, co w mojej mocy – powiedział poważnie.

Znam się na ludzkich fizjonomiach, zauważam, kiedy oszukują, kłamią, wahają się albo są zdecydowani.

Derwisz był zdecydowany nawet na śmierć dla spełnienia swojej obietnicy.

Zawahałem się. To prawda, że będzie mi potrzebny towarzysz i sojusznik.

– Nie będzie dla ciebie żadnych gwarancji. Często używamy ludzi jako rękojmi, to się opłaca. Tizoc dobrze o tym wie.

Namyślał się przez chwilę.

– Już to robiłeś?

Kiwnąłem tylko głową.

Szło ich wtedy na mnie wielu, przewodził im oświecony ksiądz, który słusznie osądził, że tylko ogień da pewność, że pozbyli się wysłannika piekieł. Na szczęście syn starosty, którego złapałem za gardło, posłużył za bardzo dobre zabezpieczenie.

– To niczego nie zmienia – rzekł i w ten sposób sprawa została przesądzona.

Wstaliśmy i wyszliśmy z restauracji, żeby złapać taksówkę i pojechać z powrotem do miasta.

Nie było ani jednej wolnej na postoju, a o kilkadziesiąt metrów dalej ludzie wchodzili właśnie do autobusu.

– Czy w przeszłości zawładnęliście już kiedyś ludźmi? Wpłynęli na globalny rozwój cywilizacji? – zapytał Derwisz podczas jazdy zatłoczonym autobusem.

Nie sądziłem, żeby ktoś nas słyszał, a nawet gdyby tak się stało, to z lotniska zawsze wyjeżdża sporo wariatów.

O neandertalczykach nie chciałem mu opowiadać. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej stawało się dla mnie jasne, że wampiry same przyczyniły się wtedy do swojej zguby. I jeszcze zlikwidowaliśmy cały rodzaj zamieszkujący Ziemię. Uratowało nas tylko istnienie innych rodzajów i skokowy rozwój ewolucji. Było to zbyt niepokojące nawet dla mnie, a co mówić o Derwiszu.

Nie chciałem go nadmiernie straszyć, raczej uspokoić.

Opowiedziałem mu inną część wampirsko-ludzkiej historii. O tym, jak moi przodkowie wygubili cywilizację Indian północnoamerykańskich¹¹.

Ku mojemu zdziwieniu wcale to Derwisza nie uspokoiło. A w porównaniu z ostatnimi rewelacjami to była właściwie tylko drobnostka.

Derwisz wysiadł na przystanku, z którego miał niedaleko do autobusu jadącego w pobliże jego domu.

– Sprawdzę wszystko, co się tylko da, i przyślę ci to – obiecał na pożegnanie. – Naładuj telefon, bo będę pracował nie tylko w domu.

* * *

Tes została ze mną, jakby to było całkiem naturalne.

– Chodź, też się przesiądziemy – powiedziałem na następnym przystanku.

Tramwaj był zatłoczony, staliśmy obok siebie, czułem jej bliskość.

¹¹ Została zniszczona około jedenastu tysięcy lat temu skutkiem ogromnego rozmnożenia się wampirów. Nauka współczesna zakłada, że przyczyną upadku tej cywilizacji mógł być duży meteoryt albo cały ich rój. Takie założenie stosowane jest w wielu przypadkach, których nie można wyjaśnić inaczej (przyp. autora).

– Będiesz teraz walczył przeciwko własnej rasie? – zapytała, kiedy szliśmy pozamiatanym chodnikiem, obok pasa doskonale utrzymanej zieleni, w kierunku mojego mieszkania.

Jeśli Tizocowi się powiedzie, za kilka lat żadne spokojne przechadzki po mieście nie będą możliwe.

Po tych wszystkich wydarzeniach nie przypuszczałem, żeby ktoś na mnie czekał w mieszkaniu. Już tego próbowali i byłiby głupi, gdyby znowu zaryzykowali.

– Nic o tym nie piszą w tych książkach, które tak lubisz? – odpowiedziałem pytaniem napytanie.

Po raz pierwszy w ciągu naszej niezbyt długiej znajomości wyglądała na zamyśloną. Ale tylko trochę, poprawiłem się. Nadal wyglądała bardziej seksownie niż na zamyśloną. I jakoś tak delikatnie.

– Nie piszą – odpowiedziała.

– A co mi pozostaje? – tym razem nie pytałem jej, ale siebie. – Tizoc zagarnął moje terytorium, na którym łowię już od dwustu lat z niewielkimi przerwami. A robię to w ten sposób, żeby nikt się o mnie nie dowiedział. Jeśli jego plan się powiedzie, zniszczy wszystko i spowoduje, że na powrót staniemy się zwierzętami.

Popatrzyła na mnie w sposób, którego nie potrafiłem określić.

– Widzisz, ciepła woda, świeże bułeczki z piekarni i dobra kolacja w restauracji to są rzeczy, które naprawdę sobie bardzo cenię.

Nadal nie wyglądała na zadowoloną, chyba wypadałem z roli jej ulubionych bohaterów.

– A oprócz tego jestem łowcą, a nie pastuchem bydła. – Skrzywiłem się, słysząc własne porównanie.

To ją wreszcie rozbawiło, a mnie, nie wiadomo dlaczego, jej rozbawienie sprawiło radość.

W milczeniu weszliśmy do budynku.

– Jakie masz plany? – zapytała, zanim zdążyłem otworzyć drzwi.

– Po prostu doskonale – oznajmiłem, śmiejąc się.

– Proszę? – nie zrozumiała.

Machnąłem tylko ręką.

Mówiłem sam do siebie, śmiałem się sam do siebie. Przestałem myśleć o Tizocu, o śmierci, o kotłach pełnych krwi. Znów byłem sobą. Tylko ona była mi w głowie i to, że właśnie razem ze mną wchodzi do mojego mieszkania. Zdumiewające.

Tak jak przypuszczałem, firma zajmująca się robieniem porządku, sprzątaniem i zaopatrywaniem lodówki, uczyniła, co do niej należało, i mieszkanie znów było gotowe na mój powrót.

– Wszystko sobie przemyśle, przeniknę do środka jak para i raz na zawsze załatwię się z Tizokiem. W ten sposób zniweczę również ten jego debilny plan – odpowiedziałem w końcu.

– Myślisz, że zdołasz to zrobić? – zapytała poważnie, kiedy zatrzasnęły się za nami drzwi.

Umiała przybierać nie tylko strapiony albo pełen miłości wyraz twarzy, ale również poważny czy niezadowolony. Może właśnie dlatego tak mi się podobała i musiałem odwrócić wzrok od jej dekoltu, żeby móc rozsądnie odpowiedzieć.

– Tego możesz być pewna, potrafię robić takie rzeczy, których nawet się nie domyślają. A w ogóle to są prastare wampiry, rozleniwione luksusem, które już od dawna nie walczyły osobiście.

To jej wystarczyło i znów wyglądała na zadowoloną, nawet bardzo zadowoloną. Tak to jest, kiedy się wierzy opowieściom wampirów. A do tego ma się szesnaście lat.

– Tu jest duża łazienka, tam pokój gościnny, ale w nim jest tylko kącik prysznicowy, jeśli się nim zadowolisz. Znajdziesz tam jakieś damskie ciuszki. – I kilka sztuk bielizny osobistej, jeszcze nierozpakowanej, ot tak, na wszelki wypadek, pomyślałem, ale głośno nie powiedziałem nic.

– Po przyjaciółce?

– Tak, rozeszliśmy się przed dwoma laty – uspokoiłem ją.

Bez ociągania zniknęła za drzwiami. Oferowałem jej wprawdzie dużą łazienkę, ale teraz zająłem ją sam. Potrzebowałem jej jak kania dżdżu.

Po kąpieli, przebrany w czyste spodnie wełniane i wygodną koszulkę, zacząłem rozszerzać swoje potrzeby o ugaszenie pragnienia, solidny kieliszek wódki i coś do jedzenia.

Wybrałem numer telefonu serwisu dostawczego.

– Pizza do domu. Szybko jak błyskawica – zabrzmiał znany slogan.

– Tatar, trzysta gramów, a do tego jedną pizzę. I colę.

– To pan, panie Mathias?

– Pewnie, kto inny zamawiałby u was tatarą?

– Zaraz będziemy.

Telefon piknął, znów kończyła mu się bateria. Chyba dostał porządnie za swoje. Podłączyłem go do ładowarki i nawet nie zdążyłem od niej odejść, kiedy zadzwonił.

– Włącz komputer, posyłam ci takie sprawy, które nie powinny iść fonią – zaczął od razu Derwisz.

Znałem taki jego ton, zakładał, że ktoś mógłby podsłuchiwać.

– I nie rozłączaj się.

Gdy tylko moje narowiste czarne pudło się obudziło i przełączyłem się na swoją skrzynkę e-mailową, zaczęły pojawiać się wiadomości.

Czytałem jedną po drugiej i przeglądałem załączniki. Spotkanie Rady G8 w rozszerzonym składzie odbywało się w Sali Kongresowej. To było dość przystępne miejsce. Tuż obok znajdował się przystanek metra, wyjazd na D1 albo na łącznik południowy. Tylko że środki bezpieczeństwa, które wprowadziła czeska policja we współpracy z Bóg wie jakimi tajnymi służbami, były już na pierwszy rzut oka zakrojone na wyjątkowo szeroką skalę.

– Zakaz wejścia? – huknąłem z niedowierzaniem. – Czy to w ogóle możliwe w państwie demokratycznym?

– Jak na starego wampira jesteś zadziwiająco naiwny – usadził mnie Derwisz. – Nie gadaj tyle, tylko pisz.

– Miejscomi też mają zakaz wychodzenia!

– Cholera, zamknij się!

Zamilkłem i szybko zacząłem pisać pytania uzupełniające.

Podczas trwania głównego posiedzenia metro nie zatrzymywało się na Wyszehradzkiej, wjazdy do Centrum Kongresowego były zamknięte policyjnymi blokadami, a ruch pieszych ograniczony, co praktycznie oznaczało zabroniony.

– To wszystko, czego się dowiedziałem. – Przeszedł od rozmowy przez telefon do pisania.

Nabrałem powietrza, żeby mu odpowiedzieć, ale już się rozłączył.

Palant.

– *Wygląda jak bariera nie do pokonania, no nie?* – piknęła jego kolejna wypowiedź.

– *No* – odpisałem.

– *Ale pomimo tego wchodzisz w to?*

– *No.*

– *W okolicy jest pięćdziesięciu snajperów. To znaczy o tylu wiem. Nie przegapiłeś tego?*

– *Nie przegapiłem.*

Wyglądało to na szaleństwo, ale moja odpowiedź była prawdziwa. Ktoś musiał powstrzymać Tizoca. Plan odkryty przez Carlosa był dokładnie przemyślany, od dłuższego

czasu przygotowywany. Mogło to sprawiać wrażenie, że Tizoc specjalnie czekał z jego realizacją do chwili, kiedy politycy najsilniejszych państw będą najbardziej podatni na jego wpływ, najłatwiejsi do skorumpowania.

Znowu przejrzałem w duchu szczegóły jego planu, i to z różnych punktów widzenia.

Plan był szalony, ale miał więcej niż tylko małą nadzieję na sukces. Prastary wampir wyciągnął wnioski z poprzednich błędów, nie decydował się władać ludzkością osobiście, ale za pośrednictwem innych ludzi. Nie zamierzał wdrapywać się na szczyt piramidy za pomocą przelewu krwi, ale korumpując możliwych tego świata. Tylko że to nie przyniesie żadnych zmian w porównaniu ze starymi wydarzeniami. Pamięć, którą ukradł Carlosowi, zabrana z kolei niegdyś śpiącej wampirzycy, zawierała w sobie doświadczenia i wiedzę trzydziestu tysięcy lat. Tej nocy, kiedy ją poznawałem, zrozumiałem, że wszystko zasadało się na tym, że wampiry prędzej czy później zmieniają się w potwory pragnące umęczyć swoje ofiary. Potwory, które deprecją swoją inteligencję i dążą do własnej zguby. Przeklęty rodzaj?

Równocześnie, w mniejszym oczywiście stopniu, przeszkadzało mi to, że ludzie pokroju Derwisza albo jego dziecka mieli się stać byłym hodowanym na rzeź.

Pochyliłem się nad laptopem i zacząłem pracowicie wystukiwać:

– Gdybyśmy mieli czas, przedostałbym się podziemiami i zapewne jakieś przejście bym znalazł. A tak potrzebuję twojej pomocy – musisz odszukać drogę w jakichś dokumentach. Sztolnie odpływowe, tunele pomocnicze powstałe podczas drążenia metra, coś w tym rodzaju.

– Rozumiem, już zabieram się do roboty. Nie wyłączaj komputera.

Oczekiwałem na kolejne zdania, ale nic się nie ukazywało. Chyba już wyłączył się z poczty e-mailowej. Siedziałem nieruchomo w zamyśleniu.

– Tylko włącz laptop do sieci.

– Cholera, ma rację – zakląłem.

Odwrociłem się, żeby to zrobić, i o mało co nie wpadłem na Tes.

Zawsze tak cicho się zbliżała.

Miała na sobie lekki, ściągnięty paskiem szlafroczek, który rozchyłał się u góry, odsłaniając cienkie ramiączka czegoś, co mogło być nocną koszulką albo jakimś letnim ciuszkiem. Pewnych spraw człowiek ani nawet wampir nie może być zupełnie pewny.

Stała blisko, czułem delikatny zapach żelu pod prysznic i jej samej.

– Według tego, co pisze Derwisz, nie masz szans na dostanie się do nich.

Chyba stała koło mnie już od dłuższego czasu. Co mogło mi się stać, że jej nie dostrzegłem ani nie wyczułem jej obecności? Teraz moje zmysły przebudziły się i mógłbym przysiąc, że czuję ciepło jej ciała, miękkość skóry, a nawet powiew spowodowany ruchem

rzęs. Stojąc tak obok mnie, wydawała się jeszcze mniejsza i delikatniejsza niż zazwyczaj, a równocześnie nieodparcie pociągająca. Odchyliła głowę, oczy miała duże, łagodne jak ranna łania, wargi oczekujące pocałunków, namiętych pocałunków, które mogą boleć i smakować krwią.

Położyłem rękę na jej talii.

Ciepło przenikało przez cienki materiał.

Znalazłem końcówkę paska, pociągnąłem i szlafroczek rozchylił się. Miała na sobie lekką koszulkę i nic pod spodem, tylko sterczące piersi i krągłe biodra wypychające materiał.

Pogłaskałem ją po twarzy, opuściłem dłoń po szyi ku piersiom, a potem niżej, na brzuszek i biodra. Dotyk jej ciała był o wiele przyjemniejszy, niż sobie to wyobrażałem.

Pocałowałem ją ostrożnie, przez chwilę wydawała się przestraszona, ale szybko rozluźniła się w moich objęciach.

Pocałunek też był słodszy, niż się spodziewałem.

Przerwałem go, zanim było za późno na opamiętanie się, pozwoliłem szlafroczkowi opaść na podłogę, wziąłem ją na rękę i zaniósłem do łóżka.

Kochałem się z nią znacznie później, kiedy pod wpływem moich pieszczot drżała jak pisklę.

Wzdychała, jęczała, krzyczała, albo może to ja wzdychałem, jęczałem i krzyczałem, nie byłem pewny, zbyt długo się powstrzymywałem.

* * *

Na koniec skuliła się obok mnie, objąłem ją i wpadłem w objęcia boga, który nie był Morfeuszem, ale jakimś innym bogiem, którego zna tylko niewielu.

Śniło mi się, że naga Tes stoi przede mną i przygląda mi się.

Kiedy obudziłem się tuż przed świtem, leżała w tej samej pozycji, w jakiej zasnęła. Ostrożnie wyciągnąłem spod niej ramię, starannie ją przykryłem i wyszedłem z sypialni do pracowni.

Właśnie zabrzączał sygnał e-maila od Derwisza, pierwszy od czasu naszej wieczornej rozmowy.

Byłem goły, ale nie chciałem wracać do sypialni i zadowolilem się szlafroczkem Tes.

Dostałem jeszcze dwie wiadomości od Carlosa. Sytuacja nie przedstawiała się pomyślnie. Według informacji Carlosa Tizoc dogadał się z Wielkimi Mistrzami innych klanów na wspólnym posiedzeniu. Jednomyślnie, z wyjątkiem Snorriego Sturlurssona, znanego mi, uprzejmego mieszkańca północy. Wizja zawładnięcia światem, który stawał się dla nas coraz bardziej niegościnnie, zachwycała stare wampiry.

Praga pełna współpracujących Wielkich Mistrzów. To było niewiarygodne i ten stan rzeczy napawał grozą, nawet bez planu Tizoca. Carlos przysłał drugą informację, że finał całej akcji odbędzie się w małym saloniku konferencyjnym w popołudniowej części zasadniczego spotkania. W postscriptum napisał, że sam w żadnej akcji nie weźmie udziału, ale jeśli będzie w stanie okazać pomoc, to jej udzieli.

Schnittzel się nie odzywał, lecz rozumiałem, że jego pozycja ludzkiego sługi jest o wiele bardziej złożona.

Wziąłem się do studiowania informacji od Derwisza. Wyszukał mnóstwo kolejnych rzeczy, ale nic z tego nie wydawało się użyteczne. Chyba z godzinę rozważaliśmy razem różne możliwości, jednak później daliśmy temu spokój, bo prowadziło donikąd.

* * *

Siedziałem, patrzyłem na wszystkie plany, mapy, rysunki i myślałem. Siedziałem, patrzyłem na wszystkie plany, mapy, rysunki.

Siedziałem, patrzyłem.

Siedziałem.

* * *

Obudziła się o świcie. Słyszałem odgłos zamykanych drzwi od łazienki i szum lecącej wody. Poczułem się tak, jakby w głowie włączył mi się nagle zegar odliczający czas do godziny zero, chociaż nie wiedziałem, gdzie dokładnie to zero się znajduje. Włączyłem ekspres do kawy, wszedłem do sypialni i zacząłem się ubierać.

Każdy szybko się przyzwyczaja do wygod i luksusu, czy to człowiek, czy wampir. Wybrałem ulubioną bieliznę osobistą, granatowe skarpetki z niewielkim emblematem, którego znaczenia nigdy nie odgadłem, szytą na miarę koszulę w kolorze popielatym i granatowe spodnie z tego samego salonu krawieckiego. I jedno, i drugie wykonane było z elastycznego materiału i nie krępowało ruchów. Pasek z matową klamrą i buty. Zostały mi już tylko dwie pary. Wziąłem takie, których jeszcze nie używałem. Jak dotąd nie wypróbowałem jeszcze stalowych żeber usztywniających, które miały zapewnić należyte oparcie dla stóp. Taśmy służyły tylko do ozdoby. Przetarłem buty ściereczką, aż skóra zaczęła pięknie błyszczeć.

Wyprostowałem się i ujrzałem w lustrze stojącą za mną Tes. Nałożyła jedną z moich koszul, rękawy zawinęła, bo były o wiele za długie. Odwróciłem się i opuściłem głowę, a ona stanęła na palcach, żebym mógł ją pocałować.

Niektórych przyjemności nigdy za wiele.

Odstąpiła na kilka kroków, przyjrzała mi się krytycznie, poprawiła koszulę na ramionach i wygładziła ją.

– Powiedziałałabym, że tak jest lepiej – oceniła.

Przejrzałem się w lustrze.

Było lepiej. Wyglądałem jak faceci z reklam albo z żurnala mody. Szkoda, że za kilka godzin to eleganckie ubranie będzie pogniecione, poplamione krwią i podziurawione kulami.

– Kawy? – zapytałem.

– Z przyjemnością. Czy masz tu coś do jedzenia?

Przytaknąłem, wskazując na drzwi.

– Zaraz będzie.

Poszedłem za nią, koszula kończyła się tuż pod pupą i mogłem podziwiać jej nogi. Robiły na mnie takie samo wrażenie jak wtedy, kiedy ujrzałem je po raz pierwszy.

* * *

Nalałem nam kawy i zacząłem przygotowywać tosty z szynką parmeńską, serem, masłem ziołowym oraz odrobiną bazylii. Pokroiłem małe pomidorki na ćwiartki, a do tego jeszcze jedno mango. Do picia miałem w lodówce tylko szampana Moet & Chandon. Nalałem do dwóch szklanek wody z kranu i postawiłem je na stole.

Tes popijała kawę i przeglądała dokumenty, które zostały na ekranie. Po minionej nocy nadal wyglądała bardzo młodo, ale kiedy była zamyślona, robiła wrażenie starszej.

Zacząłem podawać jedzenie. Po krótkim namyśle poszedłem do lodówki i otworzyłem szampana. Szkoda było go tu zostawiać.

Spojrzała z zaciekawieniem.

– Tradycyjne, zdrowe śniadanie wampirów – wyjaśniłem. – Oprócz pół litra krwi.

– Aha – przytaknęła z powagą. – Zdaje się, że jak dotąd zaniedbywałeś to zdrowe odżywianie.

– Nigdy nie miałem na to dość czasu. – Wzruszyłem ramionami i nalałem szampana.

Tosty udały mi się nad podziw, pochwaliłem się w duchu po pierwszym kęsie.

Tes sprawiała wprawdzie wrażenie kruchej, ale jadła z wilczym apetytem. Pewnie była tak samo głodna jak ja.

Napiłem się wody i dolałem jeszcze kawy.

– To tam masz zamiar pójść? – Spojrzała na ekran.

– Tak, cena za przegraną jest zbyt wysoka.

– Chcesz wystąpić przeciw własnemu rodowi?

– Powiedzmy, że jestem samotnikiem i na rodzice zbytnio mi nie zależy. A czy tobie by nie przeszkadzało, gdyby ludźmi rządziły wampiry? – sam zadałem pytanie i łyknąłem trochę szampana.

Mimo że był wczesny ranek, smakował wcale nieźle.

– Nie. – Podniosła głowę. – Bardziej lubię wampiry niż ludzi.

Na chwilę znów wydała mi się nastolatką czytającą sagi o wampirach, która tylko mimochodem wzbudzała w mężczyznach takie myśli, jakimi raczej z nikim nie chcieliby się dzielić.

– Jaki masz plan?

– Rozmyślałem nad nim od pewnego czasu – zacząłem, przyglądając się, jak popróbowwała szampana.

Upiła mały łyczek, z ciekawością obróciła go w ustach i ostrożnie połknęła.

Nie obawiałem się prawnych kłopotów z powodu nalewania alkoholu nieletniej.

Przysunąłem bliżej komputer, trochę popsuł elegancko zaaranżowaną zastawę śniadaniową, ale nie było rady.

– Planuję wziąć auto, w tym miejscu. – Wskazałem na mapie strzałką kursora. – Zjechać z jezdni i dotrzeć do budynku po trawnikach, pomiędzy drzewami. A dalej to już będzie łatwa zabawa.

– Nie wygląda mi to na zbytnio dopracowany plan – oceniła całkiem słusznie.

– Jednak niczego innego nie wymyśliliśmy z Derwiszem.

– Pamiętam, że gdzieś przeczytałam, że w okolicy rozmieszczonych jest pięćdziesięciu snajperów.

– Będę się krył. – Wzruszyłem ramionami. – I nie tak łatwo mnie zabić.

Oczywiście, o ile nie trafią mnie w głowę z jednego z tych skutecznych karabinów przeznaczonych do niszczenia lekko opancerzonych wozów bojowych. Nie jestem transporterem.

Wydeła usta z niezadowoleniem i nagle zrobiła się z niej pilna uczennica – dziewczynka.

Jednak w takim razie nie powinna siedzieć w samej tylko męskiej koszuli, ze szklanką szampana w ręce.

Plan wyraźnie jej się nie podobał. Mnie zresztą też nie.

– Jakie skombinujesz auto, jakieś szybkie?

– Nie, wezmę tę starą tatrę. Wytrzyma sporo, zanim ją postrzelają.

Pokręciła głową.

– Mam pomysł – powiedziała, dopiła szampana i wyciągnęła do mnie szklanekę po dolewkę.

Gdzie się podziała ta powściągliwa, cicha dziewczyna.

* * *

Dwie i pół godziny później siedziałem za kierownicą kabrioletu Bentley Supersports Continental Convertible z Tes obok. W przegródce na parasole umieściłem oba miecze, a w schowku pod tablicą przyrządów wojskowe radio, które jeszcze niedawno należało do snajpera zajmującego stanowisko na skraju pilnowanego obszaru. Powoli jechałem prawym pasem po łączniku południowym. Dwunastocylindrowy silnik mrucał prawie niesłyszalnie, udając, że szybkość pięćdziesięciu kilometrów na godzinę w ogóle mu nie przeszkadza.

Zanim z pomocą Carlosa zdobyłem auto i wykorzystując informacje od Derwisza, unieszkodliwiłem snajpera, Tes zdążyła umyć włosy, przygotować się i przebrać.

Mini na cienkich ramiączkach, cieliste pończoszki i perfumy do spółki z sex appealem, którego nawet sobie nie uświadamiała, wszystko to powodowało, że za bardzo jej się nie przyglądałem. A jeśli się o to pokusiłem, natychmiast przestawałem myśleć o snajperach, agentach tajnych służb, glyhenach i Wielkich Mistrzach.

Skręciłem z czteropasmowej autostrady w boczną ulicę i skierowałem się ku Centrum Kongresowemu. Tu zaczynała się już strefa pilnowana i obsadzona snajperami. Marynarkę rzuciłem na tylne siedzenie. Nie mieliśmy ze sobą żadnych innych przedmiotów, jeśli nie liczyć torebki Tes.

– Biały kabriolet w przestrzeni monitorowanej. Wewnątrz mężczyzna i kobieta, numer rejestracyjny... – radio naraz ożyło.

– Jedzie powoli, zbliża się do końca pierwszego pasa.

– Zaraz będziemy mieli numer, poczekajcie.

Wiedziałem, że kilku znakomicie wyszkolonych snajperów przygląda nam się teraz przez celowniki. Umieeli strzelać i celowali tak, żeby na pewno zabić – w głowę.

Tes odwróciła się, przesunęła ku mnie i namiętnym pocałunkiem spowodowała, że przestałem myśleć o broni i tych, którzy trzymali ją przy oku. Przez chwilę miałem kłopot z utrzymaniem bentleya na pasie ruchu, w ogóle na drodze.

– Ale ma tam kicię – odezwało się radio. – Chętnie bym się z nim zamienił.

– Nie wygłupiaj się – syknąłem do Tes, kiedy przyszedłem do siebie.

Uśmiechnęła się do mnie, oczy jej błyszczały, sukienka podjechała do góry tak wysoko, że wyobraźnia zaczęła pracować na pełnych obrotach.

– Samochód należy do Jorendeza Somerleva, pracownika ambasady brazylijskiej.

Położyłem rękę na udzie Tes, dotyk spowodował, iż doszedłem do przekonania, że najlepiej byłoby odwołać całą tę bezsensowną akcję i zatrzymać się gdzieś, gdzie będzie więcej prywatności.

– Tu jedyńka, sektor drugi, trzymam cel na muszce – odezwało się radio. – Czekam na rozkaz eliminacji.

Zabrałem rękę i przybrałem taki wyraz twarzy, jakbym niczego nie słyszał.

– Zwariowaliście, jedyńka! Tu nie jest jakiś cholerny Afganistan! To cywile! – krzyknął do mikrofonu głos, którego przedtem nie słyszeliśmy.

– Powtarzam. Czekam na rozkaz – zabrzmiała szorstka odpowiedź.

– Stanowisko trzecie, przygotować się do zatrzymania białego kabrioletu z mężczyzną i młodą kobietą. Sprawdźcie dokumenty i nie puszczajcie ich dalej – rozkazał oficer dowodzący.

Skręciłem siłą głosu radia do zera.

Tes uśmiechnęła się do mnie i położyła rękę na mojej dłoni.

Zatrzymał nas posterunek czeskiej mundurowej policji drogowej, stojący obok nieoznakowanego samochodu.

Podąłem policjantowi papiery wozu i podrobione prawo jazdy. Tes wysiadła, obeszła auto, promiennie uśmiechnęła się do funkcjonariusza i z ciekawością przyglądała się, co robi.

– Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, skąd panowie mogą poznać, kto jest złym kierowcą, kto popełnił jakieś przestępstwo albo ukradł auto.

Patrzyła na niego z podziwu godną naiwnością, pod którą skrywało się coś więcej. Aż mnie ukłuła zazdrość, wbijająca się ostrzem prosto pod serce.

Niepewny, ale równocześnie ucieszony policjant mruknął coś w odpowiedzi, ona wskazała na coś w prawie jazdy, chwytając go mimowolnie za rękaw i pochylając się ku niemu.

Uległ jej urokowi jeszcze szybciej niż ja, czemu trudno byłoby się dziwić, był młodszy ode mnie i nie miał mojego doświadczenia.

Bałamuciła go jeszcze przez chwilę, aż popatrzył na kolegę stojącego przy samochodzie. Prawdopodobnie żałował, że nie jest z Tes sam.

W końcu odprowadził ją do wozu i nawet przytrzymał jej drzwiczki.

– Może pan jechać – powiedział, zwracając mi dokumenty.

– Więcej tego nie rób – powiedziałem trochę zdenerwowany, kiedy odjechaliśmy.

– Czego mam nie robić?

Uwodzić policjantów na drodze, chciałem odpowiedzieć, ale zamiast tego pokiwałem tylko głową. Pytanie, czy ona w ogóle umiała zachowywać się inaczej. Znów podkreśliłem poziom głosu w radiu.

– Godzik, dlaczego go, u diabła, nie zatrzymałeś, tylko paplałeś z tą flądą?

– On ma dokumenty dyplomatyczne, proszę pana. Jako policjant drogówki nie mam uprawnień, żeby zatrzymać kogoś takiego, a nie dostałem rozkazu w tej sprawie.

– Więc sprawdźcie to, do cholery.

– Już sprawdzamy. Za minutę będziemy wiedzieli.

Pałac Kongresowy był już niedaleko. Teraz mogli zacząć strzelać lada moment. Jeśli skrócę sobie trasę po chodniku, to dotrę tam w dwadzieścia sekund, nawet przy naszym powolnym tempie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Odwrociłem się do Tes, a ona, jakby czytając mi w myślach, przytuliła się do mnie, prawie wchodząc na kolana. Skręciłem kierownicę, wielki wóz wjechał na chodnik, lewe koła toczyły się po świeżo przystrzyżonym trawniku.

– Skręcił, nagle skręcił!

Tes całowała mnie naprawdę, była pobudzona i gorąca.

Kątem oka dostrzegłem kamienny krawężnik otaczający korso biegnące wokół Pałacu Kongresowego.

Ostatnie metry.

Odepchnąłem ją delikatnie, oddychała szybko, oczy miała jeszcze większe niż zazwyczaj, ale nie rozumiałem ich wyrazu.

W radiu przekrzykiwało się kilku ludzi równocześnie. Wyraźnie nie mieli pojęcia, co powinni teraz zrobić. Koncepcje wydawały się całkiem sprzeczne.

– Idę do środka – powiedziałem. – Połóż się na podłodze i wystaw głowę, dopiero jak będzie po wszystkim. Jeśli przyczepi się do ciebie policja albo ktoś inny, to powiedz, że cię zmusiłem, jasne? Uwierzą ci na pewno.

Przytaknęła w milczeniu.

Nacisnąłem hamulec, wytraciłem szybkość, zderzak dotknął krawężnika.

Wyskoczyłem z wozu, obydwie miecze trzymałem w lewej ręce, blisko ciała, żeby były jak najmniej widoczne.

Fotokomórka u drzwi była powolna, ale liczyłem się z tym. Wewnątrz natknąłem się na dwóch strażników w szarych dwurzędowych garniturach. Byli ludźmi, zewnętrzny krąg zawsze składa się z ludzi, którzy nie wiedzą, o co tu w ogóle chodzi.

Ten po lewej sięgnął pod marynarkę, drugi chciał mnie zatrzymać bez pomocy broni. Nie uzgodnili sposobu postępowania, nie byli zawodowcami.

Jeden szybszy krok z obrotem na czubku buta, kopniak w bok złamał rękę zanurzoną pod marynarką i prawdopodobnie kilka żeber.

Wyprost, zmiana postawy. Rzucający się na mnie strażnik sam znalazł się na właściwym miejscu. Kopnąłem go w podbrzusze, zacharczał w wymuszonym wydechu i spadł na podłogę jak pusty worek.

Popędziłem ku szerokim schodom wiodącym na piętro. Trzech facetów nadbiegających z różnych stron starało się przeciąć mi drogę. Sądząc po ich sposobie poruszania się, to też byli ludzie. Wyciągnęli broń, na razie jednak nie mogli strzelać, mając na linii ognia kolegów. Chyba że zaryzykują. Nie chciałem jednak, żeby znaleźli się za moimi plecami.

Biegając, zmieniłem nagle kierunek, wpadłem na najbliższego mężczyznę. Schyliłem się i wpakowałem mu pięść tuż pod żołądek. Zaraz potem wyprostowałem się i zaparłem nogami w podłogę, żeby zmienić kierunek z powrotem ku schodom.

Dryblas z blizną, któremu podczas biegu migwały białe skarpetki, już szykował się do strzału. Nie pozwolił mu na to kolega, zmuszony do wykonania salta w tył. Świat nieco zwolnił, moja podświadomość oceniła, że sytuacja tego wymaga. Widziałem kształt i położenie lufy, naprężenie jego mięśni, domyślałem się, kiedy wystrzeli i gdzie będzie celował. I cały czas miałem na oku trzeciego.

Wystrzelił, kula odłupała kawałek marmuru z podłogi, nieco bliżej, niż zakładałem. Długi krok, odbicie do obrotu. Trafiłem go piętą w bok głowy, aż zatoczył się na balustradę. Broń wypadła mu z ręki, bezwładnie rozciągnął się na lśniącej podłodze.

Ostatni z nich właśnie zaczął odwracać się do mnie, czujny wzrok, lufa skierowana wprost w moją pierś.

Machnąłem lewą ręką i trafiłem go pochwą miecza w szyję. To wystarczyło.

* * *

Wskoczyłem na poręcz, wbiegłem po niej trochę wyżej, odbiłem się i złapałem za krawędź drugiej części schodów. Energicznie się podciągnąłem, siłą rozpędu pokonałem poręcz i opadłem w kucki po jej drugiej stronie.

Dwójka, która zbiegała z drugiego piętra, zauważyła mnie od razu; dwóch innych, którym wylądowałem za plecami, dopiero po chwili. Ale zareagowali natychmiast, bo to już były glyheny. Widocznie dostałem się do drugiego kręgu strażniczego armii Tizoca. Marynarki wypychały im duże kabury z bronią. Jednak żaden z nich jej nie wyciągał, zamiast

tego jakimś kuglarskim cudem zmaterializowały się w ich rękach trochę bardziej prymitywne narzędzia.

Wielki nóż, obuch z żelaznymi kolcami, toporek z teleskopowym uchwytem, dwa krótkie miecze. Te glyheny musiały być bardzo stare. Poruszały się płynnie, a równocześnie niezwykle szybko.

Wysunąłem nieco miecze z pochew i machnąłem tym, który ująłem w prawą rękę. Pochwa wyleciała z szybkością strzały prosto w glyhena z obuchem, który okazał się najszybszy. Łatwo ją odbił, ale już nie starczyło mu czasu na obronę. Przebiegłem obok niego, rozcinając mu bok całą długością ostrza.

Glyhen z toporkiem zastawił się przeciw memu cięciu z góry, nie pozwoliłem mu na wykonanie blokady, opuściłem broń i starałem się zadać pchnięcie. Znowu zareagował niewiarygodnie szybko, jakby jego niezgrabna broń nic nie ważyła, a przy tym, wykorzystując swoją bliskość, spróbował dosięgnąć mnie pustą dłonią.

Zaskrzypiał metal.

Nie była pusta, nasadził na nią stalową rękawicę.

Przedramię aż mi zdrętwiało. Jego atak był niesłychanie energiczny i odbicie ciosu na bok sprawiło mi dużo kłopotu.

Odkoczyłem od glyhena, obróciłem się i pchnąłem od tyłu w kark. Zaskoczony znieruchomiał, jakby nie mógł się zdecydować, czy powinien od tej rany umrzeć, czy też nie. Kopniakiem w pierś zrzuciłem go ze schodów. Jak żywy czy może już martwy pocisk zwałił z nóg kolejnego przeciwnika.

Do wykonania obrotu użyłem energii kopniaka i obniżywszy środek ciężkości, zastawą uchroniłem się przed ścięciem głowy. Cięciem z dołu do góry rozplątałem tego niezwykle szybkiego bękarta od podbrzusza aż do mostka, dosięgając nawet kilku kręgów pancerzowych.

Świat znowu zwolnił, a powietrze zgęstniało, tak że każdy ruch kosztował mnie sporo wysiłku. Na szczęście zbyt szybko nie ubywało mi sił, tylko przeskoczyłem o jeden stopień wyżej w gradacji szybkości.

Ostatni glyhen, uzbrojony w dwa krótkie miecze, dotrzymywał mi pola, bardzo sprawnie zasłaniając się jednym z nich przed moim cięciem. Tymczasem ja go tylko zwiodłem pozorowanym atakiem, zmusiłem do zmiany postawy i wtedy dopadłem. Poczulem ostrze jego miecza wbijające się w mój bok, ale ściałem go z łatwością, która zdumiała również mnie.

Wszystko to potrwało jakiś czas i piąty glyhen zdążył zablokować mi dalszą drogę.

Trzy szybkie, posuwiste kroki, podeszwy tuż nad marmurową podłogą. Ostatni przeciwnik trzymał w jednej ręce pistolet, a w drugiej półmetrowej długości tasak ze spiczastym grotem.

On też był szybszy, niż uważałem za możliwe. Zdołał wycelować we mnie, kryjąc się równocześnie przed moim pchnięciem.

Nie zdążył nacisnąć spustu, został za mną z wybałuszonymi oczami wpatrzonymi we własne ramię opadające na podłogę.

Korytarz przede mną wypełnił się dalszymi obrońcami. Zapomniałem o sztuce szermierczej z całą jej finezją, uskokami i sztuczkami. Byłem po prostu coraz szybszy.

Przewijałem się po linii krzywej pomiędzy sługami wampirów, wyposażonymi w najróżniejsze rodzaje broni, pozostawiając za sobą rozplątane korpusy, odcięte kończyny i głowy. Glyhen może wytrzymać więcej niż człowiek, o wiele więcej, więc niektórym pozostałym za moimi plecami wrogom daleko było do śmierci. Żaden z nich nie mógł mi jednak zaszkodzić w ciągu najbliższego czasu.

Gdzieś z przodu odezwał się głośny krzyk, przechodzący w ryczenie. Głos był tak głęboki, że z trudem go rejestrowałem i zupełnie nie mogłem zrozumieć.

Zresztą to nie miało teraz znaczenia. Ważna była szybkość i moje miecze, z których kapła na podłogę gęsta, gorąca krew.

Krew.

Pojawiły się dalsze glyheny z tępyimi pyskami, ubrane w długie, nieforemne płaszcze.

Im starsze wampiry, tym gorszy gust.

Przyhamowałem, zmieniłem kierunek, potem błyskawicznie przyśpieszyłem i wyminąłem pierwszego z zaskoczonych oberwańców z lewej strony. Nawet przy mojej ogromnej szybkości zdążył machnąć mieczem, mierząc w mój bok. Zbyt wolno, był właściwie jak zakąska przeznaczona do jednorazowej konsumpcji.

Zasłonę trzymałem blisko ciała, szykując się do cięcia z góry, gdy nagle spod płaszcza wyłoniła się druga klinga, której nie powinno tam być. Skąd, do diabła, wytrzasnął jeszcze jedną rękę? Ten po drugiej stronie ruszył nieoczekiwanie szybko i nagle miałem przed sobą cztery miecze i cztery nieprzyjemnie zębate sztylety! Te glyheny miały dwie pary rąk! I to cholernie zwinnych!

Zamiast odbijać cięcie, ześliznąłem się po marmurze i odchyliłem do tyłu. Błyszczące ostrze pozbawiło mnie guzika od koszuli i zadrasnęło skórę. Wbiłem piętę w kamień i odbiłem się do ryzykownego salta w tył.

Przed rozplątaniem ochroniła mnie jedynie klinga miecza utrzymywana blisko brzucha. Głęboką ranę na udzie odczuwałem jako coś, co mnie wprawdzie nie boli, ale na pewno nieprzyjemnie spowolni.

Wylądowałem na nogach, mając przed sobą osiem kling zbliżających się z różnych kierunków. Musiałem zastosować coś zaskakującego, zmienić rozwój sytuacji, zmierzającej konsekwentnie do krwawej siekaniny. Na podstawie doświadczenia nabytego w ciągu poprzednich kilku sekund odgadłem, do czego są zdolni, i odbiłem się do skoku, podczas którego miałem tylko minimalną możliwość skorygowania swojego ruchu.

Na szczęście przeleciałem obok wszystkich ostrzy jak Houdini i znalazłem się za plecami przeciwników.

Pchnięcie, doskok i cięcie, które przecięło połowę kręgów, pociągnięcie do góry.

Dwa ciała padające na podłogę, za nimi kolejne.

Już wiedziałem, czego mogę się spodziewać po przeciwnikach, i wyprzedzałem ich w każdym ruchu.

* * *

Jeszcze bardziej przyśpieszyłem.

Niedobór tlenu, gorąco i zmęczenie. Potrzebna mi była przerwa, ale salonik konferencyjny musiał być w pobliżu.

Wszędzie, gdzie spojrzałem, podłogę pokrywała krew, dookoła pełno uciętych rąk, głów, tu i tam noga, górna połowa korpusu przerąbanego skośnym cięciem powoli zsuwała się po schodach, a dwie pary muskularnych ramion na próżno starały się dosięgnąć celu.

– To wampir! Prastary wampir! – Nareszcie rozumiem sens tego ryku glyhenów, wznoszącego się coraz głośniejsz na granicy infradźwięków.

Nie jestem żadnym pieprzonym prastarym wampirem, nawet nie mam jeszcze trzystu lat. A może już mam?

* * *

Ruszyłem dalej korytarzem, mając przed sobą dwa glyheny. Jednego okaleczonego, tylko z trzema rękami, drugiego chuderlawego, w elastycznej koszulce, z długimi mieczami wyglądającymi na bardzo stare.

Jestem zwinny, ale niewystarczająco. Odbił moje cięcie z wolnej postawy, pchnięcie skierował w bok opancerzonym ramieniem, a trzecią ręką zadał mi cios w głowę. Dostrzegłem uderzenie, ale to wszystko, co zdołałem osiągnąć. Ochroniła mnie tylko duża odporność kręgosłupa szyjnego.

Wywinąłem się saltem do tyłu, odbiłem klingę kierującą się w moje podbrzusze. Stałem na obu nogach w niskiej pozycji. Myślał, że mnie trafił, i nie przedłużył ataku, zyskałem więc dystans oraz kilka dziesiątych sekundy zwłoki.

Tylko że ci dwaj nie byli jedynymi, za nimi oczekiwały kolejne glyheny tego samego rodzaju, które obstały mnie rozproszoną gromadą.

Czas staje się teraz ruchem. Jeden pada na podłogę cięty mieczem, ale to wszystko, reszta rzuca się na mnie. Poruszają się jak wampiry, ale są szybsi od wszystkich, które dotąd napotkałem.

Odbijam pchnięcie w szyję, wstaję, ale ostrożnie, żeby nie wybić się w powietrze. Wokół klingi, toporki, palki, kule na łańcuchach.

Napastnicy reagują jak jeden mąż, doskonale zgrany twór – naraz rozumiem, że nie mam szans, walcząc przeciw czemuś, co było trenowane i ulepszone od setek lat. Ale nie zamierzam się poddawać.

* * *

Pierwszych dwóch zginęło, ponieważ nie umieli sobie wyobrazić, że ktoś może być tak szybki jak ja.

W śmiertelnym kręgu wokół mnie powstała pierwsza luka.

Kolejnych trzech zginęło, mimo że zdołali już pojąć, jak jestem szybki. Jednak nie mogli nic na to poradzić, zrozumieli tylko tyle, że zobaczyli to także ich kompani.

Czwarty, któremu rozciąłem głowę, poświęcił się, żeby mnie spowolnić, co mu się udało, bo miał niezwykle twardą czaszkę.

Stałem z jednym mieczem opuszczonym nisko przy udzie, a drugim wzniesionym ukośnie do góry. W mojej nodze tkwiły dwa toporki pochodzące z okresu, w którym kowale sami wypalali dla siebie węgiel drzewny.

A doskonały organizm bojowy kontynuował atak, którego ukoronowaniem powinno być moje stygnące ciało.

Nagle, chociaż stałem bez ruchu, nie podejmując żadnych działań, zniknęło ostrze zagrażające mojej głowie i głowica obucha, która w następnej chwili powinna zmienić mój staw biodrowy w mieszaninę kości, chrząstek i rozbitego mięsa.

Zyskałem wokół siebie wolną przestrzeń, a za plecami ujrzałem trzy krzepkie glyheny o topornych rysach twarzy i zaciętym spojrzeniu oznajmiającym: „Wprawdzie tego nie przeżyjemy, ale i tak jest nam wszystko jedno”. Na placu boju pojawiły się twory Carlosa. Posiłki przybyły.

Ruszyłem do ataku, a nieoczekiwani sojusznicy wraz ze mną.

Przeskoczyłem na kolejny poziom szybkości, choć przedtem nie wiedziałem, że mam jeszcze jakieś przyspieszenie do dyspozycji, że w ogóle istnieje. Glyheny Carlosa dotrzymywały mi kroku. Były szybkie, zadziwiająco szybkie, prawie tak jak ja. Już nie byłem sam.

* * *

Ciała wyrzucone w powietrze mocarnymi ciosami, łamiące się kości, zgrzyt stali, krzyki umierających.

Kiedy dotarliśmy do łagodnego zakrętu korytarza, było nas już tylko dwóch, ja i ostatni z glyhenów Carlosa.

Nie odwracałem się, krwawa mgła nadal unosiła się w powietrzu, i tak nic nie byłoby przez nią widać.

Zobaczyłem kolejnych nieprzyjaciół, całe ich mrowie.

– Prastary wampir! Zapora ogniowa!

Tym razem zrozumiałem, co ryczał głębokim basem dowódca.

Zastępy wrogów przed chwilą przypominały mi las, a teraz raczej gęstą dżunglę składającą się z glyhenów i wampirów z bronią palną w rękach.

Nie zatrzymywałem się, nie było sensu.

Najbliższych dwóch przeciąłem jednym cięciem od biodra do ramienia. Przedarłem się między nadal jeszcze stojącymi ciałami i przeciąłem gardło glyhena naciskającego właśnie spust broni wycelowanej we mnie. Glyhen Carlosa skutecznie krył moją lewą stronę.

Posunęliśmy się nieco do przodu, jakiś glyhen po prawej stronie mierzył do mnie z automatu, brodacz stojący o dwa kroki za nim uniósł wielkie kanciaste pistolety, których magazynki wystawały mu z dłoni. Lufy rozbłysły ogniem.

Odbicie do przodu, podparcie drugą nogą, żeby utrzymać wymaganą wysokość skoku. Spóźnione cięcie doszło aż do kości, ale nie głębiej, dzięki czemu mnie nie zatrzymało. Ramieniem odrzuciłem na bok oba pistolety i pociągnąłem ostrzem wzdłuż wewnętrznej strony uda. Ten wampir wprawdzie nie zginął, ale ból spowodowany brutalną kastracją całkiem go sparaliżował.

Glyhen Carlosa z bezwzględną determinacją oczyścił bezpośrednią okolicę, płacąc za to nożem wbitym w ramię i w udo oraz kilkoma trafieniami z pistoletu.

Czas na chwilę stanął, pochwyciłem jego pytający wzrok: „Idziemy dalej?”.

W powietrzu zagwizdała nowa porcja pocisków.

Czas staje się czymś nierealnym i zwodniczym. Ucinam rękę, kanciasty kształt automatu spada razem z nią na podłogę. Palec nadal naciska spust, rejestrując pociski odbite od posadzki jako wachlarz szarych, zdeformowanych kulek.

Ktoś na mnie wpada, nie stawiam oporu, robię piruet z odbiciem z prawej nogi, jeszcze przyśpieszam obrót, w rotacji przelatuję pomiędzy krzyżującymi się seriami ze starego peemu. Przed dotknięciem podłogi rozkładam ręce, a błyszcząca klinga rozcina czaszkę napastnika uzbrojonego w nieforemną strzelbę. Mój partner trzyma się za mną, krwawi z licznych ran, lecz wciąż oczyszcza mi przestrzeń za plecami. Długo jednak nie wytrzyma, podobnie jak ja, ponieważ powietrze przecina o wiele więcej ołowiu, niż może to być dla kogokolwiek możliwe do wytrzymania.

Znów stoję na równych nogach, odskokiem schodzę z linii ognia karabinu maszynowego. Zadaję pchnięcie grubasowi z zakrzywioną szablą, trzymającemu drugą rękę za plecami. Unika ciosu bardziej manewrem ciała niż zasłoną, jego klinga ślizga się po mnie. W ostatniej chwili zmieniam pochylenie miecza i szczęśliwie wyłapuję jego glisadę. Unika mojej odpowiedzi z niebywałą brawurą, jego fingowany cios w głowę jest tak precyzyjny, że może być atakiem.

Kula trafia mnie w bok, czuję, jak powoli zagłębia się w mięśnie. Trochę mnie to wyprowadza z równowagi, grubas wykorzystuje moment mojej słabości i nagle spostrzegam ostrze jego obustronnej szabli oddalone tylko o centymetry od mojego gardła. Nie mogę go zatrzymać.

Tymczasem jednak grubas nagle staje w miejscu jak wryty, kula przelatuje przez niego na wylot, widzę, jak wychodzi tuż pod żebrami.

Uderzam go od krocza aż do mostka, ale nie pociągam ostrzem, które wywlokłoby na podłogę jego wnętrzności. Takie posunięcie byłoby zabójcze dla każdego z nas, tak samo jak ścięcie.

* * *

Strzelanina nasila się, przechodząc w ciągle dudnienie. Jestem tak szybki, że większość strzałów chybia, ale pocisków jest tak dużo, że prędzej czy później mnie trafią. Raczej prędzej.

Mój partner dotarł do kresu. Bez broni, z piersią rozerwaną niezliczonymi pociskami, z rozległą raną zamiast połowy twarzy i jednym tylko okiem. Złapał jednak obiema rękami za głowę wampira, który z bliskiej odległości pakował w niego jeden strzał za drugim, i ostatkiem sił ścisnął, zgniatając czaszkę, a razem z nią mózg. Zaraz potem runął martwy.

* * *

Zdaję sobie sprawę z przegranej, walczę dalej już tylko z poczucia obowiązku. Skaczę pomiędzy kulami, ledwie je omijając, rękawy koszuli mam w strzępach, materiał spodni porozdzierany razem ze skórą. Długi skok nisko przy podłodze, cięcie, odbicie od korpusu, drugie cięcie, manewr do pchnięcia, przejście do piruetu. Kolejnych czterech zabitych na mój rachunek, ale ogień gęstnieje, nie zostawiając mi praktycznie żadnej przestrzeni do uników.

Dwóch kolejnych dało się zabić tylko po to, żeby mnie zatrzymać. Pomimo ich starań pozostałem w ruchu, ale lufy nadal kierowały się w moją stronę, kryjąc teren przede mną.

Moja szybkość znów podniosła się o kolejny stopień. Wydawało mi się, że osiągnąłem górny limit swoich możliwości, a teraz przesuwam go jeszcze bardziej w górę. Myślę o wiele szybciej niż poprzednio, setna część sekundy ciągnie się całe wieki, mam czas na zaplanowanie wszystkiego, na analizę, na wyszukanie drogi pomiędzy nieprzyjaciółmi, ale na wiele się to nie przydaje – zaporą ogniową nie posiada żadnej luki, niesie śmierć, a drogi ucieczki również nie ma.

Rzucam się naprzeciw torom lotu pocisków i już mogę rozróżnić te lufy, z których dosięgną mnie trafienia.

Wampir z chirurgicznie dokładnymi ruchami tysiącletniego osobnika, a twarzą nastolatka naciska spust.

Pierwszą kulę odbijam mieczem, drugą dłonią, aż boli mnie ścięgno, a trzecią... no cóż, trzecia leci prosto w nasadę mojego nosa, a ja nic nie mogę na to poradzić.

Ale nie dolatuje. Zbijają z toru lotu o wiele szybszy pocisk, który dostrzegam jako zamazaną smugę. A za nim suną kolejne, wszystkie nadlatujące spoza moich pleców. Naraz mam wokół siebie więcej miejsca, a ogień wrogów znacznie traci na intensywności.

* * *

Czy to dotarła reszta glyhenów Carlosa? Nie odwróciłem się, tylko znów rzuciłem naprzód. Nieznany strzelec za mną oczyszczał teren z niezwykle skuteczną i krótkimi seriami, po trzy, cztery pociski, zбивał kule, którym nie miałem szansy umknąć. Tego nie potrafił zrobić żaden glyhen.

Odbiłem się od wysokiego wampira z dwoma wielkokalibrowymi pistoletami w dłoniach, nieoczekiwanym zwodem zmyliłem łysego starca z szybkostrzelnym działkiem, uciałem kilka rąk trzymających broń, jeszcze przyspieszyłem rotację, aż przeszła w piruet, i jednym ruchem ściałem karła z toporem. Przepołowilem waligórę z wojskowym karabinem samopowtarzalnym, pochodzącym z przełomu minionego stulecia. W tym momencie obok mnie znalazła się Tes.

W każdej ręce trzymała kaem MG-42, drewnianych kolb nie opierała na ramionach, ale byle jak ścisłała pod pachami. Długie taśmy nabojoye wlokły się za nią jak tren sukni ślubnej.

Strzelała krótkimi seriami, z zegarmistrzowską precyzją, każdy strzał był dokładnie wymierzony.

– Jeszcze kawał drogi przed nami – syknęła. – A nabojoyów cholernie mało!

Nie miałem czasu zastanawiać się, co to znaczy. Przebijaliśmy się do przodu. Utrudniała życie tym znajdującym się dalej i nie pozwalała, żeby mnie trafili, a ja ułamki sekund później likwidowałem ich z bezpośredniej odległości.

Wykorzystywałem swoją niewiarygodną szybkość do odbijania się od sufitu, przebiegania po ścianach, już nie bawiłem się w szermierkę, korzystałem z tego, że byłem znacznie szybszy i skuteczniejszy od przeciwników.

Na koniec poprzez zwąły martwych i okaleczonych przebiliśmy się aż do ostatnich drzwi.

Z długich taśm nabojoych, które wlokły się za Tes, pozostały tylko krótkie resztki, jej ubranie nasiąkło krwią, w oczach miała bitewne szaleństwo.

– Kim ty jesteś? – wydyszałem, kątem oka kontrolując, czy ktoś nie zamierza poszukać na nas odwetu.

Nie mieli na to ochoty, razem z Tes zadaliśmy im ciężkie straty.

Drzwi otworzyły się, zanim zdążyła mi odpowiedzieć. Pojawił się w nich osiłek w nieokreślonym wieku, krótko ostrzyżony, z szarymi oczami bez wyrazu.

Poznałem go po atmosferze siły, jaką wokół siebie roztaczał, jakby był źródłem własnego pola grawitacyjnego. Jednak tym razem nie sprawił już na mnie takiego porażającego wrażenia jak poprzednio. Teraz byłem w stanie przeciwstawić mu się, ponieważ stałem się źródłem własnej siły. Był to ten sam nieznaną gość, z którym zetknąłem się, będąc w niewoli u Tizoca. Przeszedł wtedy przez ochronę jak duch i gołymi rękami zabił jednego z doświadczonych wampirów. Dziś i ja bym tego dokazał. Być może. Mechanizm drzwi zamknął się z ledwie dosłyszalnym trzaskiem.

Popatrzył na mnie, na moje miecze, jego twarz nadal miała wyraz omszałego głazu granitowego. Nawet krwawa jatka za moimi plecami nie wyprowadziła go z równowagi. Dopiero kiedy przeniósł wzrok na Tes, wyraz jego twarzy się zmienił i pojawiła się na niej radość.

– Ciebie bym tu raczej nie oczekiwał, ale to miła niespodzianka.

– Ja ciebie także nie. A czy to naprawdę miła niespodzianka, dopiero zobaczymy.

Nie słyszałem takiego tonu u Tes. Nie sprawiała już wrażenia szesnastolatki, ale kobiety sporo starszej. Dwudziestodziewięciolatki, trzydziestolatki. Może dlatego brzmiał jeszcze bardziej sexy i nawet tu budził we mnie myśli, o których powinienem jak najszybciej zapomnieć.

A równocześnie poczułem zazdrość.

– Co to za jeden? – zapytał. – Twoja nowa zabawka?

Przeszedłem już zbyt długą drogę, by go lekceważyć czy dać się sprowokować do bezsensownego ataku z powodu jakiegokolwiek zaczepnej uwagi. Wydawało mi się, że czeka właśnie na coś takiego.

Tes nie odpowiedziała.

– Nie mam nic przeciwko tobie – powiedziałem cicho.

Miecz trzymałem zwrócony ku podłodze, trochę przed lewą nogą, żebym mógł w każdej chwili ciąć ukośnie do góry, drugi miecz zapewniał mi obronę.

– Ale przejdę przez te drzwi.

Znów zwrócił na mnie spojrzenie.

– Otrzymałem zadanie sprawdzenia, czy Tizoc jest ojcem dziecka Messaliny. W momencie kiedy cię zobaczyłem, moje zadanie zostało wykonane: nie był ojcem jej dziecka, ponieważ to ty nim jesteś. A to wiele wyjaśnia.

– A teraz masz inne zadanie – rzuciłem.

– Tak, od Tizoca. Mam nie dopuścić, żeby ktoś wszedł do środka.

W poczuciu siły, pewności siebie, w jego postawie, w tym, jak był zrównoważony, a równocześnie wyluzowany, nie było ani jednej szczeliny, zdawał się monolitem nie do przejścia. To znaczyło, że będę miał więcej roboty, bo najpierw muszę stworzyć taką szczelinę, okazję do ataku.

Nie zdołałbym go zaskoczyć.

– Wchodzę do środka – oznajmiłem.

Bez słowa ustąpił na bok.

– Z uwagi na dawne czasy – uśmiechnął się do Tes – chętnie spotkałbym się jeszcze kiedyś z Messaliną. Tizoc jest starym sknerą, nie dał mi żadnej zaliczki. Nie muszę mu nic zwracać. Odstępuję od kontraktu, życzę dużo szczęścia. – Skinął mi głową i odszedł korytarzem pełnym zabitych i okaleczonych wampirów.

Nie widać było przy nim żadnej broni, nie mógł jej schować pod krótką kurtką skórzaną. Lecz mimo to wcale nie sprawiał wrażenia bezbronniego.

– A te miecze raczej odłóż – rzucił jeszcze przez ramię, zanim zniknął z mojego życia.

Nie byłem wariatem.

Położyłem rękę na klamce.

– Kim ty jesteś? – zapytałem Tes, zanim nacisnąłem.

– Jestem Tes. – Wzruszyła ramionami. – Messalina była moją nauczycielką i koleżanką. Chciałam sprawdzić, co się z nią stało. Myślałam, że wiesz albo że ją zabiłeś.

Życie jest pełne niespodzianek.

– Miałam zamiar cię zabić. Nadal się dziwię, że tego nie zrobiłam.

– Ile ty masz lat? – zapragnąłem wiedzieć.

– Pytasz o to kobietę? – Zaśmiała się, a w towarzyszącym temu wygięciu ust odnalazłem część tej Tes, jaką znałem.

– Właściwie to nawet nie chcę wiedzieć – odpowiedziałem zgodnie z prawdą, naciskając klamkę.

Stały tam dwa. Stare wampiry, może nawet prastare. W ostatnim czasie jakoś nauczyłem się je rozróżniać. Ci już nie zawracali sobie głowy bronią palną. Może uznali, że tego, który dostanie się aż do nich, nie da się tak łatwo zastrzelić. Jeden pochodził gdzieś ze stepów, wyglądał tak, jak zawsze wyobrażałem sobie Dżyngis-chana, drugi jak typowy bywalec barów. Obaj trzymali w rękach miecze współczesnej produkcji, przy czym jeden wzorowany był na szabli nomada, a drugi na mieczu średniowiecznym. Tylko wzorowane, bo obydwie były wyprodukowane według nowoczesnej technologii, jako narzędzie walki wampirów przeciwko wampirom.

Oni nie czekali, ale ja też nie. Dwa kroki tak szybkie, że ich odgłos zlał się w jedno. Ciąłem ukośnie w górę, jakbym dobył miecza z pochwy. Ale Dżyngis-chan też nie stał w miejscu.

Zmusiłem podświadomość do przejścia na wyższy poziom szybkości.

Barowy bywalec zaatakował w ten sam sposób, widziałem, jak klingi się krzyżują. Jego była nieco szybsza, ale na to nic nie mogłem poradzić.

W momencie, kiedy mój *nodachi* zablokował szablę, *tachi* zagłębił się w jego ciele. Kontynuowałem ruch, równoczesna zasłona i atak zmusiły mnie do postawy otwartej. Widziałem, jak ostrze mojego miecza przecina skórę, mięśnie i kości, czułem, jak klinga atakującego ześlizguje się po zasłonie ze zwiększającym się naciskiem.

Moja obrona była zbyt słaba, wiedziałem, że odwet będzie srogi.

Przeciwnik sforsował moją zastawę, ale mój *tachi* dotarł tymczasem aż do kręgosłupa, przecinając go; jego atak natychmiast stracił na sile. Znalazłem się o dwa kroki dalej, a on – pomiędzy mną a Dżyn-gis-chanem. Zrobiłem unik, zmieniłem część ruchu do przodu w

rotację i cofając się o krok, przyspieszyłem ją aż do osiągnięcia stu osiemdziesięciu stopni. Oba miecze trzymałem równolegle i znowu zaatakowałem. *Tachi* ułatwił drogę *nodachi* do ciała unieszkodliwionego już wampira.

Dżyngis-chan zginął podczas ataku; nie miał najmniejszej szansy zareagować na ostrze, które przeszło na wylot przez ciało jego towarzysza.

Oba trupy upadły na podłogę praktycznie w tym samym momencie. Odwróciłem się. Nagle poczułem jakieś zakłócenia w widzeniu, świat zmienił się w niejasne, rozmazane kontury bez szczegółów, tylko widok dwóch obracających się wentylatorów na suficie pozostał wyraźny. Szybko zrozumiałem, co się stało. Przy prędkości, z jaką pracowała moja świadomość, nie byłem w stanie przyjmować wszystkich dostępnych informacji. Skupiałem się tylko na tym, co mogło mi zagrozić, a więc na wszystkim, co poruszało się zbyt szybko. Po chwili zacząłem orientować się trochę lepiej i odnalazłem Tes.

– Nie idź za mną – powiedziałem do niej, własne słowa brzmiały w moich uszach jak powolne, basowe dudnienie.

Przytaknęła.

Rozsądna dziewczyna.

Rany, jakie dotąd odniosłem, nie spowodowały obrażeń, które mogłyby mnie zatrzymać, a niektóre już nawet zaczynały się goić. Ale po ostatnim starciu czułem wszystkie stawy, mięśnie i wydawało mi się, jakby ktoś wyssał ze mnie energię. Poruszałem się zbyt szybko, musiałem jednak tak się poruszać. Jeśli będę jeszcze zwinniejszy, może moja własna moc spowoduje, że rozpadnę się na kawałki. Niepokojąca perspektywa. Teraz mógłbym nawet stąd uciec. Machnąć na wszystko ręką, wyciągnąć z ukrycia jakiś paszport, zmienić osobowość i zacząć nowe życie w innym miejscu. Mieć przy tym nadzieję, że z czasem świat wróci do normy i będę mógł żyć jak dawniej. Uniosłem miecz, był tak ciężki jak nigdy dotąd.

Ale drogi powrotnej nie było, wobec planu Tizoca wszelkie wyobrażenia o dalszym wygodnym życiu musiały wydawać się tylko mrzonką. Kiwnąłem do Tes, odwróciłem się. Od kolejnych drzwi dzieliły mnie cztery kroki.

O ułamki sekund wyprzedziły mnie pociski karabinów maszynowych Tes. Wykopnąłem drzwi z minimalnym opóźnieniem i natrafiłem za nimi na dalsze dwa wampiry. Prastare wampiry. Na szczęście mocno je zaskoczyła seria puszczona przez Tes.

Pierwszego zabiłem cięciem od spodu, drugi odwrócił mój atak. Z wysiłku ledwo byłem w stanie unieść rękę.

Nasze klingi pozostały w kontakcie, przez chwilę obaj się siłowaliśmy. Byłem znacznie szybszy, stwierdziłem to po jego reakcji, a i on doszedł do tego samego wniosku.

Ześlizgiem przerwał kontakt ostrzy i brutalnie, niemiłosiernie ciął z całą siłą, jaką mógł włożyć w cios.

Zasłoniłem się miękko, bardziej odwodząc na bok siłę jego uderzenia, niż je odbijając.

To wystarczyło. Przeprowadził atak z taką energią, że nawet jego konstytucja fizyczna nie podołała tak wielkiej sile i nieuniknionemu przeciążeniu. Najpierw pękły mięśnie podłużne palców, potem nadgarstków, przedramion, a na końcu wyskoczyło ze stawu całe ramię.

O wiele wolniej, niż uważałem za potrzebne, zamachnąłem się do finalnego cięcia i rozplątałem go wzdłuż.

Naprawdę odbyło się to tak szybko, że nie zdążył zareagować.

* * *

Na ile dobrze przypominałem sobie plan Pałacu Kongresowego, korytarz, którym powinienem przejść, i drzwi na jego końcu to było wszystko, co dzieliło mnie od miejsca negocjacji.

Tym razem szedłem powoli, a drzwi otworzyłem cicho.

Były ciężkie, ale nie tak, jak wskazywałyby ich opancerzenie. Grubość miała związek z solidnym wygłuszeniem. Obecni w saloniku z pewnością nie życzyli sobie, żeby im przeszkadzano.

Byłem nadal w stanie maksymalnego przyśpieszenia, spowolniłem więc postrzeganie, żeby dokładnie widzieć otaczający mnie świat.

Zobaczyłem niewielki okrągły salon, w którym wokół owalnego stołu zasiadało szesnastu ludzi. Większość obecnych znałem z telewizji, za każdym z nich stał kolejny człowiek. Człowiek – to znaczyło, że należał do tego rodzaju. Może po to, żeby czuli się bezpieczniej.

Negocjacje prowadził Tizoc w towarzystwie dwóch innych prastarych wampirów. Za nimi stało jeszcze trzech, pełniących rolę służebną, ale oni również byli Wielkimi Mistrzami. W całej akcji brało zatem udział sześciu Wielkich Mistrzów pod przywództwem Tizoca. Pozostałych pięciu miało być gwarancją czystej gry dla reszty wampirów.

Jak na razie nikt mnie nie dostrzegł, stałem cicho, przysłuchując się.

Ludzie mieli przed sobą pliki dokumentów, których kopie już widziałem. Właśnie przemawiał Tizoc, po angielsku, miękkim, modulowanym głosem.

– Świat się zmienia i my musimy przygotować się do tych zmian. A jeśli zrobimy to sposobem, który wszystkim biorącym w tym udział przyniesie najmniejsze straty i najmniejszą ujmę, następne generacje będą nam za to wdzięczne.

Obecni słuchali jego wystąpienia niezbyt uważnie, koncentrując się na zawartości dokumentów.

– To nie jest ten sam tekst, który wynegocjowaliśmy w bezpośrednich rokowaniach – odezwał się zaniepokojony mężczyzna, w którym rozpoznałem premiera Włoch.

– Nie jest – powiedział Tizoc życzliwym tonem. – Dodaliśmy do niego mały przypis, będący właściwie bonusem. Każdy z panów go otrzymał jako przejaw naszej dobrej woli. Włącznie z Jego Hiszpańskim Majestatem, który poczuł się wczoraj trochę niedysponowany i dlatego zastępuje go dziś syn. – Tizoc spojrział na najmłodszego z uczestników zebrania i skłonił się.

Włoski premier wprawdzie mruzczał coś pod nosem, ale wyglądał na zadowolonego.

– Jakie mamy gwarancje? – zapytał nerwowo mężczyzna, którego również widziałem w telewizji, ale nie mogłem przypomnieć sobie jego nazwiska.

Nigdy nie interesowałem się polityką. Zaczynałem zdawać sobie sprawę, że to był błąd. Stała przed nim flaga francuska, a więc zapewne był przywódcą Francji.

– Panowie są głowami państw, rzecz dotyczy waszej korzyści i korzyści waszych poddanych, pardon, obywateli – odpowiedział Tizoc z uśmiechem.

Słowo „poddanych” nie było przejęzyczeniem, zostało użyte celowo.

– Reprezentuję nasz lud, który żyje we wszystkich państwach pięciu kontynentów. Nie mogę sobie pozwolić na utratę twarzy. Byłby to mój koniec. Lepszej gwarancji dać nie mogę.

Włoch popatrzył na pozostałych, wzruszył ramionami, podpisał papiery i ostentacyjnie złożył teczkę.

– Wszystko to jest absurdalne. Kilka tygodni temu nie słyszeliśmy o pańskim istnieniu ani się go nie domyślaliśmy, a teraz... Ze względu na to, że zdołał pan zaaranżować to spotkanie – zatoczył ręką koło – i kilka innych rzeczy, pańskie słowo ma swoją wagę. Nie widzę innego rozumnego wyjścia – dokończył.

– Ehm – zabrał głos człowiek, którego przemówienie telewizja nadawała w dzień noworoczny już od ładnych kilku lat. – Jestem tu wprawdzie tylko w charakterze gościa, przedstawiciela kraju, który ma zaszczyt zorganizować ten wyjątkowej wagi szczyt. Weźmy jednak pod uwagę, że nasze decyzje są istotne dla wszystkich mieszkańców planety i będą punktem zwrotnym dla współistnienia dwóch różnych kultur. Zmiany następować będą powoli, potrwać przez całe generacje, ale nie podlegają dyskusji.

Nastąpiło kilka kolejnych dłuższych lub krótszych wystąpień, które w zasadzie nie wniosły nic nowego.

Kolejny uczestnik spotkania podpisał dokumenty, później następni, przywódcy ludzkości stopniowo sprzedawali swoich obywateli w niewolę.

– To bezsens, nigdy się z tym nie zgodzę. My się nie poddajemy, zwyciężyliśmy wszystkich nieprzyjaciół. – Rosyjski prezydent poderwał się tak energicznie, że aż przewrócił fotel.

Była to ostatnia rzecz, jaką zrobił, ponieważ jego ochroniarz niezwłocznie wbił mu w kark strzykawkę, przez chwilę go podtrzymał, a następnie bezwładnego posadził z powrotem.

– Mam nadzieję, że pan Daspadinow przemyśli swoją decyzję do jutra, kiedy przyjdzie do siebie – oznajmił Tizoc.

– A więc to wszystko kłamstwo, przymuszacie nas? – oznajmiła jedyna kobieta pośród obecnych.

– Nie, ta decyzja została podjęta przez zespół pana prezydenta. My respektujemy wasze decyzje, tylko na tym można budować porozumienie.

Złożono następne podpisy.

Wszyscy podpisywali umowy, które przez okres ich biologicznie możliwego życia praktycznie niczego nie zmieniają. Ale korzyści z ich podpisania zaczną się od razu. Przyszli panowie świata odplacą im zdrowiem, długowiecznością, przyjęciem w poczet tajnego bractwa wampirskich spiskowców. Potem przyjdą małe zmiany prawa, korupcja w większym zakresie, presja na ograniczenie praw ludzi, aż w którymś momencie, kiedy wszystko będzie przygotowane, wampiry się ujawnią i wprowadzą nowe porządki, zgodnie z którymi ludzie staną się hodowlanym bydłem.

Czeski prezydent, przed którym również leżał reprezentacyjnie wyglądający dokument, podpisał go z wyraźnym zadowoleniem i przysunął sobie jeden z dwóch oryginałów.

– Widzę, że się udało – powiedziałem.

Nagle uwaga obecnych skupiła się na mnie.

– Zakłóca pan protokół dyplomatyczny – oskarżył mnie czeski prezydent. – Zagroza pan międzynarodowej pozycji naszego kraju!

Kim pan jest?

Domyślałem się, że Tizoc infiltrował policję i tajne służby, ale że skorumpował również władze kraju, to nie przyszło mi do głowy. Właściwie było to logiczne – szczyt został przygotowany tak, aby zadośćuczynić jego zamiarom.

Powinien mnie raczej zapytać, jak się tu dostałem, ale to już nie miało znaczenia.

– Jestem wampirem, który myśli, że wampiry są łowcami, a nie pastuchami bydlą – odparłem, nonszalancko machając mieczem.

Klinga świsnęła, przecięła kość, odcięta górna część czaszki spadła na podłogę i okazało się, że potrzebne będą wybory nowego prezydenta. Ten jedyny mój ruch uzmysłowił mi, jak bardzo bolą mnie mięśnie i ściągną po stoczony walce.

– Wystarczy! – Tizoc wstrzymał wszelki ruch w saloniku.

Miał moc i potrafił dać jej wyraz. Brzmiało to tak, jakby przemówiła piramida, w jego głosie można było wyczuć dumę i pewność siebie kogoś, kto na własne oczy widział bieg historii i sam ją tworzył. Obecni zaczęli się obawiać właśnie jego, a nie tego, co zrobiłem.

– Nie przypuszczałem, że dotrzesz aż tutaj, ale przygotowałem się na taką ewentualność. Panowie, omówcie wszystko *ex tempore*¹² i wkrótce wrócimy do naszych spraw – zwrócił się do polityków. – Ja też mam przeciwników, ale zobaczycie, jak umiem się z nimi uporać.

Bez żadnego rozkazu otworzyły się ukryte drzwiczki w przeciwległej ścianie i wyszedł z nich, a właściwie został wypchnięty Derwisz z pistoletem przyłożonym do skroni. Trzymał go wampir w garniturze i krawacie, który z powodzeniem mógłby zasiadać przy stole razem z obradującymi. Prawie mu zazdrościłem umiejętności noszenia tego garnituru.

– Jeśli wszystko to przedsięwziąłeś z powodu ludzi, przyszła pora z tym skończyć. Przypuszczam, że zależy ci na nim bardziej niż na innych, nieznanach ci osobnikach. Muszę bez przeszkód doprowadzić do końca to przedsięwzięcie. Odejdź, a przed wieczorem go wypuszczę.

Może nawet uwierzyłbym Tizocowi, ale w przeszłości spotkałem już kilka bardzo starych wampirów.

Gdybym miał w ręce rewolwer, to i tak wystrzelona z niego kula nie byłaby dość szybka, żeby uratować Derwisza.

Poczułem się zmęczony, wyczerpany, u kresu sił, na początku końca. Tam właśnie się znajdowałem od pewnego czasu, chociaż odrzucałem taką myśl.

– Mówiłem ci, co się stanie, pamiętasz? – zwróciłem się do Derwisza.

– Co się stanie, jeśli zechcą cię złapać, używając mnie przeciw tobie – potwierdził.

– Właśnie.

Tizoc zrozumiał, że nie przystąpię do jego gry, i już szykował się do wydania rozkazu zabicia Derwisza.

¹² Na poczekaniu, bez przygotowania (łac.) (przyp. tłum.).

Cisnąłem miecz od dołu ku górze, łukiem, z siłą, którą poczułem w każdym mięśniu, ścięgnie, stawie i kości.

Ludzie zniknęli, z mgły bezruchu wyłoniły się cztery prastare wampiry, jeden przeskakiwał przez stół, pozostali go obiegali. Jeszcze bardziej zwiększyłem swoją szybkość, przechodząc na wyższy stopień, i mogłem dostrzec, jak deformuje się pod ich nogami marmurowa podłoga, ich skórę pofałdowaną nadmiarem szybkości i ich wpatrzone we mnie oczy. Mój miecz był już w połowie drogi, kiedy wampir trzymający Derwisza go spostrzegł.

Trzema długimi krokami podbiegłem do ściany, odbiłem się od niej w górę i nie tracąc z nią kontaktu, dotarłem do sufitu. Siłę bezwładności zawdzięczałem kolejne trzy metry w pozycji głową w dół.

Miecz właśnie przebił głowę wampira z rewolwerem i przyszpilił mu czaszkę do muru. Pchnąłem ku dołowi, klinga rozpruła skaczącego przez stół wampira od ramienia aż do siódmego kręgu, ale utknęła tam i rękojeść wyrwała mi się z dłoni. Odbiłem się od sufitu, wykonałem pół salta i wylądowałem na stole.

Jeden z prastarych wampirów zdecydował się mnie naśladować i zmienić kierunek za pomocą ściany. Niestety, nie odgadł, w którym miejscu pod miękką wykładziną znajduje się element konstrukcji, i skończył pogrążony po pachy w gmatwaniu izolacji dźwiękowej, kabli, gipsu i innych resztek.

Dwie klingi zwróciły się przeciw mnie, wirując przeciwbieżnie jak koła młyńskie, które miały mnie zetrzeć na proch.

Zaparłem się o stół dłonią i z rozmysłem, ani za wolno, ani za szybko, przeskoczyłem pomiędzy nimi z bocznym obrotem, dzięki któremu prawie natychmiast dotknąłem stopą blatu stołu, a drugą nogą kopnąłem napastnika z prawej strony pod żebra. Nie śpieszyłem się, w pierwszej fazie ruchu nie starałem się użyć całej siły, w ostatniej chwili wyluzowałem nieco, żeby cios nie był zbyt mocny i nie naruszył mi kości nogi.

Trafiłem go zbyt nisko, w brzuch, chociaż celowałem w mostek. Ale efekt był taki sam. Moja noga więzła w ulepszonym pasożytem ciele wampira, niszcząc skórę, mięśnie, kości, wnętrzności, dotarła aż do kręgosłupa. Uderzenie w niego aż mną zatrzęsło, kręgosłup pękł. Zanim zdążyłem wyrwać nogę z bezwładnego ciała, sztych miecza kierującego się ku mojemu gardłu stał się nagle dla mnie najważniejszą sprawą w całym wszechświecie.

Wiedziałem, że zbliżam się do granicy tego, co możliwe. Usiłuję rozwinąć moc grożącą zniszczeniem własnych mięśni i kości. Widziałem, jak moje ręce pozornie powoli wyciągają się łukiem przed siebie, a każdy szczegół wydaje się wyraźniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

W końcu czuję klingę pomiędzy dłońmi i szybko odchylam ją na bok, tak żeby wbiła się tuż obok mojego ucha. Kiedy mam już pewność, że tak się stanie, puszczam ostrze, sięgam po trzymającego miecz przeciwnika, bezwładność jego ciała daje mi oparcie i jednym szybkim saltem do przodu ląduję za jego plecami.

Nagle w powietrzu świszczą pociski. To strzela Tizoc i inne prastare wampiry. Tak dawno nie walczyli, że zapomnieli, jakie ociężałe i powolne są kule dla kogoś, kto wojuje mieczem.

Wybrałem drogę pomiędzy lecącymi pociskami, najbliższego strzelca ściałem ostrzem *tachi*, drugiemu przycisnąłem się do ciała i oparłem mu dłoń na twarzy. Znieruchomiła, a ja spowolniłem. Kończące uderzenie było za silne, chyba uszkodziłem sobie jakąś kostkę w dłoni.

– Dogadajmy się – usłyszałem Tizoca gdzieś na skraju świadomości.

– Oczywiście – zgodziłem się, wbiłem przeciwnikowi kciuk i palec wskazujący w oczy, nie za głęboko, tylko tak, żeby zaskoczyły za oczodół, mały palec zahaczyłem o górną szczękę.

I targnąłem.

Przypominało to wybuch, jakby twarzową część czaszki oderwała mu eksplozja.

Ale to nie było nic, czego by taki stary śmieć nie zdołał przeżyć. Jednak nie mogłem tracić na niego więcej czasu.

Tizoc opuścił pistolet, zrozumiał, że mu się nie przyda.

Powoli podszedłem do niego, pozwalając mojej świadomości powrócić z głębi *Visio in Extremis* do normalnego stanu. Chociaż mój normalny stan był teraz nieco inny niż poprzednio.

– To ty byłeś z Messaliną – stwierdził Tizoc – inaczej na pewno nie zdołałbyś zrobić tego wszystkiego. – Wskazał wzrokiem pobojuwisko.

– Długo trwało, zanim to zrozumiałeś.

– I zapoznałeś się z moją pamięcią.

– Którą ukradłeś – powiedziałem.

– Dzięki temu domyśliłeś się, co zamierzam.

Ludzie słuchali nas jak zahipnotyzowani. Na podłodze, na stole, w ścianach wały się szczątki ciał wampirów, na niektórych z nich widoczne już były oznaki powrotu do zdrowia.

– Dzięki temu wiem, jak bardzo to szalone i niebezpieczne. Przyniesie zagładę nam wszystkim.

Tizoc milczał. Zrozumiał, że nie chce swojej doli z tego krwawego ochłapu, że się ze mną nie dogada.

Oczekiwałem, kiedy sięgnie po środek rozwiązywania problemów stosowany od tysięcy lat – po przemoc. Musiał chociaż spróbować.

Chciałem, żeby to on zaczął. Było o wiele łatwiej wykorzystać cudzą energię i siłę. Wygodniej i co najważniejsze, mniej bolało.

Dojrzałem odbicie błysku w wykładzinie ściany, natychmiast przywołałem błyskawiczne widzenie, starając się uciec z pola rażenia, ale w tym momencie poczułem kulę będącą już w styczności z moimi plecami. Gdybym się teraz przesunął w bok, przeprułały mi plecy na całej długości mojego ruchu. Nie poruszyłem się więc. Na moje nieszczęście znalazła szczelinę pomiędzy kręgami i poszła dalej, do wnętrza ciała, a tuż za nią podążała druga.

Musiała to być jakaś nowoczesna, automatyczna i niezwykle szybkostrzelna broń.

Siłą woli powróciłem do normalnej szybkości, nie miało sensu męczyć się przez długie godziny subiektywnego czasu.

Po chwili leżałem na podłodze postrzelany jak sito.

Pole widzenia stawało się zamglone z powodu utraty krwi, świat deformował się, podczas gdy coraz bardziej ulegałem prośbie ciała, szukającego ratunku, wyleczenia.

Od tego nie umrę – zrozumiałem.

Tizoc postawił mi nogę na piersi.

Od tego już chyba tak.

Widziałem jednego z polityków z pistoletem w ręce.

Był bardzo skuteczny, chociaż sprawiał wrażenie małego i eleganckiego.

– Skoro już doszliśmy tak daleko, nie pozwolimy udaremnić naszych zamierzeń z powodu takiej małej nieprzyjemności – powiedział mężczyzna, kierując lufę broni w moją stronę. – Oczywiście sytuacja się zmieniła i dlatego powinny zmienić się niektóre punkty naszego porozumienia. Nie pozwolimy panu dyktować nam pańskich warunków – dodał.

Tizoc popatrzył na mnie, na polityka i uprzejmie przytaknął.

– Oczywiście, panie prezydencie. Rozumiem pańskie stanowisko. Porozumienie możemy dopracować ku obopólnemu zadowoleniu.

Dopiero teraz poznałem, kim był człowiek z pistoletem. To prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. Myślał zapewne, że ma sytuację pod kontrolą. Ale mylił się. Tizoc mu przytaknie, lecz później przeprowadzi wszystko według swojego planu. Nie mógł przeciwstawić się ludzkiej cywilizacji, ale mógł ją zainfekować, korumpując

najmożliwszych. Prosty, a równocześnie przewrotny plan, jak na wampira. I możliwy do realizacji.

– Zaczniemy od tego, że przewiezicie do naszej ambasady tego mężczyznę. – Amerykański prezydent wskazał na mnie.

Głupi nie był, potrzebne mu były informacje i przypuszczał, że uzyska je ode mnie.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Ten człowiek jest już martwy.

Spróbowałem przywołać szybkość, żeby zatrzymać nogę, która zaraz rozgniecie mi pierś, rozedrze serce i kręgosłup. Nie powiodło mi się, całe siły musiałem skupić na tym, żeby w ogóle przeżyć.

Huknął strzał, prezydent postąpił chwiejnie jeden krok do tyłu, drugi strzał rzucił go na podłogę.

– Szybko! Musimy go uratować! Inaczej po całym przedsięwzięciu, po naszym planie! – ryknął Tizoc, rzucając się ku umierającemu mężczyźnie.

Za nim podążyły dwa ostatnie wampiry, jakie trzymały się jeszcze na nogach. Mogli tego dokazać, z pewnością.

Spojrzeniem odszukałem strzelca. Był nim Derwisz.

W ręce trzymał rewolwer, zapewne jeden z tych, z których przed chwilą strzelano do mnie.

Wyglądał na zszokowanego tym, co zrobił.

– Chciał nas sprzedać – powiedział w kierunku skamieniałych ze zgrozy ludzi wokół owalnego stołu.

Polityków wokół owalnego stołu, poprawiłem się w myślach.

W drzwiach pojawiła się Tes, a za nią Carlos. Wyglądało na to, że dobrze się znają albo chociaż zdążyli sobie przyjemnie pogawędzić.

Gdy tylko spostrzegła, gdzie leżę, rzuciła się do mnie.

Carlos przyglądał się sytuacji.

– Jak się czujesz?

Nie zdołałem odpowiedzieć, ale i tak widziała, co się stało. Podsunęła mi do ust plastikowy worek z krwią, do żyły błyskawicznie podpięła infuzję ciśnieniową. Ludzkim żyłom mogłoby to zaszkodzić, moim nie. Sztuczka, której nie znałem. Jej wygląd znów mnie zmylił, musiałem sobie przypomnieć, że to wampirzyca z dużym doświadczeniem.

– Kilka kulek w plecy, kręgosłup w porządku, nic fatalnego – rzekłem, kiedy skończyłem pić i znów złapałem oddech.

– Mogło być znacznie gorzej – powiedziała cicho i ujęła mnie za rękę.

Był to bardzo przyjemny dotyk, ale musiałem cały ten spektakl dograć aż do końca.

– Na razie nie dam rady wstać. Pomóż mi.

– Czy to rozsądne? – zapytał Carlos, który uznał, że Tizoc i jego ostatni wierni poplecznicy są wystarczająco zajęci ratowaniem amerykańskiego prezydenta. – Moi ludzie sprząтали ile sił, więc na zewnątrz nic się nie przedostało. Uciszyliśmy również rwetes, jaki spowodowało pańskie wdarcie się do budynku.

Brzmiało to bardzo dobrze.

– Muszę wygłosić oświadczenie. A tego nie mogę zrobić na leżąco – wyjaśniłem.

Wcale bym się nie zdziwił, gdyby Carlos, zamiast mi pomóc, po prostu mnie dobił, ale on dotrzymał umowy.

Posłuchali mnie, postawili na nogi, na których udało mi się utrzymać o własnych siłach.

Dokuśtykałem do Tizoca. Ranny prezydent był już prowizorycznie opatrzony, jednak chorobliwie siny, oddychał płytko i szybko – hiperwentylował się.

– Zrobiłeś z niego wampira – stwierdziłem. – Dokładnie tak, jak chciał.

– Inaczej bym go nie uratował. Tylko solidna dawka naszej krwi mogła to spowodować – rzucił przez ramię.

Wyciągnąłem rękę, Tes wcisnęła mi do niej rękojeść miecza. Ludzie na ogół słuchają z większą uwagą, kiedy mówiący ma w ręce broń.

Oparłem się o stół i zastukałem w błyszczące drewno.

– Jestem wampirem i właśnie stałem się władcą wampirów.

To zwróciło na mnie uwagę wszystkich obecnych.

Tizoc z niezadowoleniem targnął głową i nagle stwierdził, że wystarczy jeden nieostrożny ruch, a sam poderżnie sobie gardło o ostrze mojego miecza.

Ledwie trzymałem się na nogach, ale jeszcze dałbym radę machnąć mieczem z prędkością niedostrzegalną dla ludzkiego oka, a nieosiągalną dla wampira bez zdolności błyskawicznego widzenia.

Żadnych protestów nie było. Wszyscy poświęcili mi najwyższą uwagę.

– Odpowiada mi stan obecny, jestem łowcą. Nie chcę, żeby wampiry rozleniwiły się z powodu tego, że ludzie będą hodowani w obozach koncentracyjnych jak bydło – oznajmiłem.

Poczekalem, aż bezwzględność moich słów dotrze do ich świadomości. Tizoc ubrał taką wizję w zupełnie inne słowa.

– Niektórzy z was stali się wampirami. – Wskazałem amerykańskiego prezydenta. – Inni zostali zmienieni. – Popatrzyłem na siedzących, nie zatrzymując wzroku na żadnym z

nich. – Najlepszym rozwiązaniem byłoby pozabijać was wszystkich, a na wasze miejsca powołać nowych ludzi, którzy nic o nas nie wiedzą. Ale ponieważ infiltrowaliśmy najwyższe kręgi władzy, ponieważ wielu z nas uważacie za swoich współpracowników i polegacie na nich, ponieważ wielu z nas zajmuje wysokie stanowiska w policji i wojsku we wszystkich krajach świata, takiej masakry nie zdołałbym utajnić.

Wróżyłem z fusów, lecz dzięki temu, że Tizocowi jadła z ręki czeska policja, wywiad i kontrwywiad, właściwie całe państwo – inaczej nie zdołałby zorganizować tego cyrku – dzięki temu wszystko zabrzmiało bardzo wiarygodnie.

– Moi podwładni otrzymają jasny zakaz współpracy z wami. A wy, jeśli będziecie usiłowali nawiązać współpracę z jakimkolwiek wampirem, zostaniecie ukarani śmiercią.

Włoski premier wraz z dwoma innymi politykami nie ukrywali pogardliwych uśmiezków.

– Współpraca z wami, jako z istotami pozmienianymi naszą krwią i mocami, będzie bardzo prosta i efektywna – zwróciłem im uwagę.

Wszyscy znieruchomieli, ponieważ wszyscy byli pozmieniani. Dotąd uważali to za bonus, którego już nikt im nie odbierze, którego w żadnych okolicznościach nie będą musieli spłacać.

– Zostaliście zarażeni czymś, czego wasza nauka jak dotąd nie zna. Jeśli w odpowiednich odstępach czasu nie otrzymacie kolejnych dawek, umrzecie. Z pozoru na jakąś chorobę, ale w rzeczywistości z powodu niedostatku czynnika, który przedłuża wam życie, nie dopuszcza do rozwoju raka, chroni przed AIDS i innymi chorobami, które was zaatakowały.

Nie podobało im się to, co usłyszeli.

– Ciebie też, mały, zasrany łajdaku – zwróciłem się do Włocha – który zastrzegłeś sobie pomoc wampirów przy wprowadzeniu niewolniczego reżimu na swoim terytorium lennym. – Przyłożyłem mu czubek miecza do dziurki od nosa i lekko przycisnąłem. – Nie mogę cię teraz zabić, choć bardzo bym chciał.

Rozciąłem mu nos.

– Ale jeśli mnie zdenerwujesz, nie dostaniesz następnej dawki.

Krew i infuzja pomogły, lecz pomału zaczęło mi brakować sił.

Jednak byłoby chyba nie najlepszym zakończeniem zemdleć podczas takiego wystąpienia.

– Zrozumieliście mnie? – rzuciłem do wszystkich i do nikogo, patrząc przy tym na mężczyznę po mojej lewej stronie.

Przytaknął. Patrzyłem na niego nadal, aż zrozumiał, że kiwnięcie głową nie wystarczy.

– Tak – odpowiedział.

Powtórzyłem to samo z wszystkimi pozostałymi, tylko amerykański człowiek numer jeden pozostawał nieprzytomny. Ale on właśnie stał się wampirem i wymuszenie na nim przysięg nie miałyby sensu.

Zaś zabicie amerykańskiego prezydenta, nawet jeśli stał się wampirem, nie byłoby rozsądne. Raczej należało to uznać za przejaw skrajnego idiotyzmu. Trudno byłoby wyjaśnić to Amerykanom.

Musiałem stąd wyjść, zaczynały się pode mną uginać kolana. Tes to widziała, ale nie odważyła się pomóc.

– Resztę zostawiam panu – zwróciłem się do Carlosa.

Przytaknął, ale widziałem, że jest z tego powodu zdenerwowany.

Rozejrzałem się i zrozumiałem dlaczego. Jego były szef, Tizoc, prastary wampir, wpływowy Wielki Mistrz, był nadal w pełnej formie i mógł skądś sprowadzić ukryte posiłki. Byli też obecni dwaj obcy Wielcy Mistrzowie, którzy nie musieli słuchać Carlosa i mogli spróbować odwrócić bieg zdarzeń.

Popatrzyłem na Tizoca i nie tracąc czasu na przechodzenie do błyskawicznego widzenia, wykonałem dwukrok, przeszedłem do wypadu i cięciem z góry obciąłem mu rękę w przedramieniu. Krew przestała mu tryskać praktycznie natychmiast, skamieniał tylko jak kawał granitu.

– Gdybyś nie był nam potrzebny, zabiłbym cię – oznajmiłem, podniosłem uciętą kończynę, żeby regeneracja nie poszła mu tak łatwo, skinąłem na Derwisza, żeby poszedł za mną, i wyszedłem z saloniku.

Za drzwiami definitywnie załamały się pode mną kolana, ale nie upadłem.

Tes wzięła mnie na rękę i odniosła na sam dół, do podziemnego garażu, gdzie oczekiwał furgon służby kurierskiej, którą przedostała się do wnętrza wraz z ładunkiem broni i amunicji.

– Na pewno nie przespałaś spokojnie minionej nocy, prawda? – udało mi się powiedzieć, kiedy układała mnie pomiędzy paczkami.

– To wy, chłopcy, na ogół po tym śpicie. – Zaśmiała się ubawiona.

Oboje z Derwiszem szybko nałożyli uniformy firmy kurierskiej.

Potem na pewien czas musiałem stracić przytomność, bo gdy się ocknąłem, sądząc po prędkości jazdy, jechaliśmy już autostradą.

* * *

W dwa tygodnie później, w o wiele lepszej kondycji, choć na pewno nadal nie w najlepszej, przeglądałem gazety, zapoznając się z wydarzeniami ostatnich dni.

Specjalny szczyt rozszerzonej Rady G8, który tak nietypowo gościł w Pradze, skończył się relatywnym sukcesem – wyrażeniem woli dalszej współpracy, zostały nawet zawarte konkretne umowy. Najważniejszym wydarzeniem okazała się jednak niedyspozycja zdrowotna prezydenta Rosji, którą media przypisały nadmiernej konsumpcji alkoholu. Lecz nawet tę sensację przebił podany w trzy dni później hit sezonu – zaskakująca śmierć prezydenta Republiki Czeskiej.

Interesowałoby mnie, w jaki sposób Carlos załatwił to trzydniowe opóźnienie w stosunku do rzeczywistej daty zgonu, a przede wszystkim jak doszło do tego, że konsylium lekarskie za przyczynę śmierci uznało udar mózgu spowodowany nadmiernym stresem. Chociaż taki nagły cios mieczem może być uznany za nadmierny stres.

Odłożyłem gazety i podszedłem do okna, z którego roztaczał się piękny widok na panoramę Pragi. Kocham to miasto i w ogóle całą tę ziemię, którą przez ostatnie lata uważałem za swoją.

Przez otwarte drzwi do kuchni widziałem krzątającą się Tes. Miała na sobie sandaalki na lekko podwyższonym obcasie, spódniczkę mini trochę za pupę, koszulkę z krótkimi rękawami, której dolny skraj dzieliło od pasa spódniczki dobre dziesięć centymetrów niczego. Włosy miała niedawno ostrzyżone, fryzura przypominała szaloną kreację rodem z filmów rysunkowych, które ostatnio coraz częściej pokazywano w telewizji. Pochodziły z Japonii, w okresie rekonwalescencji chętnie je oglądałem. Może dlatego, że często występowały w nich wampiry, a twórcy byli w swych wyobrażeniach bardzo oryginalni. Mógłbym nawet zainspirować się tymi obrazami.

Znowu wróciłem myślami do Tes. Przez ostatnie dwa tygodnie nie było między nami żadnych zbliżeń. Początkowo dlatego, że i tak się do niczego nie nadawałem, a później byłem całkiem zdezorientowany. Tylko od czasu do czasu śniła mi się i były to bardzo poruszające sny.

– Gotowe – zawołała z kuchni.

Użyła swego niskiego głosu, nie przymuszając się do nadania mu młodzieńczego zabarwienia. Poszedłem do stołu. Nadal wiązało się to dla mnie z takim wysiłkiem, jakbym przebiegł sto czy więcej kilometrów.

Opowiedziała mi, że podobne wyczerpanie widziała dawno temu u swojej protektorki Messaliny po wygraniu nierównego pojedynku z trzema Wielkimi Mistrzami jednocześnie. Podobno przychodziła do siebie całymi miesiącami.

Usiadłem przy stole. Tes przygotowała dla nas po wielkim, krwawym befsztyku z dwoma małymi kartoflami i sosem ciemnoczerwonej barwy, jakiego nigdy przedtem nie widziałem i nie jadłem.

Do picia podała mocne czerwone wino. Z powodu moich dolegliwości odrzuciła pomysł kupienia czegoś mocniejszego, bez względu na to, czy sugerowałem wódkę, dżin, czy chociaż burbon. Po zakupy chodziła tylko ona i musiałem obejść się bez moich ulubionych trunków.

– Co dalej? – zapytała.

– Nikt nie wie, gdzie się schowaliśmy – zacząłem, krojąc kolejny kawałek mięsa i zjadając go z apetytem.

– Nawet Derwisz nie wie – potwierdziła.

– Nie mam ochoty mieszać się do spraw, którymi teraz zarządza Carlos.

– Wydaje się, że w jakiś sposób zapanował porządek – przytaknęła. – Część członków klanu Tizoca uznała w Carlosie nowego Wielkiego Mistrza. Jak dotąd sprawia wrażenie, że dotrzymuje obietnicy przerywania w zarodku każdej próby współpracy z ludźmi. Na polityków też ma oko.

– No tak, tego jestem pewny – zgodziłem się. – Będę musiał wyjechać na jakiś czas, żeby mnie nie wyśledził Carlos, Tizoc ani żaden inny wampir.

– To jasne – nie roztrząsała tego.

Na to, co nastąpi dalej, miała jednak własny pogląd.

Przełknąłem ostatni kęs.

– Kim ty właściwie jesteś? – zapytałem.

Moim zdaniem, sądząc po ilości zadawanych wzajemnie pytań, panował pomiędzy nami wyraźny brak równowagi.

Przez chwilę zastanawiała się, aż wreszcie zdecydowała, że powie mi prawdę. Poznałem to po niej.

– Messalina znalazła mnie na ulicy jako małą dziewczynkę, będącą już wampirzycą. Kiedy to się stało, nie pamiętam. Nic wtedy nie wiedziałam. Z początku była – poszukiwała odpowiedniego słowa – moją panią i wychowawczynią. Z biegiem czasu stała się koleżanką, a później jedyną i najlepszą przyjaciółką.

Nigdy nie słyszałem o wampirze, który nazwałby innego wampira kolegą, nie mówiąc już o przyjacielu. Tak, istniało kilku takich, z którymi wypłem beczkę piwa, wina czy czegoś mocniejszego. Większość z nich już nie żyła, a niektórych zabiłem własnymi rękami. Ale zawsze honorowo, w pojedynku. Życie wampira stwarza takie sytuacje.

– W ciągu ostatnich kilku lat zaczęła być jakaś inna. Rozdrażniona, niekiedy skryta, zniknęła na całe tygodnie i miesiące. Nie wiedziałam, co o tym myśleć – kontynuowała Tes.

– Przyszedł jej czas, szukała mężczyzny.

– Tak, teraz już wiem.

– Potem zniknęła na długo, bez żadnej informacji, żadnych poleceń dla pozostałych. Trafiłam na jej ślad dopiero w Pradze. Załatwiłam sobie nową osobowość, nie do zidentyfikowania ani przez ludzi, ani przez swoich. Ale tak czy tak nie odnalazłam jej. Wtedy pojawiłeś się ty.

Tizoc usiłował cię złapać z jej powodu, inni się tobą interesowali. Byłam przeświadczona, że ją zabiłeś. Nie mogłam tylko wyobrazić sobie w jaki sposób. Była Wielkim Mistrzem, ostrożna, doświadczona, silna, a ty okazałeś się tylko zwyczajnym wampirem. Zdecydowałam się ją pomścić.

Jej głos nadal był niski, ale zniknęła z niego wszelka zmysłowość, wspomnienia obudziły w nim zwierzęcą wprost nienawiść i zdecydowanie. Wiedziałem już od dawna, że ma w sobie coś z bestii, przynajmniej w pewnej mierze.

– Chciałam to zrobić tak, żebyś wiedział, dlaczego umierasz. W tym celu musiałam dostać się blisko ciebie.

– I to ci się udało.

Wierzyłem jej. Poczulem zazdrość, do której nie miałem prawa.

– A później stwierdziłaś, że jej nie zabiłem, że robiłem z nią coś zupełnie innego – popędziłem ją do dalszych zwierzeń.

– Tak. – Wyszczrzyła zęby, napiła się wina i oblizwała wargi, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Muszę powiedzieć, że bardzo mnie to rozbawiło, a przy tym zaskoczyło. Messalina nie cierpiała wampirów, miała inny gust.

Jednak kiedy poczuła potrzebę poczęcia dziecka, musiała wybrać jakiegoś wampira, inaczej nic by z tego nie było. Tę uwagę zachowałem dla siebie, a zamiast tego zapytałem:

– To wtedy zdecydowałaś, że mnie nie zabijesz?

– Nie. – Podrzuciła głowę i przez krótką chwilę wyglądała jak niewinna szesnastolatka.

– Już znacznie wcześniej, tej nocy, kiedy mnie nie wzięłeś, tylko przez cały czas trzymałeś w objęciach.

– I tylko dlatego nie pomściłabyś swojej najlepszej przyjaciółki?

– To niewłaściwe słowo. Wtedy już nie wierzyłam, że ją zabiłeś. A później zyskałam pewność.

– Kim ty właściwie jesteś? – powtórzyłem pytanie.

– Wolę wampiry od ludzi – powiedziała tonem dojrzewającej dziewczyny. – Nie zaprosi mnie pan na drinka? – jej ton prawie się nie zmienił, ale tylko prawie.

Naraz ozwała się w nim nieskończona ilość obietnic.

Posłusznie napełniłem jej pustą szklankę.

– Zapłacisz za to – tym razem zupełnie zmieniła głos.

Surowe, zimne oświadczenie i właśnie ta prostota bez żadnych podtekstów powodowała poczucie takiej definitywności, że aż mnie zmroziło. Nie chciałbym mieć w niej wroga.

– Które z tych wcieleń jest prawdziwe?

– Wszystkie. Czy chciałbyś, żebym wobec ciebie odgrywała taką dziewczynkę jak na początku?

Pokręciłem głową.

Pozostawała wciąż tak samo piękna, pożądałem jej jeszcze bardziej, ale teraz była kimś innym.

– A czego ty chcesz? – zapytałem.

– Chcę, żebyś się wobec mnie zachowywał jak dawniej. Żebyś się o mnie troszczył, żebyś mnie chronił w każdej sytuacji.

Myślałem, że żartuje, ale nie. Uśmiechała się wprawdzie, lecz mówiła śmiertelnie poważnie.

Dopiłem resztę wina ze szklanki i otworzyłem nową butelkę.

– Chętnie spróbuję – powiedziałem, kiedy do dna pozostał zaledwie centymetr.

– A jeśli się nie uda? – odpowiedziała w połowie następnej.

– No to się nie uda.

* * *

Rano obudziłem się pierwszy, pełen sił i entuzjazmu. Niektóre sposoby rekonwalescencji są skuteczne, a zarazem przyjemne. Rozsunąłem zasłony, do pokoju wpadło słońce. Nie wiem, jak ludzie doszli do wniosku, że wampiry nie znoszą światła słonecznego. Ja bardzo je lubię.

Nałożyłem spodnie i koszulę, zbiegłem do całodobowego sklepu po składniki potrzebne do przygotowania zdrowego i pożywnego śniadania, czyli wędzoną słoninę, jajka, chleb, kawior, szampan, grapefruity. Kupiłem też butelkę fińskiej wódki, sok pomidorowy, tabasco, sól i pieprz.

Zanim Tes się obudziła, śniadanie było gotowe, a ja przyrządzałem sobie drugą Bloody Mary.

Przyszła do stołu w szlafroku, z jeszcze mokrymi włosami.

Przyjrzała się, co piję, i sama wzięła się do szampana.

– No, widzę, że doszedłeś do siebie – odgadła.

– Zupełnie – potwierdziłem.

– Wiesz, kiedy brałam prysznic, uświadomiłam sobie, że jestem zazdrosna.

Zapachniało niemiłym tematem na samym początku dnia. Ale jabłka trzeba gryźć nawet wtedy, gdy są gorzkie. To i tak lepsze niż zgniłe.

– A co to znaczy? – zapytałem i napiłem się.

Tes ukroiła sobie solidną porcję słoniny, przesunęła na bok talerza przeszkadzającą jej jajecznicę, położyła plaster obok niej i zabrała się do jedzenia.

– Jeśli się dowiem, że chodzisz z jakąś kobietą, która nie jest dla ciebie zdobyczą, to pożałujesz.

Zastanowiłem się.

– Rozumiem.

Poranek znów był tak samo piękny jak na początku.

Niestety, tylko do końca drugiego drinka.

Brzęknął sygnał e-maila. Tes była o wiele lepiej ode mnie obznajomiona z nowoczesną techniką. Postawiła laptop pomiędzy talerzami, przez chwilę coś z niego odczytywała, a później zachichotała.

– Od dawna nie przeglądałeś poczty, prawda?

– Zacieram za sobą ślady.

– Pytam, bo to e-mail wysłany na mój adres, ale przeznaczony dla ciebie.

Napisał go Derwisz. Oznajmiał w nim, że został doradcą Carlosa i jako „Jedynego Władcę Wampirów” w jego imieniu prosił mnie o pomoc. Nie napisał, o co konkretnie chodzi, podał tylko numer telefonu.

Niechętnie sięgnąłem po komórkę.

– Nie boisz się, że nas namierzą? – zapytała ze śmiechem.

– Nie, przeprowadzimy się – zdecydowałem.

Wybrałem numer Derwisza.

– Mów, o co chodzi, bo przeszkadzasz – rzuciłem krótko.

Słuchałem przez chwilę, a potem rozłączyłem się.

Tes wyglądała tak, jakby w każdej chwili miała wybuchnąć śmiechem.

– Tak ci się spodobał tytuł „Jedyny Władca Wampirów”? – zapytałem.

Żywo pokiwała głową i już nie starała się powstrzymać od śmiechu.

– Bardzo. Ale ty wyglądasz na zatroskanego.

– Chodzi o Schnitzela, mój kontakt w obozie Tizoca...

Machnęła ręką na znak, że wie, o kim mowa.

– Zapewniał Tizocowi korzystanie z najnowszej technologii, szukał sposobów technicznych umożliwiających najłatwiejsze zabijanie wampirów i robił wiele innych rzeczy – pozwoliłem sobie na krótki wykład. – Obiecałem mu, że jak to się skończy, wyleczę go za pomocą transfuzji mojej krwi. Był nieuleczalnie chory. Ostatnio, co zaskakujące, nie odzywał się do mnie.

Tes to zainteresowało, słuchała z niedopitą szklanką w dłoni.

– Już nie potrzebuje mojej pomocy. Nauczył się więcej, niż uważałem za możliwe. Sam się wyleczył, zapewne zaaplikował sobie pasożyty wielu wampirów.

– Czyli naprawdę wie i umie więcej od nas, zwykłych wampirów. Kiedyś już tego próbowaliśmy, ale każdy przy takiej próbie umierał – stwierdziła.

Na pewno większość wampirów wiedziała o tym lepiej niż ja.

Otworzyłem własną pocztę. Od Carlosa przyszło jeszcze więcej informacji.

– Niezgrabny, śmiertelnie chory Schnitzel zabił przedwczoraj Wielkiego Mistrza klanu z Buenos Aires, wziął do niewoli prastarego wampira z Moskwy i oficjalnie wypowiedział Carlosowi wojnę – wszystkie informacje zawarłem w jednym zdaniu.

– Wypowiedział wojnę „Władcy Wampirów” – sprecyzowała. – A więc tobie.

– Tak – potwierdziłem niechętnie.

– Myślałam o urlopie. – Zamyśliła się. – Na przykład o polowaniu na żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej w Afganistanie...

– To w Afganistanie jest amerykańska piechota morska? Przecież tam nie ma morza.

– Tak, są tam – potwierdziła – już to sprawdziłam. Mają mnóstwo udogodnień technicznych, na których tak polegają, że kiedy ich tego pozbawisz, są bardzo przyjemnie zdezorientowani. Ale starają się. Ci, którzy mają na mundurach odznaki z Neptunem, są najlepsi.

– Albo moglibyśmy zapolować na tych z SAS. Mają teraz robotę na Wybrzeżu Kości Słoniowej.

Tes się rozmarzyła.

– No ale najlepsza adrenalina to Rosjanie. W specnazie nadal służą tacy, których dziadowie byli łowcami wampirów.

– Jednego takiego nawet spotkałem – zauważyłem.

– Ale polowanie na superwampira? Pewnie jeszcze bardziej niebezpiecznego niż ty?

To lepsze niż cokolwiek, co mogę sobie wyobrazić.

Oczy zaświeciły jej jak dwa czarne diamenty.